

ARTURO PEREZ-REVERTE

KLUB DUMAS

Tytuł oryginału *El club Dumas*

1993

(tłum. Filip Łobodziński)

2004

Dedykuję Cali, która popchnęła mnie na pole bitwy

Nagły błysk flesza rzucił na ścianę salonu cień trupa. Zwłoki wisiały nieruchomo pod lampą na środku pokoju. W miarę jak fotograf je okrążał, co chwila zwalniając migawkę aparatu, cień kładł się na obrazach, gablotach z porcelaną, regałach z książkami i rozsuniętych zasłonach ukazujących wielkie okna, za którymi padał deszcz.

Sędzia rejonowy wyglądał na człowieka młodego. Jego rzadkie, potargane włosy były jeszcze mokre, podobnie jak płaszcz od deszczu przerzucony przez ramię. Obok na sofie przysiadł sekretarz, zapisując na ustawionej na krześle przenośnej maszynie jego spieszenie dyktowane zdania. Klekot klawiszy nadawał rytm monotonnemu potokowi słów sędziego i komentarzom rzucanym z cicha przez krzątających się po pokoju policjantów:

- Ubrany w piżamę i w narzucony na wierzch fartuch, którego pasek spowodował zgon przez uduszenie. Ręce denata związane z przodu krawatem. Na prawej stopie bambosz, lewa stopa bosa...

Sędzia dotknął nogi w kapciu. Zwłoki zakotywały się lekko na naprężonym jedwabnym pasku, przywiązany do haka, na którym zawieszona była lampa. Najpierw z lewa na prawo, potem w przeciwnym kierunku, coraz słabiej, by zatrzymać się wreszcie jak igła magnesu, która po krótkim wahaniu ponownie wskazuje północ. Sędzia odsunął się i, lekko pochylony, wyminął umundurowanego policjanta, który szukał na podłodze śladów linii papilarnych. Walały się tam skorupy rozbitego wazonu i otwarta książka: można było dostrzec fragment tekstu podkreślony czerwonym ołówkiem. Był to stary egzemplarz *Wicehrabiego de Bragelonne*, tania edycja oprawna w płótno. Nachylając się przez ramię funkcjonariusza, sędzia rzucił okiem na zaznaczone zdania:

„- Jestem zdradzony - szepnął. - Wiedzą o wszystkim.

- Zawsze wszyscy o wszystkim wiedzą - odparł Portos, który nie wiedział o niczym” *

[* Przekład Hanny Szumańskiej-Grossowej.]

Polecił sekretarzowi zapisać to w raporcie i dołączyć książkę do materiału dowodowego. Sam podszedł ku wysokiemu mężczyźnie, palącemu papierosa koło otwartego okna.

- I co pan na to? - spytał stając obok.

Na kieszeni skórzanej kurtki dryblasa widniała odznaka policyjna. Mężczyzna zwlekał z odpowiedzią, dopalając zaciśniętego w dwóch palcach peta, którego wreszcie wyrzucił przez okno, nie patrząc nawet za siebie.

- Jeśli mamy do czynienia z białym płynem, i do tego w butelce, to zazwyczaj chodzi o mleko - odrzekł wreszcie nieco zagadkowo, nie na tyle jednak, by na twarzy sędziego nie pojawił się nikły uśmiech. Sędzia - w przeciwieństwie do policjanta - spoglądał na ulicę,

gdzie wciąż lało jak z cebra. W tym momencie drzwi się otworzyły i nagły przeciąg opryskał mu twarz kropelkami deszczu.

- Zamknijcie te drzwi - powiedział nie odwracając głowy, po czym odezwał się do oficera:

- Bywają zabójstwa upozorowane na samobójstwo.

- I na odwrót - dodał spokojnie wysoki policjant.

- A co pan powie o rękach i krawacie?

- Niektórzy boją się, że w ostatniej chwili pożałują. Inaczej miałyby je związane na plecach.

- To niczego nie zmienia - zaproponował sędzia. - Pasek jest cienki i mocny. W momencie utraty gruntu pod nogami nie dałby rady, nawet gdyby ręce miał swobodne.

- Wszystko jest możliwe. Będziemy mądrzejsi po sekcji.

Sędzia ponownie rzucił okiem na wisielca. Funkcjonariusz zbierający odciski palców podnosił się z podłogi z książką w dłoniach.

- Ciekawa sprawa z tą książką.

Wysoki policjant wzruszył ramionami.

- Raczej niewiele czytam - rzekł. - Ale ten Portos to jeden z tych... jak im... Atos, Portos, Aramis i d'Artagnan - wyliczał przesuwając kciukiem po palcach drugiej dłoni, po czym zamyślił się. - Zabawne. Zawsze mnie zastanawiało, czemu nazywają ich trzema muszkietierami, skoro tak naprawdę było ich czterech.

I. *Wino andegaweńskie*

„Winniśmy uprzedzić czytelnika,
że będzie świadkiem scen przerażających”.
(E. Sue, *Tajemnice Paryża*)

Nazywam się Boris Balkan. Przełożyłem kiedyś *Pustelnię parmeńską*. Poza tym moje artykuły krytyczne i recenzje ukazują się w przeglądach i dodatkach literackich w połowie Europy. Jestem organizatorem wykładów o literaturze współczesnej na różnych uniwersytetach letnich, opublikowałem też kilka książek na temat dziewiętnastowiecznej powieści popularnej. Obawiam się, że to nic specjalnego. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy popełnia się samobójstwa upozorowane na zabójstwo, powieści pisze lekarz nazwiskiem Roger Ackroyd, a stanowczo zbyt wielu ludzi wydaje dwustustronicowe opisy własnych wstrząsających przeżyć doznanych podczas przeglądania się w lustrze.

Wróćmy jednak do naszej historii.

Lucasa Corsa poznałem, gdy odwiedził mnie z *Winem andegaweńskim* pod pachą. Corso był najemnikiem bibliofilstwa, łowcą książek na cudzy koszt. Łączy się to z brudnymi paluchami, gładką mową, dobrym refleksem, cierpliwością i sporym szczęściem. A także z nieprawdopodobną pamięcią, pozwalającą przypomnieć sobie, w jakim to zakurzonej zakamarku jednego z tysięcy antykwariatów drzemie właśnie ten egzemplarz, za który inni gotowi są zapłacić fortunę. Jego klientela nie była liczna, za to doborowa: dwudziestu paru księgarzy z Mediolanu, Paryża, Londynu, Barcelony czy Lozanny - takich, co sprzedają tylko pozycje odnotowane w katalogach, inwestują w rzeczy sprawdzone i pewne i nigdy nie obracają naraz większą liczbą tytułów niż jakieś pół setki. Prawdziwi arystokraci starodruków, dla których pergamin w miejsce welinu lub szerszy o trzy centymetry margines może oznaczać tysiące dolarów. Szakale z galaktyki Gutenberga, piranie buszujące na targach antykwarycznych, pijawki aukcyjne, gotowe sprzedać własną matkę za pierwsze wydanie. Sami jednak sadzają swych klientów na skórzanej sofie w salonie z widokiem na katedrę II

Duomo lub Jezioro Bodeńskie - a ręce i sumienia mają zawsze czyste. Dlatego istnieją tacy jak Corso.

Zdjął z ramienia brezentową torbę, położył ją na podłodze u stóp obutych w niezbyt czyste oxfordy, po czym zawiesił wzrok na oprawionym portrecie Rafaela Sabatiniego, stojącym na biurku w moim gabinecie obok wiecznego pióra, którym zazwyczaj poprawiam artykuły i wstępne wydruki. Zrobiło mi się przyjemnie, goście bowiem rzadko poświęcają mu choćby odrobinę uwagi, biorąc go za mojego przodka. Obserwowałem dyskretnie reakcję przybysza i dostrzegłem, że siadając lekko się uśmiechnął: po chłopięcemu, niczym królik przyłapany na środku ulicy. Uśmiechem, który z miejsca zaskarbia bezwarunkową przychylną widowni każdego filmu animowanego. Z czasem miałem się zorientować, że jest też w stanie uśmiechać się jak bezlitosny, wychudły wilk i że potrafi dostosowywać własne gesty do okoliczności. Ale to dużo później. Na razie robił tak korzystne wrażenie, że postanowiłem rzucić hasło i czekać na odzew:

„- Już od urodzenia posiadał dar humoru - zacytowałem wskazując na portret - i świadomość, że świat jest szalony”. [R. Sabatini, *Scaramouche*, przekład Ewy Przyłuskiej.]

Patrzyłem, jak odwraca głowę, powoli i z wyrazem aprobaty, i poczułem do niego kumoterską sympatię, którą zresztą zachowałem do dziś, pomimo wszystkiego, co się potem zdarzyło. Z jakiejś dobrze zakamuflowanej paczki wyciągnął papierosa bez filtra, równie zmiętoszonego jak jego wysłużony płaszcz i sztruksowe spodnie. Obracał go w palcach i obserwował mnie przez przekrzywione na nosie okulary w stalowej oprawce. Lekko siwiejące już włosy mierzwiły mu się na czole. Drugą dłoń - można byłoby mniemać, że ściska w niej rewolwer - trzymał w czymś, co nie było kieszenią, ale raczej przepastnym dołem rozepchanym od ciąglego taszczenia książek, katalogów, dokumentów i - też dowiedziałem się o tym znacznie później - piersiówki wypełnionej dzinem Bolsa.

- „Było to całe jego dziedzictwo” ** [Jak poprzednio] - bez trudu dokończył cytata, po czym rozparł się w fotelu, ponownie z uśmiechem na ustach. - Aczkolwiek, szczerze mówiąc, wolę *Kapitana Blooda*.

Wycelowałem weń wieczne pióro gestem surowego upomnienia:

- A niesłusznie. *Scaramouche* jest tym dla Sabatiniego, czym *Trzej muszkietierowie* dla Dumasa - tu skłoniłem się lekko w stronę portretu. - Już od urodzenia posiadał dar humoru... Żadna inna odcinkowa powieść przygodowa nie ma lepszego początku.

- Może i racja - przyznał po chwili i położył na stole teczkę z rękopisem, którego każda kartka spoczywała w oddzielnej kopercie z przezroczystej folii. - Zdumiewający zbieg okoliczności, że wspomniał pan właśnie Dumasa.

Przesunął teczkę w moim kierunku, tak bym mógł czytać bez kłopotu. Wszystkie kartki zapisane były po jednej stronie, po francusku. Papier był dwojakiemu rodzaju: biały, nieco pożółkły już ze starości, i bładoniebieski w cieniutką kratkę, po którym też widać było upływ czasu. Każdemu gatunkowi papieru odpowiadało inne pismo, z tym że pismo z kartek niebieskich, kreślone czarnym atramentem, widniało też na kartkach białych pod postacią dopisków i notatek do tekstu oryginalnego, pisanego charakterem drobniejszym i bardziej spiczastym. W sumie kartek było piętnaście, z czego jedenaście niebieskich.

- Ciekawe - podniosłem oczy na Corsa. Jego spokojny wzrok padał to na mnie, to na teczkę. - Skąd pan to ma?

Potań palcem brew, niewątpliwie zastanawiając się, czy informacja, o którą przyszedł prosić, upoważnia go - a jeśli tak, to w jakim stopniu - do ujawniania takich szczegółów. Wreszcie na ustach pojawił się trzeci uśmiech, uśmiech królika-niewiniątka. Corso był zawodowcem.

- Skądś tam. Klient klienta, wie pan.

- Jasne.

Zamilkł rozważnie na moment. W tej rozwadze czuło się nie tylko ostrożność i rezerwę, ale i przebiegłość. Było to oczywiste dla nas obu. W końcu odezwał się:

- Naturalnie podam panu nazwiska, jeśli sobie pan tego życzy.

Odparłem, że to niepotrzebne, co chyba go uspokoiło. Poprawił sobie palcem okulary na nosie i spytał, czy mógłbym sformułować jakąś opinię na temat tego, co trzymam w dłoniach. Nie odpowiadając kartkowałem rękopis, aż dotarłem do pierwszej strony. U góry widniał tytuł, zapisany grubszymi dużymi literami: *LE VIN D'ANJOU*.

Przeczytałem na głos pierwsze zdanie:

„Après de nouvelles presque désespérées du roi, le bruit de sa convalescence commençait à se répandre dans le camp...” [„Po rozpaczliwych niemal nowinach o stanie króla w obozie zaczęły się szerzyć wieści o jego powrocie do zdrowia” (przekład Joanny Guze).]

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Na twarzy Corsa pojawił się wyraz przyzwolenia, jakby chciał mnie zachęcić do ogłoszenia werdyktu.

- Bez najmniejszej wątpliwości - rzekłem - jest to Alexandre Dumas, ojciec. *Wino andegaweńskie*, o ile pamiętam, czterdziesty któryś rozdział *Trzech muszkieterów*.

- Czterdziesty drugi - potwierdził Corso. - Rozdział czterdziesty drugi.

- Czy to oryginał? Autentyczny rękopis Dumasa?

- Właśnie z tym przychodzę. Pan mi to powie.

Wzruszyłem ramionami, chcąc zrzucić z siebie ciężar nadmiernej odpowiedzialności:

- A niby dlaczego ja?

Było to pytanie z gatunku idiotycznych. Służą one z reguły tylko temu, by zyskać na czasie. Corso natomiast uznał je chyba za wyraz fałszywej skromności, bo popatrzył na mnie ze źle skrywanym zniecierpliwieniem:

- Jest pan specjalistą - odparł nieco oschle. - Najznakomitszym krytykiem literackim w tym kraju, który w dodatku wie wszystko o powieści popularnej dziewiętnastego wieku.

- Zapomina pan o Stendhalu.

- Nie zapominam. Czytałem pański przekład *Pustelni parmeńskiej*.

- No, no. Pochlebia mi pan.

- Nie sędzę. Wolę tłumaczenie Consuelo Berges.

Tym razem uśmiechnęliśmy się obaj. Podobał mi się coraz bardziej. Zaczynałem rozpoznawać cechy jego stylu bycia.

- Zna pan moje książki? - zaryzykowałem.

- Niektóre. Na przykład *Lupin*, *Raffles*, *Rocambole*, *Holmes*. Studia na temat Valle-Inclana, Barojy i Galdosa. Także *Dumas. Na tropie giganta*. I esej na temat *Hrabiego Monte-Christo*.

- Przeczytał pan to wszystko?

- Nie. To, że pracuję z książkami, nie oznacza, że muszę je czytać.

Kłamał. A w każdym razie przesadnie akcentował przyziemny charakter swojego zajęcia. Należał do ludzi sumiennych - przed spotkaniem ze mną przejrzał dostatecznie dużo materiałów na mój temat. Był zagorzałym czytelnikiem, od czasów słodkiego dzieciństwa pochłaniającym drukowane słowo. O ile oczywiście (co wysoce wątpliwe) Corso kiedykolwiek był słodkim dziecikiem.

- Jasne - odezwałem się, chcąc przerwać ciszę.

Zmarszczył na moment brwi, usiłując się zorientować, czy o czymś nie zapomniał. Następnie zdjął okulary, chuchnął na szkła i zabrał się za ich przecieranie. Dokonywał tego za pomocą potwornie zmiętoszonej chustki, wyciągniętej właśnie z przepastnej kieszeni płaszcza. Patrząc na tego osobnika tonącego w zbyt obszernym okryciu, na jego wiewiórcze siekacze i spokojną twarz, można było odnieść fałszywe wrażenie, że jest wcieleniem bezradności. W rzeczywistości Corso był twardy jak zahartowana cegła. Ostre i kanciaste rysy pasowały do bystrych oczu, w których zawsze gotowa była zagościć prostoduszność, szalenie niebezpieczna dla każdego, kto dałby się jej zwieść. Czasami - szczególnie w chwilach spokoju - stwarzał pozory człowieka znacznie bardziej niezdarne i ospałego, niż

był w istocie. Jest taki typ ludzi bezbronnych, których mężczyźni częstują papierosem, kelnerzy traktują jedną kolejką na rachunek firmy, a kobiety pragną natychmiast przygarnąć. A gdy wreszcie zdasz sobie sprawę, co się naprawdę dzieje, jest za późno, by podjąć rzucone wyzwanie. On już znika daleko na horyzoncie, znacząc na rękojeści noża kolejne nacięcie.

- Wróćmy do Dumasa - zaproponował, wskazując okularami rękopis. - Ktoś, kto napisał o nim pięćset stron, powinien poczuć się swojsko, mając przed oczami oryginał. Nie sądzi pan?

Położyłem dłoń na obłożonych w folię kartkach gestem pełnym namaszczenia, z jakim kapłan dotyka szat liturgicznych.

- Nie chciałem pana rozczarować, ale nie odczuwam niczego.

Roześmialiśmy się. Corso chichotał w jakiś szczególny sposób, nieco przez zęby, jak gdyby nie do końca pewien, czy jego i jego rozmówcę bawi to samo. Był to śmiech dyskretny i zdystansowany, ze szczyptą bezczelności, który długo dzwoni w powietrzu, zanim się rozwieje. Nawet jeszcze po odejściu tego, kto chichotał.

- Może po kolei... - powiedziałem. - Czy to pańska własność?

- Już mówiłem, że nie. Klient dopiero co go nabył i był zdumiony, że dotąd nie słyszano o tym autentycznym, pełnym rękopisie rozdziału *Trzech muszkieterów*... Życzy sobie rzetelnej weryfikacji i to właśnie jest moje zadanie.

- Dziwi mnie, że zajmuje się pan sprawami błahymi - wiedziałem, co mówię; o Corsie słyszałem już wcześniej. - Ostatecznie Dumas dzisiaj...

Zawiesiłem głos i przywołałem na twarz porozumiewawczy gorzki uśmiech. Corso nie podjął jednak tematu, zachowując postawę wyczekującą:

- Klient to mój przyjaciel - rzucił obojętnie. - Można to nazwać przysługą towarzyską.

- Rozumiem, nie wiem wszelako, czy będę się mógł panu na coś przydać. Widywałem w życiu oryginalne rękopisy i wnoszę, że ten mógłby być autentyczny. Ale zweryfikować go to zupełnie inna sprawa. W tym celu radzę zwrócić się do dobrego grafologa. Znam jednego w Paryżu, nazywa się Achille Replinger. Ma księgarnię wyspecjalizowaną w autografach i dokumentach historycznych, niedaleko Saint-Germain-des-Pres... Ekspert, jeśli chodzi o francuskie autografy z dziewiętnastego wieku, uroczy człowiek i mój przyjaciel - wskazałem na jedną z ramek wiszących na ścianie. - O, parę lat temu kupiłem od niego ten list Balzaca. Oczywiście za bajońską sumę.

Wyjąłem terminarz, żeby przepisać adres, i wręczyłem Corsowi karteczkę. Wsunął ją do zniszczonego wizytownika wypchanego notatkami i papierkami. Następnie wyciągnął z

płaszcz notatnik i ołówek z gumką do wycierania na końcu, obgryzioną, jakby należała raczej do ucznia.

- Mogę zadać parę pytań?

- Proszę bardzo.

- Wiedział pan o istnieniu kompletnego autografu któregoś z rozdziałów *Trzech muszkieterów*?

Potrząsnąłem przecząco głową, w milczeniu nakładając skuwkę na mój Montblanc. Po chwili odezwałem się:

- Nie. Dzieło to ukazywało się partiami w „Le Siècle”, od marca do lipca 1844 roku... Po złożeniu tekstu przez zecera rękopis szedł do kosza. Mimo to kilka fragmentów ocalało, szczególnie może pan sprawdzić w wydaniu Garniera z 1968 roku.

- Cztery miesiące to niedużo - Corso obgryzał w zamyśleniu koniec ołówka. - Szybko pisał ten Dumas.

- Wtedy wszyscy tak pracowali. Stendhal napisał *Pustelnię* w siedem tygodni. Z tym, że akurat Dumas korzystał z pomocy współpracowników, czyli jak to się mówi w żargonie, murzynów. Przy *Muszkieterach* pomagał mu niejaki Auguste Maquet... Pracowali wspólnie także nad dalszym ciągiem, *W dwadzieścia lat później*, oraz nad zamykającym cały cykl *Wicehrabią de Bragelonne*. Do tego jeszcze nad *Hrabią Monte-Christo* i nad paroma innymi powieściami... Jak mniemam, czytał pan te książki.

- Oczywiście. Jak wszyscy.

- Chciał pan powiedzieć: jak n i e g d y ś wszyscy - przerzuciłem z szacunkiem kilka kartek rękopisu. - Dawno minął czas, gdy nazwisko Dumas potrafiło pomnożyć nakłady oraz dochody wydawców. Niemal wszystkie jego powieści opublikowano w ten sam sposób, w odcinkach, gdzie na dole strony widniało: „Ciąg dalszy w następnym numerze” - i ludzie z zapartym tchem wyglądali kolejnego rozdziału... Zresztą pan to wszystko wie.

- Nie szkodzi, niech pan mówi dalej.

- A co jeszcze chce pan usłyszeć? W klasycznej powieści w odcinkach klucz do sukcesu jest prosty: bohater czy bohaterka obdarzeni są zaletami bądź cechami, które zmuszają czytelnika do utożsamienia się z nim lub z nią... Mamy do czynienia z tym zjawiskiem i dziś, w przypadku oper mydlanych, więc niech pan sobie wyobrazi, jak wtedy, w epoce bez radia i telewizji, oddziaływało to na burżuazję, która łaknęła niespodzianek i rozrywki, a nie była zbyt wymagająca, jeśli chodzi o walory formalne czy dobry smak... Tak samo rozumował genialny Dumas. Dzięki inteligentnej alchemii sporządził więc produkt

laboratoryjny: parę kropli tego, szczypta tamtego - plus talent. W efekcie powstał narkotyk, który uzależniał - nie bez dumy wskazałem na siebie. - I uzależnia nadal.

Corso notował. Drażliwy, bezceremonialny i śmiertelny niczym jad mamy czarnej - tak scharakteryzował go później jeden jego znajomy, gdy to nazwisko padło w rozmowie. Corso w specyficzny sposób sytuował się zawsze naprzeciw innych - dzięki czemu mógł obserwować otoczenie przez przekrzywione okulary i potakiwać powoli, z wyrazem jakiegoś racjonalnego i życzliwego powątpiewania. Przypominało to reakcję tolerancyjnej dziwki na sonet o Kupidynie. Może dawał rozmówcy możliwość korekty stanowiska, nim będzie za późno.

Po chwili przerwał i uniósł głowę:

- Pan przecież nie ogranicza się w pracy tylko do powieści popularnej. Jest pan krytykiem znanym z wielu zainteresowań... - zawahał się, jakby szukał właściwego słowa - poważniejszych. A sam Dumas określał swoją twórczość jako literaturę łatwą... Czy nie pobrzmiwa w tym pogarda wobec czytelnika?

Dzięki tej zmyłce mój rozmówca zajmował coraz lepszą pozycję. Było w tym coś z przebiegłych zagrywek Rocambole'a. Przedstawiał sprawy trochę z dystansu, pozornie bez większego zaangażowania, a jednak co chwila wbijał szpile jak doświadczony partyzant. Tymczasem ktoś, kto traci nerwy, zazwyczaj mówi, szermuje argumentami i wyjaśnieniami, co przeciwnikom dostarcza jeszcze więcej informacji. Mimo to - a może właśnie dlatego, skoro nie narodziłem się wczoraj i pojmowałem taktykę Corsa - poczułem niejaką irytację i zniecierpliwienie:

- Niech pan nie popada w stereotypy. Wśród powieści odcinkowych wiele jest takich, o których nie warto pamiętać, ale Dumas wyrasta ponad przeciętność... Dla literatury czas jest jak powódź, podczas której Bóg wypatruje swoich. Ciekaw jestem, czy znajdzie pan bohatera literackiego, który przetrwałby nawałnice dziejowe tak świetnie jak d'Artagnan... i może jeszcze Sherlock Holmes Conan Doyle'a... Cykl *Muszkieterów* to, rzecz jasna, odcinkowa powieść płaszcza i szpady, gdzie odnaleźć możemy wszystkie grzechy gatunku. Ale jest to też powieść nieprzeciętna, znacznie powyżej poziomu tego, co się publikowało. Pełne przygód dzieje przyjaźni, do dziś tak świeże mimo zmiany gustów i idiotycznej pogardy, z jaką obecnie traktuje się akcję. Po Joysie powinniśmy zapewne zostać przy Molly Bloom, a Nauzykaę zostawić po katastrofie morskiej na jakiejś plaży... Nie czytał pan mojego dziełka *Piętaszek, czyli busola*? Gdy mowa o *Ulissesie*, wybieram Homera.

Tu uniosłem nieco głos, śledząc reakcję Corsa. Uśmiechał się powściągliwie - pamiętałem jednak, jak zabłyśły mu oczy na dźwięk cytatu ze *Scaramouche'a*, i czułem, że jestem na dobrej drodze.

- Wiem, o co panu chodzi - odparł wreszcie. - Pańskie poglądy są powszechnie znane... i kontrowersyjne, panie Balkan.

- Moje poglądy są znane, bo postarałem się, żeby takie były. A ponieważ przed chwilą wspomniał pan o pogardzie wobec ludzi, chciałem panu uświadomić, że autor *Trzech muszkieterów* walczył na ulicach podczas rewolucji 1830 i 1848 roku, a także, że dostarczał broni Garibaldiemu, płacąc z własnej kieszeni... Niech pan nie zapomina, że ojciec Dumasa był sławnym generałem stojącym po stronie republiki. Ten człowiek był przepełniony umiłowaniem ludu i wolności.

- Aczkolwiek jego szacunek dla faktów był relatywny.

- To nie ma znaczenia. Wie pan, jaką odpowiedź dawał tym, którzy oskarżali go o gwałcenie Historii? „Z pewnością zadaję jej gwałt. Ale przychodzą z tego na świat piękne dzieci”.

Odłożyłem pióro na biurko i wstałem, kierując się ku jednej z wielu stojących w gabinecie oszklonych szaf wypełnionych książkami. Otworzyłem ją i wyciągnąłem tom oprawny w ciemną skórę.

- Jak wszyscy wielcy gawędziarze, Dumas był blagierem. Hrabina Dash, która znała go dobrze, wspomina w pamiętnikach, że opowiedzianą przezeń zmyśloną anegdotę brano za prawdę historyczną. Weźmy na przykład kardynała Richelieu: oto najwybitniejsza postać swej epoki po obrobieniu przez manipulanckie ręce Dumasa trafia do nas zdeformowana nie do poznania, jako nikczemny łajdak... - podszedłem do Corsa z księgą w ręku. - Zna pan to? Autorem jest Gatien de Courtilz de Sandras, muszkieter żyjący pod koniec siedemnastego wieku. Pamiętniki d'Artagnana. Prawdziwego d'Artagnana: Charles'a de Batz-Castelmore, hrabiego d'Artagnan. Gaskończyk, urodzony w 1615 roku, istotnie był muszkieterem, chociaż żył nie w epoce Richelieu, lecz w czasach Mazzariniego. Zmarł w roku 1673 podczas oblężenia Maastricht, właśnie gdy - podobnie jak jego literacki odpowiednik - miał otrzymać buławę marszałkowską... Sam pan widzi, z gwałtów zadanych przez Aleksandra Dumasa poczęły się piękne dzieci. Zamiast mrocznego Gaskończyka z krwi i kości, którego imię utonęło w odmętach Historii, geniusz powieściopisarza dał światu legendarnego mocarza.

Corso słuchał nieporuszony. Włożyłem mu do rąk książkę, którą zaczął przeglądać ostrożnie, ale z zainteresowaniem. Powoli przewracał kartki, ledwie muskając ich krawędzie

opuszkami palców. Chwilami zatrzymywał się na jakimś imieniu czy tytule rozdziału. Przez parawan szkieł jego oczy rzucały pewne, szybkie spojrzenia.

W którymś momencie przerwał, by zanotować dane: *Mémoires de M. d'Artagnan*, G. de Courtilz, 1704, P. Rouge, 4 tomy in 12°, wydanie czwarte”. Następnie zamknął książkę i przyjrzał mi się uważnie.

- Sam pan powiedział: był manipulatorem.

- Owszem - przytaknąłem, sadowiąc się na nowo. - Ale genialnym. Tam, gdzie inni poprzestali na plagiacie, on zbudował nowy świat powieściowy, żywy do dziś. „Człowiek nie kradnie, ale zdobywa - zwykł powtarzać - z każdej podbitej prowincji czyni kolejną dzielnicę swego imperium: narzuca jej swoje prawa, zaludnia ją tematami i postaciami, przepaja ją własnym duchem...” A czymże innym jest twórczość literacka? W jego przypadku złotą żyłą okazały się dzieje Francji. Pomysł był znakomity: zachować ramy historyczne i wypełnić je własną treścią, czerpiąc bez skrupułów z otwartej skarbnicy... Z postaci pierwszoplanowych Dumas czyni drugorzędne, na prawdziwych bohaterów kreując skromnych statystów, i wypełnia całe strony wydarzeniami, którym w kronikach poświęcono zaledwie dwie linijki... Na przykład pakt przyjacielski między d'Artagnanem i jego towarzyszami nigdy w rzeczywistości nie istniał, ponieważ ci ludzie w ogóle się nawzajem nie znali. Również nie było hrabiego de la Fère, a ściśle mówiąc było ich wielu, lecz żaden nie nazywał się Atos. Jednak powieściowy Atos istniał naprawdę: zwał się Armand de Sillègue, pan na Atos, zmarł od pchnięcia szpadą w pojedynku, zanim d'Artagnan zaciągnął się w szeregi królewskich muszkietarów... Aramis z kolei to Henri d'Aramitz, żołnierz, opat bez święceń urzędujący w seneszalii Oloron, od 1640 roku muszkietar pod dowództwem swego wuja. Dokonał żywota w ziemi ojczystej, z żoną i czworgiem dzieci. Co się zaś tyczy Portosa...

- Nie uwierzę, że był i Portos.

- Owszem. Nazywał się Isaac de Portau i musiał znać Aramisa czy też Aramitza, ponieważ wstąpił do muszkietarów trzy lata po nim, w 1643 roku. W annałach czytamy, że zmarł przedwcześnie: w wyniku choroby, wojny albo może pojedynku, jak Atos.

Corso przekrzywił głowę i zaczął bębnić palcami w *Pamiętniki* d'Artagnana. Uśmiechał się.

- Za chwilę dowiem się pewnie, że istniała też Milady...

- Ma się rozumieć. Tyle że nie nazywała się Anna de Breuil i nie była księżną Winter. Nie miała też lilijki wytatuowanej na ramieniu, aczkolwiek naprawdę była agentką Richelieu. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało hrabina de Carlille. Natomiast rzeczywiście skradła na balu

dwie brylantowe spinki księciu Buckingham... Niech pan tak na mnie nie patrzy, o tym wszystkim można przeczytać w pamiętnikach La Rochefoucauld. A był to człowiek poważny.

Corso patrzył na mnie z uwagą. Z pewnością nie należał do tych, którzy z byle powodu wpadają w zachwyty, zwłaszcza gdy w grę wchodzi książki; ale widać było, że jest zafascynowany. Później, gdy poznałem go lepiej, zacząłem się zastanawiać, czy był to szczerzy podziw, czy może któraś z jego sztuczek zawodowych. Dziś, gdy już jest po wszystkim, jestem przekonany, że posłużyłem jako kolejne źródło informacji, a Corso tylko popuszczał sznurek latawca.

- Bardzo interesujące to wszystko - rzekł.

- Jak pojedzie pan do Paryża, od Replingera dowie się pan znacznie więcej - rzuciłem okiem na rękopis leżący na biurku. - Chociaż nie wiem, czy te kartki zrekompensują panu kosztą podróży... Ile można wziąć za ten rozdział?

Znów ugryzł koniec ołówka ze sceptyczną miną:

- Nie za wiele. Tak naprawdę jadę w innej sprawie.

Uśmiechnąłem się smutno i ze zrozumieniem. Na mój skromny majątek składały się między innymi *Don Kichot*, wydany przez Ibarre, i volkswagen. Naturalnie samochód kosztował mnie dużo więcej niż książka.

- Rozumiem pana - rzuciłem solidarnie.

Mina Corsa wyrażała chyba coś w rodzaju rezygnacji. Kwaśny uśmiech odsłonił wiewiórcze siekacze:

- Chyba że Japończyków znudzi wreszcie van Gogh i Picasso i zaczną wydawać pieniądze na białe kruki.

Aż mnie odrzuciło w tył ze wzburzenia.

- Wtedy niech Bóg ma nas w swojej opiece.

- Niech pan mówi za siebie - patrzył na mnie przez przekrzywione okulary z lekką kpinią w oczach. - Ja na przykład, panie Balkan, zamierzam wówczas nabicić kabzę.

Podnosząc się wsunął notatnik do kieszeni płaszcza, a przez ramię przewiesił brezentową torbę. Ja wciąż byłem pod wrażeniem jego - pozornej przecież - łagodności, potęgowanej przez te niesforne okulary w metalowej oprawce. Znacznie później dowiedziałem się, że mieszkał sam, pośród stosów książek własnych i cudzych, i że był nie tylko płatnym łowcą bibliofilskich skarbów, ale także ekspertem w symulacyjnych grach napoleońskich, zdolnym z pamięci odtworzyć na planszy dokładny układ sił przed bitwą pod Waterloo. Tu rolę odgrywała pewna historia rodzinna, którą w pełni pojąłem znacznie, znacznie później. Szczerze mówiąc, tak przedstawiony Corso musi wydawać się mężczyzną

pozbawionym jakiegokolwiek czaru. Sprawiał wrażenie ociężałego i niezdarnego, choć nie wiedzieć jakim cudem potrafił być i zjadliwy, i bezbronny zarazem, i naiwny, i agresywny. A jednak - uprzedzam tu fakty, zgodnie z przyjętą przeze mnie formą narracji - przy tym wszystkim kobiety dostrzegały w nim człowieka uroczego, a mężczyźni sympatycznego. Były to więc uczucia z gatunku pozytywnych, które rozwiewają się dopiero w chwili, gdy chwytamy się za kieszeń, by skonstatować, że pozbawiono nas portfela.

Corso wziął rękopis i ruszył ku drzwiom. Towarzyszyłem mu aż do holu, gdzie zatrzymał się, by podać mi dłoń. Portrety Stendhala, Conrada i Valle-Inclana spoglądały tu oschle ze ścian na koszmarną litografię, jaką wspólnota mieszkańców postanowiła - mimo mojego sprzeciwu - przyozdobić podest schodów.

Wtedy dopiero odważyłem się zadać pytanie:

- Wyznam panu, że bardzo mnie ciekawi, gdzie panowie to znaleźli.

Zawahał się, zanim odpowiedział. Niewątpliwie rozważał wszystkie za i przeciw. Ostatecznie jednak przyjąłem go uprzejmie, był więc wobec mnie zobowiązany. Zresztą mogłem mu się jeszcze przydać, nie miał zatem wyboru.

- Może pan go zna - odrzekł wreszcie. - Mój klient kupił ten rękopis od niejakiego Taillefera.

Przywołałem na twarz uśmiech zaskoczenia, choć starałem się go nie przerysować.

- Enriquego Taillefera? Tego wydawcy?

Błądził wzrokiem po holu. W końcu kiwnął głową, tylko raz, z góry na dół.

- Właśnie.

Zamilkliśmy obaj. Corso wzruszył ramionami, a ja wiedziałem dlaczego. Powód można było znaleźć w każdej gazecie w rubryce „Wypadki”. Enrique Taillefer nie żył od tygodnia. Powiesił się we własnym salonie. Znalaziono go wiszącego na jedwabnym pasku od szlafroka, a jego stopy dyndały nad otwartą książką i okruchami porcelanowego wazonu.

W jakiś czas potem, gdy już było po wszystkim, Corso zgodził się opowiedzieć mi resztę całej historii. Dzięki temu mogę teraz w miarę wiernie zrekonstruować pewne wydarzenia, w których nie uczestniczyłem, cały łańcuch wypadków, który doprowadził do fatalnego finału i do rozwiązania zagadki Klubu Dumas. Dzięki zaufaniu, jakim obdarzył mnie łowca książek, mogę wystąpić jako doktor Watson tej opowieści i poinformować czytelników, że kolejny jej akt rozegrał się w godzinę po naszym spotkaniu, w barze Makarowej. Flavio La Ponte usadowił się koło Corsa przy barku, strzepując z siebie krople wody, i zamówił piwo, usiłując przy tym złapać oddech. Potem zerknął do tyłu na ulicę z

wyrazem mściwego zadowolenia, jakby właśnie umknął przed ogniem oddziału partyzantów. Na zewnątrz waliły o bruk wściekłe strugi deszczu.

- Firma handlowa Armengol i Synowie, Stare Książki i Rarytasy Bibliograficzne, zamierza cię podać do sądu - powiedział oblizując pianę z rudej, kędzierzawej brody. - Ich adwokat właśnie dzwonił.

- A o co mnie oskarżają? - spytał Corso.

- O nabranie jakiejś starowinki i złupienie jej biblioteki. Zarzekają się, że to oni byli umówieni na tę operację.

- Trzeba było się wcześniej obudzić, tak jak ja.

- To samo im mówię, ale ich krew zalewa. Jak poszli po swoje, już znikły *Persiles* i *Przywileje Królewskie Kastylii*. Mało tego, na dodatek wyceniłeś resztę dużo powyżej wartości. Właścicielka teraz nie chce sprzedać. Żąda dwukrotnie wyższej ceny... - pociągnął łyk, mrużąc przy tym oko z porozumiewawczym uśmiechem. - Ten majstersztyk nazywany bywa wyhaczeniem biblioteki.

- Wiem, jak to się nazywa - złowrogi uśmiech Corsa odsłonił jeden kieł. - Armengol i Synowie też wiedzą.

- Po prostu niepotrzebne okrucieństwo - dokończył La Ponte z obojętną miną. - Ich najbardziej dotknęły *Przywileje Królewskie*. Mówią, że to już był chwyt poniżej pasa.

- Jeszcze czego, miałem to zostawić? Komentarze łacińskie Díaza de Montalvo, bez danych typograficznych, ale drukowane w Sewilli, u Alonsa del Puerto, być może w 1482 roku... - poprawił palcem okularki i spojrzał na przyjaciela. - I co ty na to?

- Perełka. Ale ich szlag trafia z nerwów.

- Herbatka lipowa dobrze im zrobi.

Była właśnie pora aperitif. Przy barku zrobiło się ciasno. Siedzieli spowici dymem papierosowym i gwarem rozmów, stykając się ramionami i starając się nie umoczyć łokci w kałużach piany z piwa.

- Z tego, co wiem, *Persiles* to pierwsze wydanie - rzucił La Ponte. - Oprawione przez firmę Trautz-Bauzonnet.

Corso pokręcił przecząco głową:

- Przez Hardy'ego. Safian.

- Jeszcze lepiej. Wszystko jedno. W każdym razie ja ich zapewniłem, że nie mam z tym nic wspólnego. Wiesz, że rozprawy sądowe przyprawiają mnie o mdłości.

- Ale o twoich trzydziestu procentach myślisz bez wstrętu.

La Ponte uniósł dłoń:

- O, przepraszam, Corso. Co ma piernik do wiatraka? Piękna przyjaźń między nami to jedno. Chleb powszedni moich dzieci to drugie.

- Nie masz dzieci.

Zaśmiał się szelmowsko:

- Spokojnie. Jestem jeszcze młody.

Niewysoki i przystojny, zachowywał się z wytworną kokieterią. Delikatnie przygładził dłonią przerzedzone włosy na czubku głowy, badając efekt w lustrze po drugiej stronie kontuaru. Następnie rzucił ukradkiem fachowe spojrzenie wokół siebie, chcąc sprawdzić, czy na celowniku są jakieś kobiety. Przywiązywał do tych spraw nie mniejszą wagę niż do wypowiedzania się krótkimi zdaniami. Jego ojciec, szalenie wykształcony księgarz, uczył go pisać dyktując mu prace Azorina. Teraz niewielu może pamiętać jeszcze o Azorinie, tymczasem La Ponte nadal mówił i pisał jak on. Kropka i dalej, kropka i dalej. Wyposażało go to w swoistą dialektyczną pewność siebie, tak potrzebną do uwodzenia klientek na zapleczu jego księgarni na ulicy Mayor, wypełnionym klasyką erotyczną.

- A poza tym - podjął na nowo - z Armengolem i Synami rozgrzebałem pewien interes. Delikatna sprawa. Szybkie pieniądze.

- Ze mną też - rzucił Corso znad swojego piwa. - Jesteś jedynym ubogim księgarzem, z jakim pracuję. I to ty sprzedasz te tomy.

- O rany, dobra - La Ponte wycofywał się pojednawczo. - Wiesz, że ze mnie człowiek praktyczny. Pragmatyczny. Nikczemny.

- Wiem.

- Jak w westernach. W imię przyjaźni zgodziłbym się co najwyżej na postrzał w ramię.

- Co najwyżej - przyznał Corso.

- Zresztą to i tak nieważne - La Ponte rozglądał się, wyraźnie zrelaksowany. - Mam już kupca na *Persilesa*.

- To stawiasz następne piwo. na poczet twojej prowizji.

Byli przyjaciółmi od lat. Lubili piwo z dużą pianą i gin Bolsa w buteleczkach z ciemnej glinki - ale przede wszystkim dawne książki i licytacje starodruków w dzielnicach starego, prawdziwego Madrytu. Poznali się wieki temu. Corso, na zlecenie pewnego klienta, węszył po księgarniach wyspecjalizowanych w literaturze hiszpańskiej, w poszukiwaniu wydania-widma *Celestyny*, ponoć starszego niż pierwsze znane z 1499 roku. La Ponte oczywiście też go nie miał ani nawet o nim nie słyszał. Natomiast, owszem, dysponował *Słownikiem rarytasów i nieprawdopodobieństw bibliograficznych* Julia Ollera, gdzie

wspominano o sprawie. Pogawędka na temat książek ujawniła zbieżność zainteresowań, którą La Ponte postanowił przypieczętować zamykając sklep i udając się wraz z Corsem do baru Makarowej, gdzie opróżnili wszystko, co nadawało się do opróżnienia. Tam też zasypywali się nawzajem perełkami z Melville'a - La Ponte wychował się nie tylko na wywodach Azorina, ale i na pokładzie „Pequoda”. „Imię moje: Izmael” - bąknął przekraczając smugę cienia po wychyleniu trzeciego bolsa. Więc Izmaelem zwał go Corso, na dodatek cytując z pamięci na jego cześć fragment o wykuwaniu harpunu Ahaba:

„Trzy uczyniono nakłucia w pogańskim ciele i tak zahartowany został grot na białego wieloryba...” [Herman Melville, *Moby Dick*, przekład Bronisława Zielińskiego]

Sprawę całą oblali, jak się należy, doszło wręcz do tego, że La Ponte przestał obserwować przychodzące i opuszczające bar dziewczęta, by przysiąc Corsowi wieczną przyjaźń. W głębi duszy był typem dość naiwnym, mimo wojowniczego cynizmu i szemranej profesji antykwariusza - nie docierało doń zatem, że jego nowy przyjaciel w przekrzywionych okularkach wykonywał właśnie subtelny manewr okrążający. Zdążył wcześniej zlustrować jego regały i zlokalizował parę tytułów, w sprawie których postanowił ponegocjować. Co do jednego wszakże nie było wątpliwości: La Ponte, ze swoją kędzierzawą, rudą brodą, rozkosznymi oczami wachtowego Billego Budda i marzeniami o żmudnym polowaniu na wieloryby, zdołał wzbudzić sympatię Corsa. Potrafił nawet wymienić całą załogę „Pequoda” - Ahab, Stubb, Starbuck, Fiask, Perth, Parsi, Queequeg, Tasztego, Daggoo... - oraz wszystkie statki wymienione w *Moby Dicku* - „Goney”, „Town-Ho”, „Jeroboam”, „Dziewica”, „Pak Róży”, „Kawaler”, „Rozkosz”, „Rachela”... - wreszcie, co najlepiej świadczy o jego wtajemniczeniu, wiedział doskonale, co to jest szary bursztyn. Rozmawiali o książkach i wielorybach. Tamtego wieczoru powstało Bractwo Harpunników z Nantucket, którego sekretarzem generalnym został Flavio La Ponte, a Lucas Corso skarbnikiem. Czułą opiekę nad oboma jedynymi członkami Bractwa sprawowała wówczas Makarowa, która wprawdzie odmówiła postawienia ostatniej kolejki, ale za to wspólnie z nimi wysuszyła jeszcze jedną butelkę bolsa.

- Jadę do Paryża - rzekł Corso, obserwując w lustrze otyłą kobietę, która co piętnaście sekund wrzucała monety w szparkę jednorękiego bandyty, zupełnie jakby muzyczka, kolorki, rysunki owoców i dzwoneczki ją tam zahipnotyzowały; tylko jej dłoń z uporczywym fatalizmem raz za razem wciskała guziki. - W sprawie twojego *Wina andegaweńskiego*.

Przyjaciel zmarszczył nos i zerknął na Corsa z ukosa. Paryż oznaczał wydatki ekstra i w ogóle komplikacje. La Ponte zaś był księgarzem skromnym i skąpym.

- Wiesz, że mnie na to nie stać.

Corso powoli opróżniał szklankę.

- Stać, stać - wyciągnął kilka monet, by zamówić kolejkę. - Jadę też w innej sprawie.

- W innej sprawie... - powtórzył La Ponte, patrząc nań z zaciekawieniem.

Makarowa postawiła na kontuarze dwa kolejne piwa. Była dużą krótkowłosą blondynką koło czterdziestki, z kolczykiem w uchu, pamiątką po czasach, gdy pływała na pokładzie rosyjskiego kutra. Miała na sobie obcisłe spodnie i koszulę, której rękawy podwinęła aż po pachy, ujawniając solidne bicepsy - nie jedyny zresztą element męski w tej postaci. Zawsze w kąciku ust trzymała zapalonego papierosa, pozwalając mu się swobodnie wypalić. Jej nordyckie rysy i sposób poruszania się przywoływały na myśl starszego montera w leningradzkiej fabryce łożysk tocznych.

- Przerobiłam tę książkę - zwróciła się do Corsa nie wymawiając *r*. Kiedy mówiła, popiół z papierosa opadał jej na wilgotną koszulę. - Ta facetka, Bovary, to smętna idiotka.

- Gratuluję zgłębienia istoty sprawy.

Makarowa przetrzała ścierką barek. Z drugiego końca kontuaru obserwowała ją bacznie Zizi, akompaniując sobie dzwonkiem kasy. Była zupełnym przeciwieństwem Makarowej: znacznie młodsza, drobna i - bardzo zazdrosna. Bywało, tuż przed zamknięciem baru tłukły się po głowach, kompletnie pijane, na oczach ostatnich zaufanych parafian. Któregoś razu, po jednej z takich bójek, rozwścieczona Zizi z podbitym okiem postanowiła się zemścić i dała nogę. Podczas jej trzydniowej nieobecności lży Makarowej - kap-kap - chrzcili kolejne szklanki piwa.

Tej nocy, gdy Zizi wróciła, zamknęły wcześniej i widziano je potem, jak szły objęte w pół i całowały się po bramach niczym zakochane podlotki.

- Jedzie do Paryża - La Ponte wskazał Corsa głową. - Będzie wyciągał asy z rękawa.

Makarowa obserwowała Corsa poprzez dym z papierosa, zbierając jednocześnie puste szklanki.

- Zawsze coś trzyma w ukryciu - rzekła gardłowym, beznamiętnym tonem. - W różnych miejscach.

Włożyła szklanki do zlewu i kołysząc barczystymi ramionami odeszła, aby zająć się innymi gośćmi. Corso był jedynym mężczyzną, który uniknął pogardy, jaką obdarzała całą resztę przedstawicieli płci przeciwnej. Chwaliła go wręcz, gdy nie chciał zapłacić za kolejkę. Nawet Zizi patrzyła nań bez emocji. Kiedyś, gdy Makatową aresztowano za rozbicie twarzy policjantowi podczas manifestacji gejów i lesbijek, Zizi całą noc spędziła na ławce w komisariacie. Corso towarzyszył jej wtedy, wspierając ją kanapkami i butelką ginu,

uruchomiwszy wcześniej swoje kontakty policyjne dla załagodzenia sprawy. Wszystko to budziło w La Ponte absurdalną zazdrość.

- Dlaczego do Paryża? - zapytał, chociaż uwagę skupił na czymś zupełnie innym: jego lewy łokieć właśnie zanurzył się w coś cudownie miękkiego. Jakiż był jego zachwyt, gdy skonstatował, że sąsiadką przy barku jest młoda blondynka z imponującymi piersiami.

Corso pociągnął łyk piwa.

- Jadę też do Sintry w Portugalii - wzrok miał wciąż utkwiony w tej od automatu. Oskubana z drobnych podawała właśnie Zizi banknot, chcąc go rozmienić na bilon. - Zlecenie od Vara Borjy.

Usłyszał, jak jego przyjaciel gwizdnął przez zęby: Varo Borja, najznamienitszy księgarz w kraju. Jego katalog nie był szczególnie obszerny, za to dobrze wyselekcjonowany. Borja słynął także jako bibliofil, który nie zważa na wydatki. Podniecony La Ponte poprosił o więcej piwa i więcej informacji. Na jego twarzy malował się wyraz chłopięcego zachwytu, który zawsze ujawniał na dźwięk słowa „książka”. Będąc z pewnością skąpcem i tchórzem, nigdy nie odczuwał zawiści, chyba że chodziło o ładne kobiety do wzięcia. W sprawach zawodowych, kontentując się udanymi zdobyczami nabytymi przy niewielkim ryzyku, żywił autentyczny respekt wobec pracy i klienteli swojego przyjaciela.

- Słyszałeś o *Dziewięciorgu Wrotach*?

Księgarz niespiesznie szperał po kieszeniach, licząc, że Corso zapłaci także tym razem, i miał właśnie zwrócić baczniejszą uwagę na pulchną sąsiadkę - kiedy nagle znieruchomiał z otwartymi z wrażenia ustami.

- Nie mów, że Varo Borja poszukuje tej książki...

Corso rzucił na kontuar ostatnie monety. Makarowa zbliżała się z kolejnymi piwami.

- Ma ją od jakiegoś czasu. A zapłacił za nią fortunę.

- O, na pewno zapłacił. Na świecie są chyba trzy czy cztery egzemplarze.

- Trzy - uściślił Corso. Jeden znajdował się w Sintrze w księgozbiórce Fargasa, drugi w paryskiej Fundacji Ungern. Trzeci zaś nabył Varo Borja podczas wyprzedaży madryckiej biblioteki Terral-Coy. La Ponte umierał z ciekawości, gładząc się po kędzierzawych kosmykach na brodzie. Na temat Fargasa, bibliofila portugalskiego, coś oczywiście słyszał. Z kolei baronowa Ungern, szalona staruszka, dorobiła się milionów pisząc książki z dziedziny okultyzmu i demonologii. Jej najnowszy bestseller, *Izis obnażona*, bił wszelkie rekordy sprzedaży w największych hurtowniach.

- Nie rozumiem tylko - zaznaczył La Ponte - co ty masz z tym wszystkim wspólnego.

- Znasz dzieje tej książki?

- Bardzo pobieżnie - przyznał antykwariusz.

- Corso umoczył palec w pianie z piwa i jął rysować na blacie barku:

- Czas: połowa siedemnastego wieku. Miejsce: Wenecja. Bohaterem jest drukarz nazwiskiem Aristide Torchia, któremu zdarzyło się, że został wydawcą tak zwanej *Księgi Dziewięciorga Wrót do Królestwa Cieni*, czegoś na kształt podręcznika przyzywania diabła... Nie jest to czas na takie księgi, Święte Oficjum bez trudu sprowadza Torchę przed oblicze swego trybunału. Oskarżenie: sztuki diabelskie i zajęcia pokrewne. Okoliczność szczególnie obciążająca: Torchia zreprodukował dziewięć rycin ze słynnego dzieła *Delomelanon*, klasycznej czarnej księgi, której autorstwo tradycja przypisuje samemu Lucyferowi...

Od drugiej strony kontuaru zbliżyła się do nich Makarowa, słuchając z rosnącym zaciekawieniem i wycierając dłonie w koszulę. La Ponte znieruchomiał ze szklanką w ręku i uśmiechnął się z zawodową poządlivością:

- Co się stało z nakładem?

- Łatwo sobie możesz wyobrazić: zrobiono zeń niezłe ognisko - uśmiech Corsa z kolei wyrażał zawzięte okrucieństwo. Jak gdyby rzeczywiście żałował, że nie mógł być świadkiem wydarzenia. - Powiadano, że gdy płonął, rozległ się krzyk diabła.

Makarowa, oparta łokciami na zachlapanych i zabazgranych kartkach leżących koło dystrybutora piwa, wydała z siebie sceptyczny pomruk. Jej nordycka, męska powaga odporna była na śródziemnomorskie mrzonki gości.

Znacznie bardziej przejęty La Ponte zanurzył nos w pianie piwnej, palony nagłym pragnieniem:

- Naprawdę to musiał krzyczeć sam drukarz. Tak sędzę.

- Masz pojęcie?

La Ponte spróbował mieć pojęcie i aż się wzdrygnął.

- Torturowany - ciągnął Corso - co przecież Inkwizycja stawiała sobie za zawodowy punkt honoru w walce z rytuałem Zła, drukarz w końcu wyznał wśród jęków, że na wolności ostał się jeszcze jeden jedyny egzemplarz. W jakiejś kryjówce. Potem zamknął usta i nie otworzył ich aż do chwili, gdy płonął żywcem na stosie. A i wówczas tylko po to, by wyrzec „Aaa!”.

Pogardliwym uśmieszkiem Makarowa skwitowała opowieść o drukarzu Torchii - a może o katach niezdolnych wydrzeć mu ostatniego sekretu. La Ponte zmarszczył czoło:

- Mówisz: ocalała jedna książka - zastrzegł. - A przedtem wspominałeś o trzech istniejących egzemplarzach.

Corso zdjął okulary i oglądał je pod światło sprawdzając czystość szkieł.

- Otóż właśnie - odezwał się. - Wśród wojen, grabieży i pożarów te książki pojawiały się i znikaly. Nie wiadomo, która z nich jest autentyczna.

- Może wszystkie są fałszywe - przemówił zdrowy rozsądek Makarowej.

- Może. Ja mam właśnie wyświecić zagadkę i stwierdzić, czy Varo Borja posiada oryginał, czy może sprzedano mu kota jako zająca. Po to wybieram się do Sintry i Paryża - nałożył z powrotem okularki i popatrzył na przyjaciela. - Przy okazji załatwię też kwestię twojego rękopisu.

Zamyślony antykwariusz kiwnął głową, kątem oka zerkając w lustro na odbicie cycatej przy barze.

- Przy sprawach tego kalibru to aż śmieszne, że będziesz tracić czas na *Trzech muszkieterów*...

- Śmieszne? - Makarowa, naraz do żywego oburzona, porzuciła rolę obojętnego statysty. - To najlepsza powieść, jaką w życiu czytałam!

Swoje słowa podkreśliła mocnym plaśnięciem dłonią o blat kontuaru, naprężając przy tym groźnie mięśnie odsłoniętych przedramion. „Boris Balkan powinien być to słyszeć” - pomyślał Corso. Na prywatnej liście bestsellerów Makarowej (której Corso służył jako doradca w sprawach literackich) powieść Dumasa zajmowała jedno ze szczytowych miejsc wespół z *Wojną i pokojem*, *Wzgórzem Watership* czy *Carol* pani Highsmith. Między innymi.

- Spokojnie - Corso zwrócił się do antykwariusza. - Rachunkami obciążę Vara Borję. Nawiasem mówiąc, podejrzewam, że twoje *Wino andegaweńskie* jest prawdziwe. Kto miałby to podrabiać?

- Ludzie wszystko gotowi są zrobić - wtrąciła się przemądrzale Makarowa.

La Ponte był skłonny przychylić się do opinii Corsa. Jakkolwiek manipulacja wydawała mu się w tym przypadku absurdem. Nieboszczyk Taillefer gwarantował mu autentyczność rękopisu: to dłoń i styl starego Aleksandra. A Tailleferowi można było ufać.

- Zanośłem mu stare powieści odcinkowe. Wszystkie kupował - pociągnął łyk, topiąc uśmiezek gdzieś na krawędzi szklanki. - Niezły pretekst, żeby pogapić się na nogi jego żony. Nieziemska blondyna. Zjawisko. No i któregoś razu patrzę, a on otwiera szufladę. Kładzie na stole *Wino andegaweńskie* i ni z tego, ni z owego strzela: „Jest pański, jeśli weźmie pan na siebie konsultację z rzeczoznawcą i wystawi szybko na licytację”...

Jakiś gość przywołał Makarową, domagając się bitteru bez alkoholu. Szefowa zaserwowała zamówienie i ponownie znieruchomiła, jakby uwieszona na snującej się opowieści. Papieros w ustach powoli się dopalał, przydając jej oczom dymnej oprawy.

- To wszystko? - zapytał Corso.

Na twarzy La Pontego pojawił się jakiś niejasny grymas.

- Właściwie wszystko. Próbowałem go odwieść, bo wiedziałem o jego bziku. Przecież był jednym z tych, co to duszę oddadzą za jakąś rzadkość. Ale on się uparł. „Jak nie pan, znajdę innego” - powiedział. No, tu oczywiście trafił mnie w czułe miejsce. Czułe z handlowego punktu widzenia.

- Nie musisz tak dokładnie wyjaśniać - rzucił Corso. - To twoje jedyne czułe miejsce.

Łaknąc ludzkiego ciepła La Ponte spojrział w ołowiane oczy Makarowej. Szybko jednak spuścił wzrok, napotkał tam bowiem mniej więcej tyle samo ciepła co w fiordzie norweskim o trzeciej nad ranem.

- Jak cudownie jest poczuć się kochanym - rzekł wreszcie z cierpkim żalem.

Corso uznał, że miłośnikowi bittera niewątpliwie chce się pić, bo znów zrobił się natarczywy. Nieporuszona Makarowa zerknęła nań z ukosa i dała do zrozumienia, żeby może poszukał innego baru, póki jeszcze ma cały nos. Tamten pomedytował chwilę, ale widać przesłanie do niego dotarło, skoro zaraz się wyniósł.

- Enrique Taillefer był dziwakiem - La Ponte ponownie przyliżał włosy na przetyśiałym czubku głowy, nie spuszczać oczu z okrągłości w lustrze. - Chciał, żebym sprzedał rękopis nadając sprawie jak największy rozgłos - tu zniżył ton, by oszczędzić blondynce niepokoju. - Powiedział mi tajemniczo: „Ktoś będzie bardzo zaskoczony”. Mrugnął przy tym, jakby przymierzał się, żeby ruszyć w ostre tango. A w cztery dni później nie żył.

- Nie żył - powtórzyła gardłowym głosem coraz bardziej zaciekawiona Makarowa, rozsmakowując się w wypowiedzianych słowach.

- Samobójstwo - wyjaśnił Corso. Jednak jedyną jej reakcją było wzruszenie ramion, jakby uważała, że między samobójstwem a morderstwem nie ma zasadniczej różnicy. Jakiś podejrzany rękopis i ewidentny trup - od razu widać, że jest intryga.

Na dźwięk słowa „samobójstwo” La Ponte skinął ponuro głową:

- Tak mówią.

- A ty chyba nie jesteś zbyt pewien.

- Ano, nie. Wszystko to bardzo dziwne - potarł znów nachmurzone czoło, zapomniawszy już o widoku w lustrze. - Śmierdzi mi to.

- A Taillefer nie wspominał ci, skąd ma rękopis?

- Z początku nie pytałem. Potem było za późno.

- Z wdową rozmawiałeś?

Pytanie rozwiało marsa na czole księgarza. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Rezerwuję ten epizod dla ciebie - powiedział tonem człowieka, który przypomniał sobie, że ma w zanadrzu jeszcze jeden świetny numer. - W ten sposób odbierzesz zapłatę w naturze. Ja nie jestem ci w stanie zaproponować nawet dziesiątej części tego, co wyciśniesz z Vara Borji za jego *Księgę Dziewięciu Bałachów*.

- Z ciebie też wycisnę, jeśli odkryjesz jakiegoś *Audubona* i wyrośniesz na księgarza-milionera. Na razie tylko odraczam moment wypłaty.

La Ponte znów przybrał zbolaną minę. Jak na tej miary cynika - pomyślał Corso - w porze aperitif jest szalenie wrażliwy”.

- Sądziłem, że pomagasz mi jako przyjaciel - buntował się La Ponte. - Wiesz. Klub Harpunników z Nantucket. „Tam dmucha” i te rzeczy.

- Przyjaźń... - Corso rozejrzał się w nadziei, że ktoś wyjaśni mu znaczenie tego słowa. - Bary i cmentarze pękają w szwach od niezastąpionych przyjaciół.

- Z jakiej krainy przybywasz, nikczemny?

- Ze swojej - westchnęła Makarowa. - Corso zawsze przybywa ze swojej.

Ku swemu rozczarowaniu La Ponte skonstatował, że cycata blondyna oddaliła się pod ramię z jakimś wyelegantowanym fircykiem. Corso nadal obserwował tłuszciochę przy automacie. Straciła ostatnią monetę, ale tkwiła nadal koło maszyny, opuściwszy rękę, zbita z tropu i wyzuta z wszystkiego. Przy dźwigniach i guzikach zastąpił ją teraz wysoki brunet z gęstymi czarnymi wąsami i blizną na twarzy. Jego widok na sekundę przywołał w Corsie wrażenie czegoś znajomego, zbyt ulotne jednak, by przemienić się w konkret. Jakby na złość grubej automat wypluwał teraz dźwięczącą kaskadę monet.

Makarowa postawiła Corsowi ostatnie piwo. Tym razem La Ponte musiał zapłacić za siebie.

II. Dłoń umarłego

„Milady uśmiechała się i d'Artagnan czuł,
że za ten uśmiech oddałby duszę diabłu”.

(A.Dumas, *Trzej muszkietierowie*,
przekład Joanny Guze)

Wdowy dzielą się na niepocieszone i takie, do których każdy mężczyzna spieszyłby natychmiast z pociechą. Liana Taillefer mieściła się bez wątpienia w tej drugiej kategorii. Była wysoką blondynką o bladej karnacji i ruchach tak leniwych, że między wyjęciem przez nią papierosa z pudełka a wypuszczeniem z ust pierwszego obłoku dymu mogła minąć cała wieczność. W tym czasie Liana Taillefer zwykła wpatrywać się w męskie oczy swego rozmówcy ze spokojną pewnością siebie, która czyniła ją nieco podobną do Kim Novak. Wdowa dysponowała poza tym niemal nadmiernym przepychem anatomicznym i kontem w banku (była jedyną spadkobierczynią zmarłego właściciela Taillefer Editor S.A.), które eufemistycznie można by określić jako „nieobciążone”. Aż trudno uwierzyć, jaką masę pieniędzy może zgromadzić wydawnictwo wałkując - niech Czytelnik wybaczy tę głupią grę słów - tylko książki kucharskie. Na przykład *Tysiąc najlepszych deserów z Manczy*. Albo piętnaście wydań (nakład wyczerpany) klasycznej pozycji *Sekrety rusztu*.

Mieszkanie znajdowało się w dawnym pałacu markiza de los Alumbres, podzielonym na luksusowe apartamenty. Co się tyczy wystroju wnętrza, gust właścicieli zdeterminowany był najwyraźniej przez brak czasu i nadmiar pieniędzy. Tylko tak chyba dawała się wytłumaczyć obecność banalnej porcelany z Lladró - dziewczynka z kaczką, jak beznamytnie skonstatował Lucas Corso - obok saskich figurek pastuszków, za które jakiś obrotny antykwariusz musiał nieźle oskubać zmarłego Enriquego Taillefera względnie małżonkę. Sekretera (oczywiście biedermeier) i fortepian Steinwooda sąsiadowały z piekielnie drogim kobiercem orientalnym. Wreszcie ogromna i zapewne wygodna sofa z tapicerką z białej skóry, na której spoczywała właśnie Liana Taillefer, skrzyżowawszy

niebывale pięknie wymodelowane nogi. Ich plastyczność należycie podkreślała czarna spódnica - właściwa dla okresu żałoby - której skraj podniósł się teraz tuż nad kolano, pozwalając zgadywać kuszące zarysy wiodące dalej w górę - ku mrokom i tajemnicy, jak to określił Lucas Corso, nieco później wspominając tamtą chwilę. Pamiętajmy, że uwag Corsa nie wolno lekceważyć - choćby sprawiał wrażenie dorosłego chłopczyka mieszkającego ze starą matką, co to ceruje pończochy, a każdej niedzieli podaje mu do łóżka filiżankę gorącej czekolady. Takich synalków widuje się czasem na filmach, jak w strugach deszczu podążają samotnie za trumną, oczy mają czerwone od płaczu, a z ich ust dobywa się chlipiąca sieroca skarga: „Mamo...” Ale Corso nigdy się nie skarżył. Nie miał też matki. Każdy, kto go lepiej poznał, zaczynał się zastanawiać, czy kiedykolwiek ją miał.

- Proszę mi wybaczyć, że niepokoję panią w tych okolicznościach - rzekł Corso. Siedział sztywno na skraju krzesła naprzeciwko wdowy, ciągle w płaszczu, z brezentową torbą na kolanach. Oczy Liany Taillefer - stalowoszare, duże i chłodne - taksowały jego postać od góry do dołu, jakby usiłowała go zaszeregować do jakiegoś znanego gatunku mężczyzn. Świadom trudności, jakie może to nastęrczać, poddał się badaniom, starając się nie sprawiać żadnego konkretnego wrażenia. Znał reguły gry: aktualnie jego akcje na giełdzie Taillefer S.A. (Wdowa) zniżkowały. Mógł jedynie liczyć na pogardliwe zaciekawienie, tym bardziej że na dzień dobry musiał odczekać dziesięć minut w salonie, staczając wstępną potyczkę ze służącą, która wzięwszy go za domokrążcę chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Teraz jednak wdowa coraz to zerkąła na teczkę, którą Corso wyciągnął z torby. Sytuacja powoli się zmieniała. Jego oczy, chronione szklami przekrzywionych okularków, zdołały wytrzymać spojrzenie Liany Taillefer, omijając przy tym huczące rafy - istną Scyllę i Charybdę, jak zauważył w myśli (Corso był czytany) - jakimi na południu były nogi, a na północy biust. „Wybują, ot co” - powiedział sobie w duchu, od paru chwil powracając wzrokiem do tych bezlitosnych wypukłości widocznych pod swetrem z czarnej angory.

- Byłbym wdzięczny za informację - odezwał się wreszcie - czy wiedziała pani o istnieniu tego dokumentu.

W momencie gdy podawał jej teczkę, musnął niechcący palce o długich, pokrytych krwistoczerwonym lakierem paznokciach. A może sam został muśnięty. W każdym razie ten drobny kontakt dowodził, że akcje firmy Corso rosą. Podrapał się więc po głowie, na tyle niezdarnie, aby ją przekonać, że nie ma w zwyczaju stawiać pięknych wdów w kłopotliwej sytuacji. W stalowoszarych oczach, których spojrzenie przeniosło się z teczki na niego samego, pojawiła się iskierka zainteresowania.

- A czemu miałabym wiedzieć? - spytała wdowa. Jej głos zabrzmiał nisko i nieco ochryple, co mogło być echem źle przespanej nocy. Liana wciąż nie otwierała plastikowej teczki, wpatrując się uważnie w Corsa, jakby spodziewała się czegoś więcej, nim zaspokoi swą ciekawość i zajrzy do środka. Jej gość poprawił sobie okulary na środku nosa i wykonał jakiś niezręczny okolicznościowy gest. Była to faza oficjalna, więc swój nader skuteczny uśmiech przyzwoitego królika zachował na bardziej stosowną okazję.

- Jeszcze niedawno należał do pani męża - wahał się chwilę, jak zakończyć zdanie - świeć, Panie, nad jego duszą.

Z wolna skinęła głową, jak gdyby to wyjaśniało wszystko, i otworzyła teczkę. Corso spojrział przez jej ramię na ścianę. Tam, pomiędzy autentycznym Tapieciem a jeszcze jednym olejem o nieczytelnym podpisie, widniała robótka z kolorowymi kwiatkami wyhaftowanymi dziecięcą rączką, a pod nimi podpis i data: *Liana Lasauca. Rok szkolny 1970-71*. Corso mógłby określić robótkę jako wzruszającą, gdyby tylko na widok kwiatków, haftowanych ptaszków, tudzież dziewczynek w skarpetkach i z jasnymi warkoczykami cokolwiek mu wilgotniało. Ale że nie wilgotniało, przesunął wzrok ku następnej ramce, tym razem mniejszej i ze srebra: tu nieboszczyk Enrique Taillefer Wydawca, z kubkiem do próbowania wina zawieszonym na szyi i w fartuchu, który nadawał mu nieco masoński wygląd, uśmiechał się do obiektywu, sposobiąc się do pokrojenia lewą ręką prosięcia po segowiańsku. W prawej dłoni dzierżył otwartą książkę, będącą jednym z jego edytorskich osiągnięć. Jawił się jako człowiek łagodny, zażywny, przysadzisty i zapewne szczęśliwy, mając przed sobą zwierzę leżące plackiem na półmisku. Corsowi przyszło na myśl, że przedwczesne odejście oszczędziło mu wielu problemów z cholesterolem i kwasem moczowym. Zastanowił się też nad zagadnieniem technicznym: jaką metodą Liana Taillefer zaspokajała ze swoim mężem pragnienie orgazmu? Z tą myślą ponownie rzucił okiem na biust i nogi i doszedł do wniosku, że taka kobieta nie ustąpiłaby pola prosięciu.

- To Dumasa - na dźwięk tych słów Corso uniósł się lekko. Liana Taillefer postukała czerwonym paznokciem w foliowe koperty chroniące poszczególne strony. - Słynny rozdział. Pewnie, że go znam - pochyliła głowę, wskutek czego włosy ześliznęły jej się na twarz. Poprzez tę blond kurtynę obserwowała przybysza podejrzliwie.

- Skąd pan to ma?

- Pani mąż go sprzedał. Mam potwierdzić jego autentyczność.

Wdowa wzruszyła ramionami.

- O ile wiem, to autentyk - westchnęła przeciągle, zwracając teczkę. - Sprzedał, mówią pan...? Dziwne - jakby się zamyśliła. - Enrique bardzo sobie cenił te papierki.

- Może przypomina pani sobie, gdzie je nabył?
- Nie umiem powiedzieć. Chyba dostał od kogoś w prezencie.
- Był kolekcjonerem autografów?
- Ten jest jedyny, o jakim wiedziałam.
- I nigdy nie wspominał, że ma zamiar go sprzedać?
- Nie, dowiaduję się o tym od pana. A kto kupił?
- Pewien księgarz, mój klient. Jak tylko uzyska potwierdzenie, chce go wystawić na aukcję.

Liana Taillefer postanowiła poświęcić mu nieco więcej uwagi. Akcje Corsa na tutejszej giełdzie ponownie ciut podskoczyły. Zdjął okulary i zaczął je przecierać wymiętą chusteczką. Bez nich sprawiał wrażenie bardziej bezradnego - wiedział o tym aż nadto dobrze. Każdy czuł, że trzeba mu pomóc przejść przez jezdnię, gdy tak spoglądał wokół wzrokiem królika krótkowidza.

- To pańskie zajęcie? - spytała wdowa. - Weryfikuje pan rękopisy?

Potwierdził niejasnym gestem. Kontury wdowy nieco się rozmyły, a ona sama jakby się przybliżyła.

- Od czasu do czasu. Poszukuję też rzadkich książek, sztychów i tym podobnych rzeczy. Za pieniądze.

- Ile pan bierze?

- Zależy - nałożył znów okulary. Postać kobiety na powrót wyostrzyła się w siatkówce. - Czasami dużo, innym razem mało. Zależy od koniunktury.

- Tak jakby tropiciel, co? - domyśliła się lekko rozbawiona. - Tropiciel książek.

Nadeszła pora na uśmiech. Odsłonił siekacze ze skromnością wykalkulowaną co do milimetra. Z uśmiechu można było wyczytać prośbę o natychmiastową adopcję.

- Tak, chyba można to tak nazwać.

- Czyli przyszedł pan do mnie na zlecenie klienta...

- Otóż właśnie - mógł już chyba upozorować większą pewność siebie, w związku z czym zabębnił kostkami palców w wierzch rękopisu. - Ostatecznie to pochodzi stąd. Z pani domu.

Skinęła powoli głową, spoglądając na teczkę. Znów była zamyślona.

- Zastanawiające - odezwała się po chwili. - Nie pojmuję, jak Enrique mógłby chcieć sprzedać ten oryginał Dumasa. Wprawdzie w ostatnich dniach zachowywał się trochę dziwacznie... Jak, wspominał pan, nazywa się ten księgarz? Ten nowy właściciel?

- Nie wspominałem.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Zapewne przywykła do tego, że mężczyźni spełniali jej żądania w czasie nie dłuższym niż trzy sekundy.

- Więc proszę mi powiedzieć.

Corso odczekał chwilę. To wystarczyło, żeby paznokcie Liany Taillefer zaczęły wystukiwać nerwowy rytm na poręczy sofy.

- Nazywa się La Ponte... - oświadczył wreszcie. Była to jedna z jego sztuczek: sprawiał, że banalne ustępstwa z jego strony inni poczytywali sobie za znaczne triumfy. - Zna go pani?

- Jasne, że znam. Był dostawcą mojego męża - niezadowolona zmarszczyła brew. - Przyłaził tu co jakiś czas i przynosił mu te kretyńskie powieści w odcinkach. Pewnie ma pokwitowanie... Chciałabym dostać kopię, jeśli nie robi to panu różnicy.

Corso przytaknął niepewnie i pochylił się nieznacznie w jej stronę.

- Pani mąż był wielbicielem Aleksandra Dumasa?

- Dumasa, mówi pan? - Liana Taillefer uśmiechnęła się. Odrzuciła włosy do tyłu, ukazując oczy błyszczące rozbawieniem. - Pan pozwoli ze mną.

Podniosła się, co znów zabrało jej niemal całą wieczność, obciągnęła spódnicę i rozejrzała się, jak gdyby naraz wyleciało jej z głowy, po co wstała. Mimo pantofli na niskim obcasie była nieco wyższa od Corsa. Podążył za nią do sąsiadującego z salonem gabinetu, przyglądając się jej szerokim jak u pływaczki plecom i wyraźnie zaznaczonej talii. Ocenił Lianę na trzydzieści lat. W przyszłości mogła stać się jedną z tych nordyckich matron o biodrach, w których słońce nigdy nie zachodzi, stworzonych po to, by bez wysiłku wydawać na świat jasnowłosych Eryków i Zygrydów.

- Żeby tylko Dumasa... - rzekła wskazując wewnątrz gabinetu. - Niech pan popatrzy.

Corso posłusznie zaczął się rozglądać. Ścian nie było widać za drewnianymi regałami, uginającymi się pod ciężarem opasłych, oprawionych tomów. Poczul, że ślina napływa mu do ust - odruch zawodowca. Ruszył ku półkom, poprawiając na nosie okulary: *Hrabina de Charny*, A. Dumas, osiem tomów wydanych w La Novela Ilustrada pod literackim nadzorem Vicentego Blasco Ibañeza. *Dwie Diany*, A. Dumas, trzy tomy. *Trzej Muszkieterowie*, A. Dumas, wydawca Miguel Guijarro, z rycinami Ortegi, cztery tomy. *Hrabia Monte Christo*, A. Dumas, cztery tomy opublikowane przez Juana Rosa, ryciny A. Gila... Dalej stało czterdzieści tomów *Rocambole'a* autorstwa Ponsona du Terrail. Kompletna edycja *Pardaillanów Zévaca*. Kolejne Dumasy obok dziewięciu tomów Victora Hugo i tyłuż Paula Févala, którego *Kawaler de Lagardère* oprawiony był w luksusowy czerwony safian ze złoconymi brzegami. *Pickwick* Dickensa w przekładzie Benita Pereza-Galdosa sąsiadował z kilkoma tomami Barbey -

d'Aureville z jednej strony i z *Tajemnicami Paryża* Eugène'a Sue z drugiej. Jeszcze Dumas - *Czterdziestu pięciu*, *Naszyjnik królowej*, *Towarzysze Jehudy* - a także *Zemsta Korsykanina* Mériméego. Piętnaście tomów Sabatiniego, sporo Ortegi y Friasa, Conan Doyle, Manuel Fernández y González, Mayne Reid, Patricio de la Escosura...

- Kolosalne - orzekł Corso. - Ile tu jest tytułów?

- Nie wiem, dwa tysiące z hakiem. Może trzy. Prawie wszystkie powieści odcinkowe w pierwszych wydaniach, czyli zeszyty zebrane razem i oprawione... Reszta to wydania ilustrowane. Mój mąż zbierał je jak maniak, płacąc tyle, ile od niego zażądano.

- Prawdziwy entuzjasta, jak widzę.

- Entuzjasta? - na ustach Liany Taillefer zamajaczył ulotny uśmiech. - U niego to był autentyczny szal.

- A ja sądziłem, że gastronomia...

- Na książkach kucharskich zarabiał pieniądze. Enrique miał w sobie coś z króla Midasa: byle poradnik w jego rękach stawał się sukcesem wydawniczym. Ale jego pasją było to. Uwielbiał zamykać się tu i obmacywać swoje szpargały. Przeważnie są drukowane na marnym papierze, a on miał obsesję na punkcie ich konserwacji. Widzi pan? Termometr i higrometr... Potrafił recytować z pamięci całe stronicze ze swoich ulubionych dzieł. Wyrwały mu się nawet przekleństwa typu „a niechże cię...” czy „do kaduka”. Ostatnie miesiące poświęcił na pisanie.

- Powieść historyczna?

- Powieść przygodowa. Oczywiście z zachowaniem wszelkich reguł gatunku - podeszła do regału i zdjęła ręcznie zszyty opasły manuskrypt. Kartki zapisane były po jednej stronie, okrągłym, dużym pismem. - Co pan sądzi o tytule?

- *Dłoń umarłego, czyli Paź Anny Austriaczki* - przeczytał Corso na głos. - Hm, niezłe... - potarł palcem brew w poszukiwaniu odpowiedniego słowa. - Sugestywne.

- A także toporne - dodała, odstawiając rękopis na miejsce. - Pełne anachronizmów. I, mogę pana zapewnić, bezdennie głupie. Wiem, co mówię: po każdej sesji twórczej odczytywał mi stronę po stronie, od początku do końca - z irytacją postukała palcami w rękopis, tam gdzie widniał tytuł powieści, wykaligrafowany dużymi literami.

- Boże mój, wie pan, zdołałam znienawidzić tego pazia i jego szczywaną królową.

- Miał zamiar to opublikować?

- Naturalnie. Pod pseudonimem. Zdaje się, jako Tristan de Longueville, Paulo Florentini czy ktoś w tym guście. To bardzo w jego stylu.

- A powiesić się? Też było w jego stylu?

Liana Taillefer utkwiła wzrok w regałach zastawionych książkami; zapadła cisza. Cisza niezręczna, pomyślał Corso, nieco wymuszona, rodzaj ucieczki w zamyślenie. Tak milczy aktorka, gdy chce, by jej następna kwestia nabrała większej siły.

- Nigdy się nie dowiem, co się stało - odezwała się wreszcie, znów doskonale pewna siebie. - Przez kilka ostatnich dni był ponury i przybity. Prawie nie opuszczał tego gabinetu. Któregoś wieczoru wyszedł z hukiem na dwór. Wrócił o świcie. Leżałam w łóżku i usłyszałam, jak zamykał drzwi. Rano obudziły mnie krzyki służącej: Enrique powiesił się na lampie.

Spoglądała na Corsa, czekając na efekt. Nie robiła wrażenia osoby nadmiernie przygnębionej - pomyślał łowca książek, mając w pamięci zdjęcie w fartuchu i z prosiakiem. W którejś chwili przyłapał ją na mruganiu powiekami, jakby chciała powstrzymać płynącą łzę, oczy nadal jednak były całkiem suche. To mogło nie mieć znaczenia, stulecia walk makijażu z emocjami nauczyły kobiety kontrolować swoje uczucia. A makijaż Liany Taillefer - jasny cień podkreślający wyrazistość spojrzenia - był nienaganny.

- Zostawił jakiś list? - zapytał Corso. - Samobójcy często tak robią.

- Postanowił oszczędzić sobie wysiłku. żeby chociaż jakieś wyjaśnienie, jedno słówko. A tu nic. Ta nieroztropność kosztowała mnie całe mnóstwo pytań ze strony sędziego śledczego i kilku policjantów. Żadna przyjemność, może mi pan wierzyć.

- Czuję przez skórę.

- Mam nadzieję.

Liana Taillefer uznała spotkanie za zakończone. Podeszli do drzwi. Gdy podała mu rękę, Corso, cały czas z teczką pod pachą i torbą na ramieniu, wyciągnął swoją i napotkał zdecydowany uścisk. W duszy oceniał ją nienajgorzej Ani wesoła wdówka, ani obraz cierpienia, ani chłód w rodzaju „poszedł już ten kretyn”, „nareszcie sami” czy kochanie możesz już wyjść z szafy”. Niewykluczone, że w szafie naprawdę ktoś siedział, ale to już Corsa nie obchodziło. Podobnie jak samobójstwo Enriquego Taillefera Wydawcy - choć przecież, przebóg, tak było zagadkowe, zważywszy pazia królowej i wędrujący rękopis. Jednak ani samobójstwem, ani piękną wdową nie powinien sobie zaprzętać głowy. Chwilowo.

Spojrzał na Lianę Taillefer. „Ciekawe, kto teraz korzysta z twoich wdzięków” - pomyślał, rozpatrując zagadnienie od strony technicznej. Naszkicował w głowie roboczy portret: dojrzały, wytworny, wykształcony, przy forsie. Na osiemdziesiąt pięć procent przyjaciel zmarłego. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie taka była przyczyna samobójstwa wydawcy, ale odepchnął tę myśl z niesmakiem. Może to skrzywienie zawodowe, ale czasem przyłapywał się - co za absurd! - na tym, że rozumuje niczym

policjant. Dreszcz przeszedł go aż do szpiku kości. Nigdy nie wiadomo, jaka perwersja czy może idiotyzm drzemie na dnie ludzkiej duszy.

- Pragnę pani podziękować - powiedział, przywołując na twarz najbardziej wzruszający uśmiech sympatycznego królika, na jaki było go stać - za to, że zechciała mi pani poświęcić tyle czasu.

Uśmiech zawisł w próżni. Jej wzrok spoczął na rękopisie Dumasa.

- Nie musi mi pan dziękować. To logiczne, że chciałabym wiedzieć, czym to wszystko się zakończy.

- Będę panią informował na bieżąco... A, jeszcze jedno: zamierza pani zachować kolekcję męża czy raczej się jej pozbyć?

Spojrzała na niego zbita z tropu. Z własnego doświadczenia Corso wiedział, że gdy umierał jakiś bibliofil, w dwadzieścia cztery godziny po wyprowadzeniu trumny tymi samymi drzwiami wyprowadzano bibliotekę. Dziwiło go, że dotąd nie pojawił się tu żaden szakal z konkurencji. Ostatecznie Liana Taillefer, jak można było sądzić z jej własnych słów, nie podzielała gustów literackich męża.

- Prawdę mówiąc nie miałam czasu o tym pomyśleć... Czy to znaczy, że interesują pana powieści w odcinkach?

- Kto wie...?

Zawahala się. Chyba o kilka sekund dłużej, niż należało.

- To wszystko stało się tak niedawno - odparła w końcu z odpowiednio smutnym westchnieniem. - Może za kilka dni.

Corso położył dłoń na poręczy schodów i powłócząc nogami ruszył w dół. Jego kroki hamowała lekka obawa - czuł się jak ktoś, kto opuszcza miejsce, gdzie coś zgubił, ale nie pamięta dobrze, co to mogło być. Corso wszelako niczego nie zapomniał, miał co do tego pewność. Na półpiętrze podniósł wzrok i zobaczył, że Liana Taillefer wciąż go obserwuje stojąc w progu. Na jej twarzy malował się niepokój połączony z zaciekawieniem. Corso pokonał kilka następnych schodków, przez co perspektywa, jak w filmowej panoramie, przesunęła się nieco w dół. Nie widział już badawczych, stalowoszarych oczu. Kadr przesunął się z twarzy na biust, biodra i wreszcie na nieruchome, jasne nogi Liany Taillefer, stojące w lekkim rozkroku. Nogi sugestywne i mocne jak kolumny świątyni.

Wciąż odczuwał lekki zawrót głowy, gdy mijał drzwi wejściowe i wychodził na ulicę. Dręczyło go co najmniej pięć pytań wymagających odpowiedzi, należało je tylko uporządkować wedle jakiejś hierarchii. Zatrzymał się na chodniku naprzeciwko ogrodzenia parku Retiro i rzucił bezwiednie okiem w lewo w nadziei, że ujrzy jakąś taksówkę. Kilka

metrów dalej stał zaparkowany ogromny jaguar. W tym samym momencie oparty o maskę szofera, w ciemnoszarym, niemal czarnym, uniformie, podniósł wzrok znad czytanej gazety i ich spojrzenia się spotkały. Trwało to może sekundę, po czym tamten ponownie zagłębił się w lekturze. Był brunetem, nosił wąsy, a cały policzek przeorany miał jasną blizną. Jego wygląd wydał się Corsowi znajomy - ten facet kogoś mu przypominał. Może tamtego gościa, co w barze Makarowej grał w jednorękiego bandytę. Ale było coś jeszcze. W umyśle Corsa odzywało się jakieś odległe, niewyraźne wspomnienie... ale nie miał teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Oto pojawiła się wolna taksówka, na którą machał z przeciwnej strony ulicy jakiś mężczyzna z aktówką, odziany w lodenowy płaszcz. Corso wykorzystał fakt, że taksówkarz patrzył akurat w jego kierunku, zeskoczył z krawężnika i sprzątnął tamtemu samochód sprzed nosa.

Poprosiwszy kierowcę o ściszenie radia, usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu i popatrzył przez szybę nieobecnym wzrokiem. Wraz z zatrzaśnięciem drzwiczek taksówki nieodmiennie ogarniał go błogi spokój - jakby zawierał rozejm ze światem zewnętrznym. Na czas jazdy wszystko za oknem ulegało zawieszeniu. Oparł głowę o poduszkę i rozkoszował się mijanymi widokami.

Była to dobra pora, żeby zastanowić się nad rzeczami poważnymi. Na przykład nad *Księżą Dziewięciorga Wrót* i nad pierwszym etapem pracy, jakim miała być podróż do Portugalii. Corso nie mógł się jednak skoncentrować. Spotkanie z wdową po Tailleferze pozostawiło w zawieszeniu zbyt wiele pytań i to budziło w nim dziwny niepokój. Czuł, że coś mu się wymyka z rąk, niczym uciekający za oknem pejzaż. Nie koniec na tym: dopiero na którychś tam czerwonych światłach zorientował się, że uporczywie wraca myślą do kierowcy jaguara - a to już wcale nie było przyjemne. Był stuprocentowo pewien, że w barze Makarowej zobaczył go pierwszy raz w życiu. A jednak prześladowało go jakieś irracjonalne wspomnienie. „Ja cię znam - mówił w duchu. - Bez dwóch zdań. Dawno temu natknąłem się na typka, który wyglądał identycznie. Wiem, że ciągle siedzisz gdzieś w mrocznym zakamarku mojej pamięci”.

Po Grouchem nie było nawet śladu, ale to już nie miało znaczenia. Prusacy Bülowa wycofywali się z rejonu Chappelle-St.-Lambert, ścigani przez szwoleżerów Sumonta i Subervie'ego. Na lewym skrzydle spokój: czerwona piechota szkocka odizolowana i rozgromiona po szarzy francuskich kirasjerów. „W centrum dywizja Jérôme'a w końcu zdobyła Hougomont. Na północ zaś od Mont-St.-Jean niebieskie oddziały dobrej starej Gwardii powoli, lecz nieubłaganie porządkowały na nowo szyki, podczas gdy Wellington

pierzchał w rozkoszonym nieładzie przez wioskę Waterloo. Pozostawało jedynie zadać ostateczny cios.

Lucas Corso ogarnął teren wzrokiem. Bez wątpienia rozwiązaniem był Ney. Najdzielniejszy wśród dzielnych. Postawił go na czele, obok Erlona i dywizji Jérôme'a (a raczej tego, co z niej pozostało), i skierował go *au pas de charge* traktem brukselskim. Kiedy już siły brytyjskie znalazły się w ich zasięgu, Corso pochylił się lekko w fotelu i wstrzymał oddech, świadom konsekwencji swego czynu: w ciągu niespełna pół minuty zdecydował o życiu lub śmierci 22 tysięcy ludzi. Delektując się tym faktem, spoglądał na niebieskie i czerwone zwarte szeregi, na uspokajającą zieleń lasu Soignes i na bure plamy wzgórz. Mój Boże, ależ to piękna bitwa.

Cios był diabelnie bolesny. Główne siły Erlona rozpadły się jak słomiany szalasz leniwej świnki, na szczęście Ney i ludzie Jérôme'a utrzymali szyki. Stara Gwardia posuwała się naprzód, pustosząc po drodze wszystko, co się dało, a oddziały angielskie jeden za drugim znikały z mapy. Wellingtonowi nie pozostawało nic innego, jak się wycofać, ale Corso odciął mu odwrót na Brukselę, posyłając tam rezerwistów z kawalerii francuskiej. Następnie powoli i z rozmysłem wymierzył cios łaski. Trzymając Neya między palcem wskazującym a kciukiem przesunął go do przodu o trzy sześciokąty. Zerknął do tabeli, żeby podliczyć wskaźniki przewagi - wyszło mu osiem do trzech. Wellington leżał na obu łopatkach. Jego ostatnia, maleńka szansa zależała od ślepego trafu. Z tabeli przeliczeniowej wynikało, że Corsowi wystarczy wyciągnąć trzy. Poczł delikatne ukłucie emocji, kiedy przeglądał dane, by zweryfikować dopuszczalny w tej sytuacji czynnik ryzyka. Nawet mając bitwę w kieszeni, utracić Neya w ostatniej minucie znaczyłoby wykazać się amatorszczyzną. Tak się złożyło, że wyciągnął pięć. Kącik ust uniósł mu się w lekkim uśmiešku, podczas gdy paznokiec pieszczotliwie stuknął w błękitną kartę Napoleona. „Domyślam się, co czujesz, przyjacielu”. „Wellingtona i pięć tysięcy jego nieszczęśników spotkała śmierć lub niewola, a Cesarz wygrał bitwę pod Waterloo. *Allons enfants*. Wszystkie podręczniki historii mogą iść do diabła.

Ziewnął przeciągle. Obok rozłożonej na stole planszy przedstawiającej pole bitwy w skali 1:5000, podręczników, wykresów, filiżanki kawy i popielniczki przepełnionej niedopałkami leżał ręczny zegarek. Była trzecia nad ranem. Z czerwonej jak brytyjska kurtka etykiety, widocznej na butelce w barku, stojący w rozkroku Johnnie Walker posyłał mu cwaniacki gest. „Rudy drań - pomyślał Corso. - W ogóle go nie obchodzi, że parę tysięcy jego rodaków gryzie właśnie flamandzką ziemię”.

Zwrócił ku Anglikowi wzgardliwe plecy i odszukał wzrokiem na regale nietkniętą butelkę bolsa, wsuniętą między *Pamiętnik z Wyspy świętej Heleny* w dwóch tomach a

francuskie wydanie *Czerwonego i czarnego*. Po chwili Stendhal leżał otwarty na stole, a Corso kartował go na chybił trafił, otwierając dzin i napełniając szklanę.

„...Wyznania Russa; jedyna książka, z której czerpał pojęcie o świecie.

Biuletyny Wielkiej Armii oraz Pamiętnik z Wyspy świętej Heleny uzupełniały jego Koran. Dałby się zabić za te trzy dzieła; nie wierzył w żadne inne”.

[Stendhal, *Czerwone i czarne* (Kronika z 1830 r., przekład Tadeusza Żeleńskiego-Boya.

Pił na stojąco, dużymi haustami, rozprostowując zdrętwiałe stawy. Ostatni raz rzucił okiem na pole bitwy, gdzie zamierał już szcęk oręża po niedawnej jatce. Przełknął końcowy łyk dzinu i poczuł się jak pijany bóg, co rozprawia się z ludzkimi istnieniami, jakby to były ołowiane żołnierzyki. Oczyma wyobraźni widział, jak lord Arthur Wellesley, księżę Wellington, oddaje szpadę Neyowi. Wokół wałały się w błocie zwłoki młodych żołnierzy, konie biegały bez jeźdźców, a gdzieś pod roztrzaskaną lawetą działa dogorywał oficer w szarym mundurze jazdy szkockiej, ściskając w pokrwawionych palcach złoty wisiołek z portretem kobiety i kosmykiem jasnych włosów. Z przeciwległego krańca spowijających scenię mroków dobiegały takty ostatniego walca. Stojąca na półce tancerka z przyklepionym na czole cekinem, w którym igrały refleksy płomieni kominka, wsłuchiwała się w muzykę, gotowa paść w ramiona duszkowi tabakiery. A może sklepikarzowi z rogu ulicy.

Waterloo. Prochy starego grenadiera, jego praprapradziadka, mogły spoczywać w spokoju. Wyobraził go sobie w jednym z wielu błękitnych kwadracików wzdłuż burej linii przedstawiającej trakt brukselski, z poczerniałą twarzą i wąsami osmalonymi od prochu. Szedł zachrypnięty i drżący po trzech dniach walki na bagnety, z nieobecny spojrzeniem, jakiego Corso tysiącrotnie domyślał się u tyłu uczestników tyłu wojen. A na lufie karabinu, jak wszyscy jego towarzysze, unosił mimo wyczerpania swoje podziurawione czako z niedźwiedziej skóry. Niech żyje Cesarz. Osamotnione, krępe i przeżarte rakiem widmo Bonapartego zostało pomszczone. R.I.P. Hip, hip, hura.

Nalał sobie kolejną szklanę bolsa i wznosił ją ku szabli wiszącej na ścianie, w niemym toaście za zdrowie wiernego cienia Jean-Paxa Corsa, 1770-1851, kawalera Legii Honorowej, rycerza Zakonu Świętej Heleny, niezłomnego bonapartysty aż po grób, konsula francuskiego w tym samym mieście śródziemnomorskim, gdzie sto lat później miał przyjść na świat jego prapraprawnuk. Czując na języku smak dzinu, Lucas Corso wyrecytował półgłosem jedyne, co odziedziczył po praprapradziadku sprzed wieku, poprzez kolejnych przedstawicieli rodu Corso, który niebawem miał ostatecznie zniknąć z tego padolu:

„...Cesarz wśród wrzawy wróci,

władczym okiem obrzuci
wierne szeregi zwarte.
Ja powstanę też z trumny,
aby w bój ruszyć, dumny,
żem jest znów z Bonapartem”.

Śmiało się do siebie, podnosząc słuchawkę i wykręcając numer La Pontego. Ciszę pokoju zakłócał skrzyp płyty obracającej się na gramofonie. Stał otoczony mnóstwem książek na ścianach i patrzył przez szyby werandy na moknące w deszczu dachy. Widok z tego miejsca był nieszczególny, wyjąwszy zimowe zmierzchy, kiedy promienie zachodzącego słońca przebijały się przez dym kominów i uliczne spaliny, dzięki czemu powietrze rozplomieniało się czerwieniami i ochrami na podobieństwo grubej zasłony. Stół do pracy, komputer i plansza z Waterloo znajdowały się naprzeciwko tej panoramy, tuż przy oszklonej werandzie, po której ściekały dzisiaj krople deszczu. Ściany pozbawione były jakichkolwiek pamiątek, obrazków czy fotografii. Tylko ta zabytkowa szabla Starej Gwardii, wisząca w pochwie z mosiądzu i skóry. Odwiedzający Corsa goście zawsze się dziwili, że oprócz książek i szabli brak tu oznak życia osobistego, owych drobiazgów z przeszłości, w których każdy tak chętnie zakotwicza swoje wspomnienia. Lucas Corso wyrzekł się nie tylko przedmiotów - także świat, z którego pochodził, dawno już wymarł. Żadna z niekształtnych twarzy, czasami naszkicowanych w jego pamięci, nie rozpoznałaby go, gdyby zmartwychwstawszy znów go ujrzała. Zresztą może tak było lepiej. Można by pomyśleć, że gospodarz tego lokalu nie miał żadnej przeszłości, że był tutaj całkowicie samowystarczalny niczym odczytany włóczęga miejski, dźwigający swój tłumoczek pod płaszczem. Jednakże byli nieliczni, którzy dostąpili zaszczytu, by oglądać go, jak czerwieniejącym wieczorem siedzi na werandzie, z oczami mętными od holenderskiego dżinu, ślepo wpatrzonymi w zachód słońca. Ci ludzie mogli przysiąc, że jego uśmiech niezgrabnego, bezbronnego królika wydawał się szczery.

W słuchawce odezwał się zaspany głos La Pontego:

- Właśnie stałem na proch Wellingtona - poinformował go Corso.

Po chwili milczenia zbity z tropu La Ponte odparł, że bardzo się cieszy. Dobrze tak perfidnemu Albionowi z jego plackiem z cynaderek i marnymi hotelami, w których wrzuca się monety do grzejników. Z tym sipajem Kiplingiem i całym halo wokół Bałakławy, Trafalgaru i Malwin. Natomiast jeśli chodzi o Corsa, to może byłby łaskaw zwrócić uwagę - tu telefon zamilkł na moment, bo La Ponte szukał po omacku zegarka - że jest trzecia nad

ranem. Później wymamrotał jeszcze jakieś niewyraźne słowa, z których dało się wyłowić jedynie „parszywy” i „sukinsyn”, w takiej właśnie kolejności.

Odkładając słuchawkę Corso wciąż jeszcze śmiał się w duchu. Kiedyś zadzwonił do La Pontego na jego koszt z jakiejś aukcji w Buenos Aires - tylko po to, żeby mu opowiedzieć dowcip o kurwie tak brzydkiej, że do śmierci nie utraciła cnoty. Cha, cha. Strasznie śmieszne. Za to jak wrócisz, każę ci zeznać rachunek za telefon, ty głupi palancie. Innym razem, wiele lat temu, gdy ocknął się rano w ramionach Nikon, posłuszny pierwszemu odruchowi sięgnął po słuchawkę, by powiedzieć przyjacielowi, że poznał piękną kobietę i że najwyraźniej się zakochał. Corso potrafił, kiedy tylko chciał, zamknąć oczy i ujrzeć Nikon, jak budzi się powoli, a jej włosy zakrywają całą poduszkę. Przyciskając słuchawkę do ucha, rozemocjonowany opisywał La Pontemu to niewytłumaczalne i nie znane mu dotąd uczucie, a ona przysłuchiwała mu się w milczeniu. Corso wiedział, że ten głos po drugiej stronie kabla - „cieszę się, Corso, stary, niech ci się wiedzie, najwyższy czas, tak się cieszę” - szczerze gratulował mu tego przebudzenia, tego triumfu i tego szczęścia. Tamtego ranka kochał La Pontego tak samo jak ją. Albo raczej ją tak samo jak La Pontego.

Od tamtych dni minęło dużo czasu. Nocny deszcz nie ustawał. Corso zgasił lampę. W sypialni, siedząc na skraju pustego łóżka, zapalił ostatniego papierosa i znieruchomiał w półmroku, łowiąc ślad oddechu, nieobecnego wśród pościeli. Wreszcie wyciągnął dłoń i pogłaskał włosy, których nie było na poduszce. Nikon była jego jedynym wyrzutem sumienia. Na zewnątrz ulewa przybrała na sile. Krople zamazywały na szybie drobne refleksy skąpych świateł ulicznych, pokrywając pościel ruchomymi punkcikami, czarnymi strumyczkami i nikłymi cieniami, spływającymi bez ładu i składu jak strzępki życia.

- Lucas.

Wymówił na głos swoje imię tak, jak wymawiała je ona. Była zresztą jedyną osobą, która nazywała go po imieniu. Te pięć liter stanowiło symbol spustoszonej wspólnej ojczyzny, o jakiej niegdyś oboje marzyli. W ciemności Corso skupił wzrok na żarzącym się czerwono koniuszku papierosa. Kiedyś wydawało mu się, że bardzo kochał Nikon. Wtedy, gdy widział, jak jest piękna i inteligentna, nieomylna niczym papieska encyklika, pełna uczucia jak jej czarno-białe zdjęcia: dzieci z wielkimi oczami, starcy, psiaki o ufnym spojrzeniu. Kiedy stawiała w obronie innych narodów, podpisywała manifesty na rzecz więzionych intelektualistów, ciemniejących ludów i tak dalej. I jeszcze fok. Kiedyś nawet namówiła i jego, żeby podpisał coś w sprawie fok.

Uniósł się z łóżka, powoli, żeby nie zbudzić zjawy, która spała obok, wsłuchany w rytm oddechu, który - tak mu się zdawało - nieraz słyszał naprawdę. Jesteś martwy jak te

twoje książki. Nigdy nikogo nie kochałeś, Corso. Wtedy jedyny raz wypowiedziała jego nazwisko. Jedyny i ostatni raz, gdy odmówiła mu swego ciała - i odeszła na zawsze, w poszukiwaniu tego dziecka, którego on nie chciał mieć.

Otworzył okno i poczuł wilgotny chłód nocy. Na twarz padały mu krople wody. Ostatni raz zaciągnął się papierosem, po czym upuścił go za okno patrząc, jak czerwony punkcik gaśnie w ciemności, opadając w mrok po uciętej bądź tylko niewidocznej trajektorii.

Pewnie deszcz pada dzisiaj i na inne kraje. Na ostatnie ślady Nikon. Na pola Waterloo, na praprapradziadka Corsa i jego towarzyszy. Na czerwono-czarny grób Juliana Sorela, ściętego za przekonanie, że wraz z odejściem Bonapartego śmierć spotykała też posągi z brązu przy zapomnianych drogach. Idiotyczny błąd. Lucas Corso wiedział jak nikt, że nadal można było wybrać sobie pole bitwy i zainkasować wynagrodzenie należne zaginionemu, a przecież przytomnemu żołnierzowi, obejmując posterunek pośród duchów z papieru i skóry, w cofającej się fali tysięcy rozbitków.

III. Ludzie w togach i ludzie z mieczami

„Ci, co są w grobie, milczą.

- Mówią, gdy Bóg zechce”

(P. Féval, Kawaler de Lagardère,

przekład Haliny Popławskiej)

Lakierowana podłoga potęgowała stukot obcasów sekretarki. Lucas Corso szedł w ślad za nią długim korytarzem, gdzie panowały jasnokremowa barwa ścian, dyskretne oświetlenie i muzyka ambientalna. Wreszcie doszli do masywnych dębowych drzwi. Postulnie odczekał, aż sekretarka odsunęła się na bok, posyłając mu krótki, zdawkowy uśmiech, i wszedł do gabinetu. Varo Borja siedział w fotelu z czarnej skóry, z ruchomym oparciem, między ważącym z pół tony mahoniem a oknem dającym cudowny widok na Toledo: na stare dachy koloru ochry, na gotycką iglicę katedry wykrojoną na tle jasnyniebieskiego nieba i na szarą bryłę alkazaru w głębi.

- Niech pan siada, Corso. Co słyhać?

- W porządku.

- Musiał pan czekać.

Nie były to przeprosiny, a jedynie stwierdzenie faktu. Corso wykrzywił usta.

- Nie szkodzi. Tym razem tylko trzy kwadransy.

Varo Borja nie zadał sobie nawet trudu przywołania lekkiego uśmiechu. Corso zajął miejsce w fotelu przeznaczonym dla gości. Na stole nie było nic oprócz skomplikowanego, nowoczesnie zaprojektowanego systemu telefonu i interkomu, stojącego na gładkim blacie, w którym odbijała się odwrócona sylwetka księgarza z pięknym pejzażem w tle. Varo Borja dobiegał pięćdziesiątki. Zdobila go opalona łysina, często wystawiana na działanie promieni ultrafioletowych, i władcze oblicze o nieokreślonym wyrazie. Oczka miał niewielkie, ruchliwe i przebiegłe. Swą nadmierną tuszę ukrywał pod obcisłymi fantazyjnymi kamizelkami i marynarkami sztytami na miarę. Był markizem czegoś tam, a jego burzliwa,

hulaszcza młodość obejmowała między innymi takie epizody jak notowanie w kartotekach policyjnych, skandal z oszustwem i cztery lata spędzone przezornie na dobrowolnym wygnaniu w Brazylii i Paragwaju.

- Coś panu pokażę.

Maniery miał szorstkie, nierzadko graniczące z umyślnym grubiaństwem, które pieczołowicie pielęgnował. Corso obserwował go, gdy tamten wstał z miejsca i skierował się ku niewielkiej gablotce, którą następnie otworzył wyciągniętym z kieszeni kluczykiem na złotym łańcuszku. Księgozbiór Vara Borji nie był przeznaczony dla publiczności i rynku (wyjąwszy stoiska rezerwowane dlań na najważniejszych targach międzynarodowych), nigdy też liczebność jego nie przekraczała pół setki starannie wybranych tytułów. Tropił rzadkie książki w najdalszych zakątkach świata, walcząc o nie zawzięcie i nieczysto, by potem spekulować w zależności od wahań rynku. Na jego przypuszczalnej liście figurowali kolekcjonerzy, konserwatorzy, rytownicy, drukarze i zaopatrzeniowcy - tacy jak Lucas Corso.

- Co pan o tym sądzi?

Corso sięgnął po wiekową książkę z ostrożnością, z jaką zwykli śmiertelnicy biorą w ramiona kilkumiesięczne dziecko. Oprawiona w równie starą kasztanową skórę ze złoceniami, była w znakomitym stanie.

- *La Hypnerotomachia di Poliphilo* Colonna - przeczytał. - Wreszcie pan tego dopadł.

- Trzy dni temu. Wenecja, rok 1545. *In casa di figlioli di Aldo*. Sto siedemdziesiąt drzeworytów. Ten Szwajcar, o którym pan mówił, jest wciąż zainteresowany?

- Chyba tak. Niczego nie brakuje?

- Niczego. Wszystkie ksylografie oprócz czterech to przedruki z wydania z 1499 roku.

- Mój klient wolałby pierwsze wydanie, ale spróbuję namówić go na drugie... Pięć lat temu jeden egzemplarz wymknął mu się z rąk podczas aukcji w Monako.

- Więc niech pan decyduje.

- Proszę mi dać kilka tygodni, żebym mógł się z nim skontaktować.

- Wolałbym zrobić to osobiście - Varo Borja uśmiechnął się jak rekin czyhający na kąpielowicza. - Oczywiście dostanie pan swój zwykły procent.

- Mowy nie ma. Szwajcar to mój klient.

Na twarzy tamtego pojawił się ironiczny uśmiech.

- Nikomu nie ufamy, co? Jak pan był dzieckiem, pewnie badał pan mleko własnej matki przed ssaniem.

- Za to pan by je pewnie odprzedał.

Varo Borja popatrzył uważnie na łowcę książek, który teraz nie miał w sobie nic z króliczka, a tym bardziej sympatycznego. Raczej przypominał wilka odsłaniającego z ukosa kły.

- Wie pan, Corso, co mi się w panu podoba? Naturalność, z jaką odgrywa pan rolę płatnego skrytobójcy, gdy tyle wokół mocnych w gębie demagogów... Takim niebezpiecznym chudzielcom jak pan nie dowierzał, zdaje się, Juliusz Cezar. Jak pan sypia?

- Jak niewinne dziecię.

- Jestem przekonany, że nie. Stawiam parę gotyków, że jest pan z tych, co to mają oczy szeroko otwarte w ciemnościach... Powiedzieć panu coś? Instynktownie nie wierzę chudzielcom pełnym ochoty i entuzjazmu. Posługuję się nimi tylko wówczas, gdy potrzeba mi dobrze płatnych najemników, ludzi bez korzeni i kompleksów. Nie mam zaufania do tych, co się popisują swoją ojczyzną, rodziną albo ideą.

Księgarz włożył z powrotem *Poliphilo* do gablotki i wybuchnął suchym śmiechem, bez cienia wesołości:

- Ma pan przyjaciół, Corso? Zastanawiam się czasem, czy ktoś taki może ich mieć.

- Niech się pan odpieprzy.

Propozycja ta została wypowiedziana z doskonałym chłodem. Varo Borja uśmiechnął się z wolna i z rozmysłem. Nie robił wrażenia obrażonego.

- Ma pan rację. Pana przyjaźń mnie nie obchodzi, kupuję pana lojalność najemnika, rzetelną i niezmienną. Tak czy nie? Honorowego zawodowca, który dopełnia umowy, choćby król, który mu zlecił zadanie, już zbiegł, bitwa była przegrana, a sytuacja bez wyjścia...

Spoglądał na Corsa z wyzywającą drwiną, badając jego reakcję. Ten jednak ograniczył się do niecierpliwego gestu, z jakim dotknął zegarka na lewym przegubie. Oczy miał zwrócone cały czas na Borję.

- Resztę może mi pan przesłać w liście - odezwał się. - Nie płaci mi pan za śmianie się z pańskich dowcipów.

Varo Borja zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie, wciąż rozbawiony, skinął głową.

- I znów ma pan rację, Corso. Wracamy do interesów - rozejrzał się, po czym przeszedł do rzeczy. - Przypomina pan sobie *Traktat o sztuce fechtunku* Astarloi?

- Tak. Wydanie z 1870 roku, wielka rzadkość. Dostarczyłem panu jeden egzemplarz przed kilkoma miesiącami.

- Ten sam klient prosi teraz o *Académie de l'espée*. Zna pan?

- Chodzi o książkę czy o klienta?... Jak się nie używa zaimków, powstaje bałagan w wypowiedziach.

W posępnym spojrzeniu Vara Borji błysnął ślad uznania za tę uwagę:

- Nie każdy wysławia się tak precyzyjną prozą jak pan, Corso. Mówiłem o książce.

- Elzewir z XVII wieku. Duże *in folio*, z rycinami. Uważany za najpiękniejszą rozprawę o szermierce. I najdroższą.

- Kupujący zapłaci tyle, ile będzie trzeba.

- No to musimy się spotkać.

Varo Borja zajął ponownie miejsce w fotelu przy oknie z panoramą zabytkowego miasta i założył nogę na nogę. Z zadowoloną miną wsunął kciuki w kieszonki kamizelki. Niewątpliwie interesy szły dobrze. Niewielu spośród jego najwybitniejszych europejskich kolegów po fachu mogło cieszyć się takim widokiem zza biurka. Na Corsie jednak nie robiło to wrażenia. Tacy ludzie jak Varo Borja byli od niego zależni - tego faktu zresztą nie trzeba było obu panom wyjaśniać.

Poprawił na nosie przekrzywione okulary i spojrzał na księgarza.

- Co robimy z *Poliphilem*?

W głowie Vara Borji niechęć walczyła z zainteresowaniem, zaś jego oczka zerknęły najpierw na gablotę, potem na gościa.

- Zgoda - przystał wbrew sobie. - Niech pan pertraktuje ze Szwajcarem.

Corso skinął głową, nie zdradzając satysfakcji z tego drobnego zwycięstwa. Nie było żadnego Szwajcara - ale tę informację zachował dla siebie. Na taką książkę zawsze znajdą się kupcy.

- Porozmawiajmy o pańskich *Dziwięciorgu Wrotach* - zaproponował, dostrzegając na twarzy księgarza nagłe ożywienie.

- Porozmawiajmy. Przyjmuje pan zlecenie?

Corso odgryzał skórkę na kciuku tuż przy paznokciu. Wreszcie wypluł ją delikatnie na czyściuteńki blat.

- A jeśli okaże się, że pański egzemplarz jest fałszywy, a autentyczny jest któryś z pozostałych dwóch? Albo żaden?

Varo Borja z rozdrażnieniem szukał skórki Corsa na biurku. W końcu dał za wygraną.

- W takim przypadku - odpowiedział - dostanie pan dobrą ocenę i postąpi pan według moich instrukcji.

- Jakich?

- Wszystko w swoim czasie.

- Będę nalegał. Jakich instrukcji? - widział, że księgarz waha się przez chwilę. W zakątku mózgu, gdzie ulokowany był jego instynkt łowiecki, coś nieoczekiwanego zaczęło tykać. Tik-tak. Niemal bezgłośny dźwięk rozregulowanej maszyny.

- O tym - odezwał się tamten - zdecydujemy za chwilę.

- O czym mamy decydować? - Corsa zaczynało to lekko irytować. - Jeden egzemplarz znajduje się w kolekcji prywatnej, a drugi należy do publicznej fundacji. Żaden nie jest na sprzedaż. To znaczy, że w tym momencie cała sprawa się kończy: i moje możliwości, i pańskie żądania. Powiadam panu: ten czy tamten jest fałszywy bądź też nie. W każdym przypadku po zakończeniu weryfikacji inkasuję swoje i cześć.

To nie takie proste, zdawał się mówić uśmiech księgarza.

- To zależy.

- Tego się obawiałem... Pan coś kombinuje, prawda?

Varo Borja uniósł rękę, przyglądając się jej odbiciu w wypolerowanej powierzchni stołu. Następnie opuścił ją powoli, aż zetknęła się z odbiciem. Corso popatrzył na tę szeroką włochatą dłoń z ogromnym złotym sygnetem na małym palcu. Znał ją aż za dobrze. Widział, jak podpisywała zlecenia wypłat z nie istniejących kont, jak zatwierdzała ewidentne fałszerstwa, jak ścisnęła czyjeś ręce, gdy głowa planowała już zdradę. Nadal słyszał to podejrzane tik-tak - i naraz poczuł przedziwne zmęczenie. Już nie był pewien, czy chce dostać tę pracę.

- Nie jestem pewien - odezwał się - czy chcę dostać tę pracę.

Varo Borja musiał wyczuć coś w jego głosie, bo zmienił nieco front. Teraz splótł palce pod brodą i znieruchomiał. Światło zza okna podkreślało połysk na jego idealnie opalonej łysinie. Zastanawiał się, nie spuszczać wzroku z Corsa.

- Nigdy panu nie mówiłem, dlaczego zostałem księgarzem?

- Nie. I guzik mnie to obchodzi.

Tamten wybuchł teatralnym śmiechem. Można było wnosić, że dobrowolnie dostosowuje się do rozmówcy. Corso mógł sobie okazywać irytację, ale i tak będzie musiał wykonać kolejne polecenie.

- Płacę panu, żeby słuchał pan tego, co mam ochotę mówić.

- Tym razem jeszcze pan nie zapłacił.

Księgarz wysunął szufladę, wyciągnął bloczek blankietów czekowych i położył je na stole. Corso tymczasem rozglądał się wokół z bezbronną rezygnacją. Teraz mógł albo powiedzieć „żegnam, miłego dnia”, albo zostać i czekać. Teraz też wypadało go poczęstować

drinkiem, ale gospodarzowi daleko było do Amfitriona. Wzruszył więc ramionami, muskając łokciem piersiówkę z dzinem, która wypychała mu jedną z kieszeni. To był jakiś absurd.

Doskonale wiedział, że nie pójdzie sobie, niezależnie od tego, czy mu się propozycja spodoba, czy nie. Varo Borja też to wiedział. Napisał jakąś liczbę, złożył podpis, wyrwał czek z bloczka i pchnął go w kierunku rozmówcy.

Corso zerknął na blankiet, nie biorąc go do ręki.

- Właśnie mnie pan przekonał - westchnął. - Zamieniam się w słuch.

Próżno by było szukać na twarzy księgarza wyrazu triumfu. Mignął tylko cień opanowanego i chłodnego przyzwolenia, tak jakby załatwiona właśnie sprawa napawała go wstrętem.

- Wszedłem w ten interes przez przypadek - zaczął opowieść. - Kiedyś okazało się, że nie mam w kieszeni ani grosza, a po zmarłym stryjecznym dziadku dziedzicę jedynie bibliotekę... Coś koło dwóch tysięcy tytułów, z czego może setka była cokolwiek warta. Wśród nich znajdowało się pierwsze wydanie *Don Kichota*, kilka trzynastowiecznych psalterzy i jeden z czterech istniejących egzemplarzy *Champfleury* Geoffroy Tory'ego... I co pan na to?

- Miał pan za dużo szczęścia.

- A więc przyznaje pan - skinął głową Varo Borja z wyrachowaną obojętnością. Jego relacja była wyzuta z samozadowolenia, jakim zazwyczaj grzeszą różni triumfatorzy, gdy mówią o sobie. - Wtedy zupełnie się nie orientowałem, że istnieją kolekcjonerzy rzadkich książek, ale domyśliłem się jednego: znajdą się ludzie gotowi zapłacić fortunę za białe kruki. A ja właśnie byłem w posiadaniu kilku z nich... Tak poznałem słowa i zwroty, o których istnieniu dotąd nie miałem bladego pojęcia, jak kolofon, ornament ząbkowy, złota proporcja czy tłoczenie wachlarzowe... Stopniowo rodziła się we mnie namiętność do tego biznesu i wielkie odkrycie: niektóre książki się sprzedaje, niektóre się zachowuje. W tym drugim przypadku bibliofilia staje się nową religią: porywa cię na całe życie.

- Jestem wzruszony. A teraz chciałbym się dowiedzieć, co *Dziewięcioro Wrót* i ja mamy wspólnego z pańską trudną drogą życiową.

- Wcześniej zapytał mnie pan, co będzie, jeśli mój egzemplarz okaże się fałszywy... Otóż mogę to panu zdradzić już teraz: on j e s t fałszywy.

- Skąd pan to wie?

- Wiem z absolutną pewnością.

Grymas, jaki pojawił się na twarzy Corsa, miał wyrażać jego opinię na temat „absolutnej pewności” w dziedzinie bibliofilii.

- Przecież w *Bibliografii powszechnej* Mateu i w katalogu Terral-Coy wymieniany jest jako autentyk...

- Owszem - kiwnął głową Varo Borja. - Tyle że u Mateu jest drobny błąd: wymienia się tam osiem zamiast dziewięciu faktycznych rycin... Zresztą tak zwana formalna autentyczność nie ma większego znaczenia. Zdaniem bibliografów egzemplarze Fargasa i Ungern też są w porządku.

- Może są. Wszystkie trzy.

Księgarz machnął ręką z powątpiewaniem.

- To niemożliwe. Akta procesu drukarza Torchii nie pozostawiają cienia wątpliwości: ocalał tylko jeden egzemplarz - przez jego twarz przemknął tajemniczy półuśmiech. - Poza tym mam też inne podstawy do mojej opinii.

- Na przykład?

- To już nie leży w pana zakresie.

- Więc po co jestem panu potrzebny?

Varo Borja odsunął się w tył z fotelem i wstał.

- Pan pozwoli ze mną.

- Już mówiłem - Corso pokręcił głową - że mnie ta historia nie interesuje.

- Kłamstwo. Pan umiera z ciekawości i gotów jest pan to zrobić za darmo.

Chwycił czek w dwa palce i wsunął go do kieszeni kamizelki. Następnie poprowadził Corsa spiralnymi schodkami piętro wyżej. Biuro księgarza znajdowało się na tyłach jego własnego domu - dużej średniowiecznej budowli w starej części miasta. Jej kupno i adaptacja kosztowały gospodarza fortunę. Corso podążał za nim korytarzem wiodącym do sieni i głównego wejścia, aż doszli do drzwi zabezpieczonych nowoczesnym urządzeniem alarmowym. Pokój był duży, posadzkę miał z czarnego marmuru, strop z grubych belek. Okna chroniły kraty, równie zabytkowe jak cały dom. Tu też znajdowało się biurko, skórzane fotele i wielki kamienny kominek. Na ścianach, pod którymi ustawione były regały pełne książek, Corso dojrzał piękne grafiki - Holbeina i Dürera, jak mógł ocenić.

- Ładne miejsce - przyznał. Nigdy przedtem tu nie był. - Ale zawsze mi się zdawało, że pan trzyma książki w piwnicy.

Varo Borja stanął obok niego.

- Te należą do mnie. Żadna nie jest na sprzedaż. Niektórzy zbierają powieści rycerskie, inni powieści dworskie. Jeszcze inni szukają wydań *Don Kichota* czy książek nie przyciętych przez introligatora. Te, które pan tu widzi, mają jednego bohatera: diabła.

- Mogę rzucić okiem?

- Po to pana przyprowadziłem.

Corso postąpił kilka kroków naprzód. Wszystkie księgi miały zabytkowe oprawy - od zwykłej skóry inkunabułów, rozpiętej na desce, po wykwintne marokiny z inkrustacjami i rozetami. Marmurowa posadzka szczęknęła pod jego zaniedbanymi butami, gdy przystanął przed jedną z oszklonych szaf i pochylił się ku napisom na grzbietach. *De spectris et apparitionibus* Juana Rivia. *Summa diabolica* Benedicta Casiana. *La haine de Satan* Pierre'a Crespeta. *Steganografia* opata Tritemio. *De Consummatione saeculi* Pontiana... Tytuły cenne i niezwykle rzadkie - większość z nich Corso znał jedynie z notek bibliograficznych.

- Czy jest coś piękniejszego? - odezwał się Varo Borja, z uwagą śledzący jego ruchy. - Piękniejszego niż ten połysk złocień na skórze widziany przez szybę? Nie mówiąc już o skarbach, jakie są wewnątrz: o całych stuleciach badań i gromadzonej wiedzy. O rozwiązaniach wszystkich tajemnic wszechświata i ludzkiego serca - uniósł nieco ramiona, a potem je opuścił, jakby rezygnując z wyrażenia swej dumy posiadacza. - Znam ludzi, którzy byliby zdolni zabić za taką kolekcję.

Corso skinął głową, nie odrywając wzroku od książek.

- Na przykład pan - zauważył. - Aczkolwiek nie osobiście. Tak by pan załatwił, żeby kto inny zabił w pana imieniu.

W śmiechu Vara Borji zabrzmiała pogarda.

- Oto jedna z korzyści posiadania pieniędzy: można wynająć zbirów do brudnej roboty i pozostać czystym jak dziewica.

Corso zerknął na księgarza.

- Jest to jakiś punkt widzenia - przyznał po chwili milczenia, jak gdyby istotnie medytował nad czymś. - Ja w każdym razie bardziej gardzę tymi, co to sobie rąk nie kalają. Dziewicami.

- Nie obchodzi mnie, kim pan gardzi, więc chyba możemy się zabrać do poważnych spraw.

Varo Borja przeszedł się wzdłuż szyb. Za każdą znajdowała się chyba setka książek.

- *Ars Diavoli...* - otworzył najbliższą szafę i przesunął pieśczośliwie palcami po grzbietach. - Nie znajdzie ich pan razem w żadnym innym miejscu. Najrzadsze, najstaranniej wybrane. Całe lata poświęciłem tej kolekcji, a wciąż brakowało mi jednego arcydzieła.

Wyciągnął jedną z książek, *in folio*, oprawioną w czarną skórę w stylu weneckim, bez tytułu na okładce, za to z pięcioma bindami na grzbiecie i złotym pentagramem z tyłu. Corso wziął tom do ręki i otworzył z największą ostrożnością. Na pierwszej zadrukowanej stronie - pierwotnie okładki - wszystko było po łacinie: *DE UMBRARUM REGNI NOVEN PORTIS* -

Księga Dziewięciorga Wrót do Królestwa Cieni. Dalej znak drukarza i dane o miejscu, nazwisku i dacie: *Venetiae, apud Aristidem Torceiam, M.DC.LX.VI. Cum superiorum privilegio veniaque.* Za specjalnym przyzwoleniem zwierzchników.

Varo Borja z zainteresowaniem obserwował efekt.

- Znać bibliofila - odezwał się - po sposobie dotykania książki.

- Nie jestem bibliofilem.

- Jasne. Ale czasami można panu zapomnieć pańską rolę najemnego żołdaka... Przy książkach pewne gesty bardzo uspokajają, a inne są właściwie zbrodnicze.

Corso przerzucił kilka kartek. Cały tekst był łaciński, ładnie wydrukowany na grubym papierze dobrej jakości, wciąż w znakomitym stanie. Księga zawierała dziewięć wspaniałych rycin, przedstawiających sceny w stylu średniowiecznym. Zatrzymał się nad jedną z nich, na chybił trafił. Nosiła łaciński numer V, obok którego widniała litera hebrajska (jednocześnie liczebnik) i - z drugiej strony - grecka. U dołu fragment słowa bądź też szyfr: *FR.ST.A.* Pod zamkniętymi drzwiami siedział człowiek o wyglądzie kupca i liczył złote monety, które wyjmował z wora, nie patrząc na stojący za nim szkielet, w jednej ręce dzierżący klepsydrę z piaskiem, a w drugiej wiejskie widły.

- Co pan sądzi? - spytał księgarz.

- Mówił pan, że jest fałszywy, a na to nie wygląda. Dobrze pan zbadał?

- Z lupą i co do najmniejszego przecinka. Miałem sporo czasu, kupiłem go pół roku temu, gdy spadkobiercy Gualteria Terrala postanowili sprzedać jego bibliotekę.

Łowca książek znów przerzucił parę stron. Ilustracje były przepiękne i tchnęły wytworną, a zarazem zagadkową prostotą. Na którejś ujrzał dziewczynę na chwilę przed ścięciem przez kata w zbroi, z mieczem uniesionym nad głową.

- Wątpię, żeby spadkobiercy wystawili na sprzedaż fałszyfikat - odezwał się przejrząwszy księgę. - Mają sporo forsy, a na książkach im nie zależy. Skatalogował tę bibliotekę sam dom aukcyjny Claymore... Poza tym ja znałem starego Terrala. Nigdy nie włączyłby do kolekcji egzemplarza podrobionego czy częściowo choćby sfabrykowanego.

- Zgadza się - przytaknął Varo Borja. - Co więcej, Terral odziedziczył *Dziewięcioro Wrót* po swoim teściu Lisardzie Coyu, bibliofilu o niewzruszonych zasadach.

- Który z kolei - Corso odłożył książkę na stół i z kieszeni płaszcza wyciągnął notes - kupił ją od Włocha Domenica Chiary, a jego rodzina, jeśli wierzyć katalogowi Weissa, posiadała ją od 1817 roku...

Księgarz skinął głową z zadowoleniem.

- Widzę, że zgłębił pan temat.

- Naturalnie, że tak - Corso popatrzył na niego, jakby usłyszał jakiś idiotyzm. - To moja praca.

Varo Borja wykonał pojednawczy gest.

- Nie wątpię w dobrą wiarę Terrala i jego spadkobierców - wyjaśnił. - Nie twierdę też, że ta książka nie jest z epoki.

- Powiedział pan, że jest fałszywa.

- Może słowo „fałszywa” nie jest najwłaściwsze.

- Więc proszę wyjaśnić. Wszystko pochodzi z tamtych czasów - Corso wziął na nowo książkę do ręki, przyłożył opuszek kciuka do brzegu stronic i kartkował szybko, wsłuchując się w dźwięk. - Nawet papier szeleści tak, jak trzeba.

- A jednak coś tu nie jest, jak trzeba. I nie chodzi o papier.

- Może ksylografie?

- A co z nimi?

- Nie pasują. Można by się raczej spodziewać miedziorytów. W 1666 roku już nie używano drzeworytu.

- Niech pan nie zapomina, że mamy do czynienia z wyjątkowym wydaniem. Ryciny są reprodukcjami dawniejszych ilustracji, które drukarz zapewne odkrył albo ujrzał.

- W *Delomelanikonie*... Naprawdę pan w to wierzy?

- Nie pana rzecz, w co ja wierzę. W każdym razie dziewięć oryginalnych rycin przypisuje się nie byle komu... Jak mówi legenda, po upadku i wygnaniu z niebios Lucyfer sporządził zbiór formuł magicznych na użytek swoich uczniów: przepis mistrzowski przyzywania Cienia. Straszliwą księgę, przechowywaną w tajemnicy, wielokrotnie paloną, sprzedawaną za cenę złota przez jej nielicznych, uprzywilejowanych posiadaczy... Te ilustracje są w rzeczywistości piekielnymi rebusami. Wsparte tekstem i odpowiednią wiedzą pomagały przywołać księcia Ciemności.

Corso przytaknął z przesadną powagą.

- Znam lepsze sposoby zaprzędania duszy.

- Niech pan nie żartuje, bo to poważniejsza sprawa, niż się może wydawać... Wie pan, co znaczy *Delomelanikon*?

- Chyba tak. Pochodzi z greki: *delo*, czyli przyzywać, i *melas*: czarny, mroczny.

Varo Borja zachichotał skrzekliwie i z aprobatą.

- Zapomniałem, że mam przed sobą odczytanego żołdaka. Ma pan rację: przywołać ciemności, a może dokonać iluminacji... O tej cudownej księdze wspominali prorok Daniel, Hipokrates, Józef Flawiusz, Albert Wielki i papież Leon III. Historia pisma ludzkiego liczy

sobie tylko sześć tysięcy lat, podczas gdy *Delomelanikon* jest ponoć trzykrotnie starszy... Pierwszą wzmiankę bezpośrednią znajdujemy w papirusie z Turis, zapisanym trzydzieści trzy stulecia temu. Następnie między pierwszym wiekiem przed a drugim wiekiem po Chrystusie kilkakrotnie pojawia się na kartach *Corpus Hermeticum*. Wedle *Asclemandres* księga ta pozwala „stanać oko w oko ze Światłością”... Znajduje się też w częściowym spisie zawartości Biblioteki Aleksandryjskiej przed jej trzecim i ostatecznym zniszczeniem w roku 646 - mowa jest tam wręcz o zawartych w niej dziewięciu magicznych zagadkach... Od tamtej pory jej ślad to pojawia się, to znika wśród pożarów, wojen i katastrof.

Corso wyszczerzył zęby w niedowierzającym uśmiechu.

- Jak zwykle. Wszystkie cudowne księgi mają tę samą legendę: od Thota po Nicolasa Flamela. Kiedyś jakiś maniak chemii hermetycznej zlecił mi zdobycie ksiąg cytowanych w bibliografii Fulcanello i jego uczniów. Nie było sposobu, żeby go przekonać, że połowa tamtych tytułów nigdy nie została napisana.

- Tę księgę napisano na pewno. Jakimś potwierdzeniem jej istnienia może być umieszczenie *Delomelanikonu* przez Święte Oficjum na indeksie... I co pan na to?

- Jakie ma znaczenie, co ja na to? Niejeden adwokat nie wierzy w niewinność swojego klienta, ale doprowadza do jego uniewinnienia.

- O to chodzi. Ja wynajmuję pańską sprawność, a nie wiarę.

Corso znów zajął do książki. Na innej ilustracji, opatrzonej numerem I, widać było warowne miasto na wzgórzu. W jego stronę zmierzał konno dziwny mężczyzna bez broni, trzymający palec na ustach, jakby namawiał do współuczestnictwa w spisku albo do milczenia. Towarzyszące rycinie słowa brzmiały: *NEM. PERV.T QUI N.N LEG. CERT.RIT.*

- To abrewiatura, łatwa do rozszyfrowania - wyjaśnił Varo Borja, obserwując jego zachowanie. - *Nemo pervenit qui non legitime certaverit...*

- „Nie trafi tam nikt, kto w walce nie przestrzega reguł”?

- Mniej więcej. Na razie jest to jedyna z dziewięciu maksym, jaką jesteśmy w stanie objaśnić z całą pewnością. Niemal identyczna figuruje w dziełach Rogera Bacona, specjalisty w dziedzinie demonologii, kryptografii i magii... Bacon utrzymywał, że jest posiadaczem *Delomelanikonu*, który wcześniej należał do króla Salomona, księgi z kluczami do straszliwych tajemnic, składającej się z ilustrowanych zwojów pergaminu. Została ona spalona w 1350 roku na osobiste polecenie papieża Innocentego VI, który oznajmił: „Zawiera sposoby na przyzywanie demonów...” Trzy wieki później Aristide Torchia postanowił wydrukować ją w Wenecji z oryginalnymi ilustracjami.

- Są zbyt doskonale - zaproponował Corso. - Nie mogą być oryginalne: mają za mało archaiczny styl.

- Tu się zgadzamy. Niewątpliwie Torchia rzecz zaktualizował.

Na innej rycinie, noszącej numer III, widniał most na rzece zaopatrzony w ufortyfikowane bramy. Podniósłszy wzrok, Corso ujrzał enigmatyczny uśmiech Vara Borji: księgarz wyglądał teraz jak alchemik, świadom tego, co się warzy w jego tyglu.

- I ostatnie ogniwo - rzekł tamten. - Giordano Bruno, męczennik za sprawę racjonalizmu, matematyk i orędownik teorii o krążeniu Ziemi wokół Słońca... - tu Varo Borja machnął z lekceważeniem ręką, jakby te rzeczy uważał za drugorzędne. - To jednak tylko część jego dzieł, liczących sześćdziesiąt jeden tomów. Magia zajmuje tam bardzo ważne miejsce. Niech pan zauważy: Bruno bezpośrednio wspomina *Delomelanikon*, używając greckich słów *delo* i *melas*, po czym dodaje: „Na drodze tych, co wiedzy pragną, *Dziewięcioro Wrót* sekretnych się znajduje”. Wcześniej mówi o sposobach na to, by Światłość rozblęła ponownie. „*Sic luceat Lux*” - pisze. Zbiegiem okoliczności, tych samych słów - tu Borja wskazał Corsowi znak drukarza: drzewo rozszczepione przez piorun, wąż i dewiza - używa Aristide Torchia na frontyście *Dziewięciorga Wrót*... Jak pan to widzi?

- Widzę nienajgorzej. Ale to wcale nie musi być to samo. Łatwo jest nadać dowolne znaczenie jakemukolwiek tekstowi, a już zwłaszcza dawnemu i pisanemu dwuznacznie.

- A przynajmniej ostrożnie. Z tym że Giordano Bruno akurat zapomniał o złotej zasadzie przetrwania: *Scire, tacere*. Wiedzieć i milczeć. Najwyraźniej wiedział wystarczająco dużo, ale mówił ponad miarę. Zbiegów okoliczności jest więcej: Giordano Bruno zostaje ujęty w Wenecji, uznany za zatwardziałego heretyka i spalony żywcem w Rzymie na Campo dei Fiori w lutym 1600 roku. Tym samym szlakiem, przez te same miejsca i w te same dni podąża sześćdziesiąt siedem lat później Aristide Torchia: pojmany w Wenecji, torturowany w Rzymie, spalony na Campo dei Fiori w lutym 1667. W tym czasie - niech pan zwróci uwagę - już niewielu ludzi trafiało na stos, a on trafił.

- Odczuwam podziw - rzekł Corso, nie odczuwając go w ogóle.

W cmoknięciu Vara Borji odezwała się uraza.

- Zastanawiam się czasami, czy pan potrafi w cokolwiek uwierzyć.

Corso przywołał na twarz wyraz zastanowienia, po czym wzruszył ramionami.

- Kiedyś w coś tam wierzyłem... Byłem młody i okrutny. Dzisiaj mam czterdzieści pięć lat, jestem stary i okrutny.

- Ja też. Ale są takie sprawy, w które wierzę. Sprawy, od których tętno mi rośnie.

- Na przykład pieniądze?

- Niech pan nie kpi. Pieniądze są kluczem do mrocznych drzwi ludzkiego wnętrza. Kupują mi chociażby pana. Dzięki nim mogę sobie pozwolić na jedyną rzecz na tym świecie, jaką szanuję: na te książki - przeszedł się po pokoju wzdłuż przepelnionych szaf. - Są stworzone na obraz i podobieństwo tych, co napisali owe stronicie. Odzwierciedlają ich zajęcia, tajemnice, pragnienia, życie, śmierć... Są materią żywą: trzeba umieć je nakarmić, ochronić...

- I wykorzystać.

- Czasami.

- A ta nie działa.

- Nie działa.

- Próbował pan.

Corso nie pytał, tylko stwierdzał. Varo Borja posłał mu nieprzyjazne spojrzenie.

- Zglupiałeś pan. Wystarczy powiedzieć, że jestem pewien jej nieautentyczności. Dlatego chcę ją porównać z pozostałymi egzemplarzami.

- Upieram się, że ten nie musi być fałszywy. Wiele książek pochodzących z tego samego wydania różni się między sobą... Tak naprawdę nie ma dwóch identycznych, bo już w momencie narodzin każda nabiera swoich drobnych właściwości. Później też każdy tom żyje własnym życiem: wypadają kartki, pojawiają się dodruki brakujących albo zupełnie nowe strony, dochodzą oprawy... Po latach dwie książki wydrukowane w tej samej prasie mogą być zupełnie do siebie niepodobne. Czemu nie miałyby tak być w tym przypadku?

- Niech pan to sprawdzi. Niech pan zbada *Dziwięcioro Wrót*, jakby chodziło o zbrodnię. Niech pan pójdzie każdym tropem, przebadaj każdą stronę, każdą rycinę, papier, oprawę... Niech pan sięgnie wstecz w tym śledztwie i dowie się, skąd pochodzi mój egzemplarz. Potem w Sintrze i Paryżu zrobi pan to samo z pozostałymi.

- Wiele by mi pomogła informacja, na jakiej podstawie twierdzi pan, że ten jest fałszywy.

- Nie mogę panu powiedzieć. Niech pan zaufa mojej intuicji.

- Pańska intuicja będzie pana kosztować sporo forsy.

- A pan niech ją po prostu wydaje.

Wyciągnął z kieszeni czek i wręczył Corsowi, który z wahaniem obrócił go w palcach.

- Dlaczego płaci mi pan z góry? Nigdy pan tego nie robił.

- Będzie pan miał dużo wydatków. Musi pan z czymś wystartować - podał gościowi grubą teczkę z dokumentami. - Tu ma pan wszystko, co udało mi się sprawdzić odnośnie do tej księgi. Może się panu przydać.

Corso nadal wpatrywał się w czek.

- To za dużo jak na zaliczkę.
- A nuż pojawią się jakieś komplikacje...
- Co pan powie...

Słyszając te ironiczne słowa, księgarz odchrząknął. Dochodzili do sedna sprawy.

- Jeśli wszystkie trzy egzemplarze są fałszywe albo niekompletne - ciągnął - kończy pan pracę i zamykamy sprawę... - przerwał, pogładził dłonią opaloną łysinę i uśmiechnął się z trudem do Corsa. - Ale któraś książka może się okazać autentycznym i wtedy dostanie pan więcej pieniędzy. Bo w takim przypadku będę ją chciał mieć dla siebie niezależnie od środków i kosztów.

- Żartuje pan, prawda?
- Nie w głowie mi żarty, Corso.
- To nielegalne.
- Już pan robił różne rzeczy nielegalnie.
- Ale nie tego formatu.
- Nikt panu nie płacił tyle, ile ja zapłacę.
- A jaką mam gwarancję?

- Pozwalam panu zabrać ze sobą tę książkę jako materiał porównawczy... Czyba wystarczająca gwarancja?

Tik-tak. Corso, wciąż trzymając *Dziewięcioro Wrót* w dłoni, wsunął czek między strony niczym zakładkę i zdmuchnął z książki niewidoczny pył. Następnie oddał ją księgarzowi.

- Przed chwilą mówił pan, że za pieniądze można wszystko kupić, więc niech pan się o tym przekona osobiście. Niech się pan spotka z właścicielami i sam umoczy dupę.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, zastanawiając się, ile kroków zdąży zrobić, nim Varo Borja się odezwie. Trzy.

- To nie jest zadanie dla ludzi w togach - powiedział gospodarz - ale dla ludzi z mieczami.

Zmienił się ton jego głosu. Zabrakło aroganckiej pewności siebie i lekceważenia wobec zatrudnianego najemnika. Anioł - wyryty przez Dürera - trzepotał skrzydłami łagodnie w oszklonej ramce na ścianie, a tymczasem buty Corsa powoli zawróciły na czarnym marmurze posadzki. Między pełnymi książek szafami a okratowanym oknem z widokiem na katedrę stał Varo Borja, mając wokół siebie wszystko, co mógł kupić za pieniądze, i zakłopotany mrugał powiekami. Na jego ustach jeszcze trwał arogancki uśmiešek. Nawet

palce stukały z mechaniczną pogardą w okładkę książki. Ale Lucas Corso na długo przed tą chwalebą chwilą nauczył się dostrzegać w cudzych oczach klęskę. Oraz strach.

Tętno miał spokojne, w sercu satysfakcję. Bez słowa podszedł do Vara Borji, wyciągnął czek spomiędzy kart *Dziwięciorga Wrót* i złożony go starannie, wsunął do kieszeni. Następnie wziął teczkę i książkę.

- Będę z panem w kontakcie - rzekł wreszcie.

Wiedział, że kości zostały rzucone, że właśnie wkroczył na planszę niebezpiecznej gry i że za późno na wycofanie się. Ale on lubił grę. Szedł w dół schodami i śmiał się pod nosem, zostawiając za sobą echo tego śmiechu. Varo Borja mylił się: pewnych rzeczy nie da się kupić za pieniądze.

Schody przy głównym wejściu wychodziły na dziedziniec z ocembrowaną studnią i dwoma marmurowymi lwami weneckimi, oddzielony od ulic kutym ogrodzeniem. Od strony Tagu ciągnęło nieprzyjemną wilgocia, toteż Corso zatrzymał się pod mauretańskim łukiem sklepiającym wejście i postawił kołnierz płaszcza. Ruszył wąskimi, cichymi uliczkami o nierównym bruku, aż doszedł do placu z bezlistnymi wciąż kasztanowcami, rosnącymi u stóp dzwonnicy kościoła. Znalazł tu bar z żelaznymi stolikami, a w nim prostokątną plamę ciepłego słońca. Usadowił się w ogródku, a jego zdrętwiałe ciało zaczęło tajać. Dwie szklanki dzinu bez lodu na dzień dobry zdołały unormować sytuację wewnętrzną. Dopiero teraz otworzył teczkę dotyczącą *Dziwięciorga Wrót* i zajął się nią na serio.

Były tam czterdzieści dwie strony maszynopisu informującego o wszystkich historycznych przejściach książki, zarówno domniemanego oryginału - *Delomelanikonu*, czyli *Przywołania Ciemności* - jak i dzieła Torchii *Dziwięciorgo Wrót do Królestwa Cieni*, wydane w Wenecji w 1666 roku. Były też aneksy: bibliografia, fotokopie cytatów z tekstów klasycznych i dane dotyczące pozostałych dwóch znanych egzemplarzy - ich właścicieli (aktualne adresy), przypadków konserwacji, dat nabycia.

A ponadto transkrypcja akt procesowych Aristidego Torchii i relacja naocznego świadka, niejakiego Gennara Galeazza, który opisywał ostatnie chwile nieszczęsnego drukarza:

„...Wstąpił na szafot, z Bogiem się nie pojednał, i milczał uparcie. Gdy ogień podłożono, dym dusić go począł. Oczy z orbit mu wyszły,; onże zaś zakrzyknął okrutnie, Ojcu się polecając. Wielu przytomnych żegnało się, w chwili śmierci bowiem o łaskę Boga błagał. Inni zaś powiadają, jako to ku dołowi, to jest ku wnętrzu ziemi krzyczał...”

Po przeciwnej stronie placu przejechał samochód, znikając w uliczce wiodącej do katedry. Silnik warkotał jeszcze chwilę za rogiem, jak gdyby kierowca zatrzymał się na moment, po czym oddalił się w dół ulicy. Corso ledwie odnotował ten fakt, zatopiony w lekturze książki.

Pierwsza strona była pierwotną okładką, druga - kompletnie czysta. Na trzeciej rozpoczynał się właściwy tekst, opatrzony pięknym inicjałem N. Był to tajemniczy wstęp.

Nos p.tens. L.f.r, juv.te Stn. Blz.b, Lvtn, Elm, atq Ast.rot. ali.q, h.die
ha.ems ace.t pct fo.de.is c.mt. qui no.st; et h.ic pol.icem am.rem mul. flo.em
virg.num de.us mon. hon v.lup et op. For.icab tr.d.o, eb.iet i.li c.ra er. No.is
of.ret se.el in ano sag. sig. s.b ped. cocul.ab sa Ecl.e et no.s. r.gat i.sius er.t; p.ct
v.v.t an v.q fe.ix in t.a hom. et ven .os.ta int. nos ma.et D:

Fa.t in inf int co.s daem.

Satanas. Belzebub, Lcfr, Elimi, Leviathan, Astaroth

Siq pos mag. diab. et daem. pri.cp dom.

Po tym wstępie, którego autorstwo wydawało się oczywiste, zaczynał się tekst. Corso przeczytał pierwsze linijki.

D. mine mag. que L. fr, te D.um m. Et.pr ag.sco. et pol.cor t ser.ire,
a.ob.re quam.d p. vvre; et rn.io al.rum d. et js.ch.st. et a.s sn.ts tq.e s.ctas e.
Ec.les. apstl. et rom. et om. i sc.am. et o.nia ips. s.cramen. et o.nes atio et r.g.
q.ib fid. pos.nt int.rcd. p.o me; et t.bi po.lceor q. fac. qu.tqu.t m.lum pot., et
atra. ad mala p. omn. Et ab. rncio chrsm. et b.ptm et omn...

Podniósł wzrok na portyk kościoła, na którego obłąkach widniały sceny z Sądu Ostatecznego, spatynowane na skutek deszczu i zmiennej pogody. Poniżej, w dzielącej odrzwia na dwie części kolumnie znajdowała się nisza. Schroniony w niej Pantokrator z gniewną miną unosił prawicę, przywodząc na myśl raczej karę niż łaskę. W lewej dzierzył otwartą księgę - i Corso nie mógł opędzić się od nieuchronnych skojarzeń. Rozejrzał się wokół, popatrzył na wieżę kościelną i otaczające budynki, których fasady wciąż nosiły herby biskupie, i pomyślał, że także one były niegdyś świadkami egzekucji inkwizycyjnych. Ostatecznie jesteśmy w Toledo. W tyglu tajemnych kultów, misteriów inicjacyjnych, fałszywych przechrztów. I heretyków.

Pociągnął tęgi łyk dzinu i wrócił do książki. Łaciński tekst, pisany abreviaturą, zapełniał sto pięćdziesiąt siedem stronic. Ostatnia była pusta. Pozostałe dziewięć stanowiły słynne ryciny, inspirowane wedle legendy przez samego Lucyfera. U góry każdej ksylografii widniały liczby: rzymska, hebrajska i grecka, na dole zaś inskrypcja łacińska, napisana takim

samym szyfrem jak cała księga. Corso zamówił trzeci dzin i przyjrzał im się uważnie. Przypominały figury Tarota albo średniowieczne alegorie: król i żebrak, pustelnik, wisielec, śmierć, kat. Na ostatniej rycinie był smok, którego dosiadała piękna kobieta. Zbyt piękna jak na ówczesną moralność zdeterminowaną przez Kościół.

Identyczną ilustrację znalazł na fotokopii stronicy z *Bibliografii powszechnej* Mateu, aczkolwiek naprawdę wcale nie była identyczna. Corso miał w dłoni egzemplarz z biblioteki Terral-Coy, tymczasem zreprodukowany u Mateu drzeworyt pochodził - jak pisał w 1929 roku znawca z Majorki - z innej księgi:

„Torchia (Aristide). De Umbinrum Regni Novem Portis. Venetiae, apud Aristidem Torchiam. MLCLXVI. In folio. 160 str. w tym okł. 9 rycin drzew, poza pagin. Bardzo rzadkie. Znane tylko 3 egz. Biblioteka Fargas, Sintra, port. (zob. ilustr.). Biblioteka Coy, Madryt, hiszp. (brak ryc. 9). Biblioteka Morel, Paryż, fr.”

[##MATEU.jpg](#)

Brak ryciny numer 9. Jak stwierdził Corso, informacja była nieprawdziwa. Ksylografia dziewiąta jak najbardziej znajdowała się na miejscu w egzemplarzu, który miał przed sobą - kiedyś Biblioteka Coy, później Terral-Coy - obecnie należącym do Vara Borji. Winę ponosił albo chochlik drukarski, albo sam stary Mateu. W 1929 roku, kiedy opublikowano *Bibliografię powszechną*, technika druku i mechanizm rozpowszechniania pozostawiały wiele do życzenia. Wielu erudytów wspominało książki, o których słyszeli od osób trzecich. Możliwe, że wybrakowanym egzemplarzem był któryś z pozostałych. Corso zapisał coś na marginesie. To trzeba było sprawdzić.

Zegar wybił trzecią. Z wieży i z dachów uniosły się spłoszone gołębie. Corso wzdrygnął się, jakby powoli wracał do siebie. Pomacał się po ubraniu, wyjął z kieszeni banknot i zostawiwszy go na stoliku, ruszył piechotą. Dzięki dzinowi odczuwał przyjemny dystans - dźwięki i obrazy rzeczywistości docierały jak przez watę. Teczkę i księgę wsunął do brezentowej torby, którą przewiesił przez ramię. Na chwilę przystanął, żeby podziwiać zagniewanego Pantokratora na portyku kościoła. Nie spieszył się, zresztą wołał się trochę rozruszać, dlatego postanowił na stację kolejową iść piechotą.

Doszedłszy do katedry skręcił w krążanek - tędy było krócej. Minął zamknięty kiosk z pamiątkami dla turystów i stanął, patrząc przez moment na opuszczone rusztowania pokrywające odnawiane freski. W tym bezludnym miejscu jego kroki odbijały się głośnym echem od sklepienia. W pewnej chwili chyba usłyszał coś za plecami. Jakiś ksiądz spóźnił się do konfesjonału.

Przez furtkę w metalowym ogrodzeniu wyszedł na ciasną, ciemną uliczkę. Mury kamienic wyniszczyły stały ruch samochodów. Nagle usłyszał warkot silnika gdzieś poza zasięgiem wzroku, z lewej strony - musiał zwrócić się ostro w przeciwnym kierunku. Ujrzał znak drogowy - trójkąt informujący o zężeniu jezdni - i akurat gdy był na jego wysokości, pojazd wyraźnie przyspieszył. Teraz odgłos dobiegał z za pleców. „Za szybko” - pomyślał, chcąc odwrócić twarz w drugą stronę. Zdołał wykonać ten gest połowicznie, ale to wystarczyło, żeby dostrzec zbliżającą się ku niemu ciemną masę. Refleks miał osłabiony po dzinie, ale przypadkowo wciąż widział znak drogowy. Instynktownie rzucił się ku niemu, aby choć trochę się schronić między metalowym słupkiem a ścianą. Oparł się ciałem o ten zaimprovizowany parawan, dzięki czemu wóz zahaczył tylko o rękę. Uderzenie było tak suche i bolesne, że Corsowi aż się ugięły kolana. Padł na nierówny bruk. Zobaczył jeszcze, że samochód z piskiem opon zniknął już w dole uliczki.

Rozcierając stłuczoną rękę, Corso podążał znów ku dworcowi. Tym razem jednak co chwila spoglądał za siebie, a torba z Dziewięciorgiem Wrót dosłownie paliła go w ramie. Ulotny widok trwał może ze trzy sekundy, jednak to wystarczyło: tym razem nie siedział w jaguarze, tylko w czarnym mercedesie, ale nadal był to brunet z wąsem i blizną na twarzy. I chciał go przejechać. Ten sam co w barze Makarowej. Ten sam, którego widział w uniformie kierowcy, czytającego gazetę przed domem Liany Taillefer.

IV. Człowiek z blizną

„Skąd przybył, tego nie wiem,
ale mogę panu powiedzieć, dokąd zmierza:
z całą pewnością do piekła”.
(A. Dumas, *Hrabia Monte Christo*,
przekład Juliana Rogozińskiego)

Zmierzchało, kiedy Corso dotarł do domu, wciąż czując pulsowanie stłuczonej ręki, którą trzymał w kieszeni płaszcza. Udał się do łazienki, podniósł z podłogi zmiętą piżamę i ręcznik i trzymał obolały nadgarstek przez pięć minut pod strumieniem zimnej wody. Następnie w kuchni otworzył kilka puszek i zjadł kolację na stojąco.

Dziwny to był dzień - i niebezpieczny. Rozmyślał nad nieoczekiwanym przebiegiem wypadków, ale raczej z zaciekawieniem niż z niepokojem. Już od dawna jego stosunek do niespodziewanych zdarzeń ograniczył się do beznamiętnego fatalizmu człowieka, który po prostu czeka na kolejne zrzędzenia losu. Takie niezaangażowanie i obojętność wykluczały wszelki heroizm. Aż do tego popołudnia w tolekańskiej uliczce to jemu zawsze przypadała rola wykonawcy. Ofiarami byli inni. Każde kłamstwo czy argument w pertraktacjach wypowiadał bezosobowo, bez obciążeń moralnych. Ludzi i przedmioty traktował jedynie jako obiekty swojej pracy. Lucas Corso pozostawał na boku, był najemnikiem związanym tylko należnym mu i ustalonym wynagrodzeniem. Ten trzeci, neutralny uczestnik. Kto wie, może dzięki tej postawie czuł się zawsze poza niebezpieczeństwem. Podobnie, gdy zdejmował okulary, kontury odległych osób i przedmiotów rozmywały się i zacierały, co pozwalało pominąć w ogóle ich fizyczną egzystencję. Tym razem jednak całkiem konkretny ból stłuczonej ręki i poczucie zagrożenia wtargnęły w jego życie, informując go, że nikt inny, tylko on był celem, a to z kolei mogło oznaczać istotne zmiany na widnokręgu. Lucas Corso, wielokrotny odtwórca roli kata, nie zwykł uważać się za ofiarę. I to nie dawało mu spokoju.

Czuł nie tylko ból, ale także wynikający z napięcia skurcz mięśni i suchość w ustach. Otworzył więc butelkę bolsa i pogrzebał w torbie brezentowej w poszukiwaniu aspiryny. Zawsze miał przy sobie jej zapas, przechowywany wraz z książkami, ołówkami i długopisami, na wpół zapelnionymi notesami, wieloczynnościowym scyzorykiem szwajcarskim, paszportem i pieniędzmi, pękatem skorowidzem telefonicznym i kolejnymi książkami, własnymi i cudzymi. Dzięki takiemu bagażowi mógł w dowolnym momencie zniknąć, nie zostawiając nic za sobą - jak ślimak ze swoją muszlą. Ta torba zastępowała mu dom, pozwalała mu zagnieździć się, gdziekolwiek rzucił go los albo wymagania klientów: na lotniskach, dworcach kolejowych, w zakurzonych bibliotekach europejskich, pokojach hotelowych, łączących się w jego pamięci w jedno mieszkanie o zmiennych ścianach. Jego życie było ciągiem raptownych, bezsensownych przebudzeń - zrywał się w ciemności, po omacku szukał kontaktu, zdezorientowany i otumaniony wpadał na telefon. Mętne chwile zakotwiczone w życiu i w świadomości. Nigdy w ciągu tych pierwszych trzydziestu sekund po przebudzeniu, kiedy ciało już jest przytomne, a myśl i pamięć jeszcze nie, nie był pewien niczego, nawet samego siebie.

Zasiadł przed komputerem, kładąc na stoliku i po lewej stronie notatniki i różne pomocne książki. Po prawej położył *Dziewięcioro Wrót* i dokumentację, którą dostał od Vara Borji. Następnie odchylił się do tyłu na krześle i trwał tak przez pięć minut, nie podnosząc nawet do ust zapalonego papierosa, który trzymał w palcach. Dopijał tylko haustami resztę dzinu, gapiąc się w pusty ekran monitora i pentagram zdobiący okładkę książki. Wreszcie jakby się ocknął. Zdusił niedopałek w popielniczce i poprawiwszy sobie na nosie przekrzywione okulary, rzucił się w wir pracy. Treść teczki Vara Borji pokrywała się z hasłem w *Encyklopedii drukarzy oraz książek rzadkich i osobliwych* Crozeta:

TORCHIA, Aristide. Drukarz, rytownik i intrologator wenecki (1620-1667), Znak drukarski: wąż i drzewo rozszczepione przez piorun. Terminował w Lejdzie (Holandia), w warsztacie Elzevierów. Po powrocie do Wenecji sporządził cykl dzieł filozoficznych i hermetycznych, niewielkiego formatu (12°, 16°), bardzo wysoko ocenionych. Szczególnie cenne były *Sekrety Wiedzy Nicolasa Tamissa* (3 t., 12°, Wenecja 1650) i osobliwy *Klucz do myśli zniewolonych* (1 t., 132 x 75 mm, Wenecja 1650), *Troje Książ Sztuki* Paola d'Este (6 t., 8°, Wenecja 1659), *Objaśnienie tajników i figur hieroglificznych*, Wenecja 1659), przedruk *Słowa utraconego* Bernarda Treuisana (11, 8°, Wenecja 1661) i *Dziewięcioro Wrót do Królestwa Cieni* (1 t., m folio, Wenecja 1666). Wydanie tego ostatniego dzieła ściągnęło nań Inkwizycję. Jego warsztat

zniszczono wraz z całym nakładem już wydrukowanym i przygotowanym jeszcze do druku. Torchię spotkał ten sam los co jego dzieło. Oskarżony o magię i czarno-księstwo, spłonął na stosie 17 lutego 1667 roku.

Odsunął się od komputera i jął badać pierwszą stronę dzieła, które kosztowało Wenecjanina życie. *DE UMBRARUM REGNI NOVEM PORTIS* - brzmiał tytuł. Poniżej widniał znak typograficzny: podpis drukarza. Czasem jest to zwykły monogram, czasem zaś zawija ilustracja. W przypadku Aristidego Torchii, zgodnie z tym, co pisał Crozet, znak składał się z rysunku drzewa, którego gałąź odpadła na skutek uderzenia gromu. Wokół pnia owinięty był wąż pożerający własny ogon. Rycinie towarzyszyła dewiza: *Sic luceat Lux*. Oby rozblęła Światłość. Na samym dole umieszczono miejsce, nazwisko i datę: *Venetiae, apud Aristidem Torchiam*. Drukowano w Wenecji, w domu Aristidego Torchii. Jeszcze niżej, pod małym ornamentem: *M.DC.LX.VI. Cum superiorum privilegio veniaque*. Za specjalnym przyzwoleniem zwierzchników.

Corso znów zasiadł do klawiatury:

Egzemplarz bez ekslibrisu i ręcznych dopisków. Według katalogu aukcyjnego kolekcji Terral-Coy - kompletny. Błąd u Mateu (8 zamiast 9 rycin w nin. egzemplarzu). In folio, 299 x 215 mm. 2 zewnętrzne kartki czyste, 160 stron i 9 ksylografii poza tekstem, oznaczonych numerami od I do VIII. Strona i tytułowa ze znakiem drukarskim, 157 stron tekstu. Ostatnia czysta, bez kolofonu. Ryciny pionowe, zajmujące całą stronicę. Verso czyste.

[##OBRAZKI 01-09.png](#)

Przyjrzał się po kolei wszystkim ilustracjom. Varo Borja twierdził, że oryginały przypisywano ręce samego Lucyfera. Każdej ksylografii towarzyszyła cyfra rzymska, jej ekwiwalent hebrajski i grecki i zdanie łacińskie zaszyfrowane za pomocą abrewiatury. Pisał dalej:

I. NEM. PERV.T QUI N.N LEG. CERT.RIT Rycerz jedzie konno ku ufortyfikowanemu miastu. Palec na jego ustach doradza ostrożność lub milczenie.

II. CLAUS. PAT. T: Pustelnik przed zamkniętymi drzwiami. Latarnia na ziemi, dwa klucze w dłoni. Towarzyszy mu pies. Obok znak podobny do litery hebrajskiej tet.

III. VERB. D.SUM C.S.T ARCAN.: Włóczęga, a może pielgrzym, zmierza w kierunku mostu na rzece. Na każdym krańcu mostu warowna wieża z zamkniętym przejściem. Łucznik na chmurze wypuszcza strzałę w stronę drogi wiodącej ku mostowi.

III. (Liczebnik rzymski zapisany w ten sposób, a nie, jak zwykle, IV) FOR. N.N OMN. A.QUE: Błazen przed kamiennym labiryntem. Drzwi wejściowe też są zamknięte. Trzy kości do gry, rozrzucone na ziemi; widoczne są trzy boki każdej z nich, odpowiadające numerom 1, 2 i 3.

V. FR.ST.A.: Skąpiec czy też kupiec przelicza złoto, które ma w worku. Za jego plecami stoi śmierć trzymająca w jednej ręce klepsydrę piaskową, w drugiej wiejskie widły.

VI. DIT.SCO M.R.: Wisielec, taki jak w Tarocie, powieszony za jedną stopę, ręce ma związane na plecach. Zwisa z blanku zamkowego obok zamkniętej furty. Przez otwór strzelniczy wysuwa się ręka w rycerskiej rękawicy, ściskająca płonący miecz.

VII. DIS.S P.TLR M.: Król i żebrak grają w szachy na planszy z samymi białymi polami. Przez okno widać Księżyc. Pod oknem, obok zamkniętych drzwi, walczą ze sobą dwa psy.

VIII. VIC. I.T VIR.: Pod murami miasta klęcząca kobieta pochyła odsłoniętą szyję przed katem. W głębi widać koło Fortuny z trzema postaciami ludzkimi: jedna stoi na szczycie, druga zmierza w górę, trzecia w dół.

VIII. (Też w ten sposób, zamiast przyjętego IX). N.NC S.C.O TEN.BR. LUX: Siedmiogłowy smok, którego dosiada naga kobieta. Trzyma ona w ręku otwartą księgę, a półksiężyc zasłania jej przyrodzenie. W głębi na wzgórzu płonący zamek, do którego brama jest zamknięta jak i na pozostałych ośmiu rycinach.

Odsunął się od klawiatury, pomasaował zdrętwiałe mięśnie i ziewnął. Pokój, oświetlony tylko biurkową lampą i odbłaskiem monitora, tonął w półmroku. Przez szyby sączyła się wąfła poświata ulicznych latarni. Podeszedł do okna i wyjrzał, nie bardzo wiedząc, co właściwie spodziewa się zobaczyć. Może samochód zaparkowany na chodniku, ze

światłami wygaszonymi i ciemną sylwetką wewnątrz. Jednak nic jakoś nie zwróciło jego uwagi. Tylko w pewnej chwili pomiędzy ciemnymi bryłami domów zawyła syrena oddalającej się karetki. Zerknął ku zegarowi na wieży pobliskiego kościoła. Było pięć minut po północy.

Zasiadłszy ponownie przy komputerze, otworzył książkę na stronie tytułowej. Przyjrzał się znakowi drukarskiemu z wężem-ouoborosem, którym Aristide Torchia posługiwał się w sygnowanych przez siebie wydawnictwach. *Sic Luceat Lux*. Węże i diabły. Zaklęcia i ukryte znaczenia. Ujął w dłoń szklankę i wznosił sarkastyczny toast za pamięć drukarza - to musiał być ktoś bardzo odważny albo bardzo głupi. Za takie numery drogo się płaciło w siedemnastowiecznych Włoszech, choćbyś nawet drukował *cum superiorum privilegio veniaque*.

I właśnie w tym momencie Corso zamarł i zaczął głośno przeklinać własną głupotę, wodząc oczami po mrocznych kątach pokoju. Że też wcześniej na to nie wpadł... „Za specjalnym przyzwoleniem zwierzchników”. To było niemożliwe.

Nie odrywając wzroku od książki, odchylił się do tyłu na krześle i zapalił pogniecionego papierosa. Unoszące się spirale dymu utworzyły w świetle lampy przezroczystą, szarą zasłonę, przez którą przebijały niewyraźne linie rysunku.

Cum superiorum privilegio veniaque brzmiało jak absurd. Albo jak niebywały niuans. W przypadku owego *imprimatur* zwykła władza nie wchodziła w grę. Kościół katolicki żadną miarą nie mógł zatwierdzić tej książki w 1666 roku, skoro jej poprzedniczka - *Delomelanikon* - już od pięćdziesięciu pięciu lat figurowała w indeksie ksiąg zakazanych. Zatem Aristide Torchia nie powoływał się na zgodę cenzorów kościelnych. Nie chodziło mu też o władzę cywilną, o rząd Republiki Weneckiej. Bez wątplenia zwierzchnicy pochodzili skądinąd.

Rozmyślania przerwał mu dzwonek telefonu. Flavio La Ponte chciał opowiedzieć o swoim najnowszym zakupie - oprócz pewnej liczby książek wszedł (na zasadzie transakcji wiązanej) w posiadanie kolekcji europejskich biletów tramwajowych. Konkretnie 5775 biletów o numerach symetrycznych, posegregowanych według krajów, z jakich pochodziły, i poukładanych w pudełkach po butach. To nie żarty. Zbieracz niedawno zmarł i rodzina postanowiła się ich pozbyć. Może Corso zna kogoś, kto byłby zainteresowany... Jasne. Księgarz wiedział chyba, że zgromadzić 5775 biletów o numerach symetrycznych to wyczyn równie śmiały, jak chory. I na dodatek zupełnie bezużyteczny. Kto teraz kupi takie gówno? A może - to chyba niezły pomysł - londyńskie Muzeum Transportu? Ci zboczeni Anglicy... Czy Corso mógłby się tym zająć?

La Pontego niepokoiła też sprawa rozdziału z książki Dumasa. Miał już dwa telefony, od mężczyzny i od kobiety, którzy nie przedstawili się, za to pytali o *Wino andegaweńskie*. Trochę go to dziwiło, bo do czasu wyjaśnienia tej kwestii przez przyjaciela postanowił nikomu o niej nie wspominać. Corso zrelacjonował mu przebieg rozmowy z Lianą Taillefer, której sam zdradził tożsamość nowego posiadacza rękopisu.

- Kojarzy cię z twoich wizyt u nieboszczyka. Oczywiście - dodał - życzy sobie kopii pokwitowania.

Na drugim końcu drutu rozległ się głośny rechot. Takiego wała, jaka kopia? Taillefer sprzedał mu rozdział i już. No, chyba że wdowa chciałaby tę rzecz przedyskutować - księgarz zaśmiał się lubieżnie. Jeśli tak, to on nie ma nic przeciwko. Corso zauważył, że przed śmiercią wydawca mógł komuś jeszcze powiedzieć o rękopisie, ale La Pontemu nie chciało się w to wierzyć. Taillefer sam nalegał na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy do czasu, aż sam da sygnał. Ostatecznie nie dał żadnego sygnału, chyba że za takowy należało uznać powieszenie się na lampie.

- Według mnie - rzekł Corso - jest to równie znaczący sygnał jak każdy inny.

La Ponte przytaknął mu z cynicznym chichotem i zaczął wypytywać o szczegóły wizyty Corsa u Liany Taillefer. Wreszcie, rzuciwszy jeszcze kilka bezwstydných uwag, pożegnał się z przyjacielem, zanim ten zdążył mu opowiedzieć o incydencie w Toledo. Umówili się na dzień następny.

Odłożywszy słuchawkę łowca książek zasiadł znów do *Dziewięciorga Wrót*, ale obrazy buszujące mu po głowie skierowały jego myśli ku Dumasowi. W końcu poszukał teczki z niebieskimi i białymi kartkami, roztarł sobie stłuczoną rękę i wystukał na klawiaturze katalog DUMAS. Ekran monitora zamigotał i po chwili wyświetlił plik BIO:

Dumas Davy de la Pailletene, Aleksander. Ur. 24.7.1802, zm. 5.12.1870. Syn Thomasa Aleksandra Dumasa, generała Republiki. Autor 257 tomów powieści, pamiętników i innych utworów prozą. 25 tomów sztuk teatralnych. Mulat ze strony ojca. Afrykańskiej krwi zawdzięczał pewne charakterystyczne cechy. Wygląd: wzrost wysoki, kark potężny, włos kędzierzawy, wargi mięsiste, długie nogi, duża siła fizyczna. Charakter: sybaryta, chwiejny, władczy, łgarz, szorstki w obejściu, prostak. Miał 27 odnotowanych kochanek, dwoje dzieci z prawego łoża i czworo z nieprawego. Zarobił krocie, które roztrwonił na pijatyki, podróże, drogie wina i bukiety kwiatów. Pieniądze uzyskane z twórczości literackiej stopniowo tracił z powodu kochanek, przyjaciół i darmozjadów, którzy rozplenili się w jego zamku Monte-Christo. Musiał uchodzić z Paryża, ale nie z powodów politycznych, jak jego przyjaciel Victor Hugo, tylko przed wierzycielami. Przyjaciele: Hugo, Lamartine, Michelet, Gerard de Nerval,

Nodier, George Sand, Berlioz, Teophile Gautier, Alfred de Vigny i in. Wrogowie: Balzac, Badere i inni.

Nie, nie tędy droga. Miał wrażenie, że błądzi na oślep w gąszczu fałszywych i niepotrzebnych tropów. A przecież gdzieś czaiło się powiązanie. Zdrową ręką wystukał DUMAS.NOV:

Powieści Aleksandra Dumasa publikowane w zeszytach: 1831: Sceny historyczne (Revue des Deux Mondes). 1834: Jakub I i Jakub II (Journal des Enfants). 1835: Elżbieta Bawarska (Dumont). 1836: Murat (La Presse). 1837: Pascal Bruno (La Presse). Historia tenora (Gazette Musicale). 1838: Hrabia Horacy (La Presse). Neron (La Presse). Sala herbowa (Dumont). Kapitan Paweł (Le Siècle). 1839: Jacques Ortis (Dumont). Życie i przygody Johna Davisa (Revue de Paris). Kapitan Panfil (Dumont). 1840: Wspomnienia nauczyciela szermierki (Revue de Paris). 1841: Kawaler d'Harmental (Le Siècle). 1843: Sylwandira (La Presse). Ślubny strój (La Mode). Albina (Revue de Paris). Askaniusz (Le Siècle). Fernanda (Revue de Paris). Amaury (La Presse). 1844: Trzej muszkieterowie (Le Siècle). Gabriel Lambert (La Chronique). Córka regenta (Le Commerce). Bracia Korsykańscy (Democratie Pacifique). Hrabia Monte Christo (Journal des Débats). Hrabina Berta (Hetzel). Historia dziadka do orzechów (Hetzel). Królowa Margot (La Presse). 1845: Nanon de Lartigues (La Patrie). W dwadzieścia lat później (Le Siècle). Kawaler de la Maison-Rouge (Democratie Pacifique). Pani de Monsoreau (Le Constitutionnel). Pani de Conde (La Patrie). 1846: Wicehrabim de Cambes (La Patrie). Nieprawy syn Mauléona (Le Commerce). Józef Bahamo (La Presse). Opactwo Pessac (La Patrie). Czterdziestu pięciu (Le Constitutionnel). Wicehrabia de Bragelonne (Le Siècle). 1848: Naszyjnik królowej (La Presse). 1849: Ślub ojca Olifusa (Le Constitutionnel). 1850: Bóg tak zrzędził (Évenement). Czarny tulipan (Le Siècle). Gołąb (Le Siècle). Anioł Pitou (La Presse). 1851: Olimp Clèves (Le Siècle). 1852: Bóg i diabeł (Le Pays). Hrabina de Charny (Cadot). Izaak Laquedem (Le Constitutionnel). 1853: Pastor Ashbourn (Le Pays). Katarzyna Blum (Le Pays). 1854: Życie i przygody Katarzyny Szarloty De Mousquetaire). Rozbójnik (Le Mousquetaire). Mohikanowie paryscy (Le Mousquetaire). Kapitan Richard (Le Siècle). Paź księcia Sabaudii (Le Constitutionnel). 1856: Towarzysze Jehudy (Journal pour Tous). 1857: Ostatni król saski (Le Monte-Christo). Przewodnik wilków (Le Siècle). Łowca ptaków (Cadot). Black (Le Constitutionnel). 1858: Wilczyce z Machecoul (Journal pour Tous). Wspomnienia policjanta (Le Siècle). Dom z lodu (Le Monte-Christo). 1859: Fregata (Le Monte-Christo). Ammalat-Beg (Moniteur Unwersel). Historia lochu i małego domku (Revue Européenne). Przygoda miłosna (Le Monte-Christo). 1860: Pamiętniki Horacego (Le Siècle). Ojciec Ruina (Le

Siècle). *Markiza Escoman (Le Constitutionnel)*. *Medyk z Jawy (Le Siècle)*. *Jane (Le Siècle)*. 1861: *Noc florencka (Lévy-Hetzel)*. 1862: *Ochotnik z roku 92 (Le Monte-Christo)*. 1863: *La San Felice (La Presse)*. 1864: *Dwie Diany (Lévy)*. *Ivanhoe (Pub. du Siècle)*. 1865: *Wspomnienia faworyty (Avenir National)*. *Hrabia Moret (Les Nouvelles)*. 1866: *Sprawa sumienia (Le Soleil)*. *Paryżanie i ludzie z prowincji (La Presse)*. *Hrabia Mazarry (Le Mousquetaire)*. 1867: *Biali i niebiescy (Le Mousquetaire)*. *Terror pruski (La Situation)*. 1869: *Hektor ze świętej Herminy (Moniteur Universel)*. *Tajemniczy doktor (Le Siècle)*. *Córka markiza (Le Siècle)*.

Zaśmiał się w duchu na myśl o tym, ile dałby zmarły Enrique Taillefer, żeby móc zgromadzić wszystkie te tytuły. Zdjął przymglone okulary i starannie wytarł szkła. Znaki na monitorze straciły ostrość, podobnie jak wiele dziwnych obrazów, których nawet nie umiał określić. Przetarte szkła wróciły na nos, przywracając wyrazistość ekranowi komputera. Obrazy tymczasem nadal pływały tam i sam, dalekie od konkretności, i nie pasował do nich żaden klucz. Corso jednak uznał, że jest na właściwej drodze. Komputer znów zamigotał:

Baudry, wydawca *Le Siècle*. Publikował *Trzech muszkieterów* od 14 marca do 11 lipca 1844 roku.

Zerknął na pozostałe katalogi. Z tego, co wiedział, Dumas w różnych momentach swojego pisarstwa korzystał z pomocy - w sumie - pięćdziesięciu dwóch współpracowników. Stosunki z wieloma z nich miały koniec burzliwy. Corsa interesowało tylko jedno nazwisko:

Maquet, Auguste-Jules. 1813-1886. Współpracuje z Aleksandrem Dumasem przy paru sztukach teatralnych i przy 19 powieściach, także przy tych najśłynniejszych (*Hrabia Monte Christo*, *Kawaler de la Maison-Rouge*, *Czarny tulipan*, *Naszyjnik królowej*) i przede wszystkim przy cyklu *Muszkieterów*. Współpraca z Dumasem zapewnia mu sławę i pieniądze. Dumas umiera w nędzy, tymczasem on sam dokonuje żywota jako bogacz we własnym zamku Saint-Mesme. Pamięć o żadnej jego własnej powieści, napisanej bez udziału Dumasa, nie przetrwała po jego śmierci.

Teraz przeszedł do not biograficznych. Trafił na kilka cytatów ze *Wspomnień Dumasa*:

„...Hugo, Balzac, Soulie, Musset i ja byliśmy wynalazcami literatury łatwej. Udało się nam, acz z mozołem, wywalczyć sobie dobre imię dzięki tej właśnie, choćby i łatwej literaturze...

...Moja wyobraźnia postawiona wobec rzeczywistości przypomina kogoś, kto, zwiedzając ruiny zabytkowej budowli, musi stąpać po rumowiskach,

przejsć się alejkami, zajrzeć w każde drzwiczki, by odtworzyć z grubsza wygląd budynku z czasów, gdy ten jeszcze tętnił życiem, gdy wesołość wypełniała go śpiewem i śmiechem albo gdy czyjeś cierpienie odbijało echem ludzki szloch...”

Rozdrażniony Corso odsunął się od ekranu. Ciągłe nie zidentyfikowane przecucie wymykało mu się, ginąc w zaułkach pamięci. Wstał i zrobił parę kroków po mrocznym pokoju, następnie skierował światło lampy na spiętrzony na podłodze pod ścianą stos książek. Schyliwszy się wyciągnął dwa opasłe tomy, współczesną edycję *Wspomnień* Aleksandra Dumasa ojca. Chwilę później kartkował je, siedząc znów przy stole. Jego uwagę przykuły trzy zdjęcia. Na jednym Dumas, którego kędzierzawe włosy i smągła skóra zdradzały wyraźnie afrykańskich przodków, siedząc spoglądał z uśmiechem na Isabelle Constant. Jak wynikało z podpisu pod fotografią, Constant miała piętnaście lat, gdy została kochanką pisarza. Do drugiego zdjęcia dojrzały już Dumas pozował z córką Marie. Będący wówczas u szczytu sławy tytan powieści odcinkowej zwracał ku obiektywowi oblicze dobroduszne i pogodne. Corso uznał, że najciekawsze i najbardziej wymowne jest zdjęcie trzecie. Widniał na nim sześćdziesięcioletni Dumas, siwy już, ale wciąż wysoki i silny. Rozpięty surdut ujawniał zaokrąglony brzuch. Pisarz obejmował Adah Menken, jedną ze swych ostatnich kochanek, która, jak pisał autor, „prócz seansów spirytystycznych i czarnej magii uwielbiała fotografować się, skąpo odziana, z wielkimi ludźmi swej epoki”... Na zdjęciu nogi, ramiona i szyja panny Menken były nagie, co wówczas musiało pachnieć skandalem. Dziewczyna, oparłszy głowę na potężnym ramieniu starego pisarza, większą uwagę poświęcała obiektywowi niż swemu towarzyszowi. Twarz tego ostatniego zdradzała ślady życia hulaszczego, pełnego rozrywek i pijatyk. Usta, pomiędzy pulchnymi policzkami sybaryty, uśmiechały się z zadowoleniem i odrobiną ironii. Dumas spoglądał na fotografa zmrużonymi oczami, jakby żartobliwie wciągał go w zмовę. Oto zażywny starszy pan, twórca bohaterów i ich przygód, o których marzyło tyle kobiet - nagle w roli rzadkiego trofeum tej wyuzdanej i gorącej dziewczyny. Wyglądało na to, że pisarz chce się usprawiedliwić z faktu, że ulega fotograficznym zachciankom panny - w końcu młodej i pięknej - której delikatną skórę i płomienne wargi los zarezerwował mu na ostatnim zakręcie drogi życiowej, trzy lata zaledwie przed śmiercią. Stary bezwstydnik. [##DUMAS.jpg](#)

Corso zamknął książkę i ziewnął. Wskazówki jego wiekowego zegarka, który jakże często zapominał nakręcić, stanęły na drugiej piętnaście. Podeszedł do okna i odsunął jedną połówkę, tak aby do płuc wdarł się chłód nocy. Ulica wciąż wydawała się pusta.

„Bardzo dziwne to wszystko” - powiedział w duchu wracając do stolika, żeby zgasić komputer. Jego oczy spoczęły na teczce z rękopisem. Otworzył ją machinalnie i po raz któryś z rzędu przyjrzał się piętnastu kartkom zapisanym dwoma różnymi charakterami pisma: jedenastu niebieskim i czterem białym... *Après de nouvelles presque désespérées du roi, le bruit de sa convalescence commençait à se répandre dans le camp...* „Po rozpaczliwych niemal nowinach o stanie króla...” Podszedł ku stercie książek i wydobyl pokaźne czerwone tomiszczce - reprint, J.C. Lattes 1988 - obejmujące cały cykl *Muszkietierów* i *Hrabiego Monte Christo* według ilustrowanej edycji Le Vasseur, niemal współczesnej Dumasowi. Na stronie 144 odnalazł rozdział *Wino andegaweńskie* i zagłębił się w lekturze, porównując tekst z rękopisem. Wyjąwszy jedną niewielką poprawkę oba teksty były identyczne. W książce rozdział opatrzone był dwoma rysunkami Maurice’a Leloir, rytymi przez Huyota. Król Ludwik XIII przybywa pod oblężoną La Rochelle z dziesięcioma tysiącami żołnierzy. W pierwszym szeregu eskorty królewskiej widać czterech jeźdźców z muszkietami w dłoniach, w kapeluszach i kurtach świadczących o przynależności do kompanii pana de Treville. Bez wątpienia trzej z nich to Atos, Portos i Aramis. Niebawem spotkają się ze swoim przyjacielem d’Artagnanem, wówczas jeszcze prostym gwardzistą w kompanii pana des Essarts. Na razie Gaskończyk nawet nie podejrzewa, że butelki *Wina andegaweńskiego* są zatrutym podarkiem od jego śmiertelnego wroga - Milady, która usiłuje zemścić się za obrazę, jakiej dopuścił się d’Artagnan, gdy wśliznął się do łóża agentki kardynała Richelieu, podając się za hrabiego de Wardes, i zebrał miłosne owoce należne komu innemu. Co gorsza, d’Artagnan przypadkowo odkrył straszliwą tajemnicę Milady: kwiat lilii na ramieniu, zamię hańby wypalone przez kata. Zważywszy to wszystko i znając charakter Milady nie można było mieć wątpliwości co do treści drugiej ilustracji: na oczach osłupiałego d’Artagnana i jego towarzyszy służący Fourreau dogorywa w straszliwych męczarniach po wypiciu wina przeznaczonego dla jego pana. Poddając się czarowi tekstu, którego nie czytał od dwudziestu lat, Corso dotarł do fragmentu, gdzie muszkietrzy i d’Artagnan rozmawiają o Milady:

„- A więc, drogi przyjacielu - rzekł d’Artagnan do Atosa - sam widzisz, że jest to wojna na śmierć i życie.

- Atos pokiwał głową.

- Tak, tak - rzekł - widzę to dobrze, ale czy jesteś pewien, że to ona?

- Tak.

- Muszę ci wyznać, że wciąż jeszcze powątpiewam.

- A ów kwiat lilii na ramieniu?

- To Angielka, popełniła jakieś przestępstwo na terenie Francji i za to ją napiętnowano.

- Atosie, to twoja żona, powiadam ci - powtórzył d'Artagnan - przecież wiesz, jak to piętno wygląda, nie może być pomyłki.

- Myślałem wszakże, że tamta nie żyje, przecież ją powiesiłem.

Z kolei d'Artagnan pokiwał głową.

- Ale co robić? - spytał młodzieniec.

- Rzecz jasna, że nie można tak żyć, z mieczem wiecznie wiszącym nad głową - rzekł Atos - trzeba znaleźć wyjście z tej sytuacji.

- Ale jakie?

- Posłuchaj, postaraj się z nią spotkać i rozmówić. Powiedz jej: Wojna lub pokój! Słowo szlachcica, że nie powiem nigdy nic złego o pani, że nie uczynię nic przeciw pani; pani ze swej strony złoży uroczystą przysięgę, że pozostawi mnie w spokoju, w przeciwnym razie pójdę do kanclerza, pójdę do króla, poruszę dwór, oświadczę, że jesteś napiętnowana, wydam cię trybunałowi, a jeśli cię uwolnią, zabiję cię przy jakimś kamieniu przydrożnym jak wściekłego psa, przysięgam!

- Podoba mi się ten sposób - rzekł d'Artagnan..." [A Dumas, *Trzej muszkieterowie*, przekład Joanny Guze]

Wspomnienia pociągają za sobą następne. Corso poczuł, że musi zatrzymać uciekający, znajomy obraz, który właśnie przemknął mu przez głowę. Udało się, obraz nie zdążył się zatrzeć. Znow był to tamten facet cały na czarno, szofer jaguara przed domem Liany Taillefer, kierowca mercedesa w Toledo. Człowiek z blizną. A wszystko dzięki Milady.

Ze zdumieniem znow pogrążył się w myślach. I naraz ujrzał to z niezwykłą precyzją. Jasne, Milady. Milady Winter, jaką d'Artagnan zobaczył po raz pierwszy: wychyloną przez drzwiczki karocy, przed oberżą w Meung, w pierwszym rozdziale powieści. Milady rozmawiającą z nieznajomym... Corso szybko przerzucił strony w poszukiwaniu odpowiedniego fragmentu. Odnalazł go bez trudu:

„...mężczyzna mający lat czterdzieści lub czterdzieści pięć, o oczach czarnych i przenikliwych, bladej cerze, bardzo wydatnym nosie i starannie przyciętym czarnym wąsie”. [Jak poprzednio]

Rochefort. Złowrogi agent kardynała, przeciwnik d'Artagnana. To przez niego w pierwszym rozdziale d'Artagnan zostaje pobity kijami. To on skradł mu list polecający do pana de Treville i o mało pośrednio nie doprowadził do pojedynku Gaskończyka z Atosem,

Portosem i Aramisem... Pamięć dokonała wielkiej wolty i w nieoczekiwany sposób połączyła myśli i osoby. Zaskoczony Corso drapał się w głowę. Co towarzysz Milady miał wspólnego z kierowcą, który usiłował go przejechać w Toledo? No i jeszcze ta blizna. W cytowanym akapicie nie było mowy o bliźnie. A przecież pamiętał dobrze, że Rochefort zawsze miał ślad na twarzy. Przerzucił znów kilka kartek. Potwierdzenie znajdowało się w rozdziale trzecim, gdzie d'Artagnan opowiada o swojej przygodzie panu de Treville:

„- Powiedz mi - ciągnął - czy ten szlachcic nie miał nieznaczej blizny na skroni?

- Tak, jak gdyby zadrasnęła go lekko kula.” [Jak poprzednio W rzeczywistości w polskim przekładzie mowa jest o bliźnie na policzku.]

Nieznaczną blizną na skroni. Rzecz się potwierdzała, ale Corso pamiętał, że blizna była w i ę k s a i nie na skroni, lecz na policzku - tak jak u szofera w czarnym ubraniu. W skupieniu zaczął analizować tę rozbieżność, by wreszcie wybuchnąć głośnym śmiechem. Teraz miał przed oczami całą scenę, i to w dodatku w kolorze: Lana Turner w *Trzech muszkietierach* wychylała się z okienka karocy i rozmawiała z odpowiednio złowieszczą wyglądającym Rochefortem, nie bladym, jak u Dumasa, ale śniadym, w kapeluszu z piórem i wielką blizną - owszem - w poprzek prawego policzka. Wspomnienie miało więc źródło w kinematografii, a nie w literaturze, co Corsa jednocześnie rozbawiło i rozdrażniło. Przekłete Hollywood.

Wyjąwszy świat celuloide, wszystko zaczynało pasować. W tej melodii o rozproszonych i zagadkowych nutach rysował się jakiś spójny motyw, chociaż nadal tajemniczy. Niewyraźny niepokój, jaki Corso odczuwał od czasu wizyty u wdowy po Tailleferze, zaczynał nabierać kształtów, pojawiły się twarze, miejsca i postacie na pograniczu życia i fikcji, powiązane ze sobą w sposób dziwny i niewytłumaczalny. Dumas i księga z XVII wieku, diabeł i *Trzej muszkietierowie*, Milady i stosa Inkwizycji... To pachniało bardziej absurdem niż konkretem, bardziej powieścią niż rzeczywistością.

Zgasił światło i położył się spać. Nieprędko jednak zdołał zasnąć: uporczywy obraz powracał doń w myślach. Widział go w ciemnościach pokoju, otwartymi oczami. Odległy pejzaż lektur młodości, zaludniony cieniami, które miały powrócić w dwadzieścia lat później w postaci upiórów tak bliskich, że niemal namacalnych. Blizna. Rochefort. Człowiek z Meung. Skrytobójca na rozkazach Jego Eminencji.

V Remember

„Siedział przed kominkiem
w swoim fotelu, tak jak go pozostawiłem”.
(*A Christie, Zabójstwo Rogera Ackroyda,*
przekład Marka Zakrzewskiego)

W tym momencie po raz drugi wkraczam na scenę, jako że Corso ponownie zwrócił się do mnie. Uczynił to - przypominę - kilka dni przed swoim wyjazdem do Portugalii. Jak mi się później przyznał, na tym etapie podejrzewał już, że rękopis Dumasa i *Dziewięcioro Wrót* stanowią jedynie czubki góry lodowej. Żeby rzecz całą ogarnąć, musiał poznać i inne historie, które wiązałyby się ze sobą na podobieństwo owego krawata, opasującego przeguby Enriquego Taillefera. Odrzekłem mu, że nie będzie to łatwe, literatura nie zna ostrych podziałów, każdy element wynika z innego, zależności się piętrzą tworząc skomplikowany układ intertekstualny, przypominający grę luster albo rosyjskie matrioski. Próba ustalenia w tej sytuacji niepodważalnych faktów i oczywistych zapożyczeń grozi ryzykiem, którego nie wahają się podjąć tylko badacze albo bardzo głupi, albo bardzo pewni swego. To tak, jakby próbować udowodnić, że Robert Graves czerpał tylko z *Quo vadis*, a nie także ze Swetoniusza czy Apoloniusza z Rodos. Osobiście wiem jedno: że nic nie wiem. A jeśli chcę się dowiedzieć, szukam w książkach. Im przynajmniej pamięć zawsze dopisuje.

- Hrabia Rochefort to jedna z najważniejszych postaci drugoplanowych w *Trzech muszkieterach* - tłumaczyłem Corsowi, gdy spotkał się ze mną po raz drugi. - Jest agentem kardynała, przyjacielem Milady i pierwszym wrogiem, jakiego przysporzył sobie d'Artagnan. Mogę nawet podać dokładną datę: było to w pierwszy poniedziałek kwietnia 1625 roku w Meung-sur-Loire... Rzecz jasna, mówię tu o fikcyjnym Rocheforcie, aczkolwiek był ktoś podobny. Gatien de Courtilz w domniemanych Pamiętnikach prawdziwego d'Artagnana opisuje go jako niejakiego Rosnasa. Jednakże Rochefort z blizną nie istniał w rzeczywistości. Dumas zaczerpnął tę postać z innej książki - z *Mémoires de MLCDR (Monsieur le comte de*

Rochefort), bodajże apokryfu, przypisywanego również Courtilzowi... Ktoś utrzymuje, że napisał je Henri-Louis d'Aloigny markiz Rochefort, urodzony około roku 1625 - ale to już chyba snucie domysłów na wyrost.

Spojrzałem na światła samochodów mknących po bulwarze za oknem kawiarni, gdzie zawsze organizuję moje wieczorne spotkania literackie. Przy stoliku zastawionym dymiącymi popielniczkami, filizankami i pismami towarzyszyło nam grono znajomych: dwaj pisarze, malarz, który się skończył, dziennikarka, która zaczynała, pewien aktor teatralny i czworo czy pięcioro studentów, z tych, co to siadają całą grupką w kąciku, nie otwierają gęby i wpatrują się w człowieka jak w bóstwo. Wśród nich był Corso, w płaszczu, oparty ramieniem o framugę okna, popijał dzin i od czasu do czasu coś tam notował.

- Naturalnie - dodałem - czytelnik, który przebrnął przez sześćdziesiąt siedem rozdziałów *Trzech muszkieterów* w nadziei na pojedynek Rocheforta z d'Artagnanem, musi czuć się rozczarowany. Dumas załatwia sprawę w trzech liniijkach i zręcznie ukrywa przy tym same zdarzenia: gdy spotykamy hrabiego na kartach *W dwadzieścia lat później*, d'Artagnan i Rochefort mają już za sobą trzy pojedynki, które pozostawiły na ciele tego ostatniego trzy kolejne blizny. A jednak między obydwoma panami nie ma już nienawiści, lecz tylko ów osobliwy szacunek, jakim darzyć się mogą jedynie dwaj starzy przeciwnicy.

Znów fortuna sprawia, że walczą po przeciwnych stronach barykady - ale łączy ich przyjaźń szlachciców, którzy znają się od dwudziestu lat... Rochefort popada w niełaskę Mazzariniego, wydostaje się z Bastylii, uczestniczy w ucieczce księcia de Beaufort, spiskuje z frondystami i umiera w ramionach d'Artagnana, który nie rozpoznawszy go w tłumie trafia nieszczęśnika swoją szpadą... „Szukam przeznaczenia - jakoś tak mówi do Gaskończyka. - Wylizałem się z trzech ciosów twojej szpady, ale z czwartego się nie wylizę”. I umiera. „Zabiłem starego przyjaciela” [A. Dumas, *W dwadzieścia lat później*, przekład Hanny Szumańskiej-Grossowej.] - powie później d'Artagnan Portosowi... Otóż i całe epitafium starego agenta kardynała Richelieu.

Tu zaczęła się ożywiona, wielostronna dyskusja. Aktor, podstarzały elegant, który kiedyś grał w serialu telewizyjnym *Monte-Christo*, a tego dnia nie spuszczał wzroku z dziennikarki, jął ze swadą snuć wspomnienia o jego bohaterach, zachęcany przez malarza i obydwu pisarzy. Tak to od Dumasa przeszliśmy do Zévaca i Paula Févala, by po raz kolejny udowodnić niezaprzeczalną wyższość Sabatiniego nad Salgarim. Pamiętam, że ktoś nieśmiało wspomniał o Vernie, lecz pozostali natychmiast go wyszydili. W emocjonującym świecie płaszczu i szpady Verne i jego zimni, pozbawieni duszy bohaterowie nie mogli zagrać miejsca.

Co do dziennikarki, była to jedna z tych dziewcząt, którym daje się kolumnę w niedzielnym dodatku do liczącego się dziennika. Jej edukacja literacka rozpoczęła się na poziomie Milana Kundery. Dziewczyna roztropnie czekała więc cały czas, przytakując z wyraźną ulgą za każdym razem, gdy jakiś tytuł, anegdota albo postać - Czarny Łabędź, Yáñez, pchnięcie z Nevers - przypominały jej ten czy inny film oglądany w telewizji. Tymczasem Corso z cierpliwością łowcy (którym przecież był) nie spuszczał ze mnie wzroku spoglądając znad szklanki dżinu i czyhał na okazję, by znów zogniskować dyskusję wokół jakiegoś zagadnienia. I udało mu się. Wykorzystał chwilę krępującej ciszy, jaka zapanowała przy stoliku, gdy dziennikarka oświadczyła, iż ona osobiście uważa, że historie przygodowe są zbyt błahe, prawda? Takie powierzchowne, nie wiem, czy mnie rozumiecie. Jakby.

Corso przygryzał gumkę na końcu ołówka Faber:

- Panie Balkan, jak ocenia pan rolę Rocheforta w całej historii?

Spojrzeli na mnie wszyscy, a zwłaszcza studenci, wśród których dostrzegłem dwie dziewczyny. Nie mam pojęcia, czemu niektóre środowiska uważają mnie za guru od literatury pięknej. Niech tylko otworzę usta, a ludzie wokół zastygają, jakby spodziewali się usłyszeć dogmaty wiary. Bywa, że jeden mój artykuł w piśmie literackim może namaścić albo pogrzyżyć początkującego pisarza. Zapewne to absurd, ale takie jest życie. Wystarczy przypomnieć ostatniego laureata Nagrody Nobla, autora *Ja, Onan, W poszukiwaniu samego siebie* i przesławnej *Oui, c'est moi*. Karierę wydawniczą tej książki uruchomił przed piętnastoma laty właśnie mój podpis pod półtorastronicowym artykułem w *Le Monde*, w numerze primaaprilisowym. Nigdy sobie tego nie wybaczę, cóż, tak toczy się świat.

- Początkowo Rochefort jest wrogiem - wyjaśniłem. - Symbolizuje siły tajemne, mroczne sprzysiężenie... Jest agentem diabolicznego spisku zawiązanego wokół d'Artagnana i jego przyjaciół, intrygi uknutej przez pozostającego w cieniu kardynała, intrygi, która może ich kosztować życie.

Na ustach jednej ze studentek ujrzałem uśmiech, w którym kryły się i podziw, i lekka kpina. Nie byłem tylko pewien, czy mam go przypisać oddziaływaniu własnych słów, czy jakichś luźnych skojarzeń, nie związanych z tematem spotkania. Zdziwiło mnie to, bo - jak już wspomniałem - studenci słuchają mnie z szacunkiem równym temu, z jakim dziennikarz „l'Osservatore Romano” podchodzi do tekstu najnowszej encykliki papieskiej. Postanowiłem zainteresować się dziewczyną. Po prawdzie już na początku, kiedy przyszła w niebieskiej kurteczce, ze stosem książek pod pachą, zwróciłem uwagę na jej niepokojące zielone oczy i kasztanowe włosy, obcięte króciutko na chłopaka. Teraz siedziała nieco z boku, nie dołączając do reszty. Wokół naszego stolika zawsze zasiada sporo młodych studentów

literatury, których zapraszam na kawę. Tę dziewczynę widziałem tu po raz pierwszy. Na pewno zapamiętałbym jej oczy o tak jasnej, niemal przezroczystej tonacji, że wyraźnie kontrastowały z cerą smagłą i ogorzałą od częstego przebywania na słońcu i świeżym powietrzu. Była zgrabna i wiotka, a jej długie nogi w dżinsach z pewnością również były opalone. Dostrzegłem jeszcze jeden szczegół: nie nosiła pierścionków, zegarka ani kolczyków. Nie miała przekłutych uszu.

- ...Rochefort jest postacią, którą się widuje, ale nie sposób jej osiągnąć - nie bez trudu odnalazłem wątek. - Spowitą w welon tajemnicy, którą symbolizuje blizna. Jest ucieleśnieniem paradoksalnej bezsilności d'Artagnana, który go ściga i nie może dopaść, chce go zabić i udaje mu się to dopiero w dwadzieścia lat później, przez pomyłkę, kiedy już nie są wrogami, ale przyjaciółmi.

- Ten twój d'Artagnan jest trochę jak Jonasz - zauważył jeden z moich gości, pisarz w sile wieku. Jego ostatnia powieść sprzedała się w pięciuset egzemplarzach, ale dorabiał publikując kryminały pod przewrotnym pseudonimem Emilia Forster. Spojrzałem na niego z uznaniem, zadowolony z trafności tej uwagi.

- Bez wątpienia. Jego ukochana zostaje otruta. Pomimo świetnych czynów i wiernej służby francuskiej Koronie przez dwadzieścia lat pozostaje skromnym porucznikiem muszkietierów. A kiedy w ostatnich wersach *Wicehrabiego de Bragelonne* uzyskuje wreszcie buławę marszałkowską, na co pracował przez cztery tomy i czterysta dwadzieścia pięć rozdziałów, pada rażony holenderską kulą.

- Tak jak i prawdziwy d'Artagnan - odezwał się aktor, któremu udało się położyć dłoń na udach ważnej redaktorki.

Wypiłem łyk kawy i przytaknąłem. Corso nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Znamy trzech d'Artagnanów - wyjaśniłem. - O pierwszym, a nazywał się on Charles de Batz Castlemore, wiemy dzięki ówczesnej publikacji w „Gazecie Francuskiej”, że zmarł 23 czerwca 1673 roku od kuli, która przeszła mu gardło podczas oblężenia Maastricht. Razem z nim padła wówczas połowa jego ludzi... Wyjąwszy ten epizod, w życiu miał niewiele więcej szczęścia niż jego odpowiednik literacki.

- Też był Gaskończykiem?

- Tak, pochodził z Lupiac. Ta wioska istnieje do dziś, jest tam tablica pamiątkowa: „Tu około roku 1615 narodził się d'Artagnan, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Charles de Batz. Zmarł podczas oblężenia Maastricht w 1673 r.”

- Widzę przesunięcie w fazie historycznej - powiedział Corso, zaglądając do notatek. - U Dumasa d'Artagnan miał na początku powieści osiemnaście lat. Był rok 1625. W tym

czasie autentyczny d'Artagnan liczył sobie lat ledwie dziesięć - uśmiechnął się jak królik oczytany i sceptyczny. - Za młody na to, żeby wywijać szpadą.

- Zgoda - skinąłem głową. - Dumas dokonał tej zmiany po to, by młodzieniec mógł razem z Richelieu i Ludwikiem XIII uczestniczyć w aferze ze spinkami brylantowymi. Charles de Batz też pojawił się w Paryżu jako młody człowiek: w 1640 roku figuruje, jako gwardzista w kompanii pana des Essarts, w dokumentach związanych z oblężeniem Arras, a dwa lata później przy okazji kampanii w Roussillon. Nigdy jednak nie służył jako muszkieter pod rozkazami kardynała Richelieu, jako że trafił do tego elitarnego korpusu już po śmierci Ludwika XIII. Jego rzeczywistym panem był kardynał Giulio Mazzarini... Istotnie, między obydwoma d'Artagnanami mamy do czynienia z przesunięciem dziesięcio-, piętnastoletnim. Aczkolwiek Dumas, który po sukcesie *Trzech muszkieterów* rozciągnął akcję cyklu na prawie czterdzieści lat historii Francji, w kolejnych tomach nieco bardziej dopasował swoją fikcję do prawdziwych wydarzeń.

- Jakie fakty się potwierdzają? Chodzi mi o historyczne dokonania autentycznego d'Artagnana.

- Sporo. Odnajdujemy jego nazwisko w korespondencji kardynała Mazzariniego i w pismach Ministerstwa Wojny. Podobnie jak postać fikcyjna, działał jako agent kardynała podczas Frondy i otrzymał poufne misje wobec dworu Ludwika XIV. Powierzono mu wręcz delikatne zadanie zatrzymania i eskortowania ministra finansów Fouqueta, co potwierdza w swych listach pani de Sevigne. Mógł też poznać naszego malarza Velazqueza na Wyspie Bażanciej, kiedy towarzyszył Ludwikowi XIV w podróży do przyrzeczonej królowi Marii Teresy Austriaczki.

- Jak widać, dworzanin pełną gębą. Gdzie mu do zabijaki z powieści Dumasa...

Uniosłem rękę w obronie ścisłości faktów.

- Nie dajmy się zwieść pozorom. Charles de Batz, czyli d'Artagnan, bił się aż do śmierci. Walczył pod rozkazami Turenne'a we Flandrii, a w roku 1657 mianowany został porucznikiem szarych muszkieterów, co równało się dowodzeniu tym oddziałem. Dziesięć lat później awansował na kapitana i z tą szarżą, równą generałowi jazdy, walczył we Flandrii.

Corso przymknął oczy za szkiełkami okularów.

- Przepraszam - pochylił się ku mnie nad marmurowym blatem, z ołówkiem w dłoni, chcąc zanotować słowo czy datę - w którym to było roku?

- Awans na generała? W 1667. Co pana tak zafrapowało?

Górne siekacze przygryzły dolną wargę, po czym znikły.

- Nic - odezwał się, a jego twarz znów nie wyrażała niczego. - W tym samym roku w Rzymie spalono na stosie pewnego człowieka. Przedziwny zbieg okoliczności... - popatrzył na mnie obojętnie. - Mówi coś panu nazwisko Aristide Torchia?

Wysiliłem pamięć. Żadnego skojarzenia.

- Nic a nic - odparłem. - Jest jakoś powiązany z Dumasem?

Zawahał się przez moment.

- Nie - odezwał się w końcu, ale jakby bez przekonania. - Chyba nie. Ale proszę mówić dalej. Mówił pan o prawdziwym d'Artagnanie we Flandrii.

- Jak wspominałem, padł pod Maastricht na czele swojego oddziału. Była to śmierć bohaterska: fortecę oblegali

Anglicy i Francuzi, trzeba było przebyć niebezpieczny odcinek i d'Artagnan, powodowany uprzejmością dla sprzymierzeńców, chciał iść na czele... Kula muszkietu rozerwała mu tętnicę szyjną.

- Tak więc nigdy nie został marszałkiem.

- Nigdy. To prywatna zasługa Dumasa, że przyznał fikcyjnemu d'Artagnanowi zaszczyt, którego chytry Ludwik XIV odmówił jego pierwowzorowi z krwi i kości... Znam parę ciekawych książek na ten temat, może pan zanotować tytuły. Jedną napisał Charles Samaran: *D'Artagnan, capitaine des mousquetaires du roi, histoire véridique d'un héros de roman*, wydana w 1912 roku. Następną, *Le vrai d'Artagnan*, napisał książę de Montesquieu - Fezensac, potomek w linii prostej autentycznego d'Artagnana. Wyszła chyba w 1963.

Żaden z tych detali nie miał oczywistego związku z rękopisem Dumasa, ale Corso wszystko notował, jakby od tego zależało jego życie. Co jakiś czas podnosił wzrok znad notatnika i kierował ku mnie pytające spojrzenie zza przekrzywionych szkielec. Chwilami zaś przechylał głowę, jakby, przestawszy słuchać, pogrążał się w tajemniczych myślach. W tym czasie znałem wprawdzie wszystkie szczegóły sprawy *Wina andegaweńskiego*, nawet kilka takich, o których łowca książek nie miał pojęcia, ale nawet nie podejrzewałem, jak bardzo skomplikuje tę historię problem *Dziwięciorga Wrót*. Corso, którego umysł przywykł do logicznych konstrukcji, zaczął wszelako dostrzegać złowieszcze powiązania znanych sobie faktów i - powiedzmy - literackiego charakteru tych powiązań. Jakkolwiek mętnie to brzmi, nie zapominajmy przecież, że dla Corsa cała sytuacja istotnie była mętna. Oczywiście czas narratora jest w tej opowieści późniejszy niż czas, w którym rozstrzygnęły się dalsze smutne wypadki, ale sama natura tego zapętlenia (nie zapominajmy o obrazach Eschera i o kawalarzu Bachu) zmusza nas, byśmy stale powracali do czasu, kiedy wiedza Corsa obejmowała bardzo

wąski horyzont. Wiedzieć i milczeć - taka jest reguła. A bez reguł nie ma gry. Nawet gdy ktoś na nas zastawia pułapki.

- No dobrze - powiedział łowca książek, zanotowawszy poleczone mu tytuły - to jest pierwszy d'Artagnan, ten autentyczny. Trzeci to fikcyjny bohater Dumasa. Jak podejrzewam, łączy ich ta książka Gatiena de Courtilz, którą pan mi pokazywał poprzednio, *Mémoires de M. d'Artagnan*.

- Dokładnie tak. Możemy go nazwać brakującym ogniwiem, najmniej znanym z całej trójki. Gaskończyk, pełniący funkcję pośrednią, jest postacią literacką i rzeczywistą zarazem. On właśnie posłużył Dumasowi do stworzenia swojego bohatera. Gatien de Courtilz de Sandras był współczesnym d'Artagnanowi pisarzem, który dostrzegł w nim materiał pisarski i zabrał się do pracy. Półtora wieku później Dumas, podczas pobytu w Marsylii, dowiedział się o istnieniu tej książki. Brat właściciela domu, w którym pisarz się zatrzymał, kierował biblioteką miejską. Jak można mniemać, ów brat pokazał Dumasowi tom wydany w Kolonii w roku 1700. Dumas pojął, jaki zysk mógłby z niej wyciągnąć, pożyczył książkę i nigdy nie oddał.

- Co wiemy na temat tego poprzednika Dumasa, Gatiena de Courtilz?

- Dużo. Między innymi dlatego, że był często notowany przez policję. Urodził się w 1644 albo 1647 roku, był muszkietierem, kornetem w Royal-Étranger, czymś w rodzaju ówczesnej Legii Cudzoziemskiej, oraz kapitanem jazdy pana Beaupré-Choiseul. Po wojnie w Niderlandach - tej, w której zginął d'Artagnan - Courtilz pozostał tam i zamienił szpadę na pióro. Pisał biografie, opowiadania historyczne, pamiętniki o charakterze z grubsza apokryficznym, przytaczał plotki i wspominał niewybredne skandale z życia dworu francuskiego... No i napytał sobie biedy. *Pamiętniki pana d'Artagnan* zyskały niezwykle rozgłos: miały pięć wydań w ciągu dziesięciu lat. Nie przypadły jednak do gustu Ludwikowi XIV z uwagi na bezceremonialne wyjawianie szczegółów z życia dworu i ludzi z nim związanych. Po powrocie do Francji, niedługo przed śmiercią, Courtilz przypłacił to uwięzieniem i osiedleniem się na koszt Państwa w Bastylii.

Zrobiłem pauzę, z której skorzystał aktor i zupełnie nie á propos wtrącił wyjątek z wiersza Marquiny: „We Flandrii już zapadł zmierzch: Był tam z nami / walecznymi żołnierzami / z głęboką raną kapitan, / a śmierć wielkimi krokami / szła, by o niego zapytać. / Nie ma go już między nami...” Czy jakoś tak. Rzecz jasna, była to bezczelna próba zabłyśnięcia przed dziennikarką, na której udzie spoczywała jego niewątpliwie władcza dłoń. Reszta, a zwłaszcza pisarz podpisujący się Emilia Forster, spojrzeli nań z zawiścią lub niespecjalnie maskowaną urazą.

Po chwili kurtuazyjnego milczenia Corso postanowił przywrócić mi kontrolę nad sytuacją:

- Jak dużo d'Artagnan Dumasa zawdzięcza Courtilzowi?

- Bardzo dużo. Wprawdzie podstawę *W dwadzieścia lat później* i *Bragelonne'a* stanowią inne źródła, jednak historię *Trzech muszkieterów* odnajdziemy właściwie u Courtilza. Dumas obdarzył ją swoim geniuszem i przydał jej siły, ale w ogólnych zarysach mamy tutaj: błogosławieństwo d'Artagnana ojca, list do pana de Tréville, pojedynki z muszkieterami, którzy w pierwotnym tekście są braćmi... Pojawia się też Milady. Jeden i drugi d'Artagnan stają się do siebie podobni jak dwie krople wody. U Courtilza jest on może bardziej cyniczny, bardziej skąpy i mniej godny zaufania, ale to ta sama osoba.

Corso pochylił się nieco nad stołem.

- Wcześniej wspomniał pan, że Rochefort symbolizuje mroczną intrygę, wymierzoną przeciwko d'Artagnanowi i jego przyjaciołom. Ale przecież Rochefort to zwykły płatny zabójca.

- Racja. Zatrudniony przez Jego Eminencję Jeana du Plessis, kardynała de Richelieu...

- Niegodziwego - dokończył Corso.

- Niegodziwego Carabela - uzupełnił aktor, zdecydowany stale wtrącać kolejne trzy grosze. Zaintrygowani tym zarysem powieści przygodowej studenci skrzętnie notowali albo słuchali z rozdziawionymi gębami. Tylko dziewczyna o zielonych oczach zachowała spokój i trzymała się nieco na uboczu, jakby wpadła tu przypadkiem i tylko na chwilę.

- Dla Dumasa - podjąłem - Richelieu stanowi, w każdym razie w pierwszej części cyklu *Muszkieterów*, postać niezbędną w romantycznej powieści odcinkowej pełnej przygód i tajemnic: jest potężnym przeciwnikiem kryjącym się w cieniu, ucieleśnieniem Zła. Richelieu był w dziejach Francji wielką osobistością, podczas gdy w *Muszkieterach* zostaje zrehabilitowany dopiero w dwadzieścia lat później. Tak to sprytny Dumas pogodził się z rzeczywistością nie niweczając atrakcyjnej fabuły, znalazł bowiem nowego nikczemnika: Mazzariniego. Ta korekta, włożona dosłownie w usta d'Artagnana i jego przyjaciół, sławiących dawnego wroga po jego śmierci, jest moralnie wątpliwa. Dla Dumasa był to wygodny sposób okazania skruchy... Przynajmniej w pierwszej części, w której kardynał planuje zabójstwo Buckinghama i pohańbienie Anny Austriaczki lub wręcz *carte blanche* niegodziwej Milady, jest doskonałym ucieleśnieniem czarnego charakteru. Jego Eminencja tym jest dla d'Artagnana, czym książę Gonzaga dla Lagardere'a albo profesor Moriarty dla Sherlocka Holmesa. Ten aspekt tajemniczy i diaboliczny...

Corso przerwał mi gestem ręki. Zdziwiło mnie to, ponieważ zaczynałem już poznawać jego sposób bycia. Spodziewałem się, że raczej poczeka, aż rozmówca wyczerpie swoje argumenty - żeby nie uronić żadnej informacji.

- Dwukrotnie użył pan sformułowania „diaboliczny” - rzekł zaglądając do notatek - i za każdym razem w odniesieniu do Richelieu... Czy kardynał interesował się wiedzą tajemną?

Te słowa sprowokowały osobliwą sytuację: dziewczyna zaczęła przypatrywać się Corsowi, on obserwował mnie, a ja dziewczynę. Nieświadom przedziwnego trójkąta łowca książek oczekiwał mojej odpowiedzi.

- Richelieu interesował się wieloma rzeczami - wyjaśniłem. - Poza budowaniem mocarstwa francuskiego znajdował czas na kolekcjonowanie obrazów, gobelinów, porcelany i posążków. Był też znanym bibliofilem. Oprawiał swoje książki w skórę cielęcą i czerwony marokini...

- ...A na wierzchu srebrny herb z czerwonymi kantami - Corso machnął niecierpliwie ręką. Były to szczegóły drugorzędne i nie musiałem mu ich objaśniać. - Istnieje dobry katalog Richelieu.

- Jest to katalog fragmentaryczny, ponieważ zbiór nie zachował się w całości. Część przechowywana jest w Bibliotece Narodowej we Francji, w Bibliotece Mazzariniego i w Sorbonie. Pozostałe książki znajdują się w rękach prywatnych. Kardynał posiadał rękopisy hebrajskie i syryjskie, znakomite dzieła z zakresu matematyki, medycyny, teologii, prawa i historii... I, trafił pan, jedna rzecz niezwykle zdumiała badaczy: natknęli się w kolekcji na wiele starych tekstów dotyczących nauk tajemnych, od kabały po czarną magię.

Corso przełknął ślinę nie odrywając oczu ode mnie. Był wyraźnie podekscytowany. Przypominał cięciwę łuku na chwilę przed *toing!*

- Jakież tytuły...?

Pokręciłem przecząco głową. Milczałem. Intrygował mnie jego upór. Dziewczyna śledziła tok rozmowy, chociaż było jasne, że to nie ja zaprzętałem jej uwagę.

- Moja wiedza o Richelieu jako bohaterze powieści płaszcza i szpady - odezwałem się wreszcie - nie sięga tak daleko.

- A Dumas? Też interesował się naukami tajemnymi?

Uciąłem krótko:

- Nie. Dumas był sybarytą, który wszystko robił przy świetle dziennym ku uciesze i zgorszeniu swoich znajomych. Był też trochę przesądny: wierzył w uroki, nosił amulet na łańcuszku od zegarka i chadzał do wróżki, do pani Desbarolles. Natomiast nie wyobrażam go sobie uprawiającego praktyki czarnoksięskie na zapleczu domu. Nie był też masonem, jak

sam zapewnia w *Ludwiku czternastym i wieku jego*. Miał długi, wydawcy i wierzyciele gnębili go za mitręzenie czasu. Być może w którymś momencie, zbierając dokumentację do powieści, zaczął czytać na te tematy, ale z pewnością nie zagłębiał się zbyt. Jak zdołałem ustalić, wiedzę o praktykach masońskich opisywanych przezeń w *Józefie Bahamo* i w *Mohikanach paryskich* zaczerpnął bezpośrednio z *Malowniczych dziejów wolnomularstwa* Clavela.

- A Adah Menken?

Spojrzałem na Corsa z uznaniem. Było to pytanie znawcy.

- To co innego. Adah Isaacs-Menken, jego ostatnia kochanka, była aktorką amerykańską. Na Wystawie Światowej w 1867 Dumas oglądał sztukę *Stepowi piraci* i z miejsca zwrócił uwagę na ładną dziewczynę, którą w sztuce porywał galopujący rumak. Po wyjściu z teatru dziewczyna rzuciła się na pisarza i oświadczyła mu ni stąd, ni zowąd, że czytała wszystkie jego książki i że jest gotowa iść z nim do łóżka natychmiast. Czegóż więcej trzeba było staremu Dumasowi, żeby zadurzyć się w kobiecie? Przyjął jej hołdy. Podawała się za byłą żonę milionera, kochankę króla, generałową jakiejś republiki... W rzeczywistości była portugalską Żydówką urodzoną w Stanach - i rzadkim typem kochanki: miała w sobie coś z cwaniaka i boksera. Jej związek z Dumasem nosił znamiona skandalu, ponieważ Menken lubiła fotografować się w skąpej odzieży i często bywała na ulicy Malesherbes pod numerem 107, w ostatnim paryskim miejscu zamieszkania pisarza... Zmarła na zapalenie otrzewnej po upadku z konia, w wieku trzydziestu jeden lat.

- Interesowała się czarną magią?

- Tak mówią. Lubowała się w dziwnych ceremoniach: stroiła się w tuniki, paliła kadzidła i składała ofiary panu ciemności... Twierdziła czasem, że posiadał ją Szatan, czyniąc rozmaite aluzje, które dzisiaj uznalibyśmy za pornografię. Jestem przekonany, że stary Dumas nie wierzył w ani jedno słowo, z pewnością jednak te scenki stanowiły dla niego niezgorszą rozrywkę. Kiedy Menken była w mocy diabła, musiała być płomienną kochanką.

Wokół stołu wybuchły śmiechy. Nawet ja pozwoliłem sobie na dyskretny uśmiech na koszt tego żartu. Dziewczyna i Corso zachowali jednak powagę. Ona wpatrywała się w niego w zamyśleniu jasnymi oczami, za to łowca książek przytakiwał głową, ale też już jakby roztargniony i nieobecny. Spoglądał przez okno na pogrążone w mroku bulwary i na mknące po nich samochody, których światła odbijały się w jego okularkach. W ich bezgłośnym pędzie zdawał się szukać zagubionego słowa, klucza, który połączyłby wszystkie te wątki, bujające jak suche liście na czarnym oceanie czasu.

Ponownie usuwam się na plan drugi, na pozycję niemal wszytkowiedzącego narratora przypadków Lucasa Corsa. Dzięki późniejszym opowieściom łowcy książek mogę zrelacjonować owe tragiczne wydarzenia w sposób uporządkowany. Dochodzimy do momentu, kiedy po przybyciu do domu Corso stwierdził, że dozorca pozamiatał już sień i zaraz ma zamykać stróżówkę. Właśnie wynosił z piwnicy wiadra ze śmieciami.

- Dzisiaj byli naprawić panu telewizor.

Corso zbyt wiele się naczytał i naoglądał, żeby nie zorientować się, o co chodzi. Nie wytrzymał i ku zaskoczeniu dozorca wybuchnął śmiechem.

- Już od dawna nie mam telewizora...

Prawie nie zwrócił uwagi na gwałtowny potok wyjaśnień. Wszystko to zaczynało przypominać jakiś cudownie przewidywalny układ. Ponieważ w grę wchodziły książki, musiał podejść do tego raczej z pozycji bystrego i krytycznego czytelnika niż naiwnego nabywcy tanich towarów, którego chciano w nim widzieć. Zresztą nie miał wyboru. Ostatecznie naturę miał sceptyczną, a ciśnienie niskie, nie należał do tych, którym w takiej chwili pot występuje na czoło, a z ust wyrывa się okrzyk: „nieszczęście!”

- Chyba nie zrobiłem nic złego, panie Corso...

- Oczywiście, że nie. Człowiek od telewizora był brunetem, prawda? Z wąsikami i blizną na twarzy...

- Tak, tak.

- Proszę się uspokoić. To mój przyjaciel. Kawalarz.

Dozorca odetchnął z ulgą.

- Kamień spadł mi z serca.

Corso nie niepokoił się o *Dziwięcioro Wrót* ani o rękopis Dumasa. Kiedy nie nosił ich ze sobą w brezentowej torbie, deponował je w barze Makarowej. Jeśli chodzi o jego rzeczy, było to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Wchodził spokojnie po schodach, usiłując wyobrazić sobie, co nastąpi za chwilę. Na tym poziomie stawał się już - jak to niektórzy nazywają - czytelnikiem drugiego stopnia i ten prymitywny archetyp bardzo go rozczarował. Ulżyło mu jednak, kiedy otworzył drzwi. Po podłodze nie walały się papiery, szuflady nie były powyciągane. Nie rozpruto nawet foteli. Mieszkanie było w takim samym porządku, w jakim je pozostawił wychodząc o pierwszej po południu.

Podszedł do biurka. Pudełeczka z dyskietkami leżały na swoim miejscu, dokumenty spoczywały nadal w kasetach, tam gdzie je zostawił. Człowiek z blizną, Rochefort czy kim on tam u diabła był, znał swoją robotę, ale wszystko ma swoje granice. Włączywszy komputer, Corso uśmiechnął się triumfalnie.

DAGMAR PC 555 K (S1) ELECTRONIC PLC

WYLACZONY O 19:35/THU/3/21

A>ECHO OFF

A>

Wyłączony o 19.35 tego samego dnia, jak zaświadczał monitor. A on nie dotykał komputera od dwudziestu godzin. O 19.35 był na naszym spotkaniu w kawiarni. W tym czasie człowiek z blizną miał dozorcę.

Znalazł coś jeszcze, czego zrazu nie dostrzegł. Tuż obok telefonu. To nie mógł być przypadek ani nieostrożność ze strony tajemniczego gościa. W popielniczce pośród własnych petów Corso znalazł niedopałek pochodzący od kogoś innego. Była to resztką prawie wypalonego cygara hawańskiego, z nietkniętym szablonem. Wziął je w palce i trzymał przez chwilę z niedowierzaniem, by po chwili, pojąwszy już jego znaczenie, odsłonić w uśmiechu siekacze na podobieństwo podstępного, złego wilka.

Cygaro marki Montecristo. No jasne.

Flavio La Ponte też miał wizytę. U niego gościł hydraulik.

- Mam gdzieś takie numery - powiedział na powitanie.

Czekając, aż Makarowa poda dzin, opróżnił na kontuar zawartość celofanowej torebki. Niedopałek cygara był identyczny i szablon także miał nietknięty.

- Edmund Dantès znowu atakuje - podsumował Corso.

La Ponte tylko po części skłonny był upatrywać w tej sprawie powieściowych podtekstów.

- Stać drania na hawańskie - księgarzowi aż podskoczyło tętno. Na rudą brodę spadło kilka kropel dżinu. - Znalazłem to na nocnym stoliku.

Corso nie ukrywał dobrego humoru:

- Powinieneś się wyluzować, Flavio. Bądź twardzielem - położył mu rękę na ramieniu.

- Pamiętaj o Klubie Harpunników z Nantucket.

Księgarz z gniewną miną strząsnął dłoń przyjaciela.

- Byłem twardzielem. Do czasu jak skończyłem osiem lat. Wtedy zrozumiałem, jakie korzyści daje umiejętność przetrwania. Od tamtej chwili nieco zmiękłem.

Między jednym haustem a drugim Corso zacytował Szekspira. Tchórz wiele razy umiera, nim umrze; człowiek waleczny [W. Shakespeare, *Juliusz Cezar*, przekład Stanisława Barańczaka.] i tak dalej. La Ponte nie należał jednak do ludzi, których można pocieszyć cytatami. W każdym razie tego rodzaju cytatami.

- Właściwie to się nie boję - powiedział z wyrazem smutnej zadumy na twarzy. - Tylko bardzo nie chciałbym czegoś stracić... Pieniędzy. Mojej niebywałej potencji. Życia.

Były to poważne argumenty i Corso musiał przyznać, że ewentualny brak wymienionych darów losu mógł się okazać nieprzyjemny. A poza tym, dodał księgarz, dochodziły nowe elementy: dziwni klienci pragnący kupić rękopis Dumasa za każdą cenę, tajemnicze telefony w środku nocy...

Zaciekawiony Corso aż się poderwał z miejsca.

- Dzwonią po nocy?

- Tak, ale nic nie mówią. Chwilę milczą, po czym odkładają słuchawkę.

La Ponte relacjonował swoje nieszczęścia, tymczasem Corso dotknął brezentowej torby, którą chwilę wcześniej odzyskał. Makarowa trzymała ją cały dzień pod ladą, wśród kontenerów z butelkami i antałów piwa.

- Nie wiem, co mam robić - skonstatował La Ponte dramatycznym tonem.

- Sprzedaj rękopis i skończ ze sprawą. Za dużo już tego dobrego.

Księgarz pokręcił głową, zamawiając przy tym kolejny dzin. Podwójny.

- Przyrzekłem Enriquemu Tailleferowi, że rękopis pójdzie na aukcję.

- Taillefer nie żyje. A ty w życiu nie dotrzymałeś żadnej obietnicy.

La Ponte przytaknął posępnie, jakby tego rodzaju faktów nawet nie trzeba było przypominać. Ale nagła myśl rozjaśniła mu zmarszczone czoło, a w gęstwinie brody pojawił się głupawy uśmiezek. O ile to w ogóle można było nazwać uśmiechem.

- No pewnie. Zgadnij, kto dzwonił.

- Milady.

- Trafiony, prawie zatopiony: Liana Taillefer.

- Wiesz co? - odezwał się wycierając usta wierzchem dłoni. - Czasem mi się wydaje, że już kiedyś czytałem tę książkę.

La Ponte znów potarł czoło.

- Chce odzyskać *Wino andegaweńskie* - odparł. - Tak, jak jest, bez żadnej weryfikacji - umoczył wargi w swoim drinku, po czym uśmiechnął się do Corsa niepewnie. - Dziwne, nie? Takie nagłe zainteresowanie...

- Co jej odpowiedziałeś?

Księgarz uniósł brwi.

- Że sprawa wymknęła mi się spod kontroli. Że ty masz teraz rękopis. I że podpisałem z tobą umowę.

- Kłamstwo. Niczego nie podpisywaliśmy.

- Oczywiście, że kłamstwo. Ale jeżeli sprawa się skomplikuje, ty będziesz jadł tę zabę. Co mi nie przeszkadza wysłuchać oferty. W najbliższych dniach wdowa i niżej podpisany zjedzą razem kolację. Interesy. Żeby przedyskutować to i owo. To mówi śmiały harpunnik.

- Nie jesteś żadnym harpunnikiem. Jesteś oślizgłą gnidą i zdrajcą.

- Wiem. Anglia mnie takim uczyniła, jak mawiał ten obszcymur Graham Greene. W szkole przezywali mnie „To-nie-ja...” Nigdy nie opowiadałem ci, jak zaliczyłem matematykę?

- znowu uniósł brwi w nostalgicznym zamyśleniu. - Zawsze byłem skarżypytą, co się zowie.

- No to miej się na baczności przed Lianą Taillefer.

- Dlaczego? - La Ponte spojrział na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnął się lubieżnie.

- Spodobała mi się, odkąd przyniosłem jej mężowi pierwszą powieść w odcinkach. Ma babka klasę.

- Tak - zgodził się Corso. - Klasę maturalną.

- Słuchaj, nie rozumiem, co ci w niej przeszkadza. Przy takiej budowie...

- I tu jest pies pogrzebany.

- Nie mam nic przeciwko psom, jeśli ich panie są ładnymi blondynkami.

Corso postukał palcem w węzeł krawata La Pontego.

- Posłuchaj, idioto. W tajemniczych opowieściach zawsze umiera przyjaciel. Łapiesz ten sylogizm? To jest tajemnicza historia, a ty jesteś moim przyjacielem - mrugnął do niego dla podkreślenia tej porażającej logiki. - Czyli znalazłeś się na celowniku.

La Ponte nie dał się zastraszyć, przytłoczony wspomnieniem wdowy.

- Dobra, dobra. Jeszcze w życiu nie trafiłem binga. Poza tym mówiłem ci, gdzie mają celować: w ramię.

- Ja mówię poważnie. Taillefer nie żyje.

- Samobójstwo.?

- To się zobaczy. A może umrzeć jeszcze ktoś.

- To sam umieraj. Podjudzacz. Świnia.

Resztę popołudnia wypełniły wariacje na ten sam temat.

Pożegnali się jakieś pięć czy sześć szklanek później, umówiwszy się na telefon, kiedy Corso będzie w Portugalii. La Ponte oddalił się niepewnym krokiem i bez płacenia, podarował tylko przyjacielowi niedopałek Rocheforta. Teraz, powiedział, masz już parkę.

VI. O apokryfach i interpolacjach

„Przypadek? Do kroćset, wybaczcie, że się śmieję.
Takie wytłumaczenie zadowoli chyba tylko głupca”.

(*M. Zévaco, Pardadlanowie*)

B^{cia} CENIZA

OPRAWIANIE

i ODNAWIANIE KSIĄŻEK

Drewniany szyld zwisał z okna o szybach matowych od kurzu. Tabliczka cała była popękana, a kolor, na skutek działania wilgoci i upływu czasu, miała trudny do określenia. Pracownia braci Cenizów mieściła się na antresoli w zabytkowej czteropiętrowej, podpartej od podwórza kamienicy, przy jednej z mrocznych uliczek starego Madrytu.

Lucas Corso nacisnął dzwonek dwa razy, lecz nie było odpowiedzi. Spojrzał więc na zegarek, po czym oparł się o mur, wiedząc, że nie obejdzie się bez czekania. Dobrze znał zwyczaje Pedra i Pabla Cenizów. W tej chwili znajdowali się o kilka przecznic dalej, przy marmurowym kontuarze baru „La Taurina”, gdzie obalali pół litra wina w ramach obiadu i dyskutowali na temat książek i corridy. Byli kawalerami i pijakami, byli gderliwi i nierozłączni.

Ujrzał ich dziesięć minut później, jak szli obok siebie ubrani w prochowce przypominające całuny zawieszane na chudych szkieletach. Całe życie zgarbieni nad prasą albo sztancami, zajęci zszywaniem arkuszy lub złoceniem safianu. Żaden z nich nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, ale z powodzeniem można im było dać po dziesięć lat więcej, widząc ich zapadłe policzki, ich dłonie i oczy, zniszczone od wymagającej precyzji roboty rzemieślniczej, i skórę tak bezbarwną, jak gdyby pergamin, przy którym pracowali, użyczył im swojej chłodnej bladeści. Fizyczne podobieństwo braci było uderzające: ten sam wielki

nos, identycznie przylegające do czaszki uszy, podobnie zaczesane do tyłu rzadkie włosy bez przedziałka. Jedyne różnice dawały się zauważyć we wzroście i w rozmowności: młodszy, Pablo, był wyższy i bardziej milczący niż Pedro. Ten zaś z kolei często kaszłał z chrapliwym rżeniem. Był namiętym palaczem. Dłonie, którymi przypalał jednego papierosa od drugiego, drżały bezustannie.

- Kopę lat, panie Corso. Miło pana widzieć.

Podążył za nimi po zniszczonych drewnianych schodkach. Drzwi zaskrzypiały, a włączone w tej samej chwili światło ukazało oczom zagraconą pracownię, w której na honorowym miejscu stała stara księgarska prasa. Obok niej znajdował się obity blachą cynkową stół zavalony narzędziami, fascykułami na wpół zszytymi albo już z grzbietem, gilotynami do papieru, barwionymi skórami, buteleczkami z klejem, fantazyjnymi sztancami i innymi przedmiotami związanymi z fachem. Wszędzie widać było książki: piętrzące się stopy opraw safianowych, szagrynowych i welinowych, paczki gotowe do wysłania, tomy w trakcie obróbki, bez okładek albo dopiero w fazie oprawy tekturowej. Na ławach i półkach na swoją kolej czekały stare woluminy zniszczone przez mole albo wilgoć. W powietrzu unosiła się woń papieru, kleju introligatorskiego i nowej skóry. Corso rozchylił nozdrza z rozkoszą, po czym wyciągnął z torby książkę i położył ją na stole.

- Chciałbym wiedzieć, co o tym sądzicie, panowie.

Nie był to pierwszy raz. Pedro i Pablo Cenizowie zbliżyli się powoli, niemal ostrożnie. Jak zwykle starszy z braci pierwszy zabrał głos.

- *Dziewięcioro Wrót...* - dotykał książki nie ruszając jej z miejsca. Wydawało się, że jego kościste, poźółkłe od nikotyny palce pieszczą żywą skórę. - Śliczna książka. I bardzo rzadka.

Miał szare, mysie oczy. Szary prochowiec, szare włosy, szare oczy pasowały do nazwiska [Ceniza (hiszp.) - popiół]. Usta wykrzywił mu pożądlivy uśmiezek.

- Widzieliście ją już?

- Tak, niecały rok temu, kiedy Claymore zlecił nam oczyszczenie dwudziestu książek z biblioteki pana Gualteria Terrala.

- W jakim stanie trafiła do panów?

- W doskonałym. Pan Terral wiedział, jak się obchodzić z książkami. Prawie wszystkie były bez zarzutu, oprócz jednego Teixeiry, nad którym trzeba było się trochę potrudzić. Reszta, łącznie z tą, wymagały jedynie drobnego oczyszczenia.

- To falsyfikat - palnął Corso. - W każdym razie tak mówią.

Bracia spojrzeli po sobie.

- Falsyfikat, falsyfikat... - mruknął rozeźlony starszy z braci. - Wszyscy gadają o falsyfikatach bez zastanowienia.

- Bez zastanowienia - powtórzył drugi jak echo.

- Nawet pan, panie Corso. A to nas zdumiewa. Fałszowanie książek się nie opłaca. Więcej wysiłku niż korzyści. Chodzi mi o rzetelne fałszerstwo, a nie o jakieś faksymile, żeby nabrać naiwnego kmiotka.

Corso gestem dopominał się o wyrozumiałość.

- Nie powiedziałem, że cała książka jest podrobiona, ale że coś w niej jest nie tak. Niektóre egzemplarze, pozbawione jednej czy kilku kartek, mogły zostać uzupełnione kopiami wziętymi z innych, kompletnych egzemplarzy...

- Naturalnie, to abecadło tej profesji. Ale wszyć fotokopię albo faksymile to nie to samo co skompletować wybrakowany egzemplarz według... - zwrócił się do brata, nie odrywając jednak oczu od Corsa. - Ty panu powiedz, Pablo.

- Według wszelkich reguł sztuki - dokończył młodszy z braci Cenizów.

Przez twarz Corsa przemknął porozumiewawczy uśmiech królika, który dzieli się połową marchewki.

- Być może tak było w tym przypadku.

- Kto tak twierdzi?

- Właściciel. A nie jest to naiwny kmiotek.

Pedro Ceniza wzruszył wąskimi ramionami i przypalił kolejnego papierosa od poprzedniego. Pierwszy kłęb dymu w płucach wywołał suchy kaszel. Mimo to niewzruszony introligator palił dalej.

- Miał pan dostęp do autentyku, żeby móc je porównać?

- Nie, aczkolwiek wkrótce będę miał możliwość. Dlatego potrzebna mi jest panów opinia.

- To drogocenna książka, a my nie zajmujemy się naukami ścisłymi - znowu zwrócił się ku bratu. - Prawda, Pablo?

- Zajmujemy się sztuką - podkreślił tamten.

- Słyszał pan. Nie chcielibyśmy pana rozczarować, panie Corso.

- Nie rozczaruję się. Panom udało się podrobić *Speculum Vitae* na podstawie jedyne go znanego egzemplarza i to tak, że znalazło się w jednym z najlepszych katalogów europejskich jako autentyk. Tacy ludzie wiedzą, co mają w ręku.

Zaśmiali się cierpko, jednocześnie, jak zsynchronizowane lalki. „Bracia Sy i Jam” - pomyślał Corso. Koty-niecnoty zostały pogłaskane.

- Nasze autorstwo nigdy nie zostało dowiedzione - odezwał się wreszcie Pedro Ceniza. Zacierał ręce i spoglądał na książkę z ukosa.

- Nigdy - powtórzył jego brat z nutką melancholii. Chyba żalowali, że nie trafili do więzienia i że obeszło się bez rozgłosu.

- Oczywiście - przyznał Corso. - Tak jak nie było dowodów w przypadku tego Chaucera, rzekomo oprawionego z wykorzystaniem intarsji mozaikowej przez samego Mariusa Michela i figurującego w katalogu kolekcji Manoukiana. Ani przy tej wielojęzycznej Biblii barona Bielkego, gdzie trzy brakujące kartki zastąpiliście panowie w sposób tak doskonały, że do dziś dnia specjaliści nie śmiały kwestionować ich autentyczności...

Pedro Ceniza uniósł pożątkłą dłoń zakończoną zbyt długimi paznokciami.

- Panie Corso, parę rzeczy trzeba sprecyzować. Sfałszować książkę w celach zarobkowych to jedno, a pracować z sercem dla własnego fachu to drugie. My tworzymy dla czystej przyjemności, jaką daje ów akt tworzenia czy może najczęściej odtworzenia - introligator zamrugnął oczami i uśmiechnął się przebiegle. Jego mysie oczka zerknęły znów w stronę *Dziewięciorga Wrót*. - Jakkolwiek nie przypominam sobie, a sądzę, że mój brat również nie, naszego udziału przy tych robotach, które pan określa jako zachwycające.

- Powiedziałem „doskonale”.

- Naprawdę? Na jedno wychodzi - podniósł papierosa do ust i zaciągnął się mocno, aż policzki zapadły mu się jeszcze bardziej. - Kimkolwiek był jednak autor, względnie autorzy, jestem pewien, że praca stanowiła dla niego czy też dla nich osobistą satysfakcję, powiedziałbym, moralną, której nie zastąpią pieniądze...

- *Sine pecunia* - podsumował jego brat.

Pedro Ceniza zamyślił się, wypuszczając dym przez nos i wpółotwarte usta.

- Weźmy na przykład owo *Speculum*, które Sorbona uznała za autentyk. Sam papier, typografia, druk i oprawa musiały bez wątpienia kosztować pięciokrotnie więcej, niż wyniosło wynagrodzenie tych, których pan nazywa fałszerzami. Nie każdy to zrozumie... Co bardziej usatysfakcjonuje malarza utalentowanego jak Velazquez i umiającego malować jak on: zarobienie pieniędzy czy ujrzanie swego płótna w Prado między *Las Meninas* a *Kuźnią Wulkana*?

Corso bez wahania dał do zrozumienia, że się z tym zgadza. Przez osiem lat *Speculum* braci Cenizów znajdowało się pośród najcenniejszych tomów biblioteki uniwersytetu paryskiego. Wykrycia fałszerstwa nie dokonali eksperci. Uczynił to za długi język pośrednika.

- Policja jeszcze was nachodzi?

- Niespecjalnie. Niech pan zważy, że sprawa sorbońska wybuchła we Francji na styku nabywca-pośrednicy. Oczywiście nasze nazwisko pojawiało się przy okazji, ale dowodów nie znaleziono - kolejny krzywy uśmiech Pedra Cenizy wyrażał żal z powodu owego braku dowodów. - Z policją mamy dobre układy. Wpadają tu nawet, żebyśmy zweryfikowali skradzione książki - wskazał na brata dymiącym papierosem. - Nikt tak jak Pablo nie potrafi wymazać pieczętek bibliotecznych, zlikwidować ekslibrisów czy innych znaków pochodzenia. Czasem proszą go, żeby wykonał odwrotną robotę. Wie pan: żyj i pozwól żyć innym.

- Co sądzicie panowie o *Dziewięciorgu Wrotach*?

Starszy z braci zerknął na drugiego, potem na książkę i pokręcił głową.

- W czasie gdy się nimi zajmowaliśmy, nic nie zwróciło naszej uwagi. Papier i farba są w należytym porządku. Wprawdzie przyglądaliśmy się dość powierzchownie, ale te rzeczy się zauważa.

- My je zauważyliśmy - sprecyzował drugi z braci.

- A dzisiaj?

Pedro Ceniza zaciągnął się resztką papierosa, a właściwie drobinką żaru ściśniętą między paznokciami. Wreszcie upuścił ją na podłogę, gdzie zgasła między jego butami. Na wykładzinie z linoleum pełno było wypalonych śladów po petach.

- Oprawa wenecka z XVII wieku, w dobrym stanie... - obaj bracia pochylili się nad książką, ale tylko starszy dotykał kartek swymi zimnymi i bladymi dłońmi. Przypominali parę wypychaczy zwierząt medytujących, jak by tu spreparować leżącego przed nimi trupa. - Skóra to czarny marokini ze złoceniami naśladowującymi ornamentykę roślinną...

- Coś skromnie jak na Wenecję - zauważył Pablo Ceniza. Jego brat wyraził zgodność z tą opinią poprzez kolejny atak kaszlu.

- Artysta się pohamował, niewątpliwie rodzaj tematyki... - spojrzął na Corsę. - Sprawdzał pan wewnątrz okładek? Szesnasto - i siedemnastowieczne oprawy często płątają niespodzianki, gdy mamy do czynienia ze skórą. Karton wewnętrzny sporządzano z luźnych kartek zlepionych klajstrem i ściśniętych. Czasami wykorzystywano próbne wydruki z tej samej książki albo rzeczy wcześniejsze. Niektóre znaleziska mają dzisiaj większą wartość niż oprawione w nie książki - wskazał plik papierów leżących na stole. - Tam ma pan przykład. Powiedz panu, Pablo.

- Bulle z krucjaty roku 1483 - jego brat uśmiechał się zagadkowo, jakby mówił nie o prastarych papierzyskach, ale o podniecających materiałach pornograficznych. - Były w okładkach jakichś bezwartościowych pamiętników z XVI wieku.

Pedro Ceniza z namaszczeniem zajął się na powrót *Dziewięciorgiem Wrót*:

- Oprawa jest chyba bez zarzutu - powiedział. - Wszystko pasuje. Ciekawa książka, co? Te pięć bind na grzbiecie, brak tytułu, tajemniczy pentagram na tylnej okładce... Torchia, Wenecja 1666. Może on sam ją oprawił. Piękna robota.

- Co mi pan powie na temat papieru?

- Chylę czoło, panie Corso, dobre pytanie - introligator przesunął językiem po wargach, jakby chciał dać im trochę ciepła. Następnie z uwagą posłuchał szelestu kartek, gdy przesuwał kciuk po brzegu książki, tak jak Corso w gabinecie Vara Borjy. - Znakomity papier. Nie to co dzisiejsze celulozy... Wie pan, jaki jest średni wiek książek drukowanych obecnie? Powiedz panu, Pablo.

- Siedemdziesiąt lat - poinformował drugi z braci z pretensją w głosie, jakby winę za to ponosił Corso. - Siedemdziesiąt nędznych lat.

Starszy z braci grzebał wśród przyborów leżących na stole. Wreszcie wydobył specjalne szkło powiększające i zbliżył je do książki.

- Za sto lat - mruknął unosząc jedną kartkę i przyglądając jej się pod światło - prawie wszystko, co się znajduje w bibliotekach, przepadnie. A te dzieła, wydrukowane dwieście czy pięćset lat temu, pozostaną nietknięte. Takie mamy książki i taki świat, na jaki zasłużyliśmy. Co nie, Pablo?

- Gówniane książki na gównianym papierze.

Pedro Ceniza kiwał potakująco głową, wciąż oglądając książkę przez szkło.

- Sam pan słyszał. Papier celulozowy żółknie i robi się kruchy jak opłatek, rozpada się bezpowrotnie. Starzeje się i umiera.

- Inaczej niż w tym przypadku - dodał Corso wskazując na książkę.

Introligator wciąż przyglądał się kartkom pod światło.

- Papier z włókien, jak Pan Bóg przykazał. Zrobiony z całych splotów, dzięki czemu jest odporny na działanie czasu i ludzkiej głupoty... Nie, skłamałem, to len. Autentyczny papier z lnu - podniósł oko znad szkła powiększającego i popatrzył na brata. - Przedziwne, więc to nie jest papier wenecki. Gruby, porowaty, włóknisty... Hiszpański?

- Walencki - odparł drugi. - Len z Jativy.

- Właśnie. Jeden z najlepszych w ówczesnej Europie. Możliwe, że drukarz importował papier... Ten facet postanowił wykonać dobrą robotę.

- Robił tak świadomie - podkreślił Corso. - I przypłacił to życiem.

- Ryzyko zawodowe - Pedro Ceniza przyjął od Corsa wymiętego papierosa, którego natychmiast przypalił przy akompaniamencie beznamiętnego kaszlu. - Jeśli chodzi o papier,

sam pan wie, że tu niewiele da się sfalszować. Musiałaby to być czysta ryza, z tej samej epoki, a i to jeszcze nie wystarcza: kartki przecież brązowieją, druk się utlenia i starzeje... Jasne, że nowe kartki można poplamić, skąpać w herbacianej wodzie, żeby ściemniały... Po dobrej renowacji czy uzupełnieniach, które robią wrażenie oryginałów, książka powinna mieć jednolity wygląd. Diabeł tkwi w szczegółach, prawda, Pablo? Jak zwykle w cudownych szczegółach.

- A jaka diagnoza?

- Rozważywszy niemożności, prawdopodobieństwa i dowody ustaliliśmy, że oprawa książki może być z siedemnastego wieku. Nie oznacza to, że kartki, które służą za wypełnienie, pochodzą z tego samego źródła, ale przyjmijmy to jako możliwe. Jeśli o papier chodzi, ma cechy typowe dla innych okazów, których pochodzenie zostało potwierdzone. Zatem jest chyba równie stary.

- Zgoda, oprawa i papier są autentyczne. Przyjrzyjmy się tekstowi i ilustracjom.

- To sprawa znacznie bardziej złożona. Co do typografii, to mamy dwa punkty widzenia. Pierwszy: książka jest autentykiem, ale jej właściciel, który pana zdaniem ma poważną wiedzę fachową, nie wierzy w to. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Przejdźmy do punktu drugiego, gdy książka jest fałszywa. Tu jawią nam się dwie możliwości. Pierwsza: cały tekst jest sfalszowany, wymyślony, wydrukowany na papierze z epoki i oprawiony w stare okładki. To, chociaż możliwe, jest nieprawdopodobne. A ściśle biorąc, mało przekonujące, bo koszt książki byłby niewspółmierny... Jest zatem druga racjonalna możliwość jej spreparowania: że dokonano tego w czasie zbliżonym do daty pierwszej edycji książki. Mówimy tu o dodruku z pewnymi modyfikacjami, upozorowanym na pierwodruk. Mogło to mieć miejsce jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat po owej dacie 1666, którą widzimy na frontyspisie... Ale w jakim celu?

- W grę wchodziła książka wyklęta - odezwał się Pablo Ceniza.

- To możliwe - przyznał Corso. - Ktoś, kto miał dostęp do materiału, z którego korzystał Aristide Torchia, do pras i czcionek, mógł wydrukować ją na nowo...

Starszy z braci chwycił ołówek i szkicował coś na odwrocie zadrukowanej kartki.

- Byłoby to jakieś wytłumaczenie. Ale większe prawdopodobieństwo mają inne warianty czy też hipotezy. Niech pan sobie na przykład wyobrazi, że większość kart książki jest autentyczna, ale mamy do czynienia z egzemplarzem wybrakowanym, gdzie niektóre kartki zostały wyrwane lub zagubione... I ktoś z ogromną cierpliwością uzupełnił te braki wykorzystując tamten papier i znakomitą technikę drukarską. W takim przypadku mamy dwa kolejne warianty: albo brakujące stroniczki zreprodukowano bądź skopiowano z innego,

integralnego egzemplarza, albo z braku oryginałów ich treść wymyślono - tu intrologator pokazał Corsowi swój rysunek. - Niniejszym mielibyśmy do czynienia z prawdziwym fałszerstwem według takiego schematu: [##schemat1.jpg](#)

Corso i młodszy z braci przyglądali się wykresowi, tymczasem Pedro Ceniza na nowo kartkował *Dziewięcioro Wrót*.

- Skłaniam się ku myśli - dorzucił po chwili, gdy znów na niego spojrzeli - że jeśli miała miejsce interpolacja kilku stronic, to albo doszło do niej współcześnie z epoką pierwodruku, albo po mistrzowsku dokonano jej obecnie. Wykluczamy tu czasy pośrednie, bo tak perfekcyjna reprodukcja starego dokumentu jest możliwa dopiero od niedawna.

Corso oddał mu schemat.

- Załóżmy, że chodzi o tę możliwość: egzemplarz jest wybrakowany, ktoś chce uzupełnić go za pomocą nowoczesnych technik. Co musi zrobić?

W jednoczesnym głębokim westchnieniu braci Cenizów, którzy aż oblizali się na myśl o takiej perspektywie, wyczuwało się profesjonalizm. Obaj wpatrywali się teraz w *Dziewięcioro Wrót*.

- Przypuśćmy - zaczął starszy - że mamy tę 168-stronicową książkę i że brakuje strony 100... Rzecz jasna 100 i 99, bo w grę wchodzi kartka z dwiema stronami, czyli stronicami. I chcemy ją uzupełnić. Numer polega na znalezieniu bliźniaka.

- Bliźniaka?

- Żargon zawodowy - wyjaśnił Pablo Ceniza - chodzi o inny egzemplarz integralny.

- Albo taki, w którym przynajmniej te dwie potrzebne nam do skopiowania stronic pozostały nietknięte. Jeśli to możliwe, warto porównać bliźniaka z naszym egzemplarzem dla sprawdzenia, czy występują różnice w druku, czy czcionki w którymś przypadku nie są bardziej zużyte... Panu nie muszę tego tłumaczyć: w czasach, gdy czcionki były ruchome, gdy łatwo się niszczyły i zmieniały kształt podczas druku ręcznego, pierwszy i ostatni egzemplarz tego samego nakładu mogły odbiegać od siebie, litery bywały wykrzywione, połamane, ton farby drukarskiej bywał różny i tak dalej. Tego rodzaju sprawdzian pozwoliłby nam uniknąć bądź skorygować niedoskonałości w taki sposób, żeby całość miała jednolity charakter... Następnie przystąpilibyśmy do reprodukcji fotomechanicznej za pomocą fotolitografii plastycznej. Wówczas usunęlibyśmy polimer albo cynk.

- Żłobiona płyta - rzekł Corso - wykonana z żywicy albo z metalu.

- Otóż to. Choćby zastosować nie wiem jak doskonałą technikę reprodukcji, nigdy nie uzyskalibyśmy na papierze rysunku adekwatnego do tamtej epoki przy użyciu płyt drewnianych czy ołowianych. Musimy otrzymać całą stronicę, zreprodukowaną w materiale

plastycznym, żywicy lub metalu, łudzaco podobną do efektu osiągniętego w 1666 roku za pomocą ruchomych czcionek ołowianych. Przygotowaną płytę umieszczamy w prasie i drukujemy ręcznie, tak jak to robiono cztery wieki temu... Oczywiście na papierze z epoki, uprzednio i później spreparowanym metodami sztucznego patynowania. Do tego farba, której skład należy zbadać dogłębnie, musi zostać poddana działaniu odczynników chemicznych, żeby nie różniła się od farby na pozostałych stronicach. No i gotowe, przestępstwo zostało dokonane.

- A jeśli kartka oryginalna nie istnieje? Jeśli nie mamy podstawy do skopiowania tych dwóch stronic?

Bracia Cenizowie uśmiechnęli się jednocześnie i z godnością.

- Wówczas - odezwał się starszy - praca staje się jeszcze atrakcyjniejsza.

- Dokumentacja i wyobraźnia - dodał drugi.

- No i, ma się rozumieć, odwaga, panie Corso. Gdybyśmy, Pablo i ja, mieli taki wybrakowany egzemplarz *Dziewięciorga Wrót*, to przecież dysponowalibyśmy także na pozostałych 166 stronicach całym katalogiem liter i znaków używanych przez drukarza. Pobralibyśmy więc próbki dla skompletowania alfabetu. Z tego alfabetu otrzymujemy reprodukcję na papierze fotograficznym, którym łatwiej się posługiwać, kopiując każdą literę tyle razy, ile razy występuje ona na stronicy... Ideałem artystycznym byłoby zreprodukować czcionki w odlewie ołowianym, zgodnie z dawną techniką. To jest niestety zbyt złożone i za drogie, odwołalibyśmy się więc do technik współczesnych. Pablo, który ma dryg do posługiwania się narzędziami, rozdzielał nożem czcionki ułożyłby w szablonie, wers po wersie, obie stronicie - ręcznie, jak siedemnastowieczny zecer. W ten sposób otrzymalibyśmy kolejną próbkę na papierze, gdzie litery nie zlewałyby się ze sobą i byłyby pozbawione felerów albo też zawierałyby te same niedoskonałości, jakie znaleźlibyśmy w literach, wersach i na stronicach tekstu oryginalnego. Potem pozostaje już tylko zrobić negatyw, a na jego podstawie trawioną płytę, gotową do druku.

- A jeżeli brakujące strony zawierają ilustracje?

- To nie ma znaczenia. Jeśli zdobędziemy sztych oryginalny, metoda reprodukcji jest jeszcze łatwiejsza. W tym przypadku mamy do czynienia z ksylografiami, o liniach bardziej wyrazistych niż w miedziorytach czy akwafortach, co bardzo ułatwia pracę.

- Niech pan sobie wyobrazi, że oryginału nie ma.

- Też nie ma problemu. Jeśli znamy go z opisów, imitujemy go. Jeśli nie, wówczas tworzymy go z głowy. Rzecz jasna po uprzednim zbadaniu techniki zastosowanej przy pozostałych rycinach. Jest to w stanie zrobić każdy dobry rysownik.

- A druk?

- Wie pan, że ksylografia to tylko rodzaj płaskorzeźby: klocek drewniany ucięty wzdłuż włókien, pokryty białym tłem, na którym rysuje się ilustrację. Następnie trzeba go wygrawerować, po czym wypukłości, czyli grzbiety, pokrywa się farbą i przenosi rysunek na papier... Przy reprodukcji ksylografii istnieją dwie możliwości. Jedna to skopiowanie rysunku, tu najlepiej w żywicy. Jednak lepszy wariant, pod warunkiem że mamy dobrego rytownika, to wykonać drugą autentyczną ksylografię w drewnie, stosując identyczną technikę, jaką posłużono się w epoce, i przenieść ją bezpośrednio na papier. Ja, dysponując dobrym rytownikiem w osobie mojego brata, poszedłbym na ten wariant rzemieślniczy. Jeżeli to możliwe, zawsze sztuka powinna stawać w szranki ze sztuką.

- I tak jest bardziej higienicznie - uzupełnił Pablo.

Corso posłał mu porozumiewawczy uśmiech.

- Przypadek *Speculum* z Sorbony.

- Kto wie? Może jego autor czy też autorzy myśleli w ten sam sposób... Nie sądzisz, Pablo?

- Niewątpliwie byli romantykami - zgodził się młodszy z braci z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

- Niewątpliwie - Corso wskazał książkę. - A teraz proszę o wyrok.

- Rzekłbym, że jest to autentyk - odparł Pedro Ceniza bez wahania. - Nawet my nie bylibyśmy w stanie dokonać dzieła tak doskonałego. Proszę spojrzeć: jakość papieru, plamki na kartkach, identyczny odcień, konsekwentne zesterzenie farby, typografia... Nie wykluczam, że mamy tu strony dołożone, ale jest to mało prawdopodobne. Jedyna możliwość fałszerstwa to taka, że dokonano go w tamtych czasach. Ile egzemplarzy stwierdzono?... Trzy? Zapewne rozważał pan ewentualność, że wszystkie trzy są podrobione.

- Owszem, rozważałem. Co może mi pan powiedzieć o ksylografiach?

- Przede wszystkim są dziwne. Te symbole... Ale to też tamta epoka. Głębokość druku jest identyczna. Farba, odcień papieru... Może klucz leży nie w czasie i sposobie druku, ale w treści? Przykro mi, ale daleko pan z nami nie zaszedł.

- Myli się pan - Corso miał zamiar zamknąć książkę. - W rzeczywistości zaszliśmy bardzo daleko.

Pedro Ceniza zatrzymał go gestem ręki.

- Jeszcze jedno... Chociaż pewnie już pan zwrócił i na to uwagę: znaki rytownika.

Corso zerknął na niego zakłopotany.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- O mikroskopijnych podpisach, które widnieją pod każdą ilustracją. Pokaż panu, Pablo.

Młodszy z braci uczynił ruch, jakby chciał prochowcem wytrzeć z dłoni nieistniejący pot. Następnie pokazał Gorsowi pod lupą kilka stron z *Dziewięciorga Wrót*.

- Każdy sztych - wyjaśnił - zaopatrzony jest w typowe skróty. *Inv.*, czyli *invenit* - to podpis oryginalnego artysty. Zaś *Sculp.*, czyli *sculpsit* - rytownika. Pan popatrz. Na siedmiu z dziewięciu ksylografii mamy podpis *A.Torch.* jako *sculp.* i jako *inv.* Jasne jest więc, że sam drukarz narysował i wrył siedem ilustracji. Ale na pozostałych dwóch figuruje tylko jako *sculp.* Czyli ograniczył się do ich wyrycia. Prawdziwym twórcą rysunków oryginalnych, owym *inv.*, był ktoś, komu odpowiadają inicjały *L.F.*

Pedro Ceniza, który potakiwał nieznacznie głową, w miarę jak jego brat tłumaczył całą rzecz, zapalił entego już papierosa.

- Nieźle, prawda? - zaczął kaszleć w obłoku dymu, a w jego sprytnych, mysich oczkach zabłyśło złośliwe światełko na widok miny Corsa. - Jego spalili, a przecież drukarz nie działał sam.

- Nie - poświadczył jego brat z ponurym śmiechem. - Ktoś mu pomógł podłożyć ogień pod jego własny stos.

Tego samego wieczoru Corso miał jeszcze gościa w osobie Liany Taillefer. Wdowa pojawiła się u niego bez uprzedzenia, o tej niekonkretnej porze, gdy łowca książek, ubrany w spraną koszulę bawełnianą i stare welwetowe spodnie, przyglądał się czerwieniom i ochrom dachów przez szyby wychodzącej na zachód werandy. Być może nie była to chwila odpowiednia i wielu późniejszych wypadków dałoby się uniknąć, gdyby Liana odwiedziła go o innej godzinie. Tego jednak nikt nigdy się nie dowie. Niepodważalne fakty są następujące: Corso stał przy oknie werandy, jego wzrok z lekka mętniał w miarę obniżania się poziomu dżinu w szklance, gdy naraz rozległ się dzwonek do drzwi. Liana Taillefer - imponująco wysoka blondynka, w angielskim płaszczu narzuconym na kostium i w czarnych pończochach - czekała na progu. Włosy miała upięte w kok widoczny pod borsalinem koloru tytoniu, o szerokim rondzie, założonym nieco na bakier, ze swobodą, z którą było jej bardzo do twarzy: oto kobieta piękna, pewna siebie i oczekująca, że wszyscy wokół ją zauważą.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - spytał Corso. Była to odzywka z gatunku idiotycznych, ale o tej porze i wobec wysączenia połowy bolsa nie należało już wymagać błyskotliwych dialogów. Liana Taillefer weszła już do mieszkania i zatrzymała się przy biurku, gdzie obok komputera i kasety z dyskietkami leżała teczka z rękopisem Dumasa.

- Ciągłe pan nad tym pracuje?

- No jasne.

Oderwała wzrok od *Wina andegaweńskiego* i spokojnie rozejrzała się po książkach zakrywających ściany i piętrzących się niemal w każdym wolnym miejscu. Corso pojął, że szuka fotografii, pamiątek, jakichś wskazówek, które powiedziałyby cokolwiek o gospodarzu. Nie udało się. Rozdrażniona i zniecierpliwiona uniosła brew. Wreszcie przystanęła przed szablą Starej Gwardii.

- Kolekcjonuje pan szpady?

Jej konkluzja należała do tak zwanych wniosków oczywistych, wyciąganych drogą indukcji. Corso pomyślał z ulgą, że jednak gdy dochodziło do próby łagodzenia kłopotliwych sytuacji, intelekt Liany Taillefer nie dorównuje jej prezencji. Chyba że robi go w konia. Uśmiechnął się więc z szorstką rezerwą.

- Kolekcjonuję tę jedną. To jest szabla.

Kobieta przytaknęła z obojętną miną. Nie sposób było dociec, czy krył się w niej prostaczek, czy świetna aktorka.

- Dostał pan w spadku?

- Nabyłem - skłamał Corso. - Przyszło mi do głowy, że będzie ładnie wyglądać na ścianie. Ta masa książek robi się monotonna.

- A dlaczego nie ma pan obrazów, zdjęć?

- Nie mam nikogo, kto by zasługiwał na wspomnienie - przypomniał sobie fotografię w srebrnych ramkach, na której nieboszczyk Taillefer w fartuchu szykował się do ćwiartowania prosięcia. - Naturalnie w pani przypadku jest inaczej.

Obserwował ją uważnie, jakby chcąc sprawdzić stopień beczelności własnych słów. Jej oczy, tak lodowato niebieskie, że można się było przeziębnić, zabłyśły odcieniem stali. Zrobiła znów kilka kroków po pokoju, kierując wzrok na książki, na widok z werandy i wreszcie znów na biurko. Paznokciem polakierowanym na ciemną czerwień pogładziła teczkę z rękopisem Dumasa. Może spodziewała się po Corsie kilku słów komentarza, ale ten milczał i cierpliwie czekał. Jeśli przyszła domagać się czegoś, a było jasne jak słońce, że tak - niech sama wykona swoją brudną robotę. On jej nie będzie niczego ułatwiał.

- Mogę usiąść?

Ten lekko zachrypnięty głos. Echo ciężkiej nocy, jak pamiętał Corso. Stał nadal na środku pokoju i wyczekiwał z rękami w kieszeniach spodni. Liana Taillefer zdjęła kapelusz i płaszcz i rozejrzawszy się jak zwykle bardzo powoli, zdecydowała się na starą sofę. Szła ku niej całą wieczność, by w końcu usiąść - spódnica kostiumu okazała się bardzo krótka - i

skrzyżowała nogi w sposób, który każdy, nawet łowca książek nie nasączony dżinem, uznałby za porażający.

- Przyszłam porozmawiać o interesach.

Niechybnie. Te manewry pod żadnym pozorem nie mogły być bezinteresowne. Corso nie miał o sobie wyjątkowo wysokiego mniemania, ale ślepym naiwniakiem nie był.

- Porozmawiajmy - rzekł. - Była już pani na kolacji z Flaviem La Ponte?

Żadnej reakcji. Przez kilka sekund wpatrywała się w niego z tą samą niewzruszoną pogardą.

- Jeszcze nie - odparła w końcu bez zmrużenia oka. - Najpierw chciałam zobaczyć się z panem.

- No więc zobaczyła mnie pani.

Liana Taillefer oparła się wygodniej na sofie. Jej ręka spoczywała na szparze w pomiętej tapicerce ze skóry. Ze środka wyłaziła trawa morska.

- Pan pracuje za pieniądze.

- To prawda.

- Sprzedaje się pan temu, kto lepiej zapłaci.

- Czasami - w ustach Corsa pojawił się siekacz. Łowca książek był na swoim terytorium i mógł sobie pozwolić na uśmiech królika sympatycznego. - Z reguły jestem do wynajęcia. Jak ci, których gra Humphrey Bogart. Albo jak byle kurwa.

Jak na wdowę, która w dzieciństwie robiła wyszywanki, Liana Taillefer powinna była poczuć się zgorszona tym językiem. Ale nie.

- Chcę zaproponować panu pracę.

- Świetnie. Wszyscy mi ostatnio proponują pracę.

- Zapłacę panu dużo.

- Cudownie. Wszyscy mi od jakiegoś czasu dużo płacą.

Wyciągnęła kłak morskiej trawy z pękniętego oparcia sofy i zaczęła go okręcać w roztargnieniu wokół palca wskazującego.

- Ile panu płaci pański przyjaciel La Ponte?

- Flavio? Nic. Z niego nie da się wycisnąć ani grosza.

- To dlaczego pan dla niego pracuje?

- Sama pani powiedziała: to mój przyjaciel.

Zamyślona, powtórzyła ostatnie jego słowo.

- Dziwnie to brzmi w pańskich ustach - powiedziała wreszcie. Na jej ustach błąkał się niemal niedostrzegalny uśmieszek pogardliwego zaciekawienia. - A ma pan też przyjaciółki?

Corso niespiesznie zlustrował jej nogi od kostek aż po uda. Z jawną beczelnością.

- Miewam wspomnienia. Wspomnienie o pani przyda mi się dzisiaj w nocy.

Ze stoicyzmem zniosła te chamskie słowa. „A może nie chwyciła aluzji” - pomyślał Corso.

- Proszę podać cenę - rzuciła chłodno. - Żądam rękopisu mojego męża.

Sprawa zaczynała nabierać rumieńców. Corso usiadł w fotelu naprzeciwko Liany Taillefer. Stąd widok na jej nogi w czarnych pończochach był znacznie lepszy: właśnie zdjęła buty i oparła stopy na dywanie.

- Poprzednio nie była pani tak zainteresowana.

- Przemyślałam sprawę. Ten rękopis ma swoją wartość.

- Sentymentalną? - spytał Corso z kpina w głosie.

- Tak jakby - jej głos zabrzmiał teraz wyzywająco. - Ale nie w tym znaczeniu, jakie ma pan na myśli.

- I co mogłaby pani za to dać?

- Już mówiłam: zapłacić.

Corso odparł atak bezwstydnym uśmiechem.

- Pani mnie obraża. Jestem profesjonalistą.

- Pan jest zawodowym najemnikiem, a tacy ludzie zmieniają barwy. Ja też czytuję książki..

- Mam wystarczająco dużo pieniędzy.

- Ja nie mówię o pieniądzach.

Oparła się na sofie i jedną stopą głaskała podbicie drugiej. Corso domyślił się pod czarną siateczką pończoch czerwonego lakieru na paznokciach. Przy kolejnym ruchu spódnica uniosła się, ujawniając kawałek białej skóry powyżej czarnych podwiązek. Tam, gdzie wszystkie zagadki stapały się w jedną, odwieczną jak Czas. Łowca książek uniósł spojrzenie. Stalowoniebieskie oczy wciąż wpatrywały się w niego.

Zdjawszy okulary podniósł się z fotela i podszedł do sofy. Kobieta śledziła jego ruchy obojętnym wzrokiem, nawet wówczas gdy stanął tuż przed nią, tak że ich kolana się zetknęły. Liana Taillefer podniosła dłoń z czerwonymi paznokciami i położyła ją dokładnie na rozporoku jego welwetowych spodni. I jeszcze raz leciutko uśmiechnęła się z pogardliwą pewnością siebie, kiedy Corso pochylił się wreszcie i podciągnął jej spódnice aż do pasa.

Tych dwoje nie dzieliło się sobą - raczej dokonywało na sobie nawzajem zamachu. Wyrównywali rachunki na sofie w ciężkiej i surowej walce dwojga dorosłych rywali, wydając we właściwym czasie odpowiednie jęki i mieląc w ustach przekleństwa. Jej paznokcie bez

cienia litości wbijały się w jego lędźwia. Do starcia doszło nagle, na skrawku wolnego terenu, bez zrzucania ubrań. Jej spódnica pozostawała na szerokich i mocnych biodrach, które on kurczowo ścisnął dłońmi, wgniatając tasiemki podwiązek w jej pachwiny. Nawet nie zdołał zobaczyć jej piersi, choć kilkakrotnie mógł się do nich dostać - do ciepłego, nabrzmiałego i obfitego ciała, rozpierającego stanik, jedwabną bluzkę i zakiet kostiumu, których Liana Taillefer nie zdążyła zdjąć w ogniu bitwy.

Trwali tak nadal zaplątani w pogniecione ubrania, objęci, bez tchu jak żołnierze wyczerpani walką. A Corso zapytywał sam siebie, jak ma się z tego wszystkiego wykaraskać.

- Kim jest Rochefort? - wolał przyspieszyć nadchodzący kryzys.

Liana Taillefer spojrzała na niego z odległości dziesięciu centymetrów. Zachodzące słońce przydawało jej rysom czerwonego odcienia. Szpilki wypadły jej z koka, a jasne włosy rozsypały się po powierzchni sof. Po raz pierwszy jej twarz wydawała się odprężona.

- On się nie liczy - odrzekła - skoro mam odzyskać rękopis.

Corso pocałował jej wymięty dekolt żegnając się z nim i z jego zawartością. Przeczuwał, że nieprędko przyjdzie mu pocałować go ponownie.

- Jaki rękopis? - powiedział, żeby powiedzieć cokolwiek, i natychmiast dostrzegł, że jej wzrok twardnieje, a ciało, które leżało pod nim, stało się sztywne.

- *Wina andegaweńskiego* - po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała nutka niepokoju. - Chyba mi pan go zwróci, prawda?

Corsowi nie spodobał się ten powrót do formy „pan”. Pamiętał, że podczas zakończonej dopiero co potyczki byli na ty.

- Nic takiego nie mówiłem.

- Sądziłam...

- To źle pani sądziła.

Stal oczu rozbłysła gromem gniewu. Kobieta wyprostowała się, zrzucając go z siebie jednym, za to pełnym furii, ruchem bioder.

- Drań!

Corso już, już miał wybuchnąć śmiechem i załagodzić sytuację jakimiś cynicznymi żarcikami, gdy ten gwałtowny wstrząs rzucił go na ziemię. Z wolna zbierał się z kolan, zaciągając pasek od spodni. Kątem oka widział, jak Liana Taillefer wstaje, blada i wściekła. Nie zwracając uwagi na rozchełstane ubranie, na wciąż obnażone wspaniałe uda, wymierzyła mu policzek tak potworny, że w lewym uchu odezwał mu się nie bębenek, ale ogromny bęben.

- Nędzniku!

Cios był niczego sobie - łowca książek aż się zachwiał.

Ogłuszony rozglądał się jak bokser szukający pretekstu, żeby nie upaść. Liczył, że napotka wzrokiem brezent, gdy w jego pole widzenia wkroczyły nogi Liany Taillefer. Nie zwrócił na nie uwagi z powodu koszmarne bólu ucha, wlepił tylko ogłupiały wzrok w szablę spod Waterloo. [wycofuje się [...] broniąc się szpadą.]

Naraz dosłyszał brzęk tłuczonego szkła. Wdowa ukazała mu się znów na tle czerwieniejącego okna. Zdążyła już obciągnąć spódnicę. W jednej dłoni trzymała teczkę z rękopisem, a w drugiej szyjkę rozbitej butelki. Najeżone zęby szkła kierowały się ku gardłu Corsa. [##Milady.jpg](#)

Cofając się o krok, odruchowo podniósł rękę. Niebezpieczeństwo natychmiast przywróciło mu jasność umysłu, adrenalina napływała strumieniami. Podbił uzbrojoną rękę wdowy i wymierzył napastniczce cios w szyję, który z miejsca pozbawił ją przytomności. Kolejna scena była nieco spokojniejsza: Corso podnosił z ziemi rękopis i stłuczoną butelkę, Liana Taillefer zaś ponownie siedziała na sofie. Tym razem twarz jej zakrywały potargane włosy, dłonie masowały obolałą szyję, a z ust dobywał się ciężki oddech przerywany wściekłym szlochem.

- Za to pana zabijają, panie Corso - usłyszał wreszcie.

Słońce już ostatecznie zaszło za drugi koniec miasta i kąty jego mieszkania pograżyły się w cieniu. Zawstydzony zapalił światło, podał kobiecie płaszcz i kapelusz, po czym podniósł słuchawkę telefonu i zamówił taksówkę. Cały czas unikał jej wzroku. Po chwili, wsłuchany w jej kroki oddalające się już na schodach, znieruchomiał przy oknie i patrzył na ciemne dachy domów, dobrze widoczne w jasnym świetle wschodzącego księżyca.

„Za to pana zabijają, panie Corso”.

Nalał sobie wysoką szklankę dzinu. Oczami duszy wciąż widział twarz Liany Taillefer, w chwili gdy dotarło do niej, że została nabrana. Oczy śmiercionośne jak żądła, grymas mściwej furii. Nie żartowała: naprawdę chciała go zabić. I znowu powoli, stopniowo, odżywały w nim wspomnienia - tyle że tym razem nie musiał wysilać pamięci, by je skonkretyzować. Obraz był wyraźny jak na rysunku. Na jego biurku leżało faksymilowe wydanie *Trzech muszkieterów*. Otworzył książkę na stronie 129.

Ilustracja przedstawiała Milady, która, wśród powywracanych mebli, wyciągnąwszy z łóżka sztylet, niczym szatański mściciel zamierza się na d'Artagnana, ten zaś zdjęty strachem wycofuje się w samej koszuli, broniąc się szpadą.

VII. Numer Jeden i numer Dwa

„Zgodzisz się, że nie jestem tak odrażająca,
jak mnie oczerniają, malując”.

(J. Cazotte, Diabeł zakochany, przekład Juliana Tuwima)

Do odjazdu ekspresu do Lizbony pozostało zaledwie parę minut, kiedy zobaczył dziewczynę. Corso stał już na peronie przed drzwiami wagonu należącego do Companhia Internacional de Carruagens-Camas, gdy ujrzał ją w grupie pasażerów zdążających do przedziałów pierwszej klasy. Miała na sobie niewielki plecak i tę samą niebieską kurteczkę, ale mimo to początkowo jej nie poznał. Zdołał jedynie uchwycić coś znajomego w tych jasnych, niemal przezroczystych oczach i krótko ostrzyżonych włosach. Odprowadzał ją wzrokiem, póki nie wsiadła do pociągu o dwa wagony dalej. Dopiero gdy z lokomotywy rozległ się sygnał odjazdu, a on stał już na pomoście i kolejarz zatrzasnął za nim drzwi wagonu, Corso nareszcie odtworzył tamtą scenę: dziewczyna siedziała przy drugim krańcu stołu w kawiarni podczas spotkania z Borisem Balkanem.

Ruszył korytarzem w kierunku swojego przedziału. Światła dworcowe znikły za oknem coraz szybciej w takt przyspieszającego stukotu kół. Z trudem poruszając się w ciasnym przedziale, Corso powiesił płaszcz i koszulę, po czym usiadł na łóżku obok brezentowej torby. Wiózł w niej, oprócz *Dziwięciorga Wrót* i teczki z rękopisem Dumasa, także *Pamiętnik z Wyspy św. Heleny* Lesa Casesa:

„Piątek, 14 lipca 1816 r. Cesarz chorował przez całą noc...”

Zapalił papierosa. Co jakiś czas, gdy mijane latarnie rozświetlały mu przez szyby twarz z prędkością stroboskopu, rzucał okiem na zewnątrz, by zaraz na nowo zagłębiać się w relację o powolnej agonii Napoleona i o jego przebiegłym angielskim strażniku, sir Hudsonie Lowe. Czytał marszcząc brwi i coraz poprawiając przekrzywione okulary na nosie. Czasem podnosił głowę i kontemplował własne odbicie w szybie, posyłając sobie samemu kpiący uśmiezek. Był niemłody, przeżył niejedno, a przecież nadal budził w nim oburzenie

pożałowania godny koniec, jaki zwycięzcy zgotowali upadłemu tytanowi na samotnej skale pośrodku Atlantyku. Swoją drogą to dziwne doznanie, gdy rozumny, doświadczony człowiek zestawia tamte przecież historyczne wydarzenia i własne dzisiejsze reakcje. Niby tak daleko znajdował się od tamtego Lucasa Corsa, który wielbił szablę weterana spod Waterloo; od tamtego dzieciaka, przedwcześnie ukształtowanego bonapartysty, który odziedziczył rodzinne mity, żarłocznie i z wojowniczym entuzjazmem pochłaniając książki pełne ilustracji z pamiętnych kampanii. W głowie jak werble dźwięczały mu nazwy: Wagram, Jena, Smoleńsk, Marengo, a towarzyszył im blask otwartych szeroko oczu, oczu z dawno minionych lat, pojawiających się w pamięci jak niewyraźne widmo. Czasem między kartkami książki, czasem obecne w jakimś zapachu czy dźwięku, w ciemnej szybie okiennej, wściekle smaganej przez deszcz, jaki nadciągnął z Kraju-Którego-Już-Nie-Ma.

Konduktor zadzwonił mijając jego drzwi. Pół godziny do zamknięcia wagonu restauracyjnego. Corso zostawił książkę, włożył marynarkę, przewiesił brezentową torbę przez ramię i opuścił przedział. Minął drzwi wahadłowe na końcu korytarza i wszedł w przegub łączący wagon sypialny z sąsiednim. Dmuchało tu zimne powietrze, a zderzaki stukwały miarowo. Po chwili znalazł się w wagonie pierwszej klasy. Mijając grupkę pasażerów zajrzał do najbliższego przedziału, wypełnionego ledwie w połowie. Dziewczyna siedziała tuż obok drzwi. Miała na sobie sweter i dżinsy, a boscie stopy wspierała na siedzeniu naprzeciwko. Kiedy przechodził, podniosła wzrok znad czytanej właśnie książki i ich spojrzenia się spotkały. Chciał się ukłonić, ale powstrzymał go obojętny wyraz jej twarzy, który świadczył o tym, że go nie poznała. Ona musiała dostrzec wahanie Corsa, bo przyjrzała mu się z zaciekawieniem; ale łowca książek szedł już dalej korytarzem.

Jadł kolację bujając się razem z całym pociągiem. Przed zamknięciem wagonu akurat wystarczyło mu jeszcze czasu na filiżankę kawy i szklankę dżinu. W jedwabistej poświacie księżycy nocne słupy telegraficzne umykały jeden za drugim niczym klatki filmu rzucanego ze źle dostrojonego projektora na ekran mrocznej równiny.

Wracając do przedziału natknął się na dziewczynę w korytarzu wagonu pierwszej klasy. Opuściwszy szybę, wystawiała twarz na podmuchy zimnego powietrza, oparta o ramę okna. Kiedy znalazł się obok niej, odwrócił się bokiem, chcąc ją minąć. Wtedy dziewczyna się odezwała:

- Ja pana znam.

Z bliska jej oczy sprawiały wrażenie jeszcze jaśniejszych i bardziej zielonych, przypominały ciekłe szkło. Efekt podkreślała opalenizna twarzy, nietypowa jak na koniec marca. Krótkie włosy z chłopięcym przedziałkiem po lewej stronie przydawały jej urodzie

oryginalności i pewnej sympatycznej dwuznaczności. Była wysoka, szczupła i wysportowana. I bardzo młoda.

- Oczywiście - potwierdził Corso, zatrzymując się na sekundę. - Parę dni temu, w kawiarni.

Uśmiechnęła się. Kolejny kontrast - bielusiętkie zęby na tle ogorzałej skóry. Usta miała duże i ładnie wykrojone. Fajna laska - jak powiedziała by Flavio La Ponte gładząc się po ryżej brodzie.

- Pan wypytywał o d' Artagnana.

Zimny podmuch zza okna rozwiewał jej krótkie włosy. Nadal była bosa: białe tenisówki spoczywały w przedziale pod pustym teraz siedzeniem. Odruchowo zerknął na tytuł pozostawionej tam książki: *Przygody Sherlocka Holmesa*, tania edycja broszurowa. Meksykańskie wydawnictwo Porrúa.

- Przezięb się pani - rzekł.

Dziewczyna, wciąż uśmiechnięta, zaprzeczyła ruchem głowy, ale zamknęła korbką okno. Corso, gotów wracać do swojego wagonu, zwlekał jeszcze i sięgnął po papierosa. Zrobił to tak jak zawsze, wyjmując go wprost z kieszeni, i wtedy ujrzał, że dziewczyna śledzi jego ruchy.

- Pani pali? - zapytał niepewnie.

- Czasami.

Włożył papierosa do ust i wyciągnął drugiego. Czarny tytoń, bez filtra, zmięty jak wszystkie w tych paczkach, które miał zawsze przy sobie. Dziewczyna wzięła go w dwa palce, spojrzała na markę, po czym pochyliła się ku Corsowi, który ostatnią zapałką z paczki przypalił najpierw swojego papierosa, a potem jej.

- Mocne - stwierdziła wypuszczając pierwszy kłąb dymu, ale wbrew oczekiwaniom Corsa nie zakrztusiła się. Trzymała papierosa nietypowo, między kciukiem a palcem wskazującym. - Pan jedzie w tym wagonie?

- Nie, w następnym.

- Ma pan szczęście z tym sypialnym - pomacała tylną kieszeń swoich dżinsów na dowód, że nie ma portfela.

- Mnie na to nie stać. Dobrze przynajmniej, że przedział mam w połowie pusty.

- Pani studiuje?

- Tak jakby.

Pociąg zadygotał donośnie, wjeżdżając w tunel. Dziewczyna odwróciła się do okna, jakby mrok na zewnątrz przykuł jej uwagę. Pochylona ku własnemu odbiciu w szybie,

wydawała się spięta i podminowana. Tak jakby usiłowała wytropić coś w huku powietrza ściśniętego murami. Po chwili, kiedy pociąg wy dostał się na otwarty teren, a drobne światełka znów znaczyły w oddali umykającą noc, uśmiechnęła się z zachwytem.

- Lubię pociągi - powiedziała.

- Ja też.

Wciąż stała twarzą do okna, dotykając szyby czubkami palców.

- Ma pan pojęcie...? - dodała. W uśmiechu pojawiła się nutka zadumy, przywołana może przez jakieś osobiste wspomnienia. - Opuścić wieczorem Paryż i obudzić się nad Zatoką Wenecką w drodze do Stambułu...

Corso też się uśmiechnął. Ile mogła mieć lat? Z osiemnaście, najwyżej dwadzieścia.

- I grać w pokera między Calais a Brindisi.

Dziewczyna spojrzała na niego bacznie.

- Nieźle - zadumała się na moment. - A co pan powie na śniadanie z szampanem między Wiedniem a Niceą?

- Interesujące. Jak szpiegowanie Basila Zacharoffa.

- Albo upić się z Niżyńskim...

- Skraść perły Coco Chanel...

- Flirtować z Paulem Morandem... Albo z mister Barnaboothem.

Roześmiali się oboje - rozbawiony Corso półgębkiem, dziewczyna szeroko, opierając się czołem o zimną szybę.

Jej śmiech był dźwięczny, szczery i chłopiący, pasował do krótkich włosów i błyszczących zielonych oczu.

- Dziś już nie ma takich pociągów - odezwał się.

- Wiem.

Lampy semafora zajaśniały jak błyskawica. Po nich za oknem pojawił się źle oświetlony, wyludniony peron stacji o nazwie nie do odczytania z pędzącego pociągu. Księżyc wschodził, wydobywając z ciemności uciekające sylwetki drzew i dachów. Zdawało się, że płynie po niebie równoległe z pociągiem, jakby ścigał się z nim w jakimś wariackim, bezprzedmiotowym biegu.

- Jak pan się nazywa?

- Corso. A pani?

- Irene Adler.

Zlustrował ją wzrokiem od stóp do głów. Cierpliwie wytrzymała to badawcze spojrzenie.

- To nie jest prawdziwe nazwisko.
- Corso też nie.
- Myli się pani. Ja jestem Corso, czyli korsarz.
- Pan mi nie wygląda na korsarza. Jest pan chyba raczej spokojnym człowiekiem.

Bez słowa pochylił lekko głowę i zaczął wpatrywać się w jej białe stopy na wykładzinie korytarza. Wyczuwał, że obserwuje go uważnie, co - rzecz dziwna jak na Corsę - wprawiało go w pewne zakłopotanie. Za młoda, mówił sobie w duchu. Za bardzo atrakcyjna. Machinalnie poprawił sobie na nosie przekrzywione okulary i ruszył w kierunku swojego wagonu.

- Przyjemnej podróży.
- Dziękuję.

Uszedł kilka kroków, ale wiedział, że wciąż patrzy na niego.

- Może się jeszcze tu spotkamy - rzuciła w ślad za nim.
- Może.

Niemożliwe. Powracał tamten stary Corso, był nieswój, Wielka Armia grzęzła po kolana w śniegach, zostawiając za sobą Moskwę trzeszczącą od pożarów. Nie chciał tak odchodzić, więc odwrócił się jeszcze raz na obcasach. Na jego twarzy pojawił się uśmiech wychudłego wilka.

- Irene Adler... - powtórzył udając, że wysila pamięć. - *Studium w szkartacie?*
- Nie - odparła spokojnie. - Skandal w Czechach - teraz i ona się uśmiechnęła, a jej oczy błysnęły szmaragdem w półmroku korytarza. - *K o b i e t a*, drogi Watsonie.

Corso zamarkował gest klepięcia się w czoło, jakby właśnie sobie przypomniał.

- To oczywiste - powiedział. I miał już pewność, że jeszcze się spotkają.

Corso był w Lizbonie niecałe pięćdziesiąt minut. Tyle zabrało mu przedostanie się z dworca Santa Apolonia na dworzec Rossfo. Półtorej godziny później szedł już peronem w Sintrze. Niskie chmury wiszące nad miasteczkiem zacierały w oddali górujące nad okolicą melancholijnie szare wieże pałacu da Pena. Jak okiem sięgnąć, żadnej taksówki. Pieszko udał się więc do hoteliku usytuowanego naprzeciwko pary kominów sterczących z Palacio Nacional. Była środa, dziesiąta rano, po placu nie kręcili się turyści, nie parkowały też autokary; Corso nie miał trudności ze znalezieniem pokoju z widokiem na poszarpany krajobraz pełen gęstej zieleni, poprzerastanych bluszczem stuletnich ogrodów, dachów i wieżyczek wieńczących stare dworki.

Wziął prysznic, wypił kawę i spytał o Dworek da Soledade. Recepcjonistka wskazała mu drogę prowadzącą na wzgórze. Na placyku również nie widać było taksówek, choć, owszem, pojawiło się kilka zaprzężonych w konie bryczek. Corso uzgodnił cenę i parę minut później już przejeżdżał pod neomanuelińskimi oknami wieży Regaleira. Stukot kopyt odbijał się echem od mrocznej pustki murów, pobrzmiwał w kanalikach i studniach pełnych wody i ginął w gęstwie bluszczu porastającego ściany, okratowania, belki, omszałe schody i stare kafelki opuszczonych dworców.

Dworek da Soledade był osiemnastowiecznym budynkiem na planie prostokątnym, o czterech kominach. Pokrywający fasadę tynk, niegdyś koloru ochry, dzisiaj wyblakł w wielu miejscach, ujawniając bezbarwne plamy. Corso zsiadł z wozu i jeszcze przez chwilę, zanim otworzył żelazną bramę, przyglądał się posiadłości. Brama zwieńczona była po obu stronach przez pokryte pleśnią statuetki z szarzielonego kamienia, wsparte na granitowych postumentach. Jedna wyobrażała popiersie kobiety, druga była chyba identyczna, ale twarz była skryta pod bluszczem, który stopił się w jedno z wyrzeźbionym obliczem.

Szelest zeschniętych liści towarzyszył Corsowi w drodze ku domostwu. Wzdłuż ścieżki widział sporo marmurowych figur, w większości rozbitych i leżących obok opustoszałych cokołów. Ogród był w stanie kompletnego zaniedbania. Roślinność przejęła nad nim całkowitą władzę, oplatając ławeczki i tarasy. Kratownice zaczęły już zarządzać rdzą porośnięte mchem kamienie. Po lewej stronie, obok sadzawki pełnej roślin wodnych, widać było fontannę z popękanych kafelków, w której krył się pozbawiony rąk pucołowaty aniołek z pustymi oczodołami. Jego śpiąca główka spoczywała na książce, a z ust wypływała strużka wody. Wszystko to razem robiło strasznie przygnębiające wrażenie, któremu poddał się i Corso. Quinta da Soledade, Dworek Samotnia - powtórzył w duchu. Nazwa pasowała idealnie.

Wszedł na kamienne schodki wiodące do drzwi i podniósł wzrok. Między jego twarzą a szarym niebem tkwił zegar słoneczny, nie pokazując w tym momencie żadnej konkretnej godziny. Widniała na nim tylko dewiza: *Omnes vulnerant, postuma necat.*

Wszystkie ranią, ostatnia zabija.

- Przyjechał pan w samą porę - odezwał się Fargas.

- Akurat na uroczystość.

Corso, nieco speszony, wyciągnął dłoń. Victor Fargas był wysoki i chudy jak szlachcic u El Greca. W obszernym swetrze z grubej wełny poruszał się jak żółw w skorupie. Nosił równiuteńko przycięty wąsik, wyrzuszone na kolanach spodnie i lśniące, chociaż

schodzone, niemodne buty. Tyle Corso zarejestrował na pierwszy rzut oka, po czym rozejrzał się po tym ogromnym, pustym domostwie. Gołe ściany sąsiadowały z plafonem, na którym freski już dawno zmurszały, tworząc nieregularne laguny toczone przez gips i wilgoć.

Fargas zlustrował przybysza od stóp do głów.

- Może miałby pan ochotę na kieliszek koniaku - rzekł w końcu, jakby taki właśnie wniosek wysnuł z tych oględzin, i nie sprawdzwszy, czy Corso idzie za nim, lekko utykając ruszył korytarzem. Przeszli przez kolejne, równie puste pomieszczenia. Gdzieś tam stały jakieś bezużyteczne, pojedyncze meble, wepchnięte w kąt i zapomniane. Z sufitów zwisały na drutach puste oprawki albo przykurzone żarówki.

Jedynymi pokojami, które robiły wrażenie używanych, były dwa salony połączone rozsuwanymi szklanymi drzwiami. Ich szybki zdobiły rżnięte herby. Wewnątrz rozpościerał się widok na puste ściany pokryte spłowiałymi tapetami, na których znać było ślady dawnych sprzętów: prostokątne plamy po niegdysiejszych obrazach, zarysy mebli, zardzewiałe gwoździe, kontakty nie istniejących lamp... Ów smętny pejzaż wieńczył splekany sufit z malowidłem przedstawiającym zachmurzone sklepienie niebieskie, pośrodku którego wyobrażono ofiarę Abrahama: anioł o ogromnych skrzydłach powstrzymywał właśnie uzbrojoną w nóż rękę starego patriarchy, zamierzającą się na jasnowłosego młodzieńca. Poniżej znajdowało się brudne okno balkonowe częściowo wypełnione kartonem zamiast szyb. Po drugiej stronie prześwitywał taras i tylna część ogrodu.

- Rozkoszny kącik - powiedział Fargas.

Tę ironiczną uwagę rzucił bez zbytniego przekonania. Można było odnieść wrażenie, że gospodarz powtarzał ją za często i sam już stracił wiarę w jej efektywność. Mówił po hiszpańsku z głębokim, wyraźnym akcentem portugalskim. Niesprawna noga była zapewne powodem jego powolnych ruchów, typowych dla ludzi stojących na progu wieczności.

- Koniak - rzekł znów do siebie, jakby zapomniał na chwilę, co ich tu przywiodło.

Na potwierdzenie Corso skinął lekko ręką, czego Fargas zresztą nie zauważył. Na drugim końcu przestronnego salonu był duży kominek z niewielką stertą nie zapalonych drewn. Umebłowanie składało się z paru foteli z różnych kompletów, stołu i kredensu, a poza tym była tam lampa naftowa, dwa kandelabry ze świecami, skrzypce w futerale i kilka drobiazgów. Za to na podłodze, na popruty i poniszczonych dywanach i gobelinach, z dala od ołowianego światła padającego przez okna, spoczywały w równiutkich rzędach książki. Dużo książek, może i ponad pięćset, jak oceniał Corso. Albo nawet i tysiąc. Znaczną ich część stanowiły stare kodeksy i inkunabuły. Porządne, dawne księgi w skórze i pergaminie, wiekowe tomy z ćwiekami na tyłach okładek, *in folio*, elzewiry, oprawy tłoczone, z okuciami,

floresami, kłamrami, o grzbietach i kantach zdobionych literami złożonymi bądź kaligrafowanymi w średniowiecznych klasztorach. W kątach Corso dostrzegł też kilka pordezwiątych łapek na myszy. Przeważnie bez sera.

Poszperawszy w kredensie, Fargas powrócił z kieliszkiem i butelką Remy Martin, obserwując pod światło jej zawartość.

- Złota krew Boga - w jego głosie dźwięczał triumf.

- Albo diabła.

Uśmiechał się samymi ustami. Wąsik przekrzywiał mu się jak u dawnych amantów filmowych. Oczy pozostawały nieruchome i bez wyrazu, a worki pod oczami świadczyły o uporczywej bezsenności. Corso przyglądał się jego smukłym, rasowym dłoniom, które podały mu delikatny kryształowy kieliszek, lekko dzwoniący przy podnoszeniu do ust.

- Ładny kieliszek - rzekł dla podtrzymania rozmowy.

Bibliofil przyznał mu rację gestem pełnym ni to rezygnacji, ni to autoironii. Może chciał w ten sposób na nowo skomentować cały obraz: kieliszek, koniak w butelce na ledwie trzy palce, spustoszony dom - i w tym wszystkim on sam, eleganckie, blade, zasuszone widmo.

- Został mi tylko jeszcze jeden z tego kompletu - wyznał ze spokojem. - Dlatego je trzymam.

Corso przez chwilę kręcił głową, przebiegając wzrokiem po pustych ścianach, by wreszcie ponownie przenieść go na książki.

- To musiał być piękny dworek.

Gospodarz wzruszył ramionami, z których zwisał sweter.

- Owszem, był. Ale z dawnymi rodami dzieje się to samo co z cywilizacjami: dogorywają i wymierają - rozejrzał się nie patrząc. Może miał w oczach przedmioty, które już zniknęły. - Najpierw prosisz barbarzyńców, żeby pilnowali *limes* na Dunaju, potem pozwalasz się im wzbogacić, wreszcie stajesz się ich dłużnikiem... Na koniec oni najeżdżają twoje dobra i je zajmują - zerknął naraz nieufnie na swego rozmówcę. - Spodziewam się, że wie pan, co mam na myśli.

Corso przytaknął. Spotkanie osiągnęło poziom, na którym mógł już posyłać rozmówcy najbardziej wyrafinowany uśmiech królika-wspólnika.

- Wiem, wiem - potwierdził. - Podkute buty depczące saską porcelaną. O to panu chodziło? Byle garkotłuki przymierzają koszule nocne. Napływowi rękodzielnicy wycierają sobie tyłki iluminowanymi rękopisami.

Fargas skinął głową i uśmiechnął się z zadowoleniem. Po chwili pokuśtykał ku kredensowi, skąd wyjął drugi kieliszek.

- Chyba też się napiję - powiedział.

Wzniesli toast w milczeniu, spoglądając sobie w oczy niby dwaj członkowie tajnego bractwa w chwilę po wzajemnym rozpoznaniu. Wreszcie ręką trzymającą kieliszek bibliofil wskazał na książki. Corso miał wrażenie, że pomyślnie przeszedł próbę inicjacji i teraz może przekroczyć niewidzialną linię i zbliżyć się do zbiorów Fargasa.

- Oto i one. Osiemset trzydzieści cztery tomy, z których mniej niż połowa jest może coś warta - upił nieco koniaku i rozglądając się pogładził palcem wilgotny wąsik.- Szkoda, że nie poznał ich pan w lepszych czasach, kiedy zajmowały rozliczne półki z cedrowego drewna... Doszedłem do pięciu tysięcy. A tym tutaj jeszcze udało się przeżyć.

Położywszy brezentową torbę na podłodze, Corso podszedł do książek. Natychmiast poczuł odruchowe mrowienie w czubkach palców. Poprawił okulary i z miejsca wytropił Vasarię *in quarto* z 1588 roku (pierwsze wydanie) i szesnastowieczny *Tractatus* Berengaria de Carpi w oprawie pergaminowej.

- Nigdy nie przypuszczałem, że tak wygląda kolekcja Fargasa, cytowana w każdej bibliografii... Książki w stosach na ziemi, przy ścianie, w pustym domu bez szaf...

- Takie jest życie, drogi przyjacielu. Muszę jedynie dodać na własne usprawiedliwienie, że wszystkie są w idealnym stanie. Sam czyszczę je i przeglądam, staram się je wietrzyć, chronić przed robactwem i gryzoniami, przed światłem, ciepłem i wilgocią. Właściwie od rana do nocy nic innego nie robię.

- A co się stało z resztą?

Bibliofil zerknął ku oknu, zadając sobie to samo pytanie, i zmarszczył brew.

- To niewiarygodne - odparł. Kiedy zwrócił oczy na Corsę, była w nich rozpacz. - Oprócz dworku, paru mebli i biblioteki ojca odziedziczyłem wyłącznie długi. Każde pieniądze inwestowałem w książki. Kiedy moje konto opustoszało, zacząłem pozbywać się reszty dobytku: obrazów, mebli, zastawy. Spodziewam się, że pan wie, co to znaczy być zapalonym bibliofilem. Ja jestem kimś gorszym: bibliopatą. Przeżywałem istne katusze na samą myśl o rozproszeniu moich zbiorów.

- Widywałem takich ludzi.

- Naprawdę? - Fargas spojrział nań z zaciekawieniem. - Jednak podejrzewam, że pan nadal nie wie, w czym rzecz. Wstawałem po nocy i snułem się jak dusza pokutująca wzdłuż półek z moimi książkami. Przemawiałem do nich, pieściłem ich grzbiety przysięgając im wierność... Wszystko nadaremnie. Nadszedł dzień, kiedy musiałem podjąć decyzję i

poświęcić większość z nich, zachowując jedynie te najcenniejsze i najbliższe sercu... Ani pan, ani nikt inny nigdy nie pojmie, co czułem, gdy rzucałem moje książki sępom na pastwę.

- Wyobrażam sobie - odrzekł Corso, który przywykł do uczestnictwa w podobnych pogrzebach.

- Pan to sobie wyobraża? Nie wierzę. Chociażby pan żył i sto lat, nie zdoła pan sobie wyobrazić. Oddzielenie jednych od drugich kosztowało mnie dwa miesiące pracy. Sześćdziesiąt jeden dni powolnego umierania, od którego nabawiłem się niemal zabójczej gorączki. A kiedy wreszcie je wywieźli, myślałem, że oszaleję... Pamiętam jak dziś, chociaż to było już dwanaście lat temu.

- A teraz?

Bibliofil pokazał swój pusty kieliszek, jakby to miało coś symbolizować.

- Od jakiegoś czasu muszę znów uciekać się do pomocy moich książek. Z tym, że ja wiele nie potrzebuję: raz w tygodniu przychodzi sprzątaczką, jedzenie dowożą mi z miasteczka... Prawie całe pieniądze pożerają podatki, jakie płacę państwu za ten dworek.

Słowo „państwo” wymówił tonem, jakim mówi się o gryzoniach albo kornikach. Corso uśmiechnął się wyrozumiale i rzucił znów okiem na gołe ściany.

- Mógłby pan go sprzedać.

- Owszem - Fargas skinął obojętnie głową. - Ale są sprawy, których pan nie zrozumie.

Corso schylił się i sięgnął po *in folio* oprawne w pergamin. Przejrzał książkę z zainteresowaniem. *De Symmetria* Dürera, Paryż 1557, przedruk pierwszego łacińskiego wydania norymberskiego. W dobrym stanie i z szerokimi marginesami. Flavio La Ponte by zwariował. Zresztą każdy by zwariował.

- Jak często sprzedaje pan książki?

- Wystarcza mi sprzedaż dwóch, trzech rocznie. Pokręciwszy się trochę przy półkach wybieram jeden egzemplarz i sprzedaję. To właśnie tę uroczystość miałem na myśli, witając pana u siebie. Mam klienta, pańskiego rodaka zresztą, który pojawia się tu parę razy w roku.

- Znam go? - rzucił Corso.

- Nie wiem, czy go pan zna - odpowiedział gospodarz nie wymieniając żadnego nazwiska. - Właśnie w tych dniach spodziewam się jego wizyty i kiedy pan przyjechał, szykowałem się do wyselekcjonowania kolejnej ofiary... - przeciął chudą ręką powietrze niczym gilotyną i uśmiechnął się z odrazą. - Jedna umiera, by reszta mogła dalej żyć.

Corso podniósł wzrok na sufit, gdzie znalazł adekwatną metaforę. Abraham, z twarzą przeoraną głęboką rysą, z wyraźnym wysiłkiem próbował wyswobodzić uzbrojoną w sztylet prawicę z silnej ręki anioła, który drugą dłonią wygrażał patriarsze. Tymczasem Izaak,

złożywszy głowę na kamieniu, z rezygnacją oczekiwał tego, co było mu przeznaczone. Z jasnymi włosami i rumianą cerą przypominał jednego z tych efebów, co nigdy się nie sprzeciwiają. Nieopodal artysta wymalował jakąś owieczkę zaplątaną w cierniste zarośla. Corso w duchu oddał głos za ułaskawieniem owieczki.

- Zdaje się, że nie ma innego wyjścia - odezwał się patrząc na kolekcjonera.

- Pewnie by się znalazło - Fargas uśmiechnął się z nieskrywanym żalem. - Ale lew ciągle domaga się daniny, rekin z dala wyczuje krew i przynętę. Niestety nie ma już takich ludzi jak hrabia d'Artois, który został królem francuskim. Zna pan tę historię? Stary markiz de Paulmy, właściciel kolekcji liczącej sześćdziesiąt tysięcy tomów, znalazł się w ruinie finansowej. Chcąc ratować skórę przed wierzycielami, sprzedał bibliotekę hrabiemu d'Artois, ten jednak wymógł, by starzec opiekował się nią aż do śmierci. W ten sposób, dzięki zdobytym pieniądзом, Paulmy'ego stać było na zakup nowych książek i wzbogacenie - już nie swoich - zbiorów...

Z rękami w kieszeniach spodni kuśtykał wokół ułożonych w sterty książek, przypatrując się każdej z osobna. Wyglądał jak wychudzony, zrozpaczony Montgomery w trakcie przeglądu wojsk pod Al-Alamajn.

- Czasem nie otwieram ich, nawet nie dotykam - stanął i schylił się, żeby wyrównać rząddek tomów stojących na starym kobiercu. - Tylko odkurzam je i kontempluję godzinami. Znam do najdrobniejszych szczegółów ich zawartość. Proszę popatrzeć na tę: *De revolutionibus orbium coelestium* Mikołaja Kopernika, drugie wydanie, Bazylea 1566. Bagatelka, co? Albo ta *Vulgata Clementina* po pańskiej prawej ręce, między sześciotomową *Políglotą* pańskiego rodaka Cisnerosa a *Kronikami norymberskimi*. Po tamtej stronie proszę zwrócić uwagę na owo ciekawe *in folio: Praxis criminis persequendi* Simona de Colines z 1541 roku. Albo tamta wystająca mnisza oprawa z czterema zwiężkami i okuciami. Wie pan, co jest wewnątrz? *Złota legenda* Jakuba de Voragine, wydana w Bazylei w 1493, w drukarni Niklausa Keslera.

Corso przekartkował księgę. Wspaniały egzemplarz, też z bardzo szerokimi marginesami. Ostrożnie odłożył ją na miejsce i zaczął przecierać chustką okularki. W tych okolicznościach spocifby się nawet przy niższej temperaturze.

- Pan chyba upadł na głowę. Gdyby pan to wszystko sprzedał, skończyłyby się pańskie kłopoty z pieniędzmi.

- Wiem - Fargas znów się pochylił i niezauważalnym gestem popchnął wystające książki. - Ale gdybym to wszystko sprzedał, nie miałbym już po co żyć. Brak kłopotów z pieniędzmi to marna rekompensata.

Corso wskazał rząd bardzo zniszczonych książek. Żaden ze znajdujących się tu starodruków i rękopisów, sądząc po oprawie, nie pochodził z czasów późniejszych niż wiek siedemnasty.

- Ma pan dużo starych książek rycerskich...

- Tak. To spadek po ojcu. Miał obsesję na punkcie zgromadzenia całej dziewięćdziesięciopięciotomowej biblioteki don Kichota, a zwłaszcza tych książek, które wymieniał proboszcz podczas porządków w jego domu. Po ojcu mam też ten ciekawy egzemplarz *Don Kichota*, tam, obok pierwszego wydania *Luzytan* to czterotomowy Ibarra z 1780 roku. Poza typowymi ilustracjami ma też dodatkowe z przedruku angielskiego z połowy osiemnastego wieku, sześć oryginalnych akwarel i kopię aktu urodzenia Cervantesa wydrukowaną na welinie... Każdy ma jakieś obsesje. Obsesją mojego ojca, dyplomaty, który wiele lat spędził w Hiszpanii, stał się Cervantes. Są i tacy, których trapi prawdziwa mania. Niektórzy odrzucają książki restaurowane - nawet doskonale - inni nie kupują egzemplarzy numerowanych powyżej 50... Moją, jak pan zapewne spostrzegł, były egzemplarze z szerokimi marginesami. Pojawiałem się na aukcjach i w antykwariatach z linijką w rękę i dosłownie nogi się pode mną uginały, gdy trafiałem na książkę dziewiczą albo nie przyciętą. Czytał pan tę humoreskę Nodiera o bibliofilu? Ze mną działo się to samo. Mógłbym z rozkoszą zasztyletować intrologatorów szafujących gilotyną do papieru. A już szczytem szczęścia było dla mnie znaleźć egzemplarz, który miał margines dwa milimetry szerszy, niż podawały bibliografie.

- Dla mnie też.

- Zatem wiesz panu. Widzę, że mam przed sobą brata w wierze.

- Zagalopował się pan. Kieruję się nie estetyką, lecz chęcią zysku.

- Nie szkodzi. Pan mi się podoba. Należę do ludzi, którzy uważają, że w dziedzinie książek konwencjonalna moralność się nie sprawdza - stał dość daleko, w drugim końcu pokoju, ale pochylił się trochę konfidencjonalnie w stronę Corsa. - Wie pan co? Jak w tej waszej legendzie o księgarzu-mordercy z Barcelony, ja też byłbym w stanie zabić z powodu książki.

- Nie radzę. Zaczyna się od takiej niby drobnostki, a kończy się na tym, że człowiek kłamie, głosuje w wyborach i w ogóle.

- Albo i sprzedaje własne książki.

- Albo i to...

Fargas pokręcił ze smutkiem głową i zastygł zamyślony, z marsem na czole. Nagle ocknął się i popatrzył uważnie na Corsa. Trwało to dłuższą chwilę.

- Tym samym wracamy - rzekł wreszcie - do sprawy, która zaprzętała mi głowę, kiedy pan zadzwonił do drzwi... Za każdym razem w takiej sytuacji czuję się jak ksiądz zmuszony do zaparcia się wiary. Zdziwiłoby pana, gdybym nazwał to świętokradztwem?

- Bynajmniej. Sądzę, że mamy właśnie do czynienia z czymś takim.

Fargas załamywał ręce, wyraźnie zgnębiony. Wzrok jego błędził wokół po огоłoconym pokoju, po książkach na ziemi, by wreszcie zatrzymać się znów na Corsie. Na twarzy miał uśmiech wymuszony, jakby namalowany.

- Tak. Świętokradztwo tłumaczy się tylko poprzez wiarę. Jedynie wierzący potrafi się go dopuścić, czując jednocześnie cały tragiczny wymiar swojego uczynku. Nigdy nie przeraziłaby nas profanacja religii, która byłaby nam obojętna. To tak, jakby bluźnić nie mając żadnego bóstwa na myśli. Absurd.

Corso bez trudu zgodził się z tym stanowiskiem.

- Rozumiem, co pan ma na myśli. „Zwyciężyłeś, Galilejczyku” - jak powiedział Julian Apostata.

- Nie znam tego cytatu.

- To apokryf. Jak byłem jeszcze w szkole, powtarzał go pewien ksiądz marianin. Chciał nas w ten sposób przestrzec przed miganiem się. Temu, kto nie posłuchał, groziło, że znajdzie się na polu bitwy ranny od strzał i będzie plwał krwią w niebo bez boga.

Bibliofil przytaknął, jakby ta problematyka była mu niezwykle bliska. Coś dziwnego było w grymasie jego ust, w nieruchomym spojrzeniu.

- Tak właśnie czuję się w tej chwili - powiedział. - Nie mogę zasnąć, więc wstaję i tkwię tu, gotów popełnić kolejne świętokradztwo - mówiąc to przybliżył się do Corsa, który aż musiał cofnąć się o krok. - Kolejny grzech przeciwko sobie samemu i przeciwko nim... Sięgam po książkę, odczuwam skruchę, wybieram inną i tę także odstawiam na miejsce... Poświęcam jedną, żeby nie rozdzielać pozostałych, obrywam gałąź i cieszę się tym, co pozostało - wyciągnął prawą dłoń. - Już wolałbym obciąć sobie palec.

Ręka mu drżała. Corso odwrócił głowę. Potrafił słuchać - między innymi na tym polegał jego zawód. Potrafił nawet zrozumieć. Ale za nic nie dałby się wciągnąć w grę. To nie była jego batalia. Jak to ujął Varo Borja, był tylko najemnym żołdakiem i zjawił się tu z wizytą. Fargas potrzebował raczej spowiednika. Albo psychiatry.

- Nikt nie dałby ani jednego *escudo* za knykieć bibliofila - rzekł banalizując sprawę.

Żart zawisł w olbrzymiej próżni wypełniającej oczy jego rozmówcy. Gospodarz patrzył na Corsa nie widzącym wzrokiem. W rozszerzonych, nieobecnych źrenicach odbijały się wyłącznie książki.

- Więc którą wybrać?... - podjął przerwany wątek.

Corso wyciągnął z kieszeni płaszcz papierosa i podał go Fargasowi, który jednak, pochłonięty tokiem własnych myśli zignorował ten gest. Obchodziła go jedynie udręka własnego sumienia. - Po długim wahaniu wybrałem dwóch kandydatów - sięgnął po książki i położył je na stole. - Co pan o tym sądzi?

Corso pochylił się i otworzył jedną z nich, akurat na stronie z ryciną przedstawiającą trzech mężczyzn i kobietę podczas pracy w kopalni. Było to drugie łacińskie wydanie *De Re metallica* Georgiusa Agricoli, sporządzone przez Frobena i Escopiusa w Bazylei zaledwie pięć lat po pierwszej edycji z 1556 roku. Corso zapalił papierosa i wydał z siebie pomruk pełen podziwu.

- Teraz widzi pan, że wybrać nie jest łatwo - Fargas zawisł oczami na gościu, wpatrując się niespokojnie i chciwie w jego dłoń ledwie muskającą czubkami palców kolejne kartki. - Za każdym razem mam sprzedać tylko jedną książkę, ale nie jakąkolwiek. Ofiara musi zapewnić reszcie żywot przez następne pół roku. To moja danina dla Minotaura - dotknął własnej skroni. - Jest tam, u każdego z nas, w samym środku labiryntu. Dziecko naszego rozumu, które budzi w nas grozę.

- Dlaczego nie sprzeda pan za jednym razem kilku książek o mniejszej wartości? Może zgromadziłby pan sumę potrzebną do zachowania reszty. Albo przynajmniej tych, które ceni pan najwyżej.

- Wzgardzić jednymi na korzyść innych? - bibliofil aż zadrżał. - To niemożliwe. Wszystkie posiadają dusze nieśmiertelną, wobec mnie mają równe prawa. Naturalnie, mogę mieć tu swoich ulubieńców, to w końcu nieuniknione... Ale nigdy, najmniejszym gestem czy słowem, nie wywyższę jednych wobec ich mniej godnych towarzyszy. Wprost przeciwnie. Proszę pamiętać, że sam Bóg przeznaczył swego Syna na ofiarę, by Ten odkupił grzechy ludzi. Podobnie Abraham... - była to zapewne aluzja do malowidła na suficie, bo podniósł wzrok do góry, uśmiechając się smutno w próżnię. Zdania nie dokończył.

Corso otworzył drugą księgę, *in folio* we włoskiej oprawie pergaminowej z siedemnastego wieku. Był to prześliczny Wergiliusz, edycja weneckiego wydawcy Giunty, drukowana w 1544 roku. Bibliofil natychmiast oprzytomniał.

- Piękne, nieprawdaż? - podszedł i niecierpliwym ruchem wyrwał mu książkę. - Proszę spojrzeć na kartę tytułową, na ten architektoniczny motyw obramowania... Sto trzysta doskonałych ksylografii, oprócz stronicy 345, gdzie w dolnym rogu mamy drobną rekonstrukcję z epoki, niemal niezauważalną. Tak się składa, że ta ilustracja to moja ulubiona. Proszę spojrzeć: Eneas w piekle razem z Sybillą. Kiedy widział pan coś podobnego? Niech

pan zwróci uwagę na te ognie zza potrójnych murów, na kocioł z potępionymi, na ptaka pożerającego wnętrzności... - tętno zdawało się niemal rozsadzać Fargasowi przeguby i skronie. Jego głos grzmiał. Bibliofil przybliżył księgę do oczu, by móc lepiej czytać. Twarz mu się mieniła. - *Moenia lata videt, triplici circumdata muro, quae rapidus flammis ambit torrentibus amnis...* - przerwał, cały w ekstazie.- Ilustrator przedstawił tu Hades wergiliański w sposób niezwykle piękny, dziki i na wskroś średniowieczny.

- Wspaniały egzemplarz - przyznał łowca książek, zaciągając się papierosem.

- Wspaniały to mało. Proszę dotknąć papieru. *Esemplare buono e genuino con le figure assai ben impresse*, jak zapewniają stare katalogi... - po tym napadzie gorączki Fargas na nowo pogrążył się w apatii. Zobojętniał i zaszył się w jakiś mroczny zaułek własnych koszmarów. - Chyba sprzedam tę.

Zniecierpliwiony Corso wypuścił dym z ust.

- Nie pojmuję pana. Aż rzuca się w oczy, że to jedna z pana ulubionych. Zresztą Agricola też. Dosłownie ręce panu drżą, kiedy ich pan dotyka.

- Ręce? Niech pan powie lepiej, że dusza moja płonie w ogniu piekielnym. Myślałem, że wytłumaczyłem to panu... Książka przeznaczona na ofiarę żadną miarą nie będzie mi obojętna. Co niby miałyby oznaczać w innym przypadku ów bolesny akt? Obmierzą transakcję, zgodną z prawami rynku, kilka tańszych w zamian za jedną droższą... - potrząsnął głową pogardliwie. Rozglądał się posępnie wokół, jakby szukał kogoś, na kogo wypluje swą odrazę. - To są te najukochańsze, które błyszczały pośród innych urodą i wzbudzaną przez siebie miłością. Biorę je do rąk i odprowadzam pod sam stos ofiarny. To pewne, życie może mnie wydziedziczyć, ale nie uczyni ze mnie nędznika.

Zrobił kilka beładnych kroków. Żałosne otoczenie, wełniany sweter i stare spodnie uwydatniały ten obraz zmęczenia i bezsilności.

- Dlatego wciąż tkwię w tym domu - ciągnął. - Wśród jego murów błędzą cienie moich utraconych książek - zatrzymał się przed kominkiem i spojrzał na kilka nędznych drewek w palenisku. - Czasem mam wrażenie, że przybywają domagać się ode mnie zadośćuczynienia. Wówczas, chcąc je ubłagać, chwytam te skrzypce i gram godzinami, przemierzając po ciemku dom jak potępiona dusza... - ponownie spojrzał na Corsa. Jego sylwetka ostro odcinała się na tle brudnej szyby okna. - Błędny bibliofil.

Powoli podszedł do stołu i położył dłonie na obu książkach, jakby do tej pory starał się opóźnić moment podjęcia decyzji. Uśmiechał się i patrzył badawczo.

- Którą wytypowałby pan na moim miejscu?

Corso obruszył się z niesmakiem.

- Mnie niech pan zostawi w spokoju. Nie jestem na pana miejscu. Na szczęście.

- Słusznie pan mówi: szczęście. Doceniam trafność tego stwierdzenia. Tylko głupiec, jak mniemam, mógłby mi zazdrościć. Tyle skarbów w jednym domu... Ale nie powiedział mi pan, którą mam sprzedać. Który syn pójdzie pod nóż - naraz wykrzywił się, jakby jakiś straszny ból chwycił jego ciało i sumienie. - Jego krew splami mnie - dodał cichym, trzęsącym się głosem - aż po siódme pokolenie.

Odstawił Agricolę na miejsce na kobiercu i pogładził pergamin Wergiliusza mruczając pod nosem: „jego krew”.

Nie panował już nad drżeniem rąk, a oczy miał wilgotne.

- Chyba sprzedam tę - powtórzył z naciskiem.

Jeśli Fargas dotąd nie zbzikował, niewiele mu już brakowało. Corso popatrzył na nagie ściany, na ślady, jakie pozostawiły obrazy na pokrytych grzybem tapetach. Co one mogły obchodzić jakieś mało prawdopodobne siódme pokolenie? Ród Fargasów, tak samo jak Corsów, miał wygasnąć w tej generacji. A ściślej - udać się na spoczynek. Dym z papierosa wznosił się ku podniszczonemu malowidłu na suficie, prosto jak dym stosu ofiarnego o bladym świcie. Corso zerknął przez okno na zapuszczony ogród, jakby szukając zastępstwa dla owieczki zaplątanej w ciernisty gąszcz, ale pozostały tylko książki. Anioł opuścił rękę ze sztyletem i oddalił się szlochając, po prostu się wyniósł, żaloszony matole.

Corso dopalił papierosa i wrzucił go do kominka. Czuł się zmęczony i zziębnięty mimo płaszcza. Za wielu słów musiał wysłuchać wśród tych gołych ścian i cieszył go brak luster. Nie miał ochoty zobaczyć teraz swojej twarzy. Machinalnie rzucił okiem na zegarek, nie zwracając uwagi na godzinę. Mając taką fortunę na kobiercach i gobelinach, @Victor Fargas jeszcze oskubał go z nawiązką z jego zapasów miłosierdzia. Dla Corsa nadszedł już najwyższy czas na rozmowę o interesach.

- *A Dziewięcioro Wrót?*

- A bo co?

- Dla nich tu przyjechałem. Chyba dostał pan mój list?

- List?... A, tak, oczywiście. Pamiętam. Tylko że cała ta... Proszę mi wybaczyć.

Dziewięcioro Wrót, już, natychmiast.

Rozejrzał się oszołomiony jak lunatyk, którego właśnie wytrącono ze snu. Nagle wyszło na jaw całe jego potworne zmęczenie. Uniósł palec, chcąc chyba przez chwilę się zastanowić, po czym pokuśtykał ku jednemu z kątów salonu. Tam, na wyblakłym arrasie francuskim, wyobrażającym - jak zdołał stwierdzić Corso - scenę zwycięstwa Aleksandra nad Dariuszem, spoczywało pół setki książek.

- Czy wiedział pan - spytał Fargas wskazując gobelin - że kufer, w którym jego przeciwnik przechowywał skarby, Aleksander przeznaczył na książki Homera? - popatrzył z upodobaniem na popruty profil Macedończyka. - Brat bibliofil. Grzeczny chłopiec.

Corso niewiele dbał o gusty literackie Aleksandra Wielkiego. Ukucnął i przyglądał się tytułom widniejącym na niektórych grzbietach i krawędziach. Stały tu dawne traktaty z zakresu magii, alchemii i demonologii: *Les trois livres de l'Art*, *Destructor omnium rerum*, *Disertazioni sopra le apparizioni de'spiriti e diavoli*, *De origine, moribus et rebus gestis Satanae...*

- Co pan na to? - zagadnął Fargas.

- Nienajgorzej.

W śmiechu bibliofila zabrzmiała niechęć. Ukłękł na arrasie obok Corsa i mechanicznymi gestami muskał każdą książkę, chcąc się upewnić, że żadna ani o milimetr nie zmieniła miejsca od czasu ostatniego przeglądu.

- Nieźle, nie wątpię. Co najmniej dziesięć z nich to egzemplarze arcyzadkie... Tę część biblioteki odziedziczyłem po dziadku, wielbicielu nauk hermetycznych, astrologu amatorze i masonie. Proszę popatrzeć. To absolutna klasyka, *Słownik piekielny* Collina de Plancy, pierwsze wydanie z 1842 roku. A to edycja z 1571 *Compendi dei secreti* Leonarda Fioravantiego... A tamto ciekawe *duodecimo* to drugie wydanie *Księgi dziwów* - otworzył kolejną książkę i pokazał Corsowi sztych. - Proszę spojrzeć na tę Izydę. Wie pan, co to?

- Oczywiście. *Oedipus Aegyptiacus* Atanasiusa Kirchera.

- Otóż to. Wydanie rzymskie z 1652 roku - Fargas odłożył książkę na miejsce i wziął drugą, której oprawę wenecką Corso znał aż za dobrze: czarna skóra, pięć bind, brak tytułu i pentagram na odwrocie. - A tu ma pan to, czego pan szuka: *De Umbrarium Regni Novem Portis... Dziewięcioro Wrót do królestwa cieni*.

Corso zadrżał, choć silił się na obojętność. Egzemplarz był identyczny z tym, który miał w swojej brezentowej torbie, przynajmniej z zewnątrz. Wziąwszy książkę z rąk Fargas Corso wyprostował się i jął przerzucać kartki.

Jak dwie krople wody - niemal. Ta, którą trzymał w ręku, miała troszkę bardziej zniszczoną tylną część okładki, a na grzbiecie znać było ślad po późniejszej naklejce dolepionej, a następnie oderwanej. Reszta była w równie niepokalanym stanie co egzemplarz Vara Borji - łącznie z ilustracją numer VIII.

- Kompletna i w dobrym stanie - odezwał się Fargas, trafnie odgadując tok myśli Corsa z jego zachowania.

- Od trzech stuleci wędruje przez świat, a kiedy się ją otworzy, wygląda, jakby właśnie zesza z prasy drukarskiej... Można by przypuszczać, że drukarz zawarł pakt z diabłem.

- I może tak zrobił - podsunął Corso.

- Nie pogardziłbym takim zaklęciem - bibliofil objął jednym gestem cały ogołocony salon i rzędy książek na posadzce. - Oddałbym duszę w zamian za możliwość zachowania moich zbiorów.

- Niech pan spróbuje - Corso pokazał na *Dziwięcioro Wrót*. - Podobno zaklęcie gdzieś tu się kryje.

- Nigdy nie wierzyłem w takie dyrdymały. Chociaż... może trzeba się wreszcie złamać? Jak pan sądzi? Wy, Hiszpanie, macie takie przysłowie: z deszczu pod rynnę.

- Ten egzemplarz nie ma wad? Znalazł pan tu coś szczególnego?

- Absolutnie nie. Nie brak mu żadnej kartki, ryciny są na swoim miejscu, jest ich dziewięć plus strona tytułowa. W niezmienionej postaci nabył go mój dziadek na początku stulecia. Jest w zgodzie z opisami w katalogach i z pozostałymi dwoma egzemplarzami - z paryskim baronowej Ungern i z madryckim Terral-Coy.

- Już nie Terral-Coy. Teraz należy do kolekcji Vara Borji z Toledo.

W spojrzeniu bibliofila pojawiła się nieufność, a nawet - jak spostrzegł Corso - pewna ostrożność.

- Vara Borji, powiada pan...? - już miał coś dodać, ale w ostatniej chwili jakby się opamiętał. - Znamienita kolekcja. I ceniona - znów zaczął krążyć po salonie, wreszcie przystanął i popatrzył na książki na gobelinie. - Varo Borja... - powtórzył w zamyśleniu. - Specjalista w zakresie demonologii, prawda? Bardzo bogaty księgarz. Latami starał się o ten egzemplarz, który trzyma pan w dłoniach. Zawsze gotów był zapłacić zań dowolną cenę... Nie wiedziałem, że nabył inny egzemplarz. A pan pracuje dla niego.

- Okazjonalnie - przyznał Corso.

Gospodarz pokręcił kilkakrotnie głową, po czym znów wpatrzył się w książki na podłodze.

- Ciekawe, że przysłał właśnie pana. Ostatecznie...

Urwał, nie kończąc zdania. Spojrzał na torbę Corsa.

- Ma pan książkę ze sobą?... Mógłbym zobaczyć? - Podeszli do stołu i Corso położył swój egzemplarz obok książki Fargasa. Jego uszu dobiegł przyspieszony oddech. Na twarz bibliofila wróciła ekstaza.

- Proszę im się dobrze przyjrzeć - przemawiał cichutko, jakby bał się zbudzić coś, co spało między tymi stronami. - Są doskonałe, piękne i identyczne... Dwa z tych jedyń-

trzech egzemplarzy, jakie uniknęły ognia. Leżą obok siebie po raz pierwszy od trzystu pięćdziesięciu lat... - jego dłonie znowu drżały. Rozcierał sobie nadgarstki chcąc uspokoić wzburzoną krew. - Proszę zwrócić uwagę na tę poprawkę na stronie 72. Na to przełamane 5 w czwartym wersie na stronie 87... Ten sam papier, identyczny druk... Czy to nie cudowne?

- Zgadzam się - Corso zachrypnął nieco. - Chciałbym zostać przez chwilę na osobności i przebadać je gruntowniej.

Fargas świdrował go spojrzeniem. Miał jakieś wątpliwości.

- Jak pan woli - rzekł w końcu. - Ale jeśli pański egzemplarz pochodzi ze zbiorów Terral-Coy, jego autentyczność nie ulega kwestii - patrzył na Corsa z zaciekawieniem, jakby próbował odczytać jego myśli. - Varo Borja musi sobie z tego zdawać sprawę.

- I pewnie sobie zdaje - Corso zdobył się na uśmiech po mistrzowsku obojętny. - Ale płaci mi za weryfikację - wciąż jeszcze starał się uśmiechać, zbliżał się najtrudniejszy moment. - Stuprocentową. Skoro mowa o zapłacie, upoważniono mnie do złożenia panu pewnej oferty.

Ciekawość na twarzy bibliofila ustąpiła miejsca podejrzliwości:

- Jakiego rodzaju ta oferta?

- Finansowa. Znaczna - Corso położył dłoń na drugim egzemplarzu. - Rozwiązałyby pańskie problemy na czas dłuższy.

- A płaci Varo Borja?

- Powiedzmy.

- Ma już jeden egzemplarz - rzekł w końcu. - Może chce zgromadzić wszystkie trzy?

Ten facet był może trochę szurnięty, ale na pewno nie głupi. Corso machnął niezobowiązująco ręką. A nuż... To są sprawy między zbieraczami. W każdym razie gdyby zgodził się sprzedać, mógłby zachować Wergiliusza.

- Pan mnie nie rozumie - rzucił Fargas, chociaż Corso rozumiał aż za dobrze: nic tu nie wskóra.

- Zapomnijmy o tym - rzekł. - To tylko luźny pomysł.

- Ja nie sprzedaję na chybił trafił. Wybieram spośród moich książek. Myślałem, że wyrażam się jasno.

Na zaciśniętych dłoniach wystąpiły mu żyły. Wzbierała w nim złość, dlatego przez następne pięć minut Corso starał się go uspokoić. Oferta miała drugorzędne znaczenie, czysto formalne. Prawdziwym jego celem, oświadczył, jest analiza porównawcza obu egzemplarzy. Wreszcie, ku jego radości, Fargas skinął głową na zgodę.

- Nie widzę przeciwwskazań - odezwał się. Powoli rozwiewały się jego podejrzenia. Było jasne, że Corso mu się spodobał, inaczej mogłoby się to skończyć nie wiadomo jak. - Z tym, że nie mogę panu zaproponować zbyt komfortowych warunków.

Poprowadził go pustym korytarzem do drugiego, niewielkiego pokoju ze stojącym w kącie zdezelowanym pianinem. Był tu także stół ze starą menorą z brązu oblepioną soplami stearyny i parę chwiejących się krzesel.

- W każdym razie będzie pan miał tu spokój - powiedział Fargas. - I szyby w oknie są całe.

Strzelił palcami, jakby o czymś zapomniał, znikł na moment, po czym wrócił niosąc butelkę z resztką koniaku.

- A więc Varo Borja wreszcie dopiął swego... - powtórzył nieco weselszym tonem. Można by odnieść wrażenie, że fakt ten przyniósł mu sporą satysfakcję. Postawił butelkę i kieliszek na podłodze z dala od obu egzemplarzy *Dziewięciorga Wrót*, zlustrował pokój niczym zacny amfitrion sprawdzający, czy wszystko jest, jak należy, i rzucił na pożegnanie ironiczną nieco uwagę:

- Proszę się czuć jak u siebie.

Corso wypił trochę koniaku z kieliszka, wyciągnął notatki i przystąpił do pracy. Na jednym arkuszu wyrysował trzyczęściową tabelę. Każdej kolumnie nadał numer i tytuł:

EGZEMPLARZ NR 1 (VARO BORJA) Toledo.

EGZEMPLARZ NR 2 (FARGAS) Sintra.

EGZEMPLARZ NR 3 (VON UNGERN) Paryż.

Strona po stronie zaczął wynotowywać wszelkie różnice między numerem Jeden a Dwa, nawet te najdrobniejsze: plamka na papierze, ciemniejszy odcień farby drukarskiej. Dotarłszy do pierwszej ilustracji - NEM. PERV.T QUI N.N LEG. CERT.RIT, z rycerzem nakazującym czytelnikowi milczenie - wyjął siedmiokrotnie powiększającą lupę i zaczął badać obie bliźniacze ryciny szczegół za szczegółem. Były identyczne. Zauważył wręcz, że przy rycinach nacisk prasy drukarskiej na papier, podobnie jak w całej książce, był taki sam. Oznaczało to, że numery Jeden i Dwa drukowano jeden po drugim, a może nawet przy wykorzystaniu tej samej prasy. Zgodnie z żargonem braci Cenizów Corso miał przed sobą parę bliźniaków.

Notował dalej. Na chwilę jego uwagę zaprzętnęła drobna nieregularność w szóstym wersie stronicy 19, która okazała się jednak zwyczajnym chlapnięciem farby. Studiował dalej. Oba egzemplarze miały tę samą strukturę: dwie kartki zewnętrzne plus 160 kart w dwudziestu zeszytach po osiem. Dziewięć ilustracji, zarówno w egzemplarzu numer Dwa, jak i Jeden, występowało poza tekstem, na kartach z tego samego papieru, zadrukowanych tylko z jednej strony i dołączonych do tomu w trakcie oprawiania. W obu książkach ich ułożenie było identyczne.

I. między str. 16 a 17

II. 32-33

III. 48-49

III. 64-65

V. 80-81

VI. 96-97

VII. 112-113

VIII. 128-129

VIII. 144-145

[Obrazki 101-109.png](#)

Albo Varo Borja bredził, albo zlecił mu niepojęte zadanie. Nie sposób było wykazać, że któryś z tych egzemplarzy jest fałszywy. Co najwyżej mógł podejrzewać, że miał do czynienia z wydaniem apokryficznym, ale na pewno z epoki i na pewno rzecz dotyczyła obydwu egzemplarzy. Numery Jeden i Dwa były żywym świadectwem uczciwości drukarskiej.

Wychylił resztę koniaku i z lupą w ręku przystąpił do badania ryciny II - CLAUS. PAT.T - brodaty pustelnik z kluczami w dłoni, zamknięte drzwi i latarnia na ziemi. Mając przed sobą obie ilustracje poczuł się naraz jak dziecko, które ma wyteńczyć wzrok i odnaleźć siedem szczegółów. Uśmiechnął się - chodziło dokładnie o coś takiego. Życie jest grą. A książki są zwierciadłem życia.

I wtedy zobaczył. To stało się nagle. Poczuł się jak ktoś, kto dostrzega coś pozornie odstającego od doskonale skomponowanego widoku i w pewnej chwili stwierdza, że wszystko idealnie do siebie pasuje. Osłupiały, wypuścił powietrze z płuc, jakby miał się zaśmiać, ale z jego ust wydobyło się tylko suche, niewesołe, pełne niedowierzania chrząknięcie. To przecież niemożliwe. W tej dziedzinie raczej nie robi się kawałów. Potrząsnął głową zdezorientowany. Przed oczami miał nie broszurkę z łamigłówkami kupioną w kiosku na dworcu kolejowym, ale dwie księgi sporządzone trzy i pół wieku temu.

Drukarzowi przyniosły śmierć, Inkwizycja wciągnęła je na indeks ksiąg zakazanych. W poważnych bibliografiach pisano: *Rycina II. Inskrypcja łacińska. Starzec z dwoma kluczami w dłoni i latarnią przed zamkniętymi drzwiami...* Ale dotychczas nikt nie porównywał dwóch spośród trzech znanych egzemplarzy. Niełatwo było je zestawić ze sobą - zresztą nie było takiej potrzeby. Starzec z dwoma kluczami - to wystarczało.

Corso wstał od stołu i podszedł do okna. Dłuższą chwilę wyglądał na zewnątrz przez szybę zaparowaną własnym oddechem. I wyszło na to, że Varo Borja miał rację. Aristide Torchia musiał się nieźle uśmieć w duchu, stojąc na stosie na Campo dei Fiori, zanim ogień odebrał mu wszelką ochotę do śmiechu. Genialny dowcip z za grobu.

VIII. Postuma necat

- Nikt nie odpowiada?

- Nikt.

- Tym gorzej. To znaczy, że nie żyje”

(M. Leblanc, Arsène Lupin dzentelmen- włamywacz.

BRAK!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Corso pozostał w dworku da Soledade aż do wieczora. Długo pracował przy świetle kandelabru, nie przerywając notowania i raz po raz przeglądając obydwie egzemplarze. Przebadał wszystkie ryciny, by potwierdzić swoją hipotezę. Pojawiły się nowe dowody. W końcu popatrzył na trofeum, jakim był gąszcz notatek na arkuszu papieru, tabel i wykresów połączonych zawiłymi odnośnikami. Pięć rycin w egzemplarzach Jeden i Dwa różniło się w szczegółach. Poza tą niezgodnością dotyczącą dłoni, w której starzec z ryciny II dzierżył klucze, były też inne: labirynt na ilustracji III miał bądź też nie miał wyjścia, zależnie od egzemplarza. Na ilustracji V w numerze Jeden, piasek był w dolnej części klepsydry, a w numerze Dwa w górnej. Z kolei szachownica na sztychu VII miała pola białe w egzemplarzu Vara Borjy, a czarne w egzemplarzu Fargasa. Natomiast na rycinie VIII kat szykujący się do ścięcia głowy dziewczyny miał aureolę, co czyniło zeń karzącego archanioła.

Szczegółowa analiza dokonana pod lupą przyniosła kolejne owoce w postaci dodatkowych różnic. Następnym tropem okazał się znak rytownika: w obu egzemplarzach A.T., czyli Aristide Torchia, figurował na rycinie ze starcem jako *sculptor*, ale jako *inventor* - tylko w numerze Dwa. Podpis w numerze Jeden brzmiał: *L.F.*, na co zwrócili uwagę Corsowi już bracia Cenizowie. Podobnie rzecz się miała w pozostałych czterech nieidentycznych parach. Mogło to znaczyć, że wszystkie ksylografie wrył w drewnie sam drukarz, ale oryginały części rysunków były autorstwa kogoś innego. Zatem nie miał do czynienia ani z ówczesnym falsyfikatem, ani z reedycją apokryficzną. Drukarz Torchia osobiście, ciesząc się

przywilejem i pozwoleniem zwierzchników, sporządził warianty własnego dzieła według zawczasu powziętego zamysłu: podpisał się pod modyfikacjami, chcąc uszanować autorstwo *L.F.* w przypadku oryginałów. Swoim oprawcom wyznał, że pozostał jeden egzemplarz. W rzeczywistości pozostały trzy oraz klucz pozwalający być może przekształcić je w jeden. Resztę tajemnicy pochłonęły płomienie.

Zastosował stary system tabel porównawczych użytych przez Umberta Eco przy badaniu Hanau. Po zestawieniu na papierze różnic dzielących ryciny otrzymał następujący schemat:

	I	II	III	Nil	V	VI	VII	VIII	VIII
Jeden	-	lewa ręką	-	zamk. wyjś.	piasek u dołu	-	białe pola	brak aur.	-
Dwa	-	prawa ręką	-	otw. wyjś.	piasek u góry	-	czarne pola	jest aur.	-

Natomiast w kwestii podpisów rytownika kombinacje *A.T.* (drukarnia Torchia) i *L.F.* (nieznany? Lucyfer?) jako *sculptor* i *inventor* przedstawiały się następująco:

	I	II	III	III	V	VI	VII	VIII	VIII
Jeden	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)
Dwa	AT(s) AT(i)	AT(\$) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)

Przedziwna kabała. Corso dysponował w każdym razie jakimś konkretem: znalazł prawdopodobnie klucz do prawdy. Wstawał powoli, jakby w obawie, że wszystkie te zależności nagle się rozwieją, ale też spokojny jak myśliwy, który wie, że nawet za tak mętny trop skapnie mu trochę grosza.

Ręką. Wyjście. Piasek. Szachownica. Aureola.

Wyrzwał przez okno. Za przybrudzonymi szybami sterczała gałąź drzewa, wyraźnie widoczna na tle czerwonawej poświaty wciąż stawiającej opór nadchodzącej nocy.

Egzemplarze Jeden i Dwa.

Różnice w ilustracjach 2, 4, 5, 7 i 8.

Musiał jechać do Paryża. Tam znajdował się numer Trzy i - kto wie - może rozwiązanie zagadki. Teraz jednak zajmowała go inna sprawa, którą trzeba było rozstrzygnąć natychmiast. Varo Borja postawił rzecz jasno: jeżeli nie uda się uzyskać numeru Dwa

metodami konwencjonalnymi, trzeba obmyślić plan heretycki. Oczywiście jak najmniej ryzykowny dla Fargasa i samego Corsa. Chodziło o akcję delikatną i dyskretną. Wyciągnął notes z kieszeni płaszcza i odszukał odpowiedni numer. To było idealne zadanie dla Amílcara Pinto.

Jedna ze świec dopaliła się, wypuszczając krótką spiralę dymu. Gdzieś w głębi domu grały skrzypce i Corso znów zaśmiał się w duchu. Na jego twarzy, pochylonej ku kandelabrowi z nowym papierosem w ustach, zatańczyły światłocienie. Wyprostował się i zaczął nasłuchiwać. Muzyka brzmiała jak lament płynący przez puste, mroczne pomieszczenia, ponad resztkami przeżartych przez korniki, zakurzonych mebli, pod malowanymi stropami, pośród pajęczyn i cieni skrywających już tylko dziury w ścianach, echa kroków i dawno umarłych głosów. A na zewnątrz, przy pordzewiałej bramie, twarze dwóch kobiet - ta z oczami wpatrzonymi w noc i ta przysłonięta maską bluszczu - trwały w bezruchu zastygłego czasu, zasłuchane w muzykę, którą @Victor Fargas usiłował odegnać upiory swych utraconych książek.

Wracał do miasteczka piechotą, z rękami w kieszeniach płaszcza i z postawionym kołnierzem. Dwadzieścia minut marszu lewą stroną drogi miał już za sobą. Księżyc ciągle nie wschodził i Corso szedł pogrążony w gęstym cieniu rzucanym przez drzewa tworzące nad drogą rodzaj czarnego sklepienia. Panowała niemal kompletna cisza, przerywana jedynie chrzęstem jego kroków na żwirowym poboczu i szmerem wody w przydrożnych kanałach, niewidocznych wśród zarośli czystku i bluszczu.

Z tyłu zbliżał się samochód. W świetle jego reflektorów Corso widział swój groteskowo wyolbrzymiony cień, ślizgający się po pniach mijanych drzew i po listowiu gęstwiny leśnej. Dopiero gdy znów spowił go mrok, odetchnął i poczuł, jak mięśnie na powrót mu się rozluźniają. Nie należał do tych, co to na każdym kroku widzą duchy. Raczej na wszystko patrzył z owym fatalizmem typowym dla starych wiarusów z Południa, bez wątpienia odziedziczonym w prostej linii po praprapradziadku. Choćbyś kłuł ostrogami konia i kierował go w stronę przeciwną, nieuchronny los zawsze cię czeka przy najbliższych wrotach Samarkandy, czyszcząc sobie paznokcie sztyletem z weneckiej stali albo bagnetem szkockim. Mimo to od czasu incydentu w Toledo łowca książek doświadczał zrozumiałego lęku za każdym razem, gdy za plecami odzywał się silnik samochodu.

Zapewne dlatego kiedy światła pojazdu zatrzymały się tuż przy nim, Corso odwrócił się w napięciu, przełożył brezentową torbę z prawego ramienia na lewe i wymacał w kieszeni płaszcza pęk kluczy - przypadkową broń zdolną wybić oko każdemu, kto zbliży się zbyt gwałtownie. Widok jednak nie budził obaw: ot, masywny, ciemny metalowy kształt w typie

berlinki, w której można było dostrzec męski profil ledwie oświetlony przez deskę rozdzielczą. Profil przemówił miłym głosem osoby dobrze wychowanej:

- Dobry wieczór... - akcent nieokreślony, ani portugalski, ani hiszpański. - Ma pan ogień?

Mógł chcieć naprawdę, a mógł to być pretekst - trudno wyczuć. Raczej nie będzie przecież uciekał czy wywijał najostrzejszym kluczem tylko dlatego, że ktoś go prosi o ogień. Corso wyciągnął paczkę zapalek i jedną z nich zapalił, ochraniając dłońmi płomień.

- Dzięki.

No jasne, blizna była na miejscu. Zadawniona, długa, pionowa, ciągnęła się od lewej skroni do połowy policzka. Przyjrzał się jej dobrze, gdy tamten pochylił się przypalając cygaro Montecristo. Potrzymał jeszcze zapalną na tyle długo, by dostrzec gęste czarne wąsy i ciemne oczy spoglądające nań bacznie z półmroku. Gdy zapalka zgasła Corsowi w palcach, rysy nieznanego okryła czarna maska. Znow był tylko cieniem, słabo widocznym przy światełkach deski rozdzielczej.

- Kim pan do cholery jest?

Nie zabrzmiało to ani spokojnie, ani mądrze. A na pewno wypowiedziane zostało za późno: pytanie ugrzęzło w warkocie silnika. Dwa tylne czerwone światła oddalały się już asfaltową drogą, na której został ledwie widoczny ślad kół. Jeszcze tylko zajaśniały mocniej, gdy auto przyhamowało przed zakrętem, i wreszcie wszystko znikło, jakby było tylko chwilowym złudzeniem.

Łowca książek zastygł na poboczu, usiłując wpasować to wydarzenie w całą historię: Madryt, drzwi domu wdowy Taillefer; Toledo, wizyta u Vara Borji; wreszcie Sintra, wieczór spędzony u Victora Fargasa. Do tego zeszyty z powieściami Dumasa, wydawca wiszący we własnym gabinecie, drukarz spalony wraz ze swoim dziwnym podręcznikiem... I wszędzie, deptający mu po piętach niczym cień, ten Rochefort: fikcyjny siedemnasto-wieczny zabijaka odrodzony jako szofer w uniformie za kierownicą luksusowych samochodów. Odpowiedzialny za próbę przejechania i dwukrotne wtargnięcie do cudzego mieszkania. A, i jeszcze palacz cygar Montecristo. Palacz bez zapalniczki.

Zaklął cicho pod nosem. Oddałby rzadki starodruk w dobrym stanie za możliwość rozwalenia czaszki temu, kto ułożył ten idiotyczny scenariusz.

Zaraz po powrocie do hotelu usiadł do telefonu. Najpierw wykręcił lizboński numer ze swojego notesu - i miał szczęście, bo Amílcar Pinto był akurat w domu. Zdołał to potwierdzić gadając z jego rozeźloną żoną. W czarnym bakelicy słychać było w tle telewizor rozkręcony

na cały regulator, głośny płacz dzieci i gwałtowną dyskusję kilku dorosłych. Po chwili Pinto stał już przy aparacie. Umówili się za półtorej godziny - akurat tyle czasu miała zabrać Portugalczykowi droga z Lizbony do oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów Sintry. Załatwiwszy tę sprawę Corso zerknął na zegarek i wykręcił międzynarodową do Vara Borjy. Księgarz był jednak poza domem, więc zostawił mu wiadomość na sekretarce i wybrał madrycki numer Flavia La Pontego. Tu też nikt nie podjął słuchawki, wobec czego schował torbę na szafie i wyszedł napić się czegoś.

Pierwszą osobą, jaką ujrzał pchnąwszy drzwi niewielkiego saloniku hotelowego, była dziewczyna. Nie mylił się: króciutkie włosy, chłopięcy wygląd, opalenizna jak w sierpniu. Czytała siedząc w fotelu pod lampą, bose nogi, założone jedna na drugą, oparła na innym fotelu. Miała na sobie džinsy, białą bawełnianą koszulę i szary wełniany sweter zarzucony na ramiona. Corso zamarł z dłonią na klamce i z przeświadczeniem, że wszystko to jest absurdalne. Czy to przypadek, czy też czyjeś rozmyślne działanie, w każdym razie tego było już za wiele.

Wreszcie, wciąż nie wierząc własnym oczom, podszedł do dziewczyny. Gdy znalazł się niemal tuż przy niej, podniosła na niego zielone oczy pełne tej czystej głębokiej jasności, którą tak dobrze zapamiętał ze spotkania w pociągu. Zatrzymał się nie wiedząc, co powiedzieć. Miał dziwne wrażenie, że zaraz wpadnie w głąb tych oczu.

- Nie mówiła mi pani, że wybiera się do Sintry - rzekł.

- Pan też nie.

Jej odpowiedzi towarzyszył spokojny uśmiech, bez śladu zakłopotania czy zdziwienia. Tak jakby szczerze się ucieszyła z tego spotkania.

- Co pani tu robi?

Zdjęła stopy z fotela i zachęciła go do zajęcia miejsca. Łowca książek stał dalej.

- Podróżuję - odrzekła dziewczyna i pokazała mu książkę, tym razem inną niż w pociągu. Był to *Melmoth tułacz* Charles'a Maturina. - Czytam. I mam nieoczekiwane spotkania.

- Nieoczekiwane spotkania - powtórzył jak echo Corso.

Przypadkowe czy nie, na pewno było ich za dużo jak na jeden wieczór. Odruchowo dopatrywał się związku między jej obecnością w hotelu a spotkaniem z Rochefortem na drodze. Musi być jakiś punkt, z którego widać, jak wszystkie te elementy pasują jeden do drugiego - ale najwyraźniej ten punkt był jeszcze daleko. Corso nawet nie wiedział, gdzie go szukać.

- Nie usiądzie pan?

Posłuchał jej z wahaniem i obawą. Dziewczyna zamknęła książkę i obserwowła go zaintrygowana.

- Pan mi nie wygląda na turystę - powiedziała.

- Bo nim nie jestem.

- Pracuje pan?

- Tak.

- Każda praca do wykonania w Sintrze musi być interesująca.

Jeszcze tego brakowało, żeby miał być przesłuchiwany. Corso palcem wskazującym poprawił sobie okulary. Co prawda przesłuchuje go młodzieńca piękna dziewczyna. Może tu tkwi problem: była za młoda, żeby budzić strach. Z drugiej strony właśnie to mogło potęgować zagrożenie. Wziął do ręki leżącą na stoliku książkę i przerzucił kilka kartek. Współczesne angielskie wydanie, niektóre fragmenty podkreślone ołówkiem. Przeczytał jeden z nich:

„Oczy wciąż miał utkwione w nienającym świetle i narastających ciemnościach, w owej czerni nadprzyrodzonej, która najbardziej świetlanym i najwspanialszym dziełom Bożym zdaje się mówić: Uczyni mi miejsce, przestań wreszcie błyszczeć”.

- Lubi pani czytać powieści gotyckie?

- Lubię czytać - przechyliła głowę. Światło padało teraz z ukosa na jej gołą szyję. - Dotykać książek. Zawsze biorę w podróż kilka do plecaka.

- Często pani podróżuje?

- Często. Od wieków.

Corso słysząc tę odpowiedź wykrzywił usta w dziwny grymas. Powiedziała to tak serio, marszcząc przy tym brwi jak mała dziewczynka, która chce wyglądać poważnie.

- Myślałem, że pani studiuje.

- Zdarza się.

Corso odłożył *Melmotha* na stolik.

- Tajemnicze z pani dziewczę. Ile pani ma lat? Osiemnaście, dziewiętnaście? Czasami odnoszę wrażenie, jakby była pani dużo starsza.

- Może jestem. Myny i gesty każdego człowieka odzwierciedlają to, co przeżył i co przeczytał. Proszę spojrzeć chociażby na siebie.

- A co takiego widać po mnie?

- Widział pan kiedyś swój uśmiech? Wygląda pan na starego żołnierza.

Zakłopotany, poruszył się w fotelu.

- Nie mam pojęcia, jak uśmiecha się stary żołnierz.

- A ja owszem - oczy dziewczyny zmatowiały, zapatrzona w głębię wspomnień. - Kiedyś obcowałam z dziesięcioma tysiącami mężczyzn poszukujących morza.

Corso uniósł brwi z przesadnym zaciekawieniem.

- Co też pani powie... Mówi pani o swoich lekturach czy o przeżyciach?

- Proszę zgadywać - wbiła weń wzrok, po czym dorzuciła: - Jest pan chyba dość sprytny, panie Corso.

Wstała, wzięła książkę ze stolika i białe pantofelki z podłogi. Jej oczy na powrót nabrały życia, łowca książek odszukał w nich znajome refleksy. Dostrzegł w jej spojrzeniu jakiś ledwie uchwytny, ale swojski błysk.

- Może się jeszcze spotkamy - powiedziała na odchodnym. - Gdzieś tutaj.

Corso nie miał najmniejszej wątpliwości, że tak właśnie będzie. I wcale nie był pewien, czy sobie tego życzy. Tak czy inaczej mógł się zastanawiać najwyżej kilka sekund - opuszczając salonik dziewczyna minęła się w drzwiach z Amilcarem Pinto.

Przybysz był niewysokim tłuściochem. Miał ciemną i błyszczącą, jakby dopiero co polakierowaną skórę, z którą kontrastowały gęste, mocne wąsy przycięte nożyczkami. Byłby uczciwym policjantem, ba, może nawet dobrym policjantem, gdyby nie konieczność utrzymania pięciorga dzieci, żony i ojca emeryta, który wypalał mu po kryjomu papierosy. Żonę, Mulatkę piękną dwadzieścia lat temu, przywiózł z Mozambiku, kiedy ta kolonia uzyskała niepodległość. W tamtych czasach stołeczne Maputo nazywało się ciągle Lourenco Marques, a Pinto był drobnym, ale śmiałym sierżantem wojsk spadochronowych z orderami. Corso poznał panią Pinto przy okazji różnych transakcji, jakich dokonywał z jej mężem. Miała oczy podkrążone ze znużenia, wielkie obwisłe piersi, nosiła zniszczone pantofle i czerwoną chustę na głowie. W przedpokoju ich mieszkania unosił się zapach brudnych dzieciaków i gotowanej włoszczyzny.

Policjant wszedł od razu do saloniku, popatrzył z ukosa za dziewczyną, po czym padł na fotel naprzeciwko łowcy książek. Sapał, jakby drogę z Lizbony odbył pieszo.

- Kto to?

- Nikt ważny - odpowiedział Corso. - Turystka z Hiszpanii.

Pinto pokiwał głową uspokojony i wytarł spocone dłonie w nogawki spodni. Często powtarzał ten gest. Strasznie się pocił, przez co kołnierzyki jego koszul miały zawsze ciemną smugę w miejscu, gdzie stykały się z karkiem właściciela.

- Mam problem - rzekł Corso.

Na twarzy Portugalczyka zajaśniał szeroki uśmiech, z którego można było wyczytać, że nie ma problemów nie do rozwiązania. Przynajmniej dopóki ty i ja żyjemy ze sobą w przyjaźni.

- Jestem pewien - odparł - że rozwiążemy go wspólnie.

Teraz uśmiechnął się Corso. Poznał Amílcaro Pinto cztery lata temu przy okazji dość brzydkiej sprawy kradzionych książek, które pojawiły się na straganach bazaru Feira de Ladra. Corso znalazł się w Lizbonie w celu ich identyfikacji, Pinto dokonał paru aresztowań, a w drodze powrotnej do właściciela kilka cennych egzemplarzy zaginęło na amen. Dla uczczenia narodzin tak owocnej przyjaźni zalali się w pełnych muzyki *fado* szynkach dzielnicy Bairro Alto. Tam były sierżant wojsk spadochronowych rozpamiętywał złote czasy kolonialne, opowiadając Gorsowi, jak to o mały włos nie odstrzelili mu jaj podczas bitwy pod górą Gorongosą. Skończyło się na wspólnym wyciu wniebogłosy rewolucyjnej *Grândola vila morena* na tarasie Santa Luzia. Księżyc oświetlał w dole dzielnicę Alfama i, w dali, błyszczący, szeroko rozlany Tag, przypominający srebrzyste prześcieradło, po którym powolutku przesuwali się mroczne sylwetki statków płynących ku wieży Belém i Atlantykowski.

Kelner przyniósł Pintowi zamówioną wcześniej kawę. Gdy się oddalił, Corso powiedział:

- Chodzi o książkę.

Policjant, pochylony nad niskim stolikiem, sypał cukier do kawy.

- Zawsze chodzi o książkę.

- Ta jest szczególna.

- A która nie jest?

Corso znów się uśmiechnął. Był to uśmiech ostry i metaliczny.

- Właściciel nie chce sprzedać.

- Niedobrze - Pinto podniósł filiżankę do ust, delektując się smakiem. - Handel jest pożyteczny. Towary przychodzą i odchodzą, są w ruchu. Przysparzają bogactwa pośrednikom... - odstawił filiżankę i wytarł dłonie w spodnie. - Produkty powinny krążyć. Takie są reguły rynku i reguły życia. Odmowa sprzedaży powinna być zabroniona, to prawie zbrodnia.

- Zgadzam się - przytaknął Corso. - Musisz coś z tym zrobić.

Pinto rozsiadł się w fotelu i, pewny siebie i odprężony, spojrzał na rozmówcę wyczekująco. Kiedyś podczas zasadzki w gęstwinie mozambickiego mato uciekał dziesięć kilometrów dźwigając na plecach umierającego porucznika. O świcie poczuł, że porucznik nie

żyje, ale nie chciał go porzucić w dżungli i szedł z trupem na ramionach aż do bazy. Porucznik był bardzo młody i Pinto pomyślał, że matka chciałaby go pochować w Portugalii. Dali mu za to medal. Dzisiaj dzieci @eks-sierżanta bawiły się w domu jego porzewiałymi medalami.

- Może znasz faceta: Victor Fargas.

Policjant skinął głową.

- Fargasowie to znakomita rodzina - zaznaczył. - Bardzo stary ród. Kiedyś mieli spore wpływy. Dziś ich nie mają.

Corso podał mu zamkniętą kopertę.

- Tu masz wszystkie potrzebne dane: właściciel, książka i miejsce.

- Znam jego dworek - Pinto przesunął językiem po górnej wardze, zwilżając wąsy. - To wielka nieostrożność trzymać w takim miejscu cenne książki. Byle łotr może tam wejść - popatrzył na Corsa z zalem, jakby naprawdę zasmucała go niefrasobliwość Victora Fargas. - Mam na myśli szczególnie jednego, to pewien złodziejasek z Chiado, który jest mi coś winien.

Corso strząsnął niewidoczny pyłek z ubrania. To nie była jego sprawa. Przynajmniej w fazie operacyjnej.

- W kluczowym momencie wolałbym być daleko.

- Spokojnie. Będziesz miał tę książkę, a panu Fargasowi zrobi się tyle krzywdy, ile to będzie naprawdę konieczne. Jakaś rozbita szyba, nic więcej: czysta robota. Co do honorarium...

Corso wskazał wciąż nie otwartą kopertę, którą tamten trzymał w dłoniach.

- Tu jest zaliczka wysokości jednej czwartej całej sumy. Reszta przy odbiorze.

- Żaden problem. Kiedy jedziesz?

- Jutro o pierwszej. Zadzwoń do ciebie z Paryża - Pinto wstawał, ale Corso powstrzymał go gestem dłoni. - Jeszcze jedno. Chciałbym zidentyfikować jednego faceta. Wysoki, mniej więcej metr osiemdziesiąt, z wąsami i blizną na twarzy. Czarne włosy, oczy ciemne. Szczupły. Ani Hiszpan, ani Portugalczyk. Dzisiaj kręci się tu gdzieś w pobliżu.

- Niebezpieczny?

- Nie wiem; śledzi mnie od Madrytu.

Policjant zapisywał coś na odwrocie koperty.

- Ma coś wspólnego z naszym interesem?

- Podejrzewam, ale nie mam więcej danych.

- Zrobię, co się da. Mam tu kumpli w komisariacie w Sintrze. No i przepatrzę archiwa w centrali w Lizbonie.

Wstał i włożył kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Corsowi wydało się przez chwilę, że dostrzegł kolbę rewolweru pod lewą pachą.

- Nie zostaniesz na jednego?

Pinto westchnął i pokręcił głową.

- Chciałbym, ale trójka moich nygusów ma odrę. Te szczyłe zarażają się jedno od drugiego.

Na jego uśmiechniętej twarzy pojawiło się zmęczenie. W świecie Corsa wszyscy bohaterowie byli zmęczeni.

Wyszli razem przed hotel, gdzie Pinto zaparkował swojego citroena 2CV. Wyciągając rękę, Corso powrócił jeszcze do tematu Victora Fargasa.

- Nalegam, żeby wszelkie nieprzyjemności zredukować do minimum... To kwestia zwykłej kradzieży.

Policjant zapuścił silnik i zapalił światła. W jego oczach Corso dostrzegł cień wyrzutu. Chyba obraził Pinto.

- Proszę, oszczędź mi tych komentarzy. Jesteśmy zawodowcami.

Po odjeździe Pinto łowca książek wrócił do pokoju, aby uporządkować notatki. Pracował do późna na łóżku pokrytym papierami i z *Dziewięciorgiem Wrót* na poduszce. Wreszcie poczuł gwałtowne znużenie i pomyślał, że dobrze zrobi mu gorący prysznic. Właśnie miał iść do łazienki, kiedy zadzwonił telefon. Varo Borja chciał się dowiedzieć, jak tam sprawa z Fargasem. Corso poinformował go w ogólnych zarysach o wszystkim, w tym także o różnicach, jakie znalazł w przypadku pięciu ksylografii.

- Naturalnie - dodał - nasz przyjaciel nie zamierza nic sprzedać.

Po drugiej stronie drutu zapadła cisza. Księgarz rozmyślał, aczkolwiek trudno było stwierdzić, czy na temat ilustracji, czy odmowy Fargasa. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała ostrożność:

- Przewidywałem taki obrót sprawy - rzekł, choć i tym razem Corso nie wyczuwał, co tamten ma na myśli. - Czy możemy jakoś ominąć przeszkodę?

- Postaramy się.

Słuchawka znów zamilkła. Corso patrzył na zegarek: pięć sekund.

- Ma pan wolną rękę.

Rozmowa przeszła na tematy banalniejsze. Corso nie wspominał o spotkaniu z Amilcarem Pinto, a i Borja nie wyraził zainteresowania sposobem, w jaki łowca książek ma zamiar „ominąć przeszkodę”. Zapytał tylko, czy będą potrzebne dalsze pieniądze, na co Corso odpowiedział przecząco. Umówili się na kontakt po przyjeździe Corsa do Paryża.

Znów wykręcił numer La Pontego i znów nie było odpowiedzi. Niebieskie kartki z rękopisem Dumasa wciąż tkwiły w teczce, kiedy pakował papiery i książkę w czarnej skórze z pentagramem. Powsadzał wszystko do brezentowej torby, którą następnie wsunął pod łóżko, a pasek przywiązał do jednej z nóg łóżka. Dzięki temu choćby spał jak zabity, nikt nie zdołałby niepostrzeżenie wyciągnąć jej stamtąd. „Niewygodny bagaż - pomyślał idąc do łazienki, gdzie czekał na niego kran z ciepłą wodą. - I z niewiadomych powodów niebezpieczny”.

Umył zęby i rozebrał się, by wziąć prysznic. Ubranie opadło na posadzkę. W lustrze, prawie zupełnie zaparowanym, widział własne odbicie - wychudłego, zahartowanego wilka. Znowu doznał ukłucia smutku. Przyszedł z daleka, z przeszłości, i dźgnął jego świadomość odległym bólem, podobnym do struny drżącej w ciele i pamięci. Nikon. Przypominała mu się za każdym razem, gdy odpinał pasek, który ona zawsze chciała zdejmować własnymi rękami, jakby w grę wchodził jakiś przedziwny rytuał. Zamknął oczy i ujrzał ją ponownie, jak siedzi na skraju łóżka, zsuwa mu spodnie z bioder, po nich majtki, powoli, bardzo powoli, delektując się tą chwilą z porozumiewawczym, delikatnym uśmiechem. Rozluźnij się, Lucasic Corso. Kiedyś ukradkiem zrobiła mu zdjęcie, jak spał na brzuchu. Na środku czoła widać mu było pionową zmarszczkę, a ciemny od zarostu policzek jeszcze bardziej wyszczupłał mu twarz, podkreślając gorzki grymas w kącikach półotwartych ust. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, podejrzliwego i zmordowanego wilka na zaśnieżonej równinie poduszki. Nie spodobało mu się to zdjęcie, kiedy przypadkowo natknął się na nie w kuwecie z utrwalaczem w łazience, której Nikon używała jako ciemni. Podarł je na kawałeczki, zniszczył też negatyw, a ona nic nie powiedziała.

Woda wyparzyła mu skórę, kiedy wlaź pod prysznic. Wystawił twarz pod gorące strugi i zaciskając szczęki znosił ból powiek. Mięśnie miał napięte i w tej gorącej duchocie z trudem powstrzymywał się od krzyku - tak bardzo doskwierała mu samotność. Przez cztery lata, miesiąc i dwanaście dni, za każdym razem kiedy się kochali, Nikon wślizgiwała się potem razem z nim pod prysznic i powoli, w nieskończoność, mydliła mu plecy. Często kończyło się na tym, że trwała przytulona do niego jak zagubiona w deszczu dziewczynka. Kiedyś odejść, nadal cię nie znając. Wtedy wspomnisz moje duże ciemne oczy. Moje

milczące wymówki. Moje żałosne jęki przy zasypianiu. Moje troski, których nie potrafisz odegnąć. Przypomnisz sobie to wszystko, kiedy mnie już nie będzie.

Oparł głowę o białe kafelki pokryte skroploną parą tej wilgotnej pustyni, która tak mu się kojarzyła z jakąś postacią piekła. Nikt nie namydlął mu pleców przed Nikon i po Nikon. Nikt. Nigdy. Przenigdy.

Wyszedł spod prysznic i położył się do łóżka z *Pamiętnikiem z Wyspy Świętej Heleny*, ale zdołał przeczytać ledwie kilka linijek:

„Wracając do tematu wojny Cesarz kontynuował: „Hiszpanie w swojej masie zachowywali się jak ludzie honoru...”

Uśmiechem skomentował tę liczącą już dwieście lat pochwałę Napoleona. Przypomniały mu się słowa, jakie usłyszał będąc czteroletnim dzieciakiem. Może wypowiedział je któryś z dziadków, a może ojciec: „My, Hiszpanie, jesteśmy niezrównani w tym jednym: potrafimy dobrze wychodzić na obrazach Goi...” Ludzie honoru, jak powiedział Bonaparte. Corsowi przyszedł na myśl Varo Borja ze swoją książeczką czekową, Flavio La Ponte i wdowie biblioteki złupione za byle grosz. Oto widmo Nikon, wędrujące samotnie po białej pustyni. I on sam, w najlepszym razie zwykły chart gończy. Gdzie te czasy...

Kiedy zasypiał, na twarzy błąkał mu się jeszcze uśmiech pełen gorzkiego rozczarowania.

Pierwszym widokiem, jaki zobaczył po przebudzeniu, był szary świt za oknem. Za wcześnie. Zaczął wiercić się w łóżku, po omacku szukając zegarka na stoliku nocnym, kiedy dotarło do niego, że dzwoni telefon. Słuchawka dwukrotnie spadła na ziemię, nim zdołał ją wetknąć między ucho a poduszkę.

- Halo?

- Mówi pana wczorajsza znajoma. Przypomina pan sobie? Irene Adler. Jestem w hallu hotelowym. Musimy porozmawiać. I to natychmiast.

- Co u diabła...

Ale ona już odłożyła słuchawkę. Klnąc w żywy kamień Corso odszukał okularki, rozrzucił pościel i, wciąż zaspany i rozkojarzony, wciągnął na siebie spodnie. Nagle, zdjęty raptownym atakiem paniki, zajrzał pod łóżko. Torba leżała nienaruszona. Nie bez wysiłku zlustrował otoczenie.

Wszystko w pokoju było w porządku. Coś więc dzieje się poza nim. Zdażył jeszcze pójść do łazienki i ochlapać sobie twarz, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wie pani, do cholery, która godzina?

Dziewczyna stała na progu w niebieskiej kurteczce i z plecakiem na ramieniu. Oczy miała zielone jak nigdy przedtem.

- Jest wpół do siódmej rano - odrzekła ze spokojem.

- A pan musi się czym prędzej ubierać.

- Czy pani ma dobrze w głowie?

- Tak - weszła do pokoju bez zaproszenia z jego strony i rozejrzała się krytycznym okiem. - Mamy bardzo mało czasu.

- Mamy?

- Pan i ja. Sprawy się bardzo pokomplikowały.

Corso parsknął z irytacją:

- Nie pora na żarty.

- Niech pan nie będzie idiotą - marszczyła nos, wyraźnie podminowana. Mimo młodości i chłopięcego wyglądu wydawała się odmieniona, dojrzała i poważna. - Ja mówię serio.

Zdażyła już położyć plecak na nie posłanym łóżku. Corso podniósł go teraz i zwrócił jej wskazując na drzwi.

- Niech pani idzie do diabła.

Nie drgnęła, tylko wpatrywała się weń z uwagą.

- A pan niech posłucha - jasne oczy patrzyły na niego z bliska; przypominały teraz krople lodu ostro kontrastujące z opaloną cerą. - Wie pan, kto to jest @Victor Fargas?

W lustrze nad komodą Corso zobaczył nad jej ramieniem własną twarz z rozdziawionymi ustami kretyna.

- Jasne, że wiem - wydukał wreszcie.

Zamurowało go na parę dobrych sekund, po czym zamrugął oczami ze zdumienia. Jej wyczekującemu spokojowi nie towarzyszyło zadowolenie z wywołanego efektu. Najwyraźniej była myślami gdzie indziej.

- Nie żyje - rzekła.

Powiedziała to tak obojętnym tonem, jakby chciała poinformować, że „wypił poranną kawę” albo „poszedł do dentysty”. Corso wciągnął głęboko powietrze usiłując przełknąć to, co właśnie usłyszał.

- Niemożliwe. Widziałem się z nim wczoraj wieczorem. Czuł się dobrze.

- A teraz nie czuje się dobrze. W ogóle się nie czuje.

- Skąd pani wie?

- Wiem.

Corso pokręcił nieufnie głową i rozejrzał się za papierosem. Po drodze chwycił piersiówkę z bolsem. Potężny łyk dżinu przedzierający się przez przełyk ku pustemu żołądkowi przyprawił go o gęsią skórkę. Starając się nie patrzeć na dziewczynę, niespiesznie zaciągnął się papierosem. Roli, jaką przyszło mu grać tego ranka, żadną miarą nie mógł nazwać przyjemną. Musiał się z tym wszystkim powoli oswoić.

- Kawiarnia w Madrycie, pociąg, wczoraj wieczorem i dzisiaj rano w Sintrze... - wyliczał z papierosem w ustach, spoglądając poprzez dym na palce lewej dłoni. - Czterokrotny zbieg okoliczności to już coś, nie sądzi pani?

Potrząsnęła głową niecierpliwie.

- Myślałam, że pan jest bystrzejszy. Kto tu mówi o zbiegu okoliczności?

- Dlaczego mnie pani śledzi?

- Bo mi się pan podoba.

Corso nie było do śmiechu, więc tylko wykrzywił trochę usta.

- Bardzo zabawne.

Spojrzała na niego zamyślona.

- Chyba tak - rzekła wreszcie. - Pana wygląd nie zwała z nóg, wiecznie w tym starym płaszczu. I w okularach.

- No więc?

- Niech pan szuka innej odpowiedzi. Każda jest równie dobra. Ale na razie niech się pan ubiera, w te pędy. Musimy gnać do domu Victora Fargasa.

- Musimy?

- Pan i ja. Zanim ubiegnie nas policja.

Zeschłe liście szeleściły im pod stopami, gdy otwierali żelazną bramę i posuwali się ścieżką wśród pogruchotanych posążków i pustych cokołów. Zegar słoneczny nad schodami, pozbawiony cienia w ten szary poranek, wciąż nie wskazywał żadnej godziny. *Postuma necat.* Ostatnia zabija - przeczytał znów Corso. Dziewczyna podążyła oczami za jego wzrokiem.

- Niezbita prawda - rzekła chłodno i pchnęła drzwi.

Były zamknięte.

- Od tyłu - zaproponował Corso.

Okrążyli dworek, mijając kafelkową fontannę z bezrękim aniołkiem o pustych oczach, z którego ust wciąż sączyła się woda. Dziewczyna, Irene Adler czy jak się tam nazywała, szła przed Corsem z plecakiem zarzuconym na niebieską kurteczkę. Poruszała się na tych swoich długich, odzianych w dżinsy nogach zadziwiająco pewnie, spokojnie i sprężysto, z wysuniętą

naprzód głową, jak ktoś, kto doskonale wie, dokąd zmierza. Corso nie mógł tego powiedzieć o sobie. Okiełznał jakoś własne wątpliwości i teraz potulnie szedł za nią, odkładając pytania na potem. Zdażył przed wyjściem wziąć szybki prysznic dla zupełnego otrzeźwienia i złapać brezentową torbę, w której miał wszystko, co najważniejsze. Teraz głowę zaprzętało mu jedynie *Dziwięcioro Wrót*, egzemplarz numer Dwa należący do Victora Fargasa.

Bez trudu weszli przez oszklone drzwi wiodące z salonu do ogrodu. Abraham z sufitu, ze wzniesionym sztyletem, ciągle czuwał nad książkami ułożonymi na podłodze. Dom robił wrażenie opuszczonego.

- Gdzie jest Fargas? - spytał Corso.

. Dziewczyna wzruszyła ramionami:

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Mówiła pani, że jest martwy.

- Bo jest - wzięła do rąk skrzypce leżące na kredensie, obejrzała je z zainteresowaniem, po czym zerknęła wokół na ogołoczone ściany i na książki. - Tylko nie wiem gdzie.

- To są kpiny.

Oparła podbródek na instrumencie, trąciła struny i, niezadowolona z brzmienia, odłożyła skrzypce na miejsce. Dopiero wtedy popatrzyła na Corsę.

- Człowieku małej wiary.

Przez jej usta przemknął lekki, nieobecny uśmiech.

Łowca książek miał wrażenie, że w tej pewności siebie, jednocześnie statecznej i frywolnej, była jakaś zaskakująca dojrzałość. Jej zachowaniem rządził przedziwny system reakcji i myśli, znacznie bardziej skomplikowany, niż można było sądzić po jej wieku i wyglądzie.

Nagle z głowy Corsę wyparowało wszystko: dziewczyna, cała ta dziwna wyprawa, nawet domniemany trup Victora Fargasa. Na poprutym arrasie przedstawiającym bitwę pod Arbelą, wśród książek okultystycznych i satanistycznych, czegoś brakowało. *Dziwięcioro Wrót* zniknęło.

- O w dupę - powiedział.

Powtórzył to jeszcze raz w duchu, kucając nad rzędem książek. Jego spojrzenie specjalisty, przywykłego do momentalnej lokalizacji upatrzonemu tomu, błąkało się jak sierota od lewej do prawej. Czarny marokin, pięć bind, bez tytułu, pentagram na okładce. *Umbrarum regni* i tak dalej. O omyłce nie było mowy. Jedna trzecia zagadki, dokładnie 33,33 procent - i dalej trzy w okresie - rozplynęło się w powietrzu.

- Przeklęte piętno.

Za szybko jak na Pinta, pomyślał. Portugalczyk nie zdążyłby tego zorganizować tak prędko. Dziewczyna obserwowała go, jakby spodziewała się jakiejś konkretnej reakcji. Corso ocknął się.

- Kim jesteś?

Już drugi raz w ciągu dwunastu godzin zadawał to samo pytanie, chociaż nie tej samej osobie. Sprawy komplikowały się zbyt raptownie. Dziewczyna wytrzymała jego pytanie i spojrzenie bez śladu niepokoju. Powiodła wzrokiem dokoła i zapatrzyła się w przestrzeń. A może w książki na podłodze.

- To nieistotne - odparła w końcu. - Niech się pan lepiej zastanowi, gdzie się podziała książka.

- Jaka książka?

Nie odzywając się, znów spojrzała na niego. Zrobiło mu się głupio.

- Wiesz za dużo - powiedział. - Nawet więcej niż ja.

Po raz kolejny wzruszyła ramionami. Teraz patrzyła na jego zegarek, jakby była w stanie odczytać na nim godzinę.

- Zostało panu mało czasu.

- Gównu mnie to obchodzi.

- Jak pan woli. Ale za pięć godzin z lotniska Portela odlatuje samolot relacji Lizbona-Paryż. Jeszcze możemy na niego zdążyć.

O Boże. Corso aż się zatrząsł, przerażony. Zachowywała się jak sprawna sekretarka z terminarzem w dłoni, informująca szefa o rozkładzie zajęć. Otworzył usta, żeby zaprotestować. Kim jest ta dziewczyna o niepokojących oczach? Jakaś przeklętą czarownicą?

- A dlaczego miałbym zaraz odlatywać?

- Bo może przyjechać policja.

- Ja nie mam nic do ukrycia.

Jej dwuznaczny uśmiech mógł być reakcją na stary, ale jary dowcip. Następnie poprawiła sobie plecak na ramionach i uniosła rękę z otwartą dłonią w geście pożegnania.

- Będę panu przynosić papierosy do więzienia. Tylko że w Portugalii nie sprzedają pana marki.

Wyszła do ogrodu, nie oglądając się za siebie. Corso chciał pobiec, żeby ją powstrzymać, kiedy nagle jego wzrok padł na kominek.

Po chwili kompletnego zaskoczenia zbliżył się do niego powoli, jakby chciał wpłynąć na bieg wydarzeń i sprawić, że potoczyłyby się jakimś racjonalnym torem. Po chwili jednak,

oparty o konsolę, wiedział już, że niektórych wydarzeń nie da się odwrócić. Na przykład takiego faktu: oto w krótkim okresie między wczorajszym wieczorem a dzisiejszym porankiem - króciutkim w porównaniu ze stuleciami, jakie opisywały - bibliografie białych kruków nagle straciły swoją aktualność. Już nie było trzech znanych egzemplarzy *Dziewięciorga Wrót*, ale dwa. Trzeci, a ściślej to, co z niego zostało, dopalało się właśnie w kominku.

Ukląkł, starając się niczego nie dotykać. Dzięki skórzanej oprawie okładka była mniej zniszczona niż kartki. Dwa z pięciu zwięzów na grzbiecie pozostały nienaruszone, a pentagram nadpalił się tylko w połowie. Kartki spłonęły niemal całkowicie, gdziekolwiek tylko na osmalonych marginesach zachowały się fragmenty tekstu. Corso przysunął dłoń do zgliszczy - jeszcze ciepłych.

Wyjął papierosa i wsunął go do ust, lecz nie zapalał. Pamiętał ułożenie drew z poprzedniego wieczora. Nikt dotychczas nie rozgrzebywał żaru. Popiół, jaki pozostał z drew, znajdował się pod popiołem z książki, z czego Corso wydedukował, że ogień zgasł przyduszony książką. O ile pamiętał, opału na kominku mogło starczyć na jakieś cztery, pięć godzin. Ciepło bijące ze zgliszczy świadczyło o tym, że zgasły też około pięciu godzin temu. Razem - osiem do dziesięciu godzin, czyli ktoś musiał podłożyć ogień między dziesiątą wieczorem a północą. Ta sama osoba nie bawiła się już potem w wynoszenie popiołów.

Corso zawiązał w stare gazety resztki księgi wydobyte z paleniska. Zabrało to trochę czasu, bo kartki były sztywne i łatwo się kruszyły. Przy okazji przekonał się, że okładka i środek spłonęły osobno. Ktoś oderwał okładkę, żeby wszystko lepiej się paliło.

Zakończywszy oględziny rozejrzał się po salonie. Wergiliusz i Agricola leżały tam, gdzie Fargas je położył: *De Re metallica* na swoim miejscu w rzędzie z innymi książkami na dywanie, a Wergiliusz na stole, gdzie bibliofil, niczym kapłan gotów do spełnienia ofiary, wypowiedział sakramentalną formułę: „Chyba sprzedam tę”... W środek wsadzona była jakaś karteczka. Kiedy otworzył książkę, okazało się, że był to ręcznie wypisany, nie dokończony rachunek:

Víctor Coutinho Fargas, nr dow. 3554712, zam. w Dworku da Soledade, na 4 km szosy na Colares, Sintra.

Otrzymałem sumę 800 000 escudów za sprzedanie należącej do mnie książki Wergiliusz, *Opera nunc recens accuratissime castigata...* Giunta, Venezia 1544. (Essling 61. Sander 7671). *In folio*, 10, 587, 1 c, 113 ksylografii. Kompletna i w dobrym stanie.

Nabył...

Nie było żadnego nazwiska ani podpisu. Transakcja nie doszła do skutku. Corso włożył rachunek z powrotem w książkę, zamknął ją i skierował się do pokoju, w którym pracował poprzedniego wieczoru, chcąc się upewnić, że nie zostawił żadnych śladów, karteczek ze swoim pismem czy czegoś w tym guście. Wysypał też pety z popielniczki na gazetę i schował do kieszeni. Jeszcze trochę się pokręcił po pokojach; jego krokom odpowiadało echo pustego domu. Ani śladu właściciela.

Kiedy znów mijał stos książek ułożonych na podłodze, poczuł odruchową pokusę. Aż nazbyt proste: kilka rzadkich elzewirów niewielkiego formatu, łatwych do schowania... Ale Corso wiedział, co to rozsądek. Gdyby sprawy miały się jeszcze bardziej skomplikować, ten fakt działałby na jego niekorzyść. Z cichutkim westchnieniem pożegnał się więc z kolekcją Fargasa.

Przez oszklone drzwi wydostał się do ogrodu. Szukał dziewczyny, szurając butami po liściach. Wreszcie ją zobaczył; siedziała na schodkach nad sadzawką, wsłuchana w szmer wody, którą puciołowaty aniołek wypluwał na pokrytą wodnymi roślinami powierzchnię. Zamyślona wpatrywała się w sadzawkę i dopiero dźwięk jego kroków wyrwał ją z kontemplacji. Odwróciła ku niemu głowę.

Corso położył torbę na najniższym stopniu schodków, usiadł obok dziewczyny i zapalił papierosa, którego od dłuższego czasu miał w ustach. Pochylony wciągnął dym w płuca, wyrzucił zapalną i zwrócił się do dziewczyny:

- A teraz mów wszystko.

Znowu patrzyła w wodę. Pokręciła przecząco głową, ale bardzo łagodnie. Ani cienia szorstkości czy niechęci. W tym ruchu głowy, podbródka i kącików ust pełno było delikatności, rzewności i zadumy, jakby obecność Corsa, widok smutnego, zaniedbanego ogrodu i szum wody szczególnie ją rozczuliły. W kurteczce i z plecakiem zarzuconym na ramiona wydawała się niewiarygodnie młoda, bezbronna i bardzo zmęczona.

- Musimy jechać - powiedziała tak cicho, że Corso ledwie dosłyszał. - Do Paryża.

- Najpierw powiedz, co masz wspólnego z Fargasem. W ogóle z tym wszystkim.

Milcząc znowu potrząsnęła głową. Powietrze było tak wilgotne, że dym wypuszczony przez Corsa trwał nieruchomo przed jego twarzą i rozwiewał się bardzo powoli.

Łowca książek popatrzył na dziewczynę.

- Znasz Rocheforta?

- Jakiego Rocheforta?

- Czy jak tam on się nazywa. Brunet z blizną. Jeździł wczoraj wieczorem po okolicy - mówiąc to Corso coraz bardziej uświadamiał sobie idiotyzm całej sytuacji. - Nawet z nim rozmawiałem - dokończył z uśmiechem, jakby wątpił we własne wspomnienia.

Dziewczyna jeszcze raz pokręciła głową, nadal nie odrywając oczu od sadzawki.

- Nie znam go.

- To co tu robisz?

- Pilnuję pana.

Corso popatrzył na czubki swoich butów i roztarł skostniałe ręce. Ciurkanie wody zaczynało go denerwować. Uniósł dłoń do ust, żeby po raz ostatni zaciągnąć się papierosem, którego żar już palił mu wargi. Poczł gorycz.

- Jesteś głupia, dziecinko.

Cisnął niedopałek, obserwując dym rozpraszający się tuż przed jego oczami.

- Jak koza - dorzucił.

Milczała nadal. Po chwili Corso wyjął z kieszeni piersiówkę z dzinem i pociągnął tęgi łyk nie proponując dziewczynie. Potem znów na nią spojrzał.

- Gdzie jest Fargas?

Przez moment nie odpowiadała, wciąż zapatrzona w przestrzeń. Wreszcie wskazała podbródkiem:

- Tu.

Corso popatrzył w ślad za jej spojrzeniem. W sadzawce, u stóp bezrękiego aniołka o pustych oczach, widać było zarys ludzkiej postaci, unoszącej się w wodzie twarzą do dołu, pośród roślin wodnych i opadłych liści.

IX. Księgarz z rue Bonaparte

„- Przyjacielu - rzekł poważnie Atos - zapamiętaj,
że tylko umarłych nie możemy spotkać na ziemi”.

(A. Dumas, *Trzej muszkieterowie*, przekład Joanny Guze)

Lucas Corso zamówił drugi dzin, rozsiadłszy się wygodnie w wiklinowym krześle. Przyjemnie było siedzieć w słońcu na tarasie kawiarni Atlas przy ulicy de Buci. Był to jeden z tych jasnych, chłodnych poranków, kiedy na lewy brzeg Sekwany wylegają tabuny zdeorientowanych samurajów i Anglosasów w sportowym obuwiu i z biletami na metro zatkniętymi w książki Hemingwaya, pań z siatkami pełnymi bagietek i sałaty oraz wypieszczonych przez chirurgów plastycznych właścielek galerii wyskakujących z pracy do kawiarni. Przed wystawą drogiego sklepu mięsnego zatrzymała się jakaś śliczna dziewczyna, trzymająca pod ramię dojrzałego, wytwornego faceta o wyglądzie antykwariusza albo sutenera (a może był i jednym, i drugim). Można też było dostrzec lśniącego Harleya Davidsona, niezadowolonego foksteriera przywiązanego przed wejściem do sklepu z drogimi winami i młodzieńca z huzarskimi warkoczami, który przygrywał na fujarce w drzwiach butiku. Obok Corsa, przy sąsiednim stole, para dobrze ubranych Afrykańczyków całowała się niespiesznie, jakby miała całą wieczność przed sobą, a takie zagrożenia jak broń jądrowa, AIDS i powłoka ozonowa były nic nie znaczącymi w ten paryski słoneczny poranek błahostkami.

Zobaczył ją, gdy wyszła zza rogu ulicy Mazarin. Skręciła od razu w stronę kawiarni, gdzie na nią czekał. Szła w tłumie, w rozpiętej kurteczce, opromieniona blaskiem słonecznym, chłopięca, a dwa światełka migoczące w opalonej twarzy widać było z daleka. Piekielnie ładna, jak wychrypiałyby bez wątpienia Flavio La Ponte, eksponując natychmiast swój korzystny profil - ten, gdzie broda była nieco gęstsza i bardziej kędzierzawa. Ale że Corso nie był La Pontem, nie powiedział ani nie pomyślał nic. Zmierzył za to wrogim spojrzeniem kelnera, który właśnie stawiał przed nim szklankę dzinu - *pas d'Bols, m'sieu* - wręczył mu dokładnie wyliczoną na rachunku sumę - napiwek *compris*, chłopcze - i nadal

obserwował dziewczynę zbliżającą się do jego stolika. Jeśli chodzi o te rzeczy, Nikon pozostawiła mu w brzuchu drobną wyrwę wielkości pocisku. I wystarczy. Poza tym Corso nie był pewien, czy którykolwiek jego profil jest lepszy od drugiego. Czy w ogóle któryś z nich jest jaki taki. A zresztą, co go to, u diabła, obchodzi.

Zdjął okulary i jął przecierać je chusteczką. Ulica nagle zmieniała się w gąszcz niewyraźnych konturów i rozmazanych sylwetek. Jedna z nich wyróżniała się szczególnie, z każdym krokiem coraz bliższa, aczkolwiek nie zdołała przybrać ostrych zarysów. Krótkie włosy, długie nogi i białe tenisówki z wielkim trudem odzyskały wyrazistość, kiedy wreszcie usiadła obok na wolnym krześle.

- Widziałam sklep. Jest parę przecznic stąd.

Nałożył okulary i popatrzył na nią bez słowa. Z Lizbony podróżowali razem. Stary Dumas, chcąc opisać sposób, w jaki opuścili Sintrę kierując się na lotnisko, napisałby „co koń wyskoczy”. Na miejscu, dwadzieścia minut przed odlotem, Corso zatelefonował do Amílcaro Pinto, żeby zdać mu sprawę z finału bibliofilskich rozterek Victora Fargasa. Oczywiście odwołał też pierwotny plan. Co do pieniędzy, Pinto miał dostać obiecaną całą sumę na poczet strat moralnych. Mimo zaskoczenia - telefon wyrwał go z łóżka - Portugalczyk zareagował wcale przyzwoicie, ograniczając się do nie wiem w co ty grasz, Corso, ale nie widzieliśmy się wczoraj w Sintrze, wczoraj ani nigdy. Z drugiej strony obiecał wywieść się dyskretnie czegoś na temat śmierci Victora Fargasa, naturalnie dopiero kiedy sprawa oficjalnie wyjdzie na jaw. Na razie nie miał o niczym pojęcia i absolutnie nie palił się, żeby je mieć. W kwestii oględzin zwłok, niech się Corso modli, żeby wykazały samobójstwo. Na wszelki wypadek policjant zamierza rozesłać właściwym trybem wizerunek koleżki z blizną jako podejrzanego. Będą w kontakcie telefonicznym i radzi mu, żeby przez dłuższy czas nie odwiedzał Portugalii. Aha, i jeszcze jedno - dorzucił Pinto, kiedy głośniki wzywały już pasażerów odlatujących do Paryża - następnym razem, jak Corso będzie chciał wplątać kumpla w jakieś zabójstwo, niech się, kurwa mać, najpierw zastanowi. Łowca książek wrzucił już ostatniego escudo, wyraził więc zdyszane przekonanie o swojej niewinności. Jasne, zgodził się policjant. Każdy tak mówi.

Dziewczyna czekała w sali odlotów. Corso był tego dnia zdolny powiązać znacznie mniej rozproszonych wątków, niżby się mogło wydawać, więc tym bardziej był zdumiony sprawnością, z jaką bez najdrobniejszych przeszkód zapakowała ich oboje na pokład samolotu. „Dostałam właśnie spadek” - odrzekła, gdy Corso widząc, jak płaci za drugi bilet na ten sam lot, sformułował kilka szorstkich uwag na temat pieniędzy, których, jak dotąd sądził, nie miała w nadmiarze. Później, już podczas dwugodzinnego lotu na trasie Lizbona-

Paryż, odmówiła wszelkich odpowiedzi na cisnące mu się na usta pytania. „Wszystko w swoim czasie” - powtarzała spoglądając na Corsa przelotnie, jakby ukradkiem. W końcu zagłębiła się w myślach, patrząc na mijane chmury i smugę pozostawianą przez skrzydła samolotu w mroźnym powietrzu. Później zasnęła - albo tylko udawała, że śpi - z głową na jego ramieniu. Zresztą po rytmie jej oddechu Corso poznał, że wcale nie spała. Rzekomy sen miał jej pomóc uniknąć kolejnych pytań, na które nie była skłonna (a może nie czuła się do tego upoważniona) odpowiadać.

Kto inny zacząłby się ciskać, miotać, żeby wydusić cokolwiek. On jednak był wilkiem cierpliwym, dobrze wyćwiczonym, o instynkcie i odruchach łowcy. Ostatecznie dziewczyna stanowiła jedyne realne oparcie w tym fikcyjnym, niewytłumaczalnym świecie, w jakim się teraz poruszał. Poza tym sprawa zabrnęła już tak daleko, że przystał na rolę wykwalifikowanego czytelnika i głównego bohatera zarazem, gdy tymczasem ktoś po drugiej stronie tkaniny wiązał kolejne wątki i mrugał do niego, choć nie było jasne, czy z pogardą, czy porozumiewawczo.

- Ktoś tu ze mną pogrywa - odezwał się Corso dziewięć tysięcy metrów nad Zatoką Biskajską. Spojrzał z ukosa na dziewczynę, spodziewając się jakiejś reakcji albo odpowiedzi - ale na próżno. Nie słyszał jej oddechu.

Spała czy nie słyszała jego uwagi? Zniecierpliwiony tym milczeniem wysunął ramię spod jej głowy, która przez chwilę kiwała się w powietrzu. Wreszcie dziewczyna westchnęła i znów się przytuliła, tym razem do okienka.

- Jasne, że ktoś z tobą pogrywa - rzekła z sennym lekceważeniem, wciąż mając oczy zamknięte. - Każdy głupi by się domyślił.

- Co się stało z Fargasem?

Nie odpowiedziała od razu. Kątem oka dostrzegł, że mruga powiekami, wpatrując się tępo w oparcie przed sobą.

- Widziałeś - powiedziała wreszcie. - Utopił się.

- Kto to zrobił?

Poruszyła głową powoli w obie strony i wyjrzała na zewnątrz. Jej szczupła, smągła lewa ręka, o paznokciach obciętych krótko i nie pomalowanych, zsuwała się wolno po podłokietniku. Wreszcie zastygła, jakby natrafiła na jakiś niewidzialny przedmiot.

- To nieważne.

Corso skrzywił się. Już miał wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymał. Pokazał tylko siekacz.

- A dla mnie ważne. I to bardzo.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, co oznaczało: mamy różne hierarchie ważności. Być może diametralnie różne.

Corso nalegał:

- A ty jaką rolę pełnisz w tej historii?

- Już mówiłam: mam cię pilnować.

Odwróciła się i spojrzała nań ze stanowczością dorównującą obojętności, jaką wykazywała chwilę wcześniej. Znowu jeździła ręką po oparciu, jakby chciała unicestwić dzielący ich dystans. Poczul, że znalazła się za blisko, i instynktownie odsunął się w tył, zakłopotany. Wyrwa w żołądku - ślad po Nikon - zaczęła dawać o sobie znać dziwnymi, zapomnianymi, niepokojącymi sygnałami. Ból powracał delikatnym ssaniem, a w tych jasnozielonych, niemych oczach bez przeszłości Corso widział dawne upiory, które powylażyły na wierzch z zakamarków wspomnień.

- Kto ci daje zlecenia?

Rzęsy opadły na świetliste tęczęwki. Koniec, kropka, już nic tam nie było. Tylko pustka. Dziewczyna marszczyła nos z niezadowoleniem.

- Nudzisz mnie, Corso.

Odwróciła się do okienka i znowu zaczęła obserwować krajobraz. Ogromna płachta błękitu w dole, upstrzona białymi włókienkami, urywała się w oddali, zamknięta brązowo-żółtą linią. Ziemia na horyzoncie. Francja. Najbliższy przystanek - Paryż. Albo kolejny rozdział, ciąg dalszy w następnym numerze. U progu tajemnicy ktoś uniósł szpadę: powtórka z romantycznej powieści w odcinkach. Pomyślał o Dworku da Soledade, o fontannie, o sadzawce, o zwłokach Fargasa wśród roślin i opadłych liści. Zrobiło mu się tak gorąco, że aż poruszył się w fotelu. Czuł się, i to nie bez powodu, jak człowiek ścigany. W sumie co za absurd: zamiast uciekać z własnej woli, został do tego zmuszony.

Spojrzał na dziewczynę, następnie chłodnym okiem przyjrzał się sobie raz jeszcze. Może zmykał nie przed, a ku czemuś. A może uciekał przed tajemnicą, którą krył jego własny bagaż. *Wino andegaweńskie. Dziewięćoro Wrót.* Irene Adler. Stewardesa przeszła obok mówiąc coś do niego z idiotycznym, zawodowym uśmiechem. Pochłonięty myślami Corso popatrzył za nią nie widzącym wzrokiem. Chciałby wiedzieć, czy finał całej historii jest już gdzieś zapisany, czy też może on sam w biegu pisze jeden rozdział za drugim.

Tego dnia nie zamienił już z dziewczyną ani słowa. Na Orly przestał zwracać uwagę na jej obecność, chociaż wyczuwał, że idzie za nim korytarzami lotniskowej hali. Przy kontroli paszportowej postanowił obejrzeć się i sprawdzić, jakim dokumentem się posługuje, ale nie zdołał dojrzeć. Zobaczył tylko czarną okładkę bez żadnych napisów. Bez wątpienia

paszport europejski, skoro stanęła w tym samym sektorze, przeznaczonym dla obywateli Wspólnoty. Na ulicy Corso wsiadł do taksówki i jak zwykle polecił jechać do Louvre-Concorde. Dziewczyna wśliznęła się i usiadła obok. Gdy dotarli w milczeniu do hotelu, wysiadła i ruszyła przed siebie, jemu zostawiając płacenie za przejazd. Taksówkarz nie miał drobnych, przez co cała operacja potrwała nieco dłużej. Kiedy Corso wszedł wreszcie do hallu, ona zdążyła już załatwić pokój i teraz szła za boyem niosącym jej plecak. Machnęła tylko ręką na pożegnanie, gdy była już w drzwiach windy.

- Bardzo ładny sklep. Z szyldem: „Księgarnia Replinger. Autografy i dokumenty historyczne”. I jest otwarty.

Ruchem głowy podziękowała jednemu z kelnerów kawiarni przy ulicy de Buci i pochyliła się ponad stolikiem ku Corsowi. W przezroczystych sadzawkach jej oczu, jak w lustrze, odbijała się ruchliwa ulica, widoczna także w oknie kawiarni.

- Możemy tam zaraz iść.

Spotkali się znowu przy śniadaniu. Corso siedział akurat pod oknem wychodzącym na Palais-Royal i czytał gazety. Podeszła, przywitała się, usiadła i pochłonęła z apetytem grzanki i rogaliki. Wreszcie, jeszcze z resztką kawy z mlekiem nad ustami, spojrzała na Corsa:

- Od czego zaczynamy?

A teraz siedzieli tu, dwie przecznice od księgarni Achilles Replingera, którą zaofiarowała się odszukać, w czasie gdy Corso będzie pił swój pierwszy dzin tego dnia. I na pewno nie ostatni.

- Możemy tam zaraz iść - powtórzyła.

Corso zawahał się przez chwilę. W nocy śniła mu się jej ciemna skóra w mroku wieczoru. Szli za rękę przez pustkowie, na którego horyzoncie widniały słupy dymu, wulkany na chwilę przed erupcją. Chwilami mijali posępne twarze żołnierzy w zakurzonych zbrojach, spoglądających na nich w chłodnym milczeniu niby mroczni Trojanie w Hadesie. Na widnokreśgu ciemniało, słupy dymu rosły, a martwi żołnierze wyglądali jak niewzruszone widma. Corso chciał stamtąd uciec. Ciągnął dziewczynę za rękę, żeby nie została w tyle, ale powietrze gęstniało, zapadał mrok i coraz trudniej było oddychać. Ich bieg został przerwany nieskończenie długim upadkiem na ziemię, przypominającym agonię w zwolnionym tempie. Było ciemno i gorąco jak w piecu. Jedynym łącznikiem była ręka Corsa uczipiona dłoni dziewczyny we wspólnym wysiłku, żeby iść dalej. Ostatnim odczuciem, gdy już przemieniał się w popiół, był słabnący uścisk tej ręki. Przed nim, w ciemnościach sklepionych nad rozżarzonym pustkowie i nad jego świadomością, białe plamy, ulotne jak błyskawice,

układały się w upiorny zarys nagiej czaszki. Bardzo nieprzyjemne wspomnienie. Chcąc wypłukać z gardła popiół, a horror z oczu, Corso wychylił kieliszek dzinu i popatrzył na dziewczynę. Siedziała, czekając posłusznie jak zdyscyplinowana współpracownica gotowa przyjąć kolejne wskazówki. Niesamowicie spokojna, jakby jej przedziwna rola w tej opowieści była całkiem naturalna. Dostrzegł nawet w jej twarzy coś na kształt niewytłumaczalnego, krępującego oddania.

Wstał i przewiesił torbę brezentową przez ramię. Ona powtarzała jego gesty. Bez pośpiechu ruszyli ku Sekwanie. Dziewczyna szła od strony domów i co jakiś czas zatrzymywała się przed jakąś wystawą pokazując mu obraz, sztych czy książkę. Na wszystko spoglądała szeroko otwartymi oczami, z najwyższą ciekawością i z lekko nostalgicznym uśmiechem na ustach. Wydawało się, że szuka własnych śladów w starych przedmiotach, jak gdyby w jakimś zakamarku pamięci jej przeszłość krzyżowała się z przeszłością tych skąpych resztek, wyrzuconych tu przez dryfujące wody nieubłaganej Historii.

Po obu stronach ulicy znajdowały się naprzeciwko siebie dwie księgarnie. Ta należąca do Achille Replingera była bardzo stara, z fasadą z lakierowanego drewna. Nad elegancką wystawą widniał szyld: *Livres anciens, autographes et documents historiques*. Corso poprosił dziewczynę, żeby zaczekała na zewnątrz, na co przystała bez sprzeciwu. Kiedy podchodził do drzwi, spojrzął na jej odbicie w szybie wystawy. Stała po drugiej stronie ulicy i patrzyła w ślad za nim.

Dźwięk dzwonka sygnalizował otwarcie drzwi. Wewnątrz znajdował się dębowy stół, regały pełne starych książek, stojaki z tekami rycin i z tuzin starych, drewnianych kartotek. Na każdej widniały kolejne litery alfabetu, starannie wykaligrafowane na mosiężnych tabliczkach. Na ścianie w ramie wisiał oprawiony w ramkę manuskrypt z podpisem: „Fragment *Tartuffe'a* Moliera”. Corso dostrzegł też trzy niezłe portrety: Dumas między Victorem Hugo a Flaubertem.

Za stołem stał Achille Replinger. Był typem Portosa: korpulentny, o czerwonej cerze i gęstych, siwych wąsach. Nad kołnierzem koszuli i węzłem włóczkowego krawata zwisał gruby podbródek. Księgarz miał na sobie drogie ubranie, za to w nieładzie: angielską marynarkę opiętą na przepastnym brzuchu i flanelowe, pogniecione, lekko obwisłe spodnie.

- Corso... Lucas Corso - trzymał wizytówkę Borisa Balkana w masywnych palcach i pocierał czoło. - Tak, pamiętam, że pan dzwonił parę dni temu. Chodziło o Dumasa.

Corso położył torbę na stole i wyjął z niej teczkę z piętnastoma kartkami rękopisu *Wina andegaweńskiego*. Księgarz rozłożył rękopis przed sobą i uniósł brew.

- Ciekawe - rzekł cicho. - Bardzo ciekawe.

Mówiąc posapywał nieregularnie, jak astmatyk. Z górnej kieszeni marynarki wyciągnął okulary dwuogniskowe i nałożył je na nos, zerknąwszy wprzód na przybysza. Przez chwilę schylał się nad kartkami. Kiedy się wyprostował, na jego twarzy jaśniał pełen zachwyty uśmiech.

- Nadzwyczajne - ocenił. - Kupuję natychmiast.

- Nie jest na sprzedaż.

Księgarz był najwyraźniej zaskoczony. Wygiął usta niemal w podkówkę.

- Sądziłem...

- Chodzi tylko o ekspertyzę. Oczywiście pełnopłatną.

Achille Replinger pokręcił głową: pieniądze nie były najważniejsze. Z widocznym zakłopotaniem i podejrzliwością popatrywał na gościa znad oprawki okularów.

W końcu pochylił się jeszcze raz nad rękopisem.

- Szkoda - rzekł i ponownie obrzucił Corsa badawczym spojrzeniem. Pewnie zapytywał sam siebie w duchu, jakim cudem coś takiego trafiło do tego faceta. - Skąd pan to ma?

- Spadek. Po zmarłej ciotce. Widział pan to już kiedyś?

Gospodarz, wciąż nieufny, popatrzył na okno wystawowe za Corsem, jak gdyby ktoś przechodzący akurat ulicą mógł mu wyjaśnić przyczynę tej dziwnej wizyty. A może tylko zastanawiał się nad odpowiedzią. Wreszcie dotknął swoich wąsów, jakby chciał sobie poprawić przylepioną atrapę, i uśmiechnął się wymijająco.

- Tu, w *Quartier*, nigdy nie wiadomo, czy coś się już widziało, czy też nie... To dzielnica od lat dogodna do sprzedaży książek i rycin. Ludzie sprzedają tu i kupują, wszystko trafia po parę razy do tych samych rąk - przerwał, nabrał powietrza trzema krótkimi haustami i spojrzął na Corsa niespokojnie. - Chyba nie... - dokończył. - To znaczy: nie widziałem wcześniej tego oryginału - znów zerknął na ulicę. Twarz nabrzmiała mu krwią. - Takich rzeczy się nie zapomina.

- Mam z tego rozumieć, że to autentyk? - dopytywał się Corso.

- No cóż... Owszem - księgarz posapywał, głaszcząc palcami błękitne kartki, jakby z trudem powstrzymywał się przed ich dotykaniem. Po chwili ujął jedną z nich w dwa palce. - Pismo półokrągłe, średniej grubości, bez interlinii czy skreśleń. Mało znaków przestankowych, tu i ówdzie ni stąd, ni zowąd duże litery... Niewątpliwie jest to Dumas w kwiecie wieku, około połowy życia, w czasie, gdy pisał *Muskieterów*... - coraz bardziej się ożywia i naraz zamilkł podnosząc palec. Corso dojrzał dyskretny uśmiech pod wąsem. Księgarz chyba powziął jakąś decyzję. - Niech pan poczeka momencik.

Podszedł do kartoteki z literą *D* i wyciągnął kilka bladożółtych teczek tekturowych.

- To wszystko pisał Aleksander Dumas ojciec. Pismo jest identyczne.

W środku było kilkanaście dokumentów, niektóre podpisane imieniem i nazwiskiem, inne tylko inicjałami A.D albo w ogóle bez podpisu. W większości - notki dla wydawców, listy do przyjaciół, zaproszenia.

- To jeden z jego amerykańskich autografów... - wyjaśnił Achille Replinger. - Na prośbę Lincolna Dumas wysłał mu nie jeden, lecz sto autografów oraz dziesięć dolarów. Autografy sprzedano w Pittsburgu na aukcji charytatywnej - pokazywał Corsowi kolejne dokumenty z wyraźną, choć powściąganą dumą. - Proszę spojrzeć na to: zaproszenie na kolację do jego domu Monte-Christo, który kazał sobie wybudować w Port-Marly. Czasem używał inicjałów, a czasem wręcz pseudonimów... Z tym że nie wszystkie autografy, jakie są w obiegu, to autentyki. W jego gazecie „Muszkietier” pracował niejaki Vieillot, który potrafił podrabiać jego pismo z wszystkimi znakami szczególnymi. Poza tym przez ostatnie trzy lata życia Dumasowi trzęsły się dłonie. Musiał dyktować swoje teksty.

- Dlaczego używał niebieskiego papieru?

- Dostawał go z Lille od wielbiciela-drukarza, który produkował go specjalnie dla niego. Prawie zawsze w tym kolorze, do pisania powieści. Czasami różowy, do artykułów prasowych, i żółty do wierszy... W zależności od rodzaju literackiego pisał różnymi piórami. I nie cierpiał niebieskiego atramentu.

Corso wskazał cztery białe kartki, ze skreśleniami i dopiskami.

- A te?

Replinger zmarszczył brwi.

- Maquet. Jego współpracownik Auguste Maquet. To są poprawki naniesione przez Dumasa na tekst pierwotny - przesunął palcem po wąsach, po czym pochylił się i zaczął czytać z namaszczaniem: „Straszne, straszne - szeptał Atos, gdy Portos tłukł butelki, a Aramis wydawał spóźnione nieco rozkazy, by sprowadzić spowiednika”...[A Dumas, *Trzej muszkietierowie*, przekład Joanny Guze] - Księgarz westchnął, zawiesiwszy głos, po czym zadowolony z efektu skinął głową i pokazał Corsowi: - Proszę spojrzeć. Maquet ograniczył się do słów: „I wyzionął ducha w przytomności osłupiałych przyjaciół d’Artagnana”. Dumas przekreślił to zdanie i wpisał na górze kilka innych, chcąc wzbogacić ten fragment dialogami.

- Co może mi pan opowiedzieć o Maquecie?

Tamten, niezdecydowany, wzruszył szerokimi ramionami.

- Niewiele - padła wymijająca odpowiedź. - Miał dziesięć lat mniej niż Dumas. Temu ostatniemu polecił go wspólny przyjaciel Gérard de Nerval. Maquet pisywał bez sukcesu

powieści historyczne. Pokazał Dumasowi rękopis jednej z nich: *Pocziwy de Buvat, czyli Spisek w Cellamare*. Dumas przekształcił ją w *Kawalera d'Harmental* i dał do druku pod własnym nazwiskiem. Maquet dostał w zamian 1200 franków.

- Czy na podstawie charakteru pisma jest pan w stanie określić, kiedy powstał rozdział *Wino andegaweńskie*?

- Tak, oczywiście. Uderza zgodność z innymi autografami z 1844 roku, a więc czasu powstania *Trzech muszkieterów*. Białe i niebieskie kartki na swój sposób obrazują styl pracy. Dumas i jego współnik pracowali na akord. Z *D'Artagnana* pióra Courtilza wzięli imiona bohaterów, podróż do Paryża, intrygę z Milady i postać żony kramarza, którą Dumas obdarzył charakterem swojej kochanki Belle Krebsamer i nazwiskiem pani Bonacieux... Z *Pamiętników La Porte'a*, zausznika Anny Austriaczki, pochodzi epizod z porwaniem Konstancji. Natomiast pismom La Rochefoucauld i księżce Roederera *Intrygi polityczne i galanci na dworze francuskim* zawdzięczają historię brylantowych spinek. W tym czasie pisali nie tylko *Muszkieterów*, ale także *Królową Margot* i *Kawalera de la Maison-Rouge*.

Znów przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. Mówiąc, wyraźnie się rozpałał, a krew znów napłynęła mu do twarzy. Ostatnie słowa wygłosił w pośpiechu, połykając końcówki. Bał się zanudzić swojego rozmówcę, a jednocześnie pragnął dostarczyć mu wszelkich możliwych informacji.

- Na temat *Kawalera de la Maison-Rouge* - ciągnął, gdy nieco odetchnął - znam zabawną anegdotę. Gdy w prasie zapowiedziano druk w odcinkach pod pierwotnym tytułem *Kawaler de Rougeville*, do Dumasa napisał z protestami jakiś markiz o takim samym nazwisku. Dlatego pisarz zmienił tytuł, niebawem jednak dostał kolejny list: „Drogi panie - pisał arystokrata - może pan zatytułować swą powieść, jak panu się żywnie podoba. Jestem ostatni z rodu i w przeciągu godziny wypalę sobie w łeb”. I rzeczywiście markiz de Rougeville popełnił samobójstwo z powodu kobiety.

Znów łapał ustami powietrze. Uśmiechał się przy tym całą wspaniałą, rumianą twarzą, jakby chciał za coś przeprosić. Oparty jedną ze swych silnych dłoni o stół, według Corsa wyglądał na wyczerpanego kolosa. Jak Portos w grocie Locmaria.

- Boris Balkan nie zarekomendował mi pana dostatecznie. Jest pan absolutnym ekspertem, jeśli chodzi o Dumasa. Nie dziwię się teraz, że się panowie przyjaźnią.

- Raczej darzymy wzajemnym szacunkiem. Zresztą ja po prostu wykonuję moją pracę - Replinger, lekko skrzepowany, schylił głowę. - Jestem sumiennym Alzacyjnykiem, przedmiotem mojego fachu są dokumenty, dopiski w książkach i ręczne dedykacje dziewiętnastowiecznych autorów francuskich... Nie potrafiłbym ocenić tego, co trafia w moje

ręce, gdybym nie wiedział, kto to napisał i w jakich okolicznościach. Nie wiem, czy wyrażam się jasno.

- Aż nazbyt - odparł Corso. - Na tym polega różnica między zawodowcem a zwykłym łajzą.

Replinger spojrział na niego z wdzięcznością.

- Pan też pracuje w tym zawodzie. To się czuje.

- Tak - skrzywił się Corso. - W najstarszym zawodzie świata.

Śmiech, jakim wybuchnął księgarz, wkrótce przeistoczył się w kolejny atak astmy.

Corso skorzystał z tej pauzy, by znów skierować tok rozmowy na Maqueta:

- Proszę mi opowiedzieć, jak pracowali - powiedział.

- Techniką dość skomplikowaną - Replinger ruchami rąk wskazał stół i krzesła, jakby cała rzecz miała miejsce w jego księgarni. - Dumas szkicował plan każdego dzieła i omawiał go ze swoim współpracownikiem, do którego należało zdokumentowanie historii i sporządzenie jej pierwszego zarysu na białych kartkach. Następnie Dumas siadał nad kartkami niebieskimi i pisał na nowo... Pracował w samej koszuli, rano albo w nocy, prawie nigdy po południu. Nie pił kawy ani alkoholu, tylko wodę selcerską. Właściwie też nie palił. Zapełniał strony ponaglany przez wydawców żądających wciąż więcej i więcej. Brudnopis posyłał Maquet pocztą, Dumasa zaś wyprowadzały z równowagi wszelkie opóźnienia - wyciągnął z teczki jakąś karteczkę i pokazał Corsowi. - Tu ma pan przykład: oto liścik z czasów, gdy opracowywali *Królową Margot*. Jak można zauważyć, Dumas widzi powody do narzekań: „Wszystko idzie doskonale, wyjąwszy jakieś sześć, siedem stron na tematy polityczne, które będziemy musieli później gdzieś wtłoczyć dla pobudzenia ciekawości... Posuwamy się wolniej, niż moglibyśmy, a jest to, drogi przyjacielu, wyłącznie pańska wina. Od wczoraj, od dziewiętej rano, siedzę z założonymi rękoma” - przerwał dla zaczerpnięcia tchu i wskazał *Wino andegaweńskie*. - Niewątpliwie te cztery kartki, zapisane przez Maqueta i z dopiskami Dumasa, zostały dostarczone pisarzowi bardzo późno, tuż przed zakończeniem składu przez „Le Siècle”. Dumas musiał więc zadowolić się pospieszными poprawkami naniesionymi własną ręką na te kartki dołączone do reszty.

Powkładał swoje dokumenty do teczek i umieścił z powrotem w katalogu pod literą *D*. Corso zdążył jeszcze rzucić okiem na notatkę, w której Dumas domagał się kolejnych stron od swojego współpracownika. Nie tylko pismo zgadzało się co do joty, także papier był identyczny z tym, którego użyto do *Wina andegaweńskiego* - niebieski w delikatną kratkę. Format folio przecięty na pół. Dolna krawędź była chyba bardziej nierówna niż pozostałe

trzy. Kto wie, może wszystkie te kartki pochodziły z tej samej ryzy i kiedyś leżały razem na stole pisarza?

- Kto naprawdę napisał *Trzech muszkieterów*?

Replinger przez chwilę mocował się z kartoteką. Wreszcie odpowiedział:

- Nie umiem panu wyjaśnić. To zbyt kategorycznie postawione pytanie. Maquet był błyskotliwy, znał historię, dużo czytał... Tylko że pozbawiony był geniuszu.

- To się musiało zakończyć burzliwie.

- Oj, tak. Szkoda. Wie pan, że odbyli wspólną podróż do Hiszpanii podczas zaślubin Izabeli II? Dumas opublikował nawet powieść odcinkową *Z Madrytu do Kadyksu* w formie listów... Co się tyczy Maqueta, z czasem zaczął dopominać się po sądach uznania go za autora osiemnastu powieści Dumasa. Sędziowie orzekli jednak, że jego praca miała charakter przygotowawczy. Dzisiaj uważany jest za przeciętnego pisarza, który dzięki cudzej sławie zarabiał pieniądze. Z drugiej strony niektórzy widzą w nim ofiarę wyzysku, „murzyna” pracującego na giganta...

- A pan?

Replinger zerknął ukradkiem na portret Dumasa wiszący nad drzwiami.

- Wspominałem panu, że nie jestem ekspertem jak mój przyjaciel pan Balkan... Przed panem stoi handlarz, księgarz - zastanawiał się przez chwilę, jakby chciał wyważyć kompromis między swoją profesją a gustami literackimi. - Ale zwrócę panu uwagę na jedną rzecz. Między rokiem 1870 a 1894 sprzedano we Francji trzy miliony tomów i osiem milionów broszur noszących na okładkach nazwisko Aleksandra Dumasa. Mówimy o powieściach napisanych przed Maquetem, z Maquetem i po Maquecie. Zdaje się, że to nie jest bez znaczenia.

- Świadczy co najmniej o sławie za życia.

- Bez dyskusji. Przez pół wieku był wielbiony w całej Europie. Z obydwu Ameryk płynęły statki tylko po kolejne transporty jego powieści. Był czytany zarówno w Kairze, jak w Moskwie, Stambule i Czandranagarze. Dumas doświadczał życia, przyjemności i popularności jak nikt. Korzystał z wszelkich rozkoszy, był na barykadach, bił się w pojedynkach, miał procesy, czarterował statki, fundował stypendia z własnej kieszeni, kochał, jadł, tańczył, zarobił dziesięć milionów i przepuścił dwadzieścia, wreszcie umarł jak słodko śpiące dziecko... - Replinger znowu wskazał na białe kartki Maqueta. - To wszystko można określić słowami: talent, geniusz... Ale jakkolwiek by było, tego się nie pisze naprędce ani nie kradnie od innych - uderzył się w pierś jak Portos. - To trzeba mieć tu. Żaden inny pisarz nie

okrył się taką chwałą za życia. Dumas dostał wszystko jakby znikąd. Jak gdyby podpisał pakt z Bogiem.

- Tak - rzekł Corso. - Albo z diabłem.

Przeszedł przez ulicę i znalazł się przed drugą księgarnią. Przy wejściu, pod daszkiem, stopy książek piętrzyły się na blatach wspartych na kobyłkach. Dziewczyna nadal przebierała tu wśród starych książek, rycin i pocztówek. Pod światło widać było, jak złocą się jej włosy na skroniach i karku. Kiedy podszedł, nawet na niego nie spojrzała.

- Którą byś wybrał? - zapytała. Wahala się między pocztówką w sepii, przedstawiającą uścisk Tristana i Izoldy, a kartką z reprodukcją *Kolekcjonera grafiki* Daumiera. Trzymała je przed sobą patrząc to na jedną, to na drugą.

- Weź obie - podsunął Corso, widząc kątem oka, że jakiś klient zatrzymał się właśnie przed stojakiem i wyciąga rękę w kierunku grubego pliku pocztówek opasanych gumką. Wiedziony instynktem myśliwskim wystrzelił dłonią w tę samą stronę i wyrwał pakiecik tamtemu niemal spomiędzy palców. Słyszcząc pomruki oddalającego się nieznajomego, zaczął przeglądać swój łup. Znalazł tam parę grafik o tematyce napoleońskiej. Cesarzowa Maria Ludwika, rodzina Bonaparte, śmierć Cesarza, wreszcie ostatnie zwycięstwo: polski lansjer i dwóch huzarów na koniach przed katedrą w Reims potrząsają sztandarami zdobytymi na przeciwniku podczas kampanii francuskiej z 1814 roku. Po chwili wahania dołączył do nich jeszcze portrety marszałka Ney'a i wiekowego Wellingtona pozującego dla potomnych. Stary obleśny farciarz.

Dziewczyna też wyszukała jeszcze parę pocztówek. Jej długie opalone ręce sprawnie przebierały wśród kartonów i poniszczonych kart: wyciągnęła wizerunki Robespierre'a i Saint-Justa, a także przepiękną podobiznę Richelieu w stroju kardynalskim i z Orderem Świętego Ducha zawieszonym na szyi.

- Bardzo na czasie - rzekł kwaśno Corso.

Nie odpowiadając ruszyła ku stercie książek. Refleksy słońca na jej ramionach rozpyliły wokół Cors'a złocistą mgiełkę. Oślepiiony zamknął oczy. Kiedy je otworzył, dziewczyna pokazywała mu gruby tom *in quarto*, jaki odłożyła na bok.

- Co o tym powiesz?

Rzucił okiem: *Trzej muszkietierowie* z oryginalnymi ilustracjami Leloir'a, oprawa płóciennie-skórzana, stan dobry. Podniósłszy wzrok na dziewczynę, zobaczył, że oczekuje odpowiedzi z leciutkim uśmieszkiem.

- Ładne wydanie - powiedział tylko. - Masz zamiar to przeczytać?

- Jasne. Postaraj się nie zdradzić mi, jak się kończy.

Corso zaśmiał się wbrew sobie, pod nosem.

- Właśnie marzę o tym - rzekł porządkując plik kartek pocztowych - żeby móc ci zdradzić, jak się skończy.

- Mam dla ciebie prezencik - powiedziała dziewczyna.

Spacerowali lewym brzegiem Sekwany wzdłuż straganów bukinistów, mijając sztychy wiszące w przezroczystych foliach i celofanach i książki ustawione na nadrzecznej balustradzie. W górę rzeki płynął powoli *bateau-mouche* bliski zatonięcia pod ciężarem jakichś pięciu tysięcy Japończyków (według szacunków Corsa) i tyłuż kamer Sony. Po drugiej stronie ulicy, za szybami ekskluzywnych wystaw, widać było, jak zażywni antykwariusze skrycie lustrują horyzont, w nadziei że pojawi się tam jakiś Kuwejczyk, rosyjski przemytnik albo minister z Gwinei Równikowej, któremu można by wcisnąć bidet - zdobiona porcelana z Sevres - należący niegdyś do Eugonii Grandet. Naturalnie wymawiając przy tym starannie, jak przed wojną, wszystkie o.

- Nie lubię prezentów - mruknął Corso posępnie. - Już kiedyś byli tacy, Co przyjęli w podarunku drewnianego konia. Na etykietce stało napisane: rzemiosło achajskie. Wyjątkowi debile.

- Nikt się nie sprzeciwił?

- Owszem, jeden, razem z dziećmi. Ale zaraz z morza wylazły jakieś paskudztwa i utworzyły z ową rodziną zgrabną grupę rzeźbionych postaci. O ile pamiętam, w stylu hellenistycznym. Szkoła rodyjska. W tamtych czasach bogowie byli szalenie stronniczy.

- Zawsze tacy byli - dziewczyna wpatrywała się w mętne wody Sekwany, jakby szukała tam wspomnień. Corso dostrzegł na jej twarzy nieobecny, zamyślony uśmiech.

- Nigdy nie spotkałam bezstronnego boga. Ani diabła - zniecka zwróciła się ku niemu. Jej przed chwilą wypowiedziane refleksje spłynęły rzeką. - Wierzysz w diabła, Corso?

Popatrzył na nią z uwagą, ale fale rzeki zabrały ze sobą także ogniki, które dopiero co igrały w jej oczach. Teraz widział w nich tylko płynną zieleń i światłość.

- Wierzę w głupotę i ignorancję - uśmiechnął się do dziewczyny ze znużeniem. - I wierzę, że cios nożem najlepiej zadać o, tu, widzisz? - pokazał własną pachwinę. - W tętnicę udową. Podczas serdecznego uścisku.

- Czego ty się boisz, Corso? że cię obejmę? Że niebo padnie ci do nóg?

- Boję się drewnianych koni, kiepskiego dżinu i ładnych dziewcząt. Zwłaszcza jeśli przynoszą prezenty posługują się nazwiskiem kobiety, która pokonała Sherlocka Holmesa.

Spacerując znaleźli się właśnie na deskach Pont-des-Arts. Dziewczyna stanęła i oparła się o metalową balustradę obok jakiegoś malarza, wystawiającego na sprzedaż maleńkie akwarele.

- Lubię ten most - odezwała się. - Bez samochodów. Tylko zakochane pary, starszki w kapeluszach i próżniacy. Most absolutnie niepraktyczny.

Corso w milczeniu obserwował szkuty przepływające z opuszczonymi masztami pod żelazną konstrukcją. Kiedyś po tym moście stąpały stopy jego i Nikon. Pamiętał, że też zatrzymała się przy sprzedawcy akwarel - może przy tym samym? - i marszczyła nos, bo przy oślepiającym słońcu padającym z ukosa na sygnaturkę i wieże Nôtre-Dame trudno jej było pracować ze światłomierzem. Właśnie kupili *foie-gras* i butelkę burgunda, które później, w łóżku hotelowym, stanowiły ich kolację przed ekranem telewizora, gdzie właśnie odbywała się jedna z tych debat z liczną publicznością i dużym słowotokiem, tak uwielbianych przez Francuzów. Na moście Nikon zrobiła mu ukradkiem zdjęcie. Przyznała się do tego żując bułkę z *foie-gras* ustami mokrymi od burgunda i głaszcząc mu plecy gołą stopą. Wiem, Lucasiu Corso, że tego nie lubisz, że cię to irytuje, ale z profilu, spoglądając z mostu na przepływające dołem szkuty, wreszcie wyszedłeś mi prawie ładny, stary skurwielu. Nikon była Aszkenazyjką o wielkich oczach. Jej ojca, trebliński numer 77 843, uratował gong tuż przed końcem ostatniej rundy. Kiedy Nikon widziała w telewizji wojska izraelskie wjeżdżające gdzieś na ogromnych czołgach, wyskakiwała nago z łóżka i całowała ekran ze łzami w oczach, szepcząc „Szalom, szalom” tym samym pieszczotliwym tonem, którym wymawiała jego imię. Do dnia, kiedy przestała je wymawiać. Nikon. Nigdy nie udało mu się zobaczyć tego zdjęcia, na którym stoi na Pont-des-Arts i patrzy, jak dołem przepływają szkuty. Z profilu, wreszcie prawie ładny, stary skurwiel.

Kiedy podniósł oczy, Nikon już znikła. Obok stała inna dziewczyna. Wysoka, o smagłej cerze, krótkiej chłopięcej fryzurze i niemal przezroczystych oczach koloru świeżo umytych winogron. Zamrugał czekając, aż wszystko wróci na swoje miejsce. Terazniejszość wytyczyła linię cienką jak ostrze lancetu i Corso z profilu, czarno-biały (Nikon zawsze pracowała w czarno-bieli), spadł kołysząc się do rzeki, która uniosła go do morza razem z zeschniętymi liśćmi i gównami wyrzucanymi ze skut i ścieków. Teraz dziewczyna, która wcale nie była Nikon, trzymała w ręku książeczkę oprawną w skórę. I dawała mu ją.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Diabeł zakochany Jacques'a Cazotte'a, wydanie z 1878 roku. Otworzywszy książkę Corso z miejsca rozpoznał faksymile rycin z pierwszego wydania: Alwar w kręgu magicznym

przed diabłem, który pyta *Che vuoi?*, Biondetta rozczesująca palcami swoje wspaniałe włosy, śliczny paż u klawiatury klawesynu... Zajrzał na chybił trafił do środka:

„...Człowiek powstał z połączenia grudki ziemi i wody. Dlaczego więc kobieta nie mogła powstać z rosy, oparów ziemskich i promieni światła, ze zgęszczonych cząstek tęczy? Gdzie jest możliwość? Gdzie niemożliwość?” [J. Cazotte, *Diabeł zakochany*, przekład Juliana Tuwima.]

Zamknął książkę i podniósł wzrok, napotyając jej roześmiane oczy. W dole światło migotało w kilwaterze ciągnącym się za jakimś stateczkiem i refleksy tych błysków zalśniły na jej skórze niczym diamenty.

- „Cząstki tęczy”? - powtórzył na głos Corso. - Co ty o tym możesz wiedzieć?

Dziewczyna przesunęła dłonią po włosach i zwróciła twarz ku słońcu, przymykając oślepienie blaskiem oczy. Odblask rzeki, jasność poranka i zielone szparki pod ciemnymi rzęsami czyniły z niej teraz alegorię światła.

- Wiem to, co opowiedziano mi wiele lat temu... Tęcza jest mostem prowadzącym z ziemi do nieba. Rozpadnie się na kawałki, gdy będzie się zbliżać koniec świata i diabeł przejedzie nią konno.

- Nieźle. Babcia ci opowiedziała?

Potrząsnęła przecząco głową. Znow patrzyła na Corsę, pogrążona w niewesołych myślach.

- Usłyszałam to od przyjaciela imieniem Belet - wypowiedziawszy to imię zamilkła i zmarszczyła czoło jak mała dziewczynka obarczona wielką tajemnicą. - Lubi konie i wino i jest największym optymistą, jakiego znam... Ciągle ma nadzieję, że wróci do nieba!

Przeszli przez most. Corso miał idiotyczne wrażenie, że jest śledzony przez gargulce z Nôtre-Dame. Jak wiele innych rzeczy, oczywiście były fałszywe. Próżno szukałbyś ich diabelskich uśmiezków, rogów i koźlich bródek mędrców w czasach, gdy wspaniali, spoceni budowniczości, pociągając okowitę, z zadowoleniem spoglądali na wzniesione właśnie wieże. Nie było ich tu nawet w czasach, kiedy Quasimodo przeżywał w dzwonnicy swą nieszczęśliwą miłość do Cyganki Esmeraldy. Dopiero Charles Laughton, złączony z nimi w celuloidowej brzydocie, czy Gina Lollobrigida (druga wersja w technikolorze, nie omieszkaby dodać Nikon), wieszana w ich cieniu, spowodowali, że trudno dziś wyobrazić sobie legendy katedry bez udziału jej neośredniowiecznych pokracznych strażników. Corso spróbował wyobrazić sobie widok z lotu ptaka: Pont-Neuf, a dalej, przeciągnięta w poprzek szarozielonej wstęgi rzeki, szeroka ciemna krecha Pont-des-Arts z dwiema drobniutkimi

postaciami zmierzającymi niezauważalnie w stronę prawego brzegu. Mosty i tęcze, czarne barki Caronte'a powoli przepływające pod kamiennymi przęsłami... Świat pełen jest brzegów i rzek, które płyną między nimi, mężczyzn i kobiet przekraczających bezwiednie mosty i brody, nie patrząc za siebie ani pod stopy, nie mając drobnych dla przewoźnika.

Przed fasadą Luwru musieli poczekać na chodniku, aż zmienią się światła. Corso poprawiał pasek od torby, patrząc machinalnie to w lewo, to w prawo na zatłoczoną pojazdami ulicę. Niechcący spojrzął na jeden z przejeżdżających właśnie samochodów - i skamieniał jak maskaron na katedrze.

- Co się dzieje? - zapytała dziewczyna, gdy zapaliło się zielone, a Corso nadal stał jak wryty. - Upiora zobaczyłeś czy co?

Zobaczył. I to nie jednego, lecz dwa. Siedzieli na tylnym siedzeniu oddalającej się taksówki, zajęci ożywioną rozmową, więc go nie zauważyli. Kobieta była bardzo atrakcyjną blondynką. Rozpoznał ją natychmiast mimo kapelusza z woalką zasłaniającą oczy: Liana Taillefer. Obok, obejmując ją z tyłu ramieniem, a palcem drugiej dłoni głaszcząc się po rudej brodzie, siedział Flavio La Ponte.

X. Numer Trzy

Podjezwano, że jest człowiekiem bez serca”

(R. Sabatini, *Scaramouche*, przekład Ewy Przysuskiej

Corso należał do rzadkiego rodzaju ludzi umiejących błyskawicznie znaleźć odpowiedniego sojusznika - czasem za pomocą napiwku, czasem zwykłego uśmiechu, jak już widzieliśmy, miał w sobie coś: jakąś wyrachowaną niezdarność, króliczy uśmieszek, zarazem wyzywający i sympatyczny, i jakże zwodniczy wygląd człowieka roztargnionego i niezdarnego - a więc cechy, które z miejsca zjednywały mu rozmówców. Tak było z niektórymi z nas, gdy go poznaliśmy. I z portierem w hotelu Louvre-Concorde, niejakim Gruberem, z którym Corso prowadził interesy od piętnastu lat. Gruber był oschły i opanowany miał wygolony kark, a w kącikach ust nieodmiennie czaił mu się uśmieszek pokerzysty. Podczas wielkiego odwrotu w 1944 roku rosyjska kula ugodziła go w kręgosłup, czemu ów chorwacki ochotnik z osiemnastej Panzer-grenadierdivision Horst Wessel zawdzięczał Żelazny Krzyż drugiej klasy i trzy kręgi usztywnione na resztę życia. Z tej też przyczyny poruszał się za kontuarem recepcji na kształt wyprężonego drağa, jakby zakuty w stalowy gorset.

- Potrzebuję drobnej pomocy, panie Grüber.

- Rozkaz.

Mógłby przysiąc, że gdy portier wyprężył się na baczność, dosłyszał stuknięcie obcasami. Nieskazitelna marynarka bordo z wyhaftowanymi złotymi kluczami na wyłogach potęgowała militarny wygląd starego kombatanta. Wprawiało to w zachwyt gości z dawnej republiki wschodnioeuropejskiej, którzy po upadku komunizmu i odejściu hord słowiańskich przyjeżdżali do Paryża, zerkali spode łba na Pola Elizejskie i śnili o Czwartej Rzeszy.

- La Ponte, Flavio. Narodowość hiszpańska. Poza tym Herrero, Liana, aczkolwiek może posługiwać się nazwiskiem Taillefer albo de Taillefer. Chciałbym wiedzieć, czy zatrzymali się w którymś z tutejszych hoteli.

Zapisał nazwiska na karteczce i wręczając ją Grüberowi dołączył pięćset franków. Corso zawsze dawał napiwki albo przekupywał ludzi ze wzruszeniem ramion oznaczającym „dziś ja tobie, jutro ty mnie”. Dzięki temu operacja nabierała cech przyjacielskiego porozumienia czy wręcz spisku, w którym nie sposób było rozpoznać, kto komu wyświadcza przysługę. Na co dzień, przyjmując nędzne dziesięć franków od Hiszpanów z Eurocolor Iberia, Włochów w obrzydliwych krawatach i Amerykanów z piterkami TWA i w czapkach baseballowych, Grüber mamrotał uprzejme „*merci m'sieu*”. Teraz ten sam Grüber, nawet nie mrugnawszy i nie podziękowawszy, wsunął do kieszeni banknot eleganckim, półokrągłym ruchem ręki, z ociążałością obojętnego krupiera zarezerwowaną dla znawców reguł gry. Zaliczał się do nich i Corso. Grüber nauczył się, że trzeba zwracać uwagę na najmniejszy ruch brwi klienta - a przy tym czuł, że dla niego świat hoteli klasy międzynarodowych w pocziwej Europie ogranicza się do zaledwie kilku wtajemniczonych osób.

- Ci państwo są razem?

- Nie wiem - na usta Corsa zabłąkał się uśmieszek. Wyobraził sobie La Pontego, jak w haftowanym płaszczu kąpielowym wyłazi z łazienki do pokoju, gdzie na fotelu, w jedwabnej koszuli nocnej, siedzi wdowa Taillefer. - Ale ten szczegół też mnie interesuje.

Grüber pochylił się zaledwie kilka milimetrów.

- To może potrwać parę godzin, panie Corso.

- Wiem - łowca książek rzucił okiem w stronę korytarza prowadzącego z hallu do restauracji. Dziewczyna stała tam przed wystawą z perfumami i jedwabnymi chustkami, pelerynę miała pod pachą, a ręce trzymała w kieszeniach dżinsów. - A jeśli chodzi o nią...?

Portier sięgnął pod kontuar i wyciągnął karteczkę.

- Irene Adler - czytał. - Paszport brytyjski wystawiony dwa miesiące temu. Dziewiętnaście lat. Zamieszkała przy Baker Street w Londynie pod numerem 221b.

- Grüber, niech pan ze mnie nie kpi.

- Jakże bym śmiał, panie Corso? Tak ma w paszporcie.

Corso dostrzegł na twarzy starego *Waffen SS* jakiś zarys uśmiechu, ledwie widoczną aluzję. Tylko raz widział Grübera śmiejącego się naprawdę: w dniu upadku muru berlińskiego. Popatrzył na jego mlecznosiwe włosy przycięte równo i króciutko, na sztywny kark i na ręce oparte symetrycznie przegubami o kant kontuaru. Dawna Europa - względnie to, co z niej pozostało... Był już za stary na ryzyko powrotu do domu tylko po to, by stwierdzić, że nic nie przypomina tego, co było, że nie ma dzwonnicy w Zagrzebiu, nie ma gościnnych jasnowłosych wieśniaczek, pachnących świeżym chlebem, nie ma zielonych równin, rzek i mostów, które dwukrotnie za jego pamięci wylatywały w powietrze: za jego

młodych lat, kiedy wycofywali się przed partyzantką Tity, i w telewizji jesienią 1991 roku, przed nosem serbskich czetników. Oczami wyobraźni Corso widział go, jak w domu zdejmuje marynarkę bordo ze złotymi kluciami na wyłogach, jakby to była bluza munduru austrowęgierskiego, stojąc przed nadgryzionym przez mole portretem cesarza Franciszka Józefa. Z pewnością puszczał sobie z gramofonu *Marsz Radetzky'ego*, wznosił toasty czarnogórskim wytrawnym Vranacem i onanizował się oglądając na wideo filmy z Sissi.

Dziewczyna już nie wpatrywała się w witrynę, tylko w Corsa. Baker Street 221b - powtórzył w duchu Corso i z trudem opanował śmiech. Absolutnie by go nie zdziwiło, gdyby boy hotelowy podszedł do niego w tym momencie i wręczył mu zaproszenie od Milady Winter do zamku If albo do pałacu Ruritanie na herbatkę w towarzystwie kardynała Richelieu, profesora Moriarty'ego i Ruperta von Hentzau. Skoro już wpakował się w świat literacki, byłoby to jak najbardziej na miejscu.

Poprosił o książkę telefoniczną i odszukał numer baronowej Ungern. Następnie, nie zwracając uwagi na spojrzenie dziewczyny, udał się do kabiny. Umówił się na spotkanie na dzień następny. Zadzwoił też do Vara Borji w Toledo, ale nikt nie odebrał telefonu.

W telewizorze leciał film bez fonii: Gregory Peck miotał się wśród fok, jakaś walka w hotelowej sali balowej, dwa żaglowce płynące burta w burtę pod pełnymi żaglami, woda zmywa pokład, a one mkną na północ ku prawdziwej wolności, która zaczyna się dopiero dziesięć tysięcy mil od najbliższego brzegu. Po tej stronie ekranu, na nocnym stoliku między *Dziewięciorgiem Wrót* a teczką z rękopisem Dumasa, butelka bolsa opróżniona do poziomu poniżej linii zanurzenia pełniła straż niczym stary, przesiąknięty alkoholem grenadier w przeddzień zacieklej walki.

Lucas Corso zdjął okulary i potarł oczy zaczerwienione od dymu i dżinu. Na łóżku rozpościerały się ocalone z kominka Victora Fargasa resztki numeru Dwa, rozłożone z pieczołowitością godną archeologa. Niewiele tego było: okładki, dzięki oprawie ze skóry, były spalone w mniejszym stopniu niż pozostała część. Składały się na nią osmalone marginesy z ledwie czytelnymi fragmentami tekstu. Wziął do ręki jeden z takich kawałków, poźółkły i kruchy na skutek działania ognia: „...*si non obig.nem me ips.s fecere, f.r q.qe die, tib. do vitam m.m sicut t.m...*” Pochodził z dolnego rogu kartki, więc po paru chwilach poszukiwań udało mu się odnaleźć analogiczną stronę w egzemplarzu Jeden. Nosila numer 89 i akapit się zgadzał. Postępując w ten sam sposób z pozostałymi fragmentami, odniósł sukces w szesnastu przypadkach. Z dwudziestoma dwoma innymi musiał się poddać - były zbyt małe albo za bardzo zniszczone. Kolejnych jedenaście to czyste kawałki marginesów, z których

tylko jeden, dzięki przekrzywionej siódemce, jedynej dającej się odczytać cyfrze paginacji, zidentyfikował jako stronę 107.

Żar papierosa parzył mu usta. Corso wdusił go w popielniczkę i sięgnął ręką po butelkę, z której pociągnął tęgi łyk. Był w samej koszuli, starej bawełnianej szmacie khaki z dużymi kieszeniami, i w złachanym krawacie. Rękawy zawinał poza łokcie. W telewizorze facet z Bostonu stał przy kole sterowym obejmując rosyjską księżniczkę. Oboje poruszali bezgłośnie wargami, szczęśliwi i zakochani pod niebem w technikolorze. Jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w pokoju, było lekkie dzwonięcie szyb w oknach. Dwa piętra niżej ruch uliczny w kierunku Luwru trwał jak za dnia.

Szczęśliwe zakończenia. Kiedyś Nikon też uwielbiała takie historie. Corso pamiętał, że potrafiła się wzruszyć jak sentymentalne dziecko, oglądając pocałunek pary bohaterów, podczas gdy pojawiało się słowo *The End*. Czasami, w kinie albo przed telewizorem, z ustami pełnymi paluszków serowych, kładła głowę na ramieniu Corsa, a on słyszał, jak długo i cichutko płacze wpatrzona w ekran. To mógł być Paul Henreid śpiewający *Marsylianke* w kawiarni Ricka; Rutger Hauer z pochyloną w agonii głową w ostatnich ujęciach *Łowcy androidów*; John Wayne i Maureen O'Hara przy kominku w Innisfree; generał Custer z Arthurem Kennedym w wieczór przed bitwą pod Little Big Horn; O'Toole-Jim oszukany przez pana Browna; Henry Fonda w drodze do O.K. Corral; albo Mastroianni zanurzony po pas w wodzie stawu, skąd wyławia kapelusz pewnej damy, rozdając ukłony na prawo i lewo, elegancki, opanowany i zakochany w jej czarnych oczach. Takie łzy uszczęśliwiały Nikon, wprawiały ją w dumę. To dowód, że jestem żywym człowiekiem - mawiała później śmiejąc się, z wciąż mokrymi oczami. - Jestem częścią tego świata i chcę, żeby tak właśnie było. Kino jest sztuką dla wszystkich: zbiorową, szczerą rozrywką. Dzieci zaczynają bić brawo, gdy przybywa Siódmy Pułk Kawalerii. W telewizji nawet zyskuje: filmy sąsiadują ze sobą, komentując siebie nawzajem. Za to te twoje książki to egoiści. Samotnicy. Niektórych w ogóle nie da się czytać, bo pękają po otwarciu. Ci, których obchodzą tylko książki, nie potrzebują nikogo więcej, i to mnie przeraża - Nikon przetykała ostatniego paluszka i spoglądała na niego uważnie, z półotwartymi ustami, dostrzegając w jego twarzy objawy choroby, która niebawem miała się ujawnić. - Czasami mnie przerazasz.

Szczęśliwe zakończenia. Corso położył palec na pilocie i ekran zgasł. Teraz był w Paryżu, a Nikon fotografowała smutnookie dzieci gdzieś w Afryce czy na Balkanach. Kiedyś pijąc drinka w jakimś barze miał wrażenie, że zobaczył ją w dzienniku telewizyjnym: stała pośród lecących bomb i przerażonych uchodźców, z warkoczem, obwieszona aparatami i z kamerą 35 mm przy twarzy. Jej sylwetka kontrastowała z dymem i ogniem w tle. Nikon.

Szczęśliwe zakończenie było najbardziej absurdalnym z powszechnych kłamstw, w jakie wierzyła bez zmruczenia oka. Jedli kuropatwy i zawsze się kochali - wydawało się, że wynik tego równania jest ostateczny i niepodważalny. Żadnego pytania o to, ile czasu trwa miłość czy szczęście w owym z a w s z e , dzielącym się przecież na oddzielne życia, lata, miesiące. Dni nawet. Zanim przyszedł nieuchronny kres - między nimi - Nikon nie dopuszczała myśli, że bohater mógł utonąć razem ze statkiem dwa tygodnie później na skutek zderzenia z rafą koło Nowych Hebryd. Albo że bohaterkę przejechał samochód trzy miesiące potem. Albo też, że wszystko to zdarzyło się inaczej, na tysiące różnych sposobów: ktoś spotkał pierwszą kochankę, ktoś poczuł urazę albo wstręt, ktoś wolał się cofnąć. Ile nocy pełnych łez, milczenia i samotności nastąpiło po tym pocałunku? Jaki rak go zabił, nim dobił czterdziestki? Z czego żyła, zanim zmarła w przytułku w wieku lat dziewięćdziesięciu? W jak marnego trupa przeistoczył się tamten wytworny oficer, kiedy jego czcigodne rany były już tylko odrażającymi szramami, a jego dawne czyny bitewne nikogo już nie obchodziły? Jakie dramaty przeżyli na starość, gdy nie mieli już sił do walki ani nawet do obrony, miotani tu i tam przez wiatr historii, przez głupotę, okrucieństwo i kondycję ludzką?

Czasami mnie przerażasz, Lucasie Corso.

Wieczorem, za pięć jedenasta, zdołał wreszcie rozwikłać zagadkę kominka Victora Fargasa, aczkolwiek nadal nie przybliżało go to do rozwiązania całej sprawy. Spojrzał na zegarek, ziewnął i przeciągnął się. Przejechawszy ponownie wzrokiem po resztkach rozłożonych na łóżku zerknął w lustro wiszące obok oprawionej w drewniane ramy starej pocztówki, na której widniało dwóch huzarów przed katedrą w Reims. Przyjrzał się własnemu odbiciu: potargany, z sinym śladem zarostu na policzkach, w przekrzywionych okularkach. Zaśmiał się cichutko tym swoim przewrotnym i złośliwym, wilczym śmiechem, zarezerwowanym na specjalne okazje. Jedna z nich właśnie nadeszła. Wszystkie fragmenty *Dziewięciorga Wrót*, jakie udało mu się zidentyfikować, pochodziły z kartek z tekstem. Po frontyspisie i dziewięciu rycinach nie było ani śladu. W grę wchodziły więc dwa warianty: albo te stronicy spłonęły w kominku, albo - co było bardziej prawdopodobne - ktoś je wyrwał i wrzucił resztę w ogień. Wskazywały na to oderwane okładki. Ów ktoś, ktokolwiek to był, uważał zapewne, że jest strasznie sprytny. Albo sprytna. Aczkolwiek nieoczekiwane pojawienie się La Pontego i Liany Taillefer na skrzyżowaniu coraz wyraźniej sugeruje, że trzeba pomyśleć także o liczbie mnogiej: sprytni. Teraz należało stwierdzić, czy tropy zwężone przez Corsa są dowodami błędów przeciwnika, czy pułapkami. Jeśli tak, to zmyślnymi.

Skoro mowa o pułapkach: w progu stała dziewczyna. Usłyszawszy dzwonek Corso zdążył schować pod kołdrą numer Jeden i rękopis Dumasa i otworzył drzwi. Była boso, miała na sobie dzinsy i białą koszulkę.

- Cześć, Corso. Mam nadzieję, że nigdzie się nie wybierasz.

Wciąż stała na korytarzu, zatknąwszy kciuki w kieszenie obcisłych spodni uwydatniających talię i długie nogi. Zmarszczyła czoło, jakby spodziewała się złych nowin.

- Spocznij, żołnierzu - uspokoił ją.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- Potwornie chce mi się spać.

Corso odwrócił się, podszedł do stolika nocnego, na którym stała pusta już butelka po dzinie. Chwilę pogmerał w barku, triumfalnie wyciągnął stamtąd buteleczkę, przelał jej zawartość do szklanki i zwilżył usta. Dziewczyna nie ruszyła się z korytarza.

- Zabrali sztychy. Wszystkie co do jednego - ręką uzbrojoną w szklankę Corso pokazał fragmenty numeru Dwa. - Podpalili resztę, żeby nie było widać, dlatego nie wszystko spłonęło. Dopilnowali, żeby ocalały drobne fragmenty, dzięki czemu książkę można oficjalnie uznać za zniszczoną.

Przechyliła głowę i wpatrywała się weń z uwagą.

- Bystry jesteś.

- Pewnie, że tak. Dlatego dostałem tę robotę.

Zrobiła kilka kroków w głąb pokoju. Corso przyglądał się jej bosym stopom stąpającym po wykładzinie koło łóżka. Zatrzymała się przy osmalonych kawałkach papieru.

- Nie dokonał tego Fargas - dodał. - Nie byłby do tego zdolny... Co mu zrobili? Popełnił samobójstwo jak Enrique Taillefer?

Nie odpowiedziała od razu. Wzięła do ręki jeden paperek z fragmentem tekstu i studiowała go bacznie.

- Sam odpowiedz sobie na te pytania - odezwała się nie podnosząc wzroku. - Po to dostałeś tę robotę.

- A ty?

Czytała w milczeniu, poruszając wargami, jakby słowa na papierze nie były jej obce. Kiedy odłożyła go na kołdrę, w kąciку ust pojawił się ślad tęsknego, zadumanego uśmiechu, zupełnie nie pasującego do jej młodziutkiej twarzy.

- Już ci powiedziałam: jestem tu po to, żeby cię chronić. Potrzebujesz mnie.

- Tak naprawdę to potrzebuję jeszcze dzinu.

Zaklął w duchu, dopijając resztkę ze szklanki. Usiłował ukryć niecierpliwość albo zakłopotanie. Do cholery z tym wszystkim. Z tym zielonym szmaragdem, bielą śniegu albo światła, z oczami, uśmiechem oprawionym w skórę twarzy, z wyprostowaną, odsłoniętą szyją sugerującą słaby puls. Dawno nie pieprzył, Corso. W takich okolicznościach, w twoim stanie, wobec tych opalonych ramion, wąskich nadgarstków, długich palców u rąk. No i wobec... Zwrócił uwagę na wspaniałe piersi, rysujące się pod białą bawełną koszulki. Dotąd nie miał okazji przyjrzeć im się dobrze. Zgadywał, że są smagłe, ciężkie. Ucieleśnienie światłocienia. Znow zaskoczył go jej wzrost. Była równie wysoka jak on. Może nawet wyższa.

- Kim jesteś?

- Diabłem - odrzekła. - Zakochanym diabłem.

Wybuchnęła śmiechem. Książka Cazotte'a leżała na komódce obok Pamiętnika z Wyspy Świętej Heleny i jakichś papierów. Dziewczyna przyglądała jej się przez chwilę, po czym uniosła palec i spojrzała na Corsa.

- Wierzysz w diabła?

- Płacę mi za to, żebyś wierzył. Przynajmniej przy tej robocie.

Widział, że przytakuje powoli głową, jakby z góry znała odpowiedź. Zaciekawiona, patrzyła na Corsa z lekko otwartymi ustami. Może czekała na jakiś gest albo znak, który tylko ona potrafiłaby zinterpretować.

- Wiesz, Corso, dlaczego podoba mi się ta książka?

- Nie. Dlaczego?

- Bo jej bohater jest uczciwy. Jego miłość nie jest fortelem zmierzającym do potępienia duszy. Biondetta jest wrażliwa i wierna. Podziwia u Alwara to samo, co diabeł kocha u człowieka: odwagę, niezależność... - rzęsy zasłoniły na chwilę jasne tęczówki. - Jego żądzę wiedzy i błyskotliwość.

- Jesteś niezłe poinformowana. Co wiesz na ten temat?

- Znacznie więcej, niż sobie wyobrażasz.

- Niczego sobie nie wyobrażam. Moja wiedza na temat tego, co diabeł kocha i czym gardzi, ma charakter li tylko literacki: *Raj utracony*, *Boska komedia*, dalej *Faust* i *Bracia Karamazow*... - skrzywił się. - Mój Lucyfer jest już nieco zużyty.

Teraz patrzyła na niego z rozbawieniem.

- A którego byś wybrał? Diabła Dantego?

- Mowy nie ma. Zbyt przerażający. I zanadto średniowieczny jak na mój gust.

- A Mefistofeles?

- Też nie. Afektowany typek skłonny do pieniackich podstępów. Taki adwokat-szelma. Zresztą nie ufam tym, co za często się śmieją.

- W takim razie diabeł z *Karamazowów*?

Corso przybrał minę kogoś, kto powąchał stęchłą kapustę.

- Łachudra. Nędzny urzędas z brudnymi paznokciami - zastanowił się chwilę. - Chyba wybrałbym upadłego anioła Milтона - spojrzał na nią z zainteresowaniem. - Chciałaś, żebym tak odpowiedział.

Uśmiechnęła się zagadkowo. Kciuki ciągle trzymała w kieszeniach dżinsów. Nie widział jeszcze nigdy, żeby ktoś tak nosił spodnie. Przydają się pewnie takie długie nogi: młoda autostopowiczka na poboczu szosy, z plecakiem w rowie i całym światłem Kosmosu w tych, przeklętych oczach.

- Jak myślisz, jak wygląda Lucyfer? - zapytała.

- Nie mam pojęcia - łowca książek zamyślił się i dodał po chwili z obojętnym uśmiechem: - Melancholijny mruk, tak przypuszczam. Znudzony - uśmiech robił się coraz kwaśniejszy. - Na tronie w pustej sali, pośrodku opuszczonego, zimnego królestwa, gdzie czas płynie monotonnie.

Wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Zdumiewasz mnie, Corso - rzekła w końcu. Na jej twarzy malował się zachwyt.

- Niby dlaczego? Każdy może przeczytać Milтона. Nawet ja.

Patrzył, jak przechadzała się powoli w tę i z powrotem, stale po tym samym półkolu w identycznej odległości od łóżka. Wreszcie zatrzymała się między nim a lampą oświetlającą pokój. Naumyślnie czy też nie, w każdym razie stanęła tak, że jej cień padał na fragmenty *Dziewięciorga Wrót* rozłożone na kołdrze.

- Właśnie wspomniałeś o cenie - w takim oświetleniu widział tylko kontur jej spowitej mrokiem twarzy. - Duma, wolność... Poznanie. Za wszystko trzeba płacić, z góry albo z dołu. Nawet za odwagę, nie sądzisz? Chyba trzeba mieć dużo odwagi, by przeciwstawić się Bogu?

Wymawiała te słowa spokojnie, prawie szeptem w tej ciszy, która napływała do pokoju przez szpary w drzwiach i oknach. Nawet ruch uliczny jakby zamarł na zewnątrz. Corso przypatrywał się na przemian obu sylwetkom: cieniowi kładącemu się na kołdrze i fragmentach książki oraz temu mrocznemu ciału zasłaniającemu światło. Nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, która z nich jest prawdziwsza.

- Ci wszyscy archaniołowie - dodała ona, a może jej cień. W głosie słychać było odrazę i wzgardę. Nawet w jej oddechu odezwała się bezsilna wściekłość. - Piękni, doskonali. Zdyscyplinowani jak hitlerowcy.

Teraz nie wyglądała już tak młodo. Dźwigała na sobie wielowiekową udrękę: ciemne dziedzictwo, tajemne winy, których zdziwiony i zakłopotany Corso nie potrafił nazwać. Pomyślał tylko, że może żadna z nich nie była realna: ani ten cień na kołdrze, ani sylwetka rysująca się na tle lampy.

- Jest w Prado taki obraz, pamiętasz, Corso? Ludzie z nożami przeciwko jeźdźcom, którzy siekają ich szablami. Zawsze miałam tę pewność, że upadły anioł miał to samo spojrzenie, gdy podniósł bunt, te same zatracone oczy, takie jak ci nieszczęśnicy z nożami. Odwaga desperatów.

Mówiąc poruszyła się lekko, może o parę centymetrów, ale w tym samym czasie jej cień gwałtownie zbliżył się do cienia Corsa, jakby robił to z własnej woli.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - zapytał.

- Więcej, niżbym chciała.

Jej cień spowijał wszystkie strzępy książki i już prawie dotykał jego cienia. Corso instynktownie cofnął się, pozostawiając na łóżku pasmo światła pomiędzy nimi.

- Spróbuj sobie wyobrazić - ciągnęła tym samym zamyślonym głosem - jak siedzi samotny w pustym pałacu, najpiękniejszy z wszystkich upadłych aniołów, i snuje intrygi... Jest sumienny, robi to po mistrzowsku, i chociaż gardzi swą rutyną, to jednak pozwala mu ona przynajmniej zapomnieć o własnym żalu. O własnej klęsce - smutny śmiech dziewczyny zabrzmiał tak cichutko, że wydawało się, jakby przybywał z daleka. - Tęskni za niebem.

Cienie już były razem, stopiły się w jeden pośród skrawków ocalonych z kominka Dworku da Soledade. Dziewczyna i Corso spleceni na kołdrze, pośród @dziewięciorga wrót do królestwa innych cieni - a może tych samych. Nadpalony papier, niekompletne klucze, tajemnica skryta za wielokrotną zasłoną: za sprawą drukarza, czasu i ognia. Enrique Taillefer kołysał się, ze stopami w powietrzu, na końcu jedwabnego paska swojego fartucha. Víctor Fargas unosił się twarzą w dół w mętnej wodzie swojej sadzawki. Aristide Torchia płonął na Campo dei Fiori i wykrzykiwał imię ojca nie patrząc w niebo, lecz w ziemię pod stopami. A stary Dumas pisał usadowiony na szczycie świata, podczas gdy tu, w Paryżu, bardzo blisko miejsca, gdzie teraz stał Corso, ktoś snuł wątek kolejnej tajemnicy na odwrotnej stronie całej intrygi. Tym kimś był inny cień, cień kardynała, który miał w swojej bibliotece zdecydowanie za dużo książek na temat diabła.

Dziewczyna czy raczej jej sylwetka wykrojona na tle światła lampy zbliżyła się do Corsa. Troszeczkę, o krok zaledwie. To wystarczyło, by jego cień znikł zupełnie pod jej cieniem.

- Gorzej było z tymi, którzy za nim poszli - Corso przez chwilę nie wiedział, o kim mówiła. - Tymi, których pociągnął za sobą, upadając: żołnierzami, posłańcami, sługami z urzędu i powołania. Nierzadko najemnikami, tak jak ty... Niewielu zdało sobie sprawę, że chodzi o wybór między poddaństwem a wolnością, między stroną Stwórcy a stroną człowieka. Z przyzwyczajenia, z absurdałnego poczucia lojalności, cechującej wiernych żołnierzy, poszli za przywódcą na bunt i zatrącenie.

- Jak dziesięć tysięcy Greków u Ksenofonta - Zazartował Corso.

Milczała przez moment, jak gdyby zaskoczyła ją adekwatność tego porównania.

- Kto wie - mruknęła w końcu - może ciągle czekają, rozproszeni po świecie i samotni, aż on powiedzie ich z powrotem do domów.

Łowca książek pochylił się szukając papierosa i przy okazji odzyskał własny cień. Zapalił drugą lampkę na stoliku nocnym, wskutek czego mroczna sylwetka dziewczyny rozpląnęła się w nagłym ataku światła. Jasne oczy wpatrywały się weń bacznie. Znow była młodziutka.

- Niesamowite - powiedział Corso. - Ci starzy żołnierze szukający morza.

Zamruęła oczami, jakby teraz, gdy zrobiło się jasno, nie kojarzyła, o czym do niej mówi. Na łóżku też nie było już cienia: fragmenty książki na powrót stały się zwykłymi skrawkami osmalonego papieru. Wystarczyło otworzyć okno, by przeciąg znowu je pomieszał.

Uśmiechała się. Irene Adler, Baker Street 221b. Kawiarnia w Madrycie, pociąg, poranek w Sincrze... Przegrana bitwa, anabaza pokonanych legionów: za mało miała lat, żeby pamiętać takie rzeczy. Promieniała uśmiechem dziewczynki zarazem złośliwej i niewinnej, z delikatnym śladem zmęczenia pod powiekami. Senna i ciepła.

Corso przełknął ślinę. Coś go pchało ku niej, żeby zedrzeć koszulkę z opalonego ciała, pociągnąć w dół suwak jej džinsów i powalić ją na łóżko, na resztki książki przywołującej cienie. Żeby wreszcie pogrążyć się w to delikatne ciało i wyrównać rachunki z Bogiem i Lucyferem, z bezlitosnym czasem, z własnymi upiorami, ze śmiercią i z życiem. Zamiast tego jednak tylko zapalił papierosa i w milczeniu wypuścił dym. Dłuższą chwilę spoglądała na niego, jakby na coś czekała, na gest, na słowo. W końcu powiedziała mu dobranoc i poszła ku drzwiom. Na progu odwróciła się ku niemu i powoli uniosła dłoń wnętrzem dłoni do siebie, mierząc dwoma złączonymi palcami - wskazującym i serdecznym - ku górze. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, zarazem czuły i porozumiewawczy, jednocześnie niewinny i mądry. Przypominała zwyciężonego anioła, który z nostalgią pokazuje na niebo.

Kiedy baronowa Frida Ungern uśmiechała się, na policzkach robiły jej się sympatyczne dołeczki. Szczerze mówiąc, chyba uśmiechała się bezustannie przez ostatnie siedemdziesiąt lat, bo w jej ustach i oczach na stałe zagościł wyraz wielkiej życzliwości. Corso, który pożerał książki od dzieciństwa, od dawna wiedział, że czarownice bywają bardzo różne: macochy, złe wróżki, piękne i przewrotne królowe, a nawet złośliwe staruchy z brodawkami na nosie. Ale chociaż wiele już słyszał o wiekowej baronowej, z pewnością nie byłby w stanie zakwalifikować jej do żadnego z wymienionych gatunków. Mogłaby być jedną z tych siedemdziesięciolatek, co to egzystują na obrzeżach życia wysłanych pierzynami, z dala od nieprzyjemnych aspektów codzienności - mogłaby, gdyby nie przeczyła temu głębia jej inteligentnych, baczących, podejrzliwych oczu. I gdyby prawy rękaw jej włóczkowego sweterka nie zwisał luźno pusty, gdyż ręka była amputowana powyżej łokcia. Poza tym baronowa była pulchniutka i drobna jak nauczycielka francuskiego na pensji dla panienek. Oczywiście z epoki, kiedy jeszcze istniały panienki. Takie mniej więcej rozważania snuł Corso, przypatrując się jej siwym włosom spiętym szpilkami na karku, jej niemal męskim butom i białym, krótkim skarpetkom.

- Corso, prawda? Miło mi pana poznać.

Z niespotykaną energią podała mu swoją jedyną dłoń, równie drobną jak reszta postaci, gdy tymczasem na twarzy pojawiły się dołeczki. Miała leciutki akcent niemiecki. Któryś von Ungern - Corso pamiętał to z jakiejś książki - zasłynął w Mandżurii czy też Mongolii na początku lat dwudziestych: prawdziwy wojak, ostatni, który stawiał czoło Armii Czerwonej, dowodząc oddziałem obszarpanych białogwardzistów, Kozaków, Chińczyków, dezertersów i pospolitych bandziorów. Historia pełna pociągów pancernych, rabunków, masakr i rzeczy tego typu, zakończona epilogiem o świcie przed plutonem egzekucyjnym. Może to ta sama rodzina.

- To był wujeczny dziadek mojego męża. Nieboszczyk mąż pochodził z rosyjskiej rodziny, która wyemigrowała do Francji z drobnymi oszczędnościami tuż przed rewolucją - w jej wspomnieniach nie było śladu tęsknoty czy dumy. Mina staruszki zdawała się mówić: inne czasy, inni ludzie, inna krew. Cudzoziemcy, którzy zmarli przed jej narodzeniem. - Ja urodziłam się w Niemczech. Rodzina straciła wszystko, gdy nastali naziści. Wysłałam za mąż już tu we Francji, po wojnie - usunęła ostrożnie zeschnięte liście z doniczki na oknie i uśmiechnęła się nieznacznie. - Nigdy nie mogłam znieść zapachu naftaliny, jakim emanowała moja rozpolitykowana rodzina, tej tęsknoty za Sankt-Petersburgiem, czczenia urodzin cara. To jak czuwanie przy zwłokach.

Corso spoglądał na biurko zavalone książkami, na wypełnione półki. Tylko w tym pokoju było ich z tysiąc - najrzadszych lub najcenniejszych, wydania od współczesnych po stare, oprawne w skórę.

- A to?

- Zupełnie inna sprawa: to materiał badawczy, a nie przedmiot kultu.

Złe to czasy, myślał Corso, kiedy wiedźmy narzekają na rozpolitykowane rodziny i zamieniają kotły magiczne na biblioteki, katalogi i stałe miejsca w rubryce bestsellerów znanych gazet. Przez drzwi widać było kolejne książki w dalszych pokojach i w korytarzu. Mieszkanie było ogromne i drogie, z widokiem na nabrzeża Sekwany, aż nazbyt oddalone w czasie od stosów Świętej Inkwizycji. W części bibliotecznej przy kilku stolikach siedzieli młodzi ludzie, zapewne studenci, wszystkie ściany pokrywały regały z książkami. Pośród zielonych liści połyskiwały złocenia starych opraw: fundacja Ungern posiadała najpoważniejszą europejską kolekcję książek dotyczących nauk tajemnych. Corso rzucił okiem na najbliższe tytuły: *Daemonolatriae Libri* Nicolas Remy'ego, *Compendium Maleficarum* Francesca Marii Guazza, *De Daemonialitate et Incubus et Succubus* Ludovica Sinistrariego... Posiadaczka najlepszego katalogu dzieł demonologicznych i fundacji imienia jej zmarłego męża baronowa Ungern cieszyła się też prestiżową pozycją znakomitej autorki książek na temat magii i czarnoksięstwa. Jej ostatnia książka *Izis, Dziewica obnażona* już od trzech lat nie schodziła z listy najlepiej sprzedawanych pozycji. Do tego kolosalnego powodzenia przyczynił się sam Watykan, publicznie potępiając tekst, w którym autorka dokonywała frapującego porównania między pogańską boginią a Matką Chrystusa. Osiem wydań we Francji, dwanaście w Hiszpanii, szesnaście w katolickich Włoszech.

- Nad czym pracuje pani obecnie?

- *Diabeł: dzieje i legenda*. Coś w rodzaju biografii łotrowskiej. Będzie gotowa na początku przyszłego roku.

Corso stanął przed rzędem książek, gdzie jego uwagę przykuły trzy tomy *Disquisitionum Magicarum* Martina del Rio, pierwsze wydanie z Leuven, 1599-1600. Klasyczne dzieło z zakresu magii demonologicznej.

- Gdzie pani to zdobyła?

Frida Ungern milczała przez chwilę, jakby oceniała przydatność tej informacji.

- Na aukcji w 1989 roku w Madrycie. Dużo wysiłku mnie kosztowała walka z pana rodakiem Varo Borją - westchnęła, jakby wciąż czuła się tym wyczerpana. - I dużo pieniędzy. Nigdy bym tego nie zdobyła bez pomocy ze strony Paca Montegrifo. Zna go pan? Uroczy człowiek.

Corso uśmiechnął się krzywo. Nie tylko znał Montegrifa, dyrektora hiszpańskiej filii domu aukcyjnego Claymore, ale nawet często współdziałał z nim przy podejrzanych i owocnych operacjach, jak chociażby sprzedaż pewnemu kolekcjonerowi szwajcarskiemu gotyckiego rękopisu *Cosmographii* Ptolomeusza z 1456 roku, w tajemniczy sposób wykradzonego z Uniwersytetu w Salamance. Montegrifo spotkał się z Corsem potajemnie, by posłużyć się nim jako pośrednikiem. Wszystko odbyło się dyskretnie i czysto, z krótkim epizodem w warsztacie braci Cenizów, którzy usunęli z książki kompromitujący stempel. Corso osobiście zawiózł przesyłkę do Lozanny. Wszystko to za pobraniem trzydziestu procent od transakcji.

- Tak, znam tego pana - przesunął palcami po więzach zdobiących grzbiety trzech tomów *Disquisitionem Magicarum*, zastanawiając się, ile wziął Montegrifo za pokierowanie aukcją na korzyść baronowej. - Jeśli chodzi o tego Martina del Río, widziałem w życiu jeden egzemplarz w bibliotece jezuickiej w Bilbao... Oprawiony w skórę, jako jeden tom. Ale to jest to samo wydanie.

Mówiąc przesuwając palcami w lewo wzdłuż szeregu książek, muskając ich grzbiety. Były tu egzemplarze interesujące, w ładnych oprawach welinowych, szagrynowych i pergaminowych. Wiele z nich w kiepskim stanie, zużytych, źle przechowywanych. Prawie w każdej widać było zakładki i znaczki, zapisane drobnym, ostrym, ciasnym pismem ołówkowym, wsunięte między stronicę. Materiał do pracy. Zatrzymał się, kiedy dotarł do znajomej czarnej skóry: bez tytułu, pięć zwięzów na grzbiecie. Numer Trzy.

- Od kiedy go pani ma?

Corso był bez wątplenia człowiekiem opanowanym, zwłaszcza w takich sprawach. Ale ponieważ pracował w nocy nad prochami numeru Dwa, baronowa nie mogła nie dosłyszeć czegoś szczególnego w jego głosie. Widział, że mimo dobronuduszych dołeczków młodej staruszki patrzy na niego z nieufnością.

- *Dziwięcioro Wrót?* Nie wiem. Od dawna - poruszała lewą ręką szybko i pewnie. Bez wysiłku wyjęła książkę z półki i ujawniła grzbiet w dłoń, palcami otworzyła ją na pierwszej stronie, ozdobionej wieloma, często bardzo dawnymi, ekslibrisami. Ostatni z nich był arabeską zawierającą nazwisko von Ungern. Na górze figurowała data wpisana atramentem. Przeczytawszy ją baronowa pokiwała głową na potwierdzenie własnych wspomnień. - Prezent od mojego męża. Wysłałam za męża bardzo młodo, on był ode mnie dwukrotnie starszy... Książkę kupił w roku 1949.

Wadą współczesnych wiedźm, myślał Corso, jest to, że nie mają sekretów. Wszystko na wierzchu, na widoku, w każdym *Kto jest kim* czy popularnym magazynie. Na przekór

barońskim tytułom zrobiły się przewidywalne, prymitywne. Torquemada zwariowałby ze wstrętu.

- Mąż pani podzielał te zamiłowania?

- Ależ skąd! W ogóle nie czytał książek. Zaspokajał tylko moje pragnienia na podobieństwo dzina z zaczarowanej lampy - wydawało się, że jej amputowana ręka zadrżała w pustym rękawie. - Miał identyczny stosunek do drogiej książki jak do naszyjnika z przepięknych pereł... - przerwała i uśmiechnęła się z melancholią. - Ale był to zabawny człowiek, potrafił uwodzić żony swoich najlepszych przyjaciół. I robił najlepsze koktajle na szampanie.

Znowu zamilkła, rozglądając się, jak gdyby mąż zostawił gdzieś pusty kieliszek.

- Wszystko to - dodała pokazując swoją bibliotekę - zebrałam sama. Wszystko, każdy tytuł. *Dziwięcioro Wrót* też sama wybrałam z katalogu pewnego petainowca bankruta. Mój mąż tylko podpisał czek.

- Czemu akurat diabeł?

- Pewnego dnia ujrzałam go. Miałam piętnaście lat i widziałam go tak, jak teraz widzę pana. Miał mocny kark, kapelusz i laskę. Był bardzo piękny, podobny do Johna Barrymore'a w roli barona Gaigerna w *Grand Hotelu*. No i zakochałam się jak głupia - zamyśliła się któryś raz z ręką w kieszeni sweterka. Na ustach błąkało jej się jakieś drogie, choć odległe wspomnienie. - Może dlatego nigdy nie rozpaczałam z powodu niewierności mego męża.

Corso spojrział w lewo i w prawo, jakby nie byli sami w pokoju, po czym pochylił się konfidencjonalnie.

- Zaledwie trzysta lat temu spalono by panią za tę opowieść.

Wydała z siebie gardłowy pomruk zadowolenia, dusząc przy tym śmiech, i wspięła się na palce, żeby wyszeptać mu podobnym tonem:

- Trzysta lat temu nikomu bym tego nie opowiedziała. Ale znam wielu, którzy chętnie zaprowadziliby mnie na stos - dołączki towarzyszyły kolejnemu uśmiechowi. Ta kobieta uśmiechała się zawsze, doszedł do wniosku Corso, ale jej błyszczące roześmiane oczy pozostawały czujne i badawcze. - I to dzisiaj, pod koniec dwudziestego wieku.

Podawała mu *Dziwięcioro Wrót* i patrzyła, jak kartkuje książkę powoli, z trudem powstrzymując się przed natychmiastowym przestudiowaniem różnic w dziewięciu rycinach. Były nienaruszone, jak stwierdził od razu z ulgą. Zatem *Bibliografia* Mateu zawierała błąd: żadnemu z trzech egzemplarzy nie brakowało ostatniego sztychu. Numer Trzy był zdecydowanie bardziej sfatygowany niż egzemplarz Vara Borji i niż własność Victora Fargasa, zanim trafiła do kominka. Spód książki nosił ślady działania wilgoci, niemal na

wszystkich kartkach widać było plamy. Również oprawa wymagała generalnego oczyszczenia, ale poza tym egzemplarz był chyba kompletny.

- Napije się pan czegoś? - spytała baronowa. - Może być kawa albo herbata.

Żadnych naparów z czarodziejskich liści - pomyślał Corso poddając się. Nawet z ziółek.

- Kawa.

Dzień był słoneczny, nad wieżami Nôtre-Dame rozpościerał się czysty błękit. Corso podszedł do okna i rozsunął firanki, żeby móc uważniej przyrzeć się książce. Dwa piętra niżej, na kamiennej ławce pod bezlistnymi drzewami na brzegu Sekwany, ubrana w kurteczkę dziewczyna czytała książkę. Wiedział, że to *Trzej muszkietierowie* - miała ją ze sobą rano przy śniadaniu. Później łowca książek ruszył ulicą Rivoli świadom, że dziewczyna podąża piętnaście, dwadzieścia kroków za nim. Naumyślnie jej nie zauważał, ona też nie podchodziła bliżej. Teraz podniosła głowę. Musiała go widzieć z dołu, jak stoi w oknie z *Dziwięciorgiem Wrót* w dłoniach, ale nie posłała mu żadnego sygnału. Patrzyła tylko spokojnie i bez ruchu, do chwili gdy wycofał się w głąb pokoju. Kiedy znów się wychylił, powróciła już do lektury powieści.

Pośród stolików i książek przechadzała się sekretarka, kobieta w średnim wieku i grubych okularach, ale kawę przyniosła osobiście Frida Ungern. Dwie filiżanki na srebrnej tacy, którą trzymała z łatwością. Jednym spojrzeniem powstrzymała go przed zaoferowaniem jej pomocy. Usiedli przy biurku pełnym książek, doniczek, papierów i fisek.

- Skąd pomysł na taką fundację?

- Kwestia ulg podatkowych. Poza tym przychodzą tu ludzie, spotykam współpracowników - uśmiechnęła się melancholijnie. - Jestem ostatnią wiedźmą i czułam się samotna.

- Ani trochę nie wygląda pani na wiedźmę - Corso odpowiedział uśmiechem królika sympatycznego i spontanicznego. - Czytałem pani *Izis*.

Trzymając filiżankę w dłoni uniosła kikut prawej ręki i pochyliła głowę, jakby chciała poprawić włosy na szyi. Ten nie dokończony gest był stary jak świat: gest podświadomej kokieterii.

- I podobała się panu?

Popatrzył jej prosto w oczy poprzez opary z filiżanki, którą właśnie podniósł do ust.

- Bardzo.

- A niektórym niespecjalnie. Wie pan, co napisali w „Osservatore Romano”? Żałowali, że nie ma już indeksu Świętego Oficjum. I ma pan słuszność - wskazała

podbródkiem na *Dziewięcioro Wrót*, które Corso położył obok siebie na blacie - kiedyś spalono by mnie żywcem, tak jak biedaka, który napisał tę ewangelię według Szatana.

- Pani baronowo, czy rzeczywiście wierzy pani w diabła?

- Proszę nie mówić do mnie „baronowo”, to niepoważne.

- To jak mam się do pani zwracać?

- Nie wiem. Może „pani Ungern”. Albo „Frido”.

- Wierzy pani w diabła, pani Ungern?

- Na tyle, żeby poświęcić mu życie, bibliotekę, fundację, wieloletnią pracę i pięćset stron nowej książki...- wpatrywała się weń z zaciekawieniem. Corso zdjął okulary i zaczął je przecierać. Bezradny uśmiech dopełniał dzieła. - A pan?

- Wszyscy zadają mi ostatnio to pytanie.

- To naturalne. Dopytuje się pan o książkę, która w jakiejś mierze wymaga wiary.

- Moja wiara jest zazwyczaj dość zredukowana - Corso postanowił zdobyć się na odrobinę szczerości. To mogło się opłacić. - Tak naprawdę pracuję za pieniądze.

Na twarz wróciły dołeczki. Pomyślał, że z pół wieku temu musiała być piękna. W czasach, gdy - drobna i żwawa - odprawiała czary czy coś w tym stylu, jeszcze obiema rękami. Ślady tamtych lat zostały do dziś.

- Szkoda - odezwała się Frida Ungern. - Inni, którzy pracują za darmo, bez zastrzeżeń uwierzyli w bohatera tej książki... Albert Wielki, Raimunt Llull, Roger Bacon nigdy nie kwestionowali jego istnienia, zastanawiali się tylko nad jego atrybutami.

Corso nałożył okulary i wsączył nieco sceptycyzmu w swój uśmiech.

- To było kiedyś.

- Ale po co się cofać tak daleko? „Demon istnieje nie tylko jako symbol zła, ale jako byt fizyczny...” Jak się panu podoba? A napisał to Paweł VI. W roku 1974.

- To zawodowiec - przyznał bezstronnie Corso. - Miał zapewne swoje powody.

- W rzeczywistości potwierdził tylko dogmat: istnienie diabła zadekretowano na czwartym soborze laterańskim. To był rok 1215... - przerwała i spojrzała nań z powątpiewaniem. - Interesują pana takie szczegóły? Jak dam się ponieść, mogę się zrobić nieznośnie uczona - dołeczki się pogłębiły. - Zawsze chciałam być najlepsza w klasie. Taka mądra myszka.

- Jestem pewien, że była pani. Dawali pani szarfę?

- Jasne. A inne dziewczyny mnie nienawidziły.

Roześmiali się oboje i łowca książek czuł, że przeciągnął Fridę Ungern na swoją stronę. Wyjął więc papierosy z kieszeni płaszcza i podał jej. Odmówiła, przyjrząwszy mu się z pewnym lękiem. Nie zwracając na to uwagi, Corso zapalił.

- Dwa stulecia później - ciągnęła baronowa patrząc na Corsa wciąż pochylonego nad płonąca zapałką - bulla papieża Innocentego VIII *Summis desiderantes affectibus* potwierdziła, że Europa Zachodnia przeżywa plagę demonów i czarownic. To wtedy dwaj dominikanie, Kramer i Sprenger, zredagowali *Malleus Maleficarum*, podręcznik dla inkwizytorów...

Corso podniósł palec wskazujący.

- Lyon, rok 1519. *In octavo*, gotyk, bez nazwisk autorów. Przynajmniej tak jest w znanym mi egzemplarzu.

- Nieźle... - popatrzyła nań z podziwem. - Ja mam wydanie późniejsze - wskazała regał. - Tam pan może obejrzeć. Też Lyon, drukowane w 1669. Ale pierwsze wydanie pochodzi z 1486... - przymknęła z niezadowoleniem oczy. - Kramer i Sprenger byli głupimi fanatykami. Ich *Malleus* to stek nonsensów. Można by go nawet uznać za śmieszny, gdyby na jego podstawie nie torturowano i nie spalono tysięcy nieszczęśników.

- Na przykład Aristidego Torchii.

- Chociażby. Z tym że on akurat nie był niewiniątkiem.

- Co pani o nim wie?

Baronowa pokręciła głową, dopiła resztę kawy i ponownie skrzywiła się z niesmakiem.

- Torchiowie byli rodziną zamożnych kupców weneckich, zajmujących się importem papieru czerpanego z Hiszpanii i Francji. Młody Aristide wcześniej pojechał do Holandii, gdzie wyuczył się profesji u współników jego ojca, samych Elzevierów. Przebywał tam czas jakiś, po czym udał się do Pragi.

- O tym nie wiedziałem.

- To już pan wie. Praga była wówczas europejską stolicą magii i wiedzy tajemnej, jak Toledo cztery wieki wcześniej... Zbiera pan to do kupy? Torchia zamieszkał koło kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, niedaleko placu Jungmanna, w dzielnicy magii, gdzie stoi dziś pomnik Jana Husa. Pamięta pan Husa koło stosu?

- „Z moich popiołów narodzi się łabędź, którego spalić nie zdołacie”?

- Otóż to. Łatwo się z panem dogadać. Chyba wie pan o tym i dzięki temu mniej ma pan problemów w pracy... - nieopatrznie wciągnęła nieco dymu z papierosa i spojrzała nań z lekkim wyrzutem. Corso nawet nie drgnął.

- Gdzie to zostawiliśmy naszego drukarza? Aha, już. Praga, akt drugi: Torchia przenosi się niedaleko, do dzielnicy żydowskiej, do domu koło synagogi. W tej okolicy światła w oknach widać całą noc. Kabaliści poszukują magicznej formuły Golema. Po jakimś czasie znów zmienia mieszkanie, przeprowadza się na Małą Stranę... - uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Co panu to przypomina?

- Pielgrzymkę. Albo podróż naukową, jak byśmy dziś to nazwali.

- Zgadza się z panem - baronowa przytaknęła z zadowoleniem. Corso uzyskał prawo do adopcji i z wawo piął się po drabinie zaszczytów. - Nie przypadkiem Aristide Torchia porusza się po trójkącie, wewnątrz którego zgromadzono całą ówczesną wiedzę hermetyczną. W samej Pradze, gdzie słyhać echo kroków Agryppy i Paracelsusa, gdzie zachowały się ostatnie manuskrypty magii chaldejskiej, klucze do tajemnic pitagorejskich, zagubione lub rozproszone po masakrze pod Metapontum... - pochyliła się nieco i ściszyła głos niczym panna Marple zamierzająca wyznać swej najdroższej przyjaciółce, że znalazła cyjanek w herbatnikach. - W tejże Pradze, panie Corso, w mrocznych gabinetach, żyją ludzie, którzy znają *carmina*, sztukę zaklęć, oraz nekromancję, czyli umiejętność porozumiewania się ze zmarłymi - zrobiła pauzę, wstrzymała oddech, po czym wyszeptła: - A także *goecia*...

- Sztukę kontaktowania się z diabłem.

- Właśnie - baronowa usiadła wygodnie w fotelu, delektując się gorszącym aspektem tej historii. W oczach miała blask, była w swoim żywiole. Mówiła nieco pospiesznie, jakby miała jeszcze dużo do opowiedzenia, a niewiele czasu. - W owym czasie Torchia mieszka w domu, gdzie przechowywane są karty i ryciny ocalałe z pożogi wojennej i rąk ich prześladowców. Pozostałości magicznej księgi, która otwierała wrota wiedzy i władzy: *Delomelanikon*. Samo słowo przywołuje ciemności.

Wyrzekła to tonem konspiratora, nieco teatralnie, ale z uśmiechem. Może sama nie brała tego wszystkiego na serio, a może sugerowała Corsowi zachowanie stosownej rezerwy.

- Po zakończeniu nauk - ciągnęła - Torchia wraca do Wenecji... Proszę zwrócić uwagę na ten istotny szczegół: Włochy nie są dlań krajem bezpiecznym, a jednak opuszcza względnie spokojną Pragę i rusza do rodzinnego miasta, gdzie publikuje całą serię kłopotliwych książek, które w ostateczności doprowadzają go na stos... Osobliwe, nieprawdaż?

- Tak jakby miał do spełnienia jakąś misję.

- Tak. Ale kto mu ją zlecił? - baronowa otworzyła *Dziewięcioro Wrót* na stronie tytułowej. - To „Za specjalnym przyzwoleniem zwierzchników” daje do myślenia, co? Jest

wysoce prawdopodobne, że podczas pobytu w Pradze Torchia związał się z jakimś tajnym bractwem, które nakazało mu, by niósł przesłanie. Taki rodzaj apostołstwa.

- Już wcześniej nazwała to pani „ewangelią według Szatana”.

- Możliwe. Rzecz w tym, że Torchia wydał *Dziewięcioro Wrót* w najgorszym momencie. W latach 1550-1666 wyznawcy neoplatonizmu humanistycznego i członkowie ruchów hermetyczno-kabalistycznych przegrywali batalię posądzeni o demoniczne powiązania. Giordano Bruno, John Dee i im podobni ginęli na stosach albo, prześladowani, umierali w nędzy. Po zwycięstwie kontrreformacji Inkwizycja dosłownie spuchła: zorganizowano ją niegdyś do walki z herezją, tymczasem wyspecjalizowała się w wiedźmach, magach i czarach tylko po to, żeby uzasadnić swój haniebny byt. I oto dostawała na tacy drukarza paktującego z diabłem... Trzeba zresztą sobie jasno powiedzieć, że Torchia ułatwił im zadanie. Proszę posłuchać - przerzuciła na chybił trafił kilka kartek. - *Pot. m. vere im. go...* - podniosła wzrok na Corsa. - Przetłumaczyłam sporo fragmentów, klucz nie jest specjalnie trudny. „Potrafię ożywić figury woskowe - czytamy w tekście - I zatrząść księżycem w posadach, i wrócić ciało umarłym...” Co pan o tym sądzi?

- Dziecinada. Że też za takie rzeczy palono...

- Może, może, nigdy nic nie wiadomo... Lubi pan Szekspira?

- To i owo.

- „Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, niż się wydaje naszym filozofom...” [W Shakespeare, *Hamlet*, przekład Stanisława Barańczaka.]

- Hamlet. Wątpiący chłoptaś.

- Drogi panie Corso, nie każdy zasługuje, nie każdy potrafi dostąpić tych mrocznych spraw. Stara zasada mówi: masz wiedzieć i milczeć.

- A Torchia nie milczał...

- Wie pan zapewne, że według Kabały Bóg posiada straszne, tajemne imię...

- Tetragrammaton.

- Otóż właśnie. Na jego czterech literach wspiera się cała harmonia i równowaga wszechświata... Objawił to archanioł Gabriel Mahometowi: „Bóg skrywa się za siedemdziesięcioma tysiącami zasłon ze światła i ciemności. A gdyby zasłony te się podniosły, nawet ja byłbym unicestwiony...” Ale nie tylko Bóg nosi takie imię. Diabeł też ma własną, przerażającą, złowrogą kombinację liter. Wystarczy je wymówić, by go przywołać... I rozpętać straszliwe następstwa.

- To nic nowego. Znamy to sprzed czasów chrześcijaństwa i judaizmu. Wtedy nazywało się to puszką Pandory.

Spojrzała nań z satysfakcją, jakby zamierzała mu przyznać dyplom dla wyróżniającego się ucznia.

- Świetnie, drogi panie. Istotnie przez całe życie mówimy o tym samym, tylko używamy różnych określeń. Izis i Matka Boża, Mitra i Jezus Chrystus, 25 grudnia jako Boże Narodzenie i święto zimowego przesilenia, rocznica niezwykniętego słońca... Proszę nie zapominać, że Grzegorz Wielki już w VII wieku zalecał misjonarzom, żeby nie potępiali świąt pogańskich, tylko nadawali im chrześcijańską interpretację.

- Miał handlowe wyczucie. To w gruncie rzeczy manewr kupiecki: przyciągnąć obcą klientelę. Chciałbym usłyszeć, co wie pani o puszcze Pandory i jej pochodnych. W nawiązaniu do paktów diabelskich.

- Sztuka zamykania diabłów w butelce i w księgach jest bardzo stara... Gerwazy z Tilbury i Gerson napomykali o tym już w wieku XIII i XIV. Jeśli zaś chodzi o pakty z demonem, tradycja sięga jeszcze dawniej: począwszy od Księgi Henocha przez Kabałę i Ojców Kościoła aż po świętego Hieronima. Nie zapominając o biskupie Teofilu, zwanym - co za zbieżność! - „miłośnikiem wiedzy”, autentycznym Fauście, oraz o Rogerze Baconie... A także o papieżu Sylwestrze II, który ponoć skradł Saracenom księgę, „zawierającą wszystko, co wiedzieć należy”.

- Czyli wszystko sprowadza się do zdobywania wiedzy.

- Oczywiście. Tytu cierpień i wrót Czeluści nie przechodzi się raptem dla zabawy. Wedle zaawansowanej wiedzy demonologicznej Lucyfer jest symbolem mądrości. W Księdze Rodzaju diabłu pod postacią węża udaje się namówić człowieka, by ten poniechał roli głupiego samotnika i otworzył się na świadomość, wolną wolę, światłość... Oraz na ból i niepewność, jakie za tą wiedzą i tą wolnością idą.

Wspomnienie nocnej rozmowy było zbyt świeże, by Corso nie pomyślał w tym momencie o dziewczynie. Wziął do ręki *Dziewięcioro Wrót* i pod pozorem chęci przyjrzenia im się w lepszym świetle znów zbliżył się do okna. Zniknęła. Zdziwiony zerknął ku obu krańcom ulicy, na nabrzeże i kamienne ławki pod drzewami na chodniku, ale nigdzie jej nie dojrzał. Zaintrygowało go to, jednak nie miał czasu myśleć. Frida Ungern znów mówiła:

- Lubi pan zgadywanki? Zadania z ukrytym kluczem? Czymś takim jest w pewnym sensie książka, którą trzyma pan w dłoni. Diabeł, jak każde inteligentne stworzenie, lubi gry i zagadki. Wyścigi z przeszkodami, podczas których odpadają słabi i ułomni, a triumfują jedynie duchy wyższe, wtajemniczeni. - Podeszedłszy do stołu Corso położył na nim książkę otwartą na stronie z frontyspsem i wężem-ouroborosem owiniętym wokół drzewa. - Ten, kto widzi tu tylko węża pożerającego własny ogon, nie zasługuje na to, by iść dalej.

- Do czego służy ta książka? - spytał Corso.

Baronowa podniosła palec do ust jak jeździec z pierwszej ryciny. Uśmiechała się.

- Jan z Patmos mówi, że za panowania drugiej Bestii, przed ostateczną bitwą na polach Armageddon, „nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia, imienia Bestii lub liczby jej imienia...” W oczekiwaniu na nadejście godziny Łukasz, kończąc relację z kuszenia na pustyni, opowiada nam (4,13), że diabeł, trzykrotnie odtrącony, „odstąpił od Niego aż do czasu”* [*Wg. *Biblii Tysiąclecia*] Pozostawił jednak niecierpliwym kilka dróg, żeby mogli wejść z nim w kontakt. Paktować z nim.

- Zaprzedać mu duszę.

Frida Ungern z trudem powstrzymała konfidencjonalny uśmiech. Istna panna Marple plotkująca przy herbatce o sprawach diabelskich. Jeszcze nie słyszałaś najnowszych historii o Szatanie. Brak mi słów, kochana Peggy.

- Diabeł nie jest już tak nieostrożny - odezwała się - jak w okresie naiwnej młodości, kiedy popełniał błędy: raz na jakiś czas któraś dusza wymykała mu się z rąk w ostatniej chwili, podstępnie salwując się ucieczką dzięki miłości, Bożemu miłosierdziu czy innym tego typu wybiegom. Dlatego zdecydował się na klauzulę bezwarunkowego zaprzędania ciała i duszy (po upływie terminu), „bez jakiegokolwiek prawa do odkupienia czy późniejszego odwoływania się do miłosierdzia Bożego...” Klauzula ta oczywiście znajduje się w tej książce.

- Pieski świat - rzekł Corso. - Nawet Lucyfer musi się uciekać do kruczków prawnych.

- Proszę to zrozumieć. Dziś ludzie szachrują wszystkim, duszą też. Klienci diabła wymigują się na wszelkie sposoby, żeby tylko nie dopełnić warunków umowy. Ma tego dosyć, i słusznie.

- Co jeszcze zawiera książka? Co oznacza te dziewięć sztychów?

- Zasadniczo są hieroglifami, które należy odczytać. W połączeniu z tekstem dają potęgę. Zawarta w nich reguła pozwala utworzyć tajemne imię, które przyzywa Szatana.

- To działa?

- Nie. Jest fałszywa.

- Próbowwała pani?

Na twarzy Fridy Ungern odmalował się wyraz zgorznienia.

- Naprawdę wyobraża mnie pan sobie w kręgu magicznym, jak przywołuję Belzebuba? W moim wieku? Niech pan się zlituje... Co z tego, że pół wieku temu przypominał Johna Barrymore'a? Nawet najwięksi amanci się starzeją. Ma pan pojęcie, co oznacza rozczarowanie dla starej kobiety? Wolę pozostać wierna wspomnieniom z młodości.

Szczwany Corso zrobił zdumioną minę.

- Sądziłem, że diabeł i pani... Pani czytelnicy uważają panią za zagorzałą czarownicę.

- A nie mają racji. Moja skłonność do diabła ma podłoże nie emocjonalne, lecz finansowe - spojrzała wokół siebie i w kierunku okna. - Fortunę mego męża przepuściłam na tę bibliotekę, a żyję z praw autorskich.

- Rzecz jasna są to sumy nie do pogardzenia. W działach księgarskich wielkich sklepów rządzi nie kto inny, lecz pani.

- Ale życie też kosztuje, drogi panie Corso. I to niemało, szczególnie kiedy dla zdobycia rzadkich egzemplarzy trzeba dogadywać się z ludźmi pokroju naszego przyjaciela pana Montegrifa. Szatan okazuje się w dzisiejszych czasach po prostu dobrą inwestycją, ot co. Mam siedemdziesiąt lat i szkoda mi czasu na głupie i nieopłacalne imprezy typu Klub Samotnych Serc... Rozumie pan?

Tym razem Corso się uśmiechnął.

- Aż za dobrze.

- Mogę stwierdzić - ciągnęła baronowa - że ta książka jest fałszywa, ponieważ zbadłam ją dogłębnie. Coś w niej nie pasuje: są tu jakieś laguny, białe plamy. Mówię oczywiście w przenośni, bo książka jako taka jest kompletna...

Mój egzemplarz należał do madame de Montespan, kochanki Ludwika XIV, najwyższej kapłanki Szatana, której udało się wpleść rytuał czarnej mszy w dworski rozkład zajęć... Znany jest list pani Montespan do jej przyjaciółki i zauszniczki madame de Peyrolles, w którym narzeka na niedoskonałości pewnej książki: „Zawiera wszystko to, co mędrcy uznali za istotne, a przecież jest jakaś niecisłość, jakaś gra słów, z której w żaden sposób nie można ułożyć właściwego porządku...”

- Do kogo jeszcze należała?

- Do hrabiego Saint-Germain, który sprzedał ją Cazotte'owi.

- Jacques'owi Cazotte'owi?

- Właśnie jemu. Autorowi *Diabła zakochanego*, zgilotynowanemu w 1792 roku... Zna pan tę książkę?

Corso dyskretnie skinął głową. Powiązania były już tak oczywiste, że aż niemożliwe.

- Czytałem kiedyś.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Na korytarzu rozległy się kroki sekretarki, po czym wszystko ucichło.

- Wracając do *Dziewięciorga Wrót* - mówiła dalej baronowa - ślad po nich ginie w Paryżu w czasach Terroru. Później pojawiają się jakieś mgliste wzmianki. Gérard de Nerval wspomina w jakimś artykule, że widział książkę w domu przyjaciela...

Corso zamrugał niedostrzegalnie powiekami.

- Do jego przyjaciół należał Dumas - rzekł podniecony.

- Tak, ale Nerval nie precyzuje, u kogo ją widział. Natomiast na pewno kolejny raz wypłynęła na powierzchnię dopiero podczas wyprzedaży biblioteki pétainowca, kiedy trafiła do moich rąk.

Corso przestał słuchać. Według legendy Gérard de Nerval powiesił się na wstążce od gorsetu pani de Montespan. A może pani de Maintenon?... Tak czy inaczej trudno nie dostrzec związku z paskiem fartucha Enriquego Taillefera.

Te rozmyślania przerwało wejście sekretarki. Ktoś dzwonił do Corsa. Przeprosił na chwilę, minął stoły czytelnicze, przeszedł przez korytarz pełen kolejnych książek i doniczek. W kącie, na stoliku z orzecha, znajdował się stary metalowy telefon. Obok aparatu leżała słuchawka.

- Halo?

- Corso? Tu Irene Adler.

- No jasne - zerknął za siebie w głąb korytarza. Sekretarka już sobie poszła. - Dziwiłem się, że zesłaś z posterunku. Skąd dzwonicz?

- Z baru na rogu. Jakiś mężczyzna obserwuje dom, dlatego tu przyszedłem.

Corso nie odezwał się, tylko powoli wciągnął powietrze. Odszukał zębami skórkę na kciuku przy paznokciu i szarpnął. Wcześniej czy później musiało do tego dojść - pomyślał ze złośliwą rezygnacją. On należy do krajobrazu albo scenografii. Potem zadał pytanie, które od początku uważał za zbyteczne:

- Jak wygląda?

- Brunet, ma wąsy i dużą bliznę na twarzy - w głosie dziewczyny był spokój, ani śladu emocji czy strachu. - Siedzi w szarym BMW zaparkowanym po drugiej stronie ulicy.

- Widział cię?

- Nie wiem. Ale ja jego widzę. Już od godziny tu jest. Wysiadł dwa razy: raz, żeby sprawdzić listę lokatorów, drugi, żeby kupić gazety.

Corso wypluł skórkę z ust i zaczął ssać palec. Czuł się źle.

- Słuchaj. Nie wiem, o co chodzi temu facetowi. Nie wiem nawet, czy należycie do tego samego spisku. Ale nie podoba mi się, że kręci się w pobliżu ciebie. Nic mi się tu nie podoba. Wracaj do hotelu.

- Zwariowałeś, Corso. Pójdę tam, gdzie powinnam iść.

Dodała jeszcze „pозdrowienia dla Treville’a” i odłożyła słuchawkę. Corso zrobił minę na poły rozdrażnioną, na poły sarkastyczną - myślał o tym samym i wcale go nie bawiła ta zbieżność. Dlatego stał jeszcze przez chwilę spoglądając na słuchawkę, zanim odłożył ją na widełki.

No jasne, czytała *Trzech muszkieterów*, przecież miała otwartą książkę, kiedy wyglądał przez okno. W trzecim rozdziale w trakcie audiencji u dowódcy królewskich muszkieterów, pana de Tréville, świeżo przybyły do Paryża d’Artagnan widzi przez okno Rocheforta. Pędząc po schodach w dół potrąca ramię Atosa i pendent Portosa i nadeptuje chustkę Aramis. Pozdrowienia dla Tréville’a. Jeśli żartowała spontanicznie, to brawo. Tyle że Corsowi nie było do śmiechu.

Jeszcze chwilę postął w mrocznym korytarzu i zastanawiał się. Może tego właśnie się po nim spodziewano, że pogna schodami ze szpadą w dłoni, zwabiony przez Rocheforta. Częścią planu mógł być nawet ten telefon. A może oni chcieli mu zacisnąć pętlę, a dziewczyna usiłowała go ostrzec przed tym planem. Jeżeli w ogóle był jakiś plan. I jeżeli - Corso był za stary, żeby dać się pociąć na kawałki za kogokolwiek - dziewczyna grała czysto.

Co za czasy, pomyślał. Pełne absurdu. Po tylu książkach i filmach, po poznaniu tylu poziomów lektury, prawie nie sposób było stwierdzić, czy przed tobą leży oryginał, czy kopia, kiedy gra luster odbija obraz rzeczywisty, kiedy odwrócony, a kiedy ich połączenie. I jakie intencje przyświecają autorowi. Równie łatwo było zaniemówić z wrażenia i zagrać na nosie. Ponownie uświadomił sobie, że bardzo zazdrości praprapradziadkowi z jego wąsami grenadiera i zapachem prochu nad bagnami Flandrii. W tamtej epoce sztandar wciąż jeszcze był sztandarem, Cesarz był Cesarzem, a róża była różą, była różą. Teraz, w Paryżu, jedno w każdym razie wydawało mu się oczywiste: nawet jako czytelnik drugiego stopnia gotów był przystać na tę grę tylko do pewnego momentu. Nie był ani na tyle młody, ani naiwny, ani wysportowany, żeby pędzić i pojedynkować się na terenie wskazanym przez adwersarzy, żeby umawiać się na trzy walki co dziesięć minut u karmelitów bosych czy diabli wiedzą gdzie. Gdyby miał powiedzieć „witam serdecznie”, to postarałby się zbliżyć do Rocheforta od korzystnej dla siebie strony, najlepiej od tyłu i z łomem w dłoniach. Był mu to winien od czasu tamtej uliczki w Toledo, nie licząc nawarstwienia rachunków w Sintrze. Corso należał do tych, co swoje rachunki wyrównują z zimną krwią. I bez pośpiechu.

XI. Na brzegu Sekwany

„Sądzę, iż ta tajemnica uchodzi
za niemożliwą do rozwikłania
właśnie z tego powodu, dla którego
należałoby ją uważać za łatwą do rozwiązania”.

(E.A. Poe, *Zabójstwo przy Rue Morgue*,
przekład Stanisława Wyrzykowskiego)

- Klucz jest dziecinnie prosty - rzekła Frida Ungern - abreviatura identyczna z tą, jaką stosowano w dawnych manuskryptach łacińskich. Może dlatego, że Aristide Torchia większość tekstu przepisał dosłownie z innego rękopisu. Na przykład z legendarnego *Delomelikonu*. Tekst pod pierwszą ilustracją jest oczywisty dla każdego, kto choć trochę liznął języka hermetycznego: *NEM. PERV.T QUI N.N LEG. CERT.RIT* znaczy oczywiście NEMO PERVENIT QUI NON LEGITIME CERTAVERIT. - „Nie trafi tam nikt, kto w walce nie przestrzega reguł...”

Pili już trzecią kawę. Było oczywiste, że przynajmniej z formalnego punktu widzenia Corso został zaakceptowany. Zobaczył, że baronowa z zadowoleniem kiwa głową.

- Bardzo dobrze... Czy jest pan w stanie zinterpretować któryś z elementów na ilustracji?

- Nie - skłamał Corso bez zmużenia oka. Właśnie odkrył, że w tym egzemplarzu warowne miasto, ku któremu zmierzał jeździec, posiadało nie cztery, ale trzy wieże. - Oprócz wymownej miny postaci.

- Właśnie. Zwraca się do adepta z palcem na ustach sugerując milczenie. Chodzi o *tacere* filozofów wiedzy tajemnej. W głębi mur otacza miejskie wieże, czyli tajemnicę. Proszę zwrócić uwagę na to, że drzwi są zamknięte. Trzeba je otworzyć.

Corso w napięciu przerzucił kilka stron, aż dotarł do drugiej ksylografii: pustelnik u innych drzwi, dzierżący klucze w p r a w e j dłoni. Pod spodem napis: *CLAUS. PAT.T.*

- *CLAUSAE PATENT* - odszyfrowała bez trudu baronowa. - „Zamknięte stoi otworem”, czyli zamknięte drzwi... Pustelnik jest symbolem poznania, nauki, wiedzy. Widzi pan, obok niego czarny pies, taki sam jak ten, który podobno towarzyszył Agryppie. Wierny pies... Od Plutarcha po Brama Stokera i jego *Drakulę*, że nie wspomnę o *Fauście* Goethego, czarny pies to jedno z ulubionych wcieleń diabła. Natomiast latarnia przynależy filozofowi Diogenesowi, który gardził potęgami doczesnymi i prosił Aleksandra jedynie o to, by się odsunął i nie rzucał cienia, bo zasłania mu słońce, światło.

- A litera tet?

- Nie jestem pewna - stuknęła delikatnie w kartkę. - Pustelnik z Tarota, bardzo podobny do tego, czasem ma ze sobą węża, czasem kij, który go symbolizuje. W okultyzmie wąż i smok są strażnikami cudownej siedziby, ogrodu albo Runa, i śpią z otwartymi oczyma. Są Zwierciadłem Sztuki.

- *Ars diavoli* - rzekł machinalnie Corso, na co baronowa odpowiedziała zdawkowym, tajemniczym uśmiechem. On w każdym razie miał świadomość - dzięki Fulcanellemu i innym dawno czytany książkom - że określenie Zwierciadło Sztuki odnosiło się nie do demonologii, lecz do alchemii. Zastanawiał się, ile szarlatanerii było w erudycji, jaką popisywała się jego rozmówczyni, i westchnął głęboko. Czuł się jak poszukiwacz złota stojący po pas w wodzie z przetakiem w dłoni. Ostatecznie - wnioskował - pięćset stron bestsellera należało czymś zapełnić.

Ale Frida Ungern była już przy trzeciej ilustracji: - Napis brzmi: *VERB. D.SUM C.S.T ARCAN.*, czyli *VERBUM DIMISSUM CUSTODIAT ARCANUM*. Możemy to przetłumaczyć jako: „Zagubione słowo strzeże tajemnicy”. A i rycina jest znacząca: most, czyli łącznik między brzegiem jasnym i ciemnym. Sens jest oczywisty dla znawców mitologii klasycznej i dla wielbicieli wyścigów planszowych. Most może łączyć ziemię z niebem albo z piekłem, podobnie jak tęcza... Naturalnie żeby na niego wkroczyć, najpierw należy otworzyć warowne wrota, które bronią doń dostępu.

- A łącznik ukryty w chmurach?

Tym razem z trudem opanował własny głos. W egzemplarzach numer Jeden i Dwa na ramieniu łącznika widniał pusty kołczan. W numerze Trzy z kołczanu wystawała jedna strzała. Frida Ungern oparła na niej palec.

- Łuk jest atrybutem Apollina i Diany, promieniem światła Najwyższej Potęgi. Gniewem boga czy też Boga. Jest przeciwnikiem, który czyha na próbujących przekroczyć most - pochyliła się i zaczęła mówić porozumiewawczym szeptem. - Tutaj symbolizuje złowrogi ostrzeżenie. Zniechęca do igrania z tymi sprawami.

Corso skinął głową i odnalazł czwartą ksylografię. Czuł, jak kolejne zasłony w głowie pękają z trzaskiem. Wrota zaczynały się otwierać ze skrzypieniem nader nieprzyjemnym. Teraz miał przed sobą błazna z kamiennym labiryntem. Napis brzmiał: *FOR. N.N. OMN. A.QUE*. Frida Ungern odcyfrowała go jako *FORTUNA NON OMNIBUS AEQUE*: „Szczęście nie dla wszystkich jednakie”.

- Postać odpowiada błaznowi z Tarota - wyjaśniła. - Także islamskiemu głupcowi-wybrańcowi Bożemu. Oczywiście ma też w ręku węża lub zastępującą go laskę... To średniowieczny trefniś i karciany joker. Symbolizuje Przeznaczenie, ślepy los, kres wszechrzeczy, zakończenie spodziewane bądź niespodziewane, w zależności od tego, co pokażą kości. W średniowieczu błazni byli uprzywilejowani: wolno im było robić rzeczy zabronione innym. Mieli za zadanie przypominać panom o nieuchronnej śmierci, o tym, że ich koniec jest równie nieuchronny jak w przypadku pozostałych ludzi...

- Napis głosi coś przeciwnego - wtrącił Corso. - „Szczęście nie dla wszystkich jednakie”.

- Zgadza się. Buntownicy, którzy z narażeniem życia walczą o wolność, mogą wygrać los odmienny. O tym traktuje ta książka, dlatego mamy tu błazna, paradygmat wolności. To jedyny człowiek naprawdę wolny i jednocześnie najmądrzejszy. Wedle filozofów okultyzmu błazen tożsamy jest z Merkuriuszem alchemików, żywym srebrem, Merkury, wysłannik bogów, przeprowadza dusze przez królestwo cieni...

- Przez labirynt.

- Tak. Oto i on - wskazała rycinę. - Jak pan widzi, wejście jest zamknięte.

Wyjście też - pomyślał Corso i zadrżał bezwiednie, po czym przrzucił dziewięć karetek w poszukiwaniu kolejnej ilustracji.

- Ten podpis jest najprostszy - powiedział. - *FR.ST.A*. Tu sam podejmuję się spróbować. Przypuszczam, że brakuje *u* i *r*: *FRUSTRA*. Czyli: „Na próżno”.

- Bardzo dobrze. Dokładnie to jest tu napisane, a alegoria współgra z napisem. Skąpiec przelicza swoje złoto nieświadom obecności Śmierci, która trzyma dwa symbole ostateczne: klepsydrę i widły.

- Czemu widły, a nie kosę?

- Ponieważ śmierć kosi, ale diabeł zbiera zniwo.

Zatrzymali się teraz nad szóstym sztychem, przedstawiającym mężczyznę powieszonoego za nogę na blanku fortyfikacji. Frida Ungern rękami i twarzą zmanifestowała lekkie znużenie, jakby obraz był zbyt oczywisty:

- *DIT.SCO M.R.* oznacza *DITESCO MORI*: „Śmierć mnie wzbogaca” - to zdanie diabeł mógłby wypowiadać z podniesioną głową, prawda?

- Zapewne. Ostatecznie to jego zajęcie - Corso przesunął palcem po ilustracji. - Co symbolizuje wisielec?

- Po pierwsze, dwunaste arkanum Tarota. Są też inne interpretacje. Ja skłaniam się ku odczytywaniu go jako zapowiedzi zmiany poprzez ofiarę... Zna pan Sage o Odynie?

„...Wisiałem na wiatrem owianym drzewie. Przez dziewięć nocy...

Oszczepem zraniony...” [*Pieśni Najwyższego*, przekład Apolonii Załuskiej-Stromberg]

- Całe pole do popisu, jeśli chodzi o skojarzenia - ciągnęła baronowa - Lucyfer, szermierz wolności, cierpi z miłości do człowieka. I dostarcza mu wiedzy poprzez ofiarę, skazując się na siebie samego.

- Co może mi pani powiedzieć na temat siódmej ryciny?

- *DIS.S P. TI.R M.* może się z początku wydawać dosyć zagmatwane. Dostrzegam tu jednak tradycyjne powiedzenie filozofów hermetycznych: *DISCIPULUS POTIOR MAGISTRO*.

- „Uczeń przerasta mistrza”?

- Mniej więcej. Król i żebrak grają w szachy na tej dziwacznej planszy o jednobarwnych polach, a obok czarny i biały pies, czyli Zło i Dobro, walczą zaciekle. W oknie Księżyc, który jest jednocześnie ciemnością i matką. Pamięta pan zapewne to pradawne wierzenie, że po śmierci dusze chronią się na Księżycu. Czytał pan moją *Izis*, prawda?... Czarny to u Kimmerów symboliczny kolor mroku i cienia, to także czerń heraldyczna, to ziemia, noc, śmierć... Czarny kolor Izydy koresponduje z barwami Matki Bożej, pochodnymi od błękitu, które osiadają na Księżycu. Po śmierci wracamy do niej, do ciemności, z której przybyliśmy, zarazem opiekuńczej i niebezpiecznej. Psy i Księżyc mają też inne znaczenie: bogini łowów Artemida, rzymska Diana, słynęła ze sposobu, w jaki mściła się na tych, którzy się w niej zakochali lub usiłowali skosztować jej kobiecości... Chyba wie pan, o czym mówię.

Corsowi przyszła na myśl Irene Adler. Skinął powoli głową.

- Tak. Podglądaczy zamieniała w jelenie i szczuła psami - mimo woli przełknął ślinę. Dwa psy z ryciny, szczepione w śmiertelnej walce, robiły na nim teraz wyjątkowo złowieszcze wrażenie. On i Rochefort? - ...Miały je rozszarpać.

Baronowa spojrzała nań obojętnie. To on dopowiadał kontekst do sytuacji.

- Natomiast sens ósmej ilustracji - podjęła - nietrudno odgadnąć: *VIC. I.T VIR*. wykłada się w postaci pięknej formuły: *VICTA IACET VIRTUS*. Znaczy to: „Cnota spoczywa

pokonana”. Cnotą jest dziewczica, którą ma ściąć ów elegancki młodzian z mieczem i w zbroi. W tle nieubłagane koło Fortuny, czyli Przeznaczenia, kręci się powolutku, ale zawsze wykonuje pełny obrót. Trzy wyobrażone na nim postacie symbolizują trzy etapy określone w średniowieczu słowami *regno* (króluję), *regnavi* (królowałem) i *regnabo* (będę królował).

- I pozostała nam jedna rycina.

- Tak. Ostatnia i najbardziej wymowna. *N.NC SCO TEN.BR. LUX* to bez wątpienia *NUNC SCIO TENEBRIS LUX*: „Teraz wiem, że z mroku światło pochodzi...”. Oto mamy przed sobą scenę z Apokalipsy według świętego Jana. Gdy ostatnia pieczęć została już złamana, gdy Miasto Święte stanęło w płomieniach, gdy dopełnił się czas i wymówione zostało straszliwe imię, czyli liczba Bestii, na siedmiogłowym smoku nadjeżdża triumfująca Wielka Nierządnicza Babilonu...

- Nie jestem pewien - wtrącił Corso - czy warto tyle harować, żeby doczekać się takich okropności.

- Nie w tym rzecz. Wszystkie te alegorie są kompozycjami z kluczem, zagadkami. Podobnie jak w rozrywkach umysłowych do pociągu jedynek, kot i papuga ara mogą oznaczać „jedna kotara”, tak samo i tu: ryciny plus inskrypcje pozwalają, w zestawieniu z tekstem książki, ustalić jakiś ciąg, pewien rytuał. Zakłęcie pozwalające otrzymać magiczne słowo. *Verbum dimissum* czy coś w tym rodzaju.

- I wtedy diabeł ma swoje *entrée*.

- Teoretycznie tak.

- W jakim języku sformułowane jest zakłęcie? Po łacinie, po grecku, hebrajsku?

- Nie wiem.

- A gdzie ta luka, o której wspominała madame de Montespan?

- Już mówiłam, że też nie wiem. Udało mi się jedynie ustalić, że osoba odprawiająca obrzęd musi utworzyć magiczne terytorium, na którym umieści uzyskane słowa w porządku, który nie jest mi znany, ale który da się określić na podstawie tekstu ze stron 158 i 159 *Dziwięciorga Wrót*. Proszę spojrzeć.

Pokazała mu tekst zapisany łącińską abreviaturą. Miejsce to było w książce zaznaczone tekturową fiszką, zapisaną drobnym i spiczastym pismem baronowej.

- Udało się to pani rozszyfrować? - spytał Corso.

- Tak, a przynajmniej tak mi się zdaje - wręczyła mu fiszkę z ołówkowymi notatkami.

- Proszę bardzo.

Corso czytał:

„Zwierz-ouroboros opasuje labirynt,

w którym przekroczysz ośmioro wrót
postępując przed smokiem,
ten zaś odwołuje się do zagadki imienia.
Każde z wrót dwa posiada klucze:
pierwszy jest z powietrza,
drugi zaś z materii,
oba przy tym jedną są rzeczą.
Ułóż materię na skórze węża
w kierunku zachodzącego słońca,
a na jego brzuchu pieczęć Saturna.
Odewrzyj pieczęć po dziewięćkroć,
a gdy zwierciadło drogę ukaże,
uzyskasz zagubione słowo,
które światło sprowadzi z mroków”.

- I co pan na to? - spytała baronowa.

- Jak mi nie, dość niepokojące. Ale nie rozumiem ani jednego słowa. A pani?

- Już mówiłam: niezbyt wiele - zaabsorbowana przerzuciła parę stron. - Mamy tu do czynienia z metodą, z formułą. Coś wszelako jest tu nie tak, jak być powinno. A ja powinnam wiedzieć dlaczego.

Corso nic nie odpowiedział, zapalił tylko kolejnego papierosa. On już znał odpowiedź: klucze pustelnika, piasek w klepsydrze... Wyjście z labiryntu, szachownica, aureola... To nie wszystko. Podczas gdy Frida Ungern objaśniała znaczenie alegorii, Corso zdołał odkryć nowe warianty, które potwierdziły jego hipotezę: każdy egzemplarz różni się od pozostałych. Dał się wciągnąć w grę fałszywych tropów i teraz musiał natychmiast zasiąść do pracy - Ale na pewno nie z baronową nad głową.

- Chciałbym - odezwał się - przyrzeć się jeszcze raz temu wszystkiemu.

- Ależ naturalnie. Nigdzie się nie spieszę. Z przyjemnością popatrzę, jak pan pracuje.

Corso odchrząknął z zakłopotaniem. Tego się obawiał: konfliktu interesów.

- Lepiej pracuje mi się samemu.

Chyba popełnił błąd. Czoło Fridy Ungern się zachmurzyło.

- Obawiam się, że nie zrozumiałam - popatrzyła podejrzliwie na brezentową torbę Corsa. - Pan sugeruje, że miałabym go tu zostawić?

- Proszę panią o to - Corso przetykał ślinę i usiłował jak najdłużej wytrzymać spojrzenie baronowej. - Moje zadanie jest poufne.

Baronowa zamruwała lekko powiekami. To już nie była chmura, ale istna burza, która - łowca książek był tego pewien - mogła się rozpętać dosłownie w każdej chwili.

- Niewątpliwie jest pan bardzo obcesowy - głos Fredy Ungern mógłby zmrozić rośliny w doniczkach. - Ale to jest moja książka i mój dom.

W takiej chwili kto inny uderzyłby w ton przepraszający i podał tyły broniąc się na oślepek - ale nie Corso. Siedział nadal i palił, nie spuszczał wzroku z twarzy baronowej.

W końcu uśmiechnął się przebiegle, niczym królik grający w oczko, który ma właśnie poprosić o kolejną kartę.

- Nie wiem, czy dobrze się wyraziłem - jego uśmiech przybrał nieokreślony wyraz, gdy Corso sięgnął do torby i wyjął jakąś paczkę. - Chciałbym tylko posiedzieć tu chwilę sam na sam ze swoimi notatkami - zabębnił leciutką w torbę, drugą ręką podając baronowej zawiniątko. - Proszę sprawdzić, mam przy sobie wszystko, co potrzeba.

Baronowa rozerwała papier i w milczeniu obejrzała zawartość. Była to publikacja w języku niemieckim (Berlin, wrzesień 1943): gruby oprawny zeszyt pod tytułem *Iden*. Miesięcznik grupy Idus, stowarzyszenia miłośników magii i astrologii, zbliżonego do najwyższych władz Niemiec hitlerowskich. Karteczka włożona przez Corsę zaznaczała zdjęcie, na którym młoda i bardzo piękna Frida Ungern uśmiechała się do fotografa. Rękami - wówczas jeszcze miała obie - obejmowała dwóch mężczyzn. Ten z prawej ubrany był w strój chłopski, a podpis określał go jako osobistego astrologa Führera. Ona sama figurowała jako jego asystentka, szanowna panna Frida Wender. Natomiast osobnik z lewej strony nosił okulary w stalowej oprawce i wyglądał na człowieka nieśmiałego. Ubrany był w czarny mundur SS i nie trzeba było zerkać na podpis, by rozpoznać w nim Reichsführera Heinricha Himmlera.

Kiedy Frida Ungern, z domu Wender, podniosła oczy na Corsę, nie przypominała rozkosznej babuni. Ale trwało to dosłownie sekundę. Już po chwili skinieniem głowy wyraziła zgodę, wrywając jednocześnie zdjęcie z książki i drąc je pieczołowicie na kawałeczki. Corso zaś pomyślał, że wiedźmy, baronowe i staruszki krzątające się wśród książek i doniczek mają, jak zresztą każdy, swoją cenę. *Victa iacet virtus*. I nie był w stanie podać żadnego rozsądnego powodu, by miało być inaczej.

Kiedy został sam, podszedł do stolika, wyjął z torby dossier i zabrał się do pracy. Położył *Dziwięcioro Wrót* otwarte na karcie tytułowej, po czym rozsunął nieco zazdrostki na pobliskim oknie. Po drugiej stronie ulicy parkowało szare BMW - uparty Rochefort stał na warcie. Corso zerknął też w stronę narożnego baru, ale dziewczyny nie zobaczył.

Zajął się więc książką: gatunkiem papieru, drukiem rycin, niedokładnościami, błędami. Wreszcie był pewien, że z formalnego punktu widzenia są identyczne: oprawa z czarnej skóry, bez napisów, pięć zwińców na grzbiecie, pentagram z tyłu, ta sama liczba stron, takie samo usytuowanie rycin... Pieczołowicie, kartka po kartce, uzupełniał tabele porównawcze sporządzone przy badaniu poprzednich egzemplarzy. Między stroną 81 a nie zadrukowanym *verso* piątego sztychu tkwiła kolejna fiszka baronowej. Znalazł na niej odszyfrowany jeden akapit z tejże stronicy:

„Przyjmiesz układ o sojuszu, który ci przedkładam ofiarowując się tobie. A ty przyrzekniesz mi miłość kobiet, kwiat dziewic, cześć mniszek, godności, rozkosze i bogactwa władców, książąt i duchownych. Co trzy dni cudzołożył będę, a błogość będzie mi miłą. Raz do roku hołd ci złożę, by uwierzytelnić niniejszy pakt podpisany krwią moją. Podepczę sakramenty Kościoła i do ciebie zanosić będę modlitwy. Nie straszny będzie mi ni sznur, ni żelazo, ni jad. Śród zadzumionych i trędowatych szedł będę, a ciało me nie stanie się szpetnym. Ale nade wszystko Wiedzę posiędę, za którą najpierwsi rodzice moi wyrzekli się raj. W imię tego paktu wykreślisz mię z księgi życia i wpiszesz do czarnej księgi śmierci. I od tej chwili żył będę na ziemi lat dwadzieścia, szczęśliwy śród ludzi. A potem pójdę za tobą do Królestwa twego, i zlorzeczył będę Bogu.”

Na odwrocie fiszki było jeszcze kilka linijek tekstu z innej strony:

„Rozpoznam sługi twe, a mych braci, poprzez znak odcisnięty na skórze, w jednym lubo też innym miejscu, w postaci blizny albo znamienia twego...”

Corso zaklął cicho z pełną świadomością, jakby mamrotał jakąś modlitwę. Rozejrzał się wokół siebie, przesuwając wzrokiem po książkach, po ich ciemnych, podniszczonych grzbietach, i przez chwilę zdawało mu się, że spomiędzy nich dobiega go dziwny daleki pomruk. Każdy z tych zamkniętych tomów był drzwiami, za którymi szamotały się cienie, głosy, dźwięki, usiłujące dopaść go z jakichś głębokich, ciemnych otchłani.

W tym momencie dostał gęsiej skórki. Jak byle amator.

Zmrok już zapadł, kiedy wyszedł na ulicę. W progu zatrzymał się na moment i rzucił okiem w prawo i lewo, ale nie zauważył nic niepokojącego. Szare BMW odjechało. Od Sekwany podnosiła się mgła, przelewając się przez murek nabrzeża i tocząc po bruku ulicy. Żółtawe lampy latarń oświetlały fragment bulwaru i odbijały się w nawierzchni. Na zalanej światłem ławce nie było śladu po dziewczynie.

Poszedł do baru, ale też jej nie znalazł. Daremnie szukał jej twarzy pośród ludzi stłoczonych przy kontuarze i przy malutkich stolikach. W całej tej łamigłówce jeden element wyraźnie nie pasował. Od chwili gdy dziewczyna ostrzegła go telefonicznie o powrocie Rocheforta, mózg Corsa ustawicznie odbierał niepokojące sygnały alarmowe. Jego instykt łowcy, znacznie wyostrzony dzięki ostatnim wydarzeniom, zwierzył niebezpieczeństwo czające się w tej opustoszałej ulicy, w tej wilgoci, która wstawała z rzeki podpływając aż tu, do drzwi baru. Wzruszył ramionami, jakby chciał się uwolnić od tego nieprzyjemnego wrażenia, kupił paczkę gauloise'ów i bez zmrużenia oka wlał w siebie na miejscu dwa dżiny. Nozdrza zaczęły mu się rozszerzać, a wszystko odnalazło powoli swoje miejsce we wszechświecie, na podobieństwo odzyskanej ostrości w obiektywie. Sygnały alarmowe oddaliły się ku granicy słyszalności, a odgłosy zewnętrzne docierały doń teraz przez stosowne filtry. Z trzecim dżinem w dłoni zajął miejsce przy wolnym stoliku, pod nieco zaparowaną szybą okna. Mógł stąd obserwować ulicę, brzeg rzeki i mgłę przewalającą się przez murek, pełną po nawierzchni i podrygującą, gdy przecinały ją koła pojazdów. Przez kwadrans czyhał na jakiś dziwny znak, trzymając brezentową torbę na podłodze między nogami. Znajdowały się tam odpowiedzi na znaczną część pytań Vara Borjy. Bibliofil nie wyrzucił pieniędzy w błoto.

Przede wszystkim Corso rozstrzygnął kwestię różnic między rycinami. W egzemplarzu numer Trzy odstępstwa wobec pozostałych dwóch dało się zaobserwować w ilustracjach I, III i VI. Na pierwszej twierdza, ku której podążał rycerz, posiadała trzy, a nie cztery wieże. Łucznik z trzeciego sztychu miał w kołczanie strzałę, podczas gdy w numerach Jeden i Dwa kołczan był pusty. Z kolei na szóstej rycinie postać została powieszona za prawą nogę, tymczasem jej bliźniaki w egzemplarzach z Toledo i z Sintry wisiały na powrozie przywiązany do lewej nogi. Zatem tabela porównawcza rozpisana w Sintrze wyglądała obecnie następująco.##Tabela3_i_4

	I	II	III	III	V	VI	VII	VIII	VIII
Jeden	cztery wieże	lewa ręka	brak strzały	zamek wyjś.	piasek u dołu	lewa noga	białe pola	brak aur.	brak różnic
Dwa	cztery wieże	prawa ręka	brak strzały	otw. wyjś.	piasek u góry	lewa noga	czarne pola	jest aur.	brak różnic
Trzy	trzy wieże	prawa ręka	jest strzała	zamek wyjś.	piasek u góry	prawa noga	białe pola	brak aur.	brak różnic

Płynął stąd wniosek, że z wyjątkiem ilustracji VIII w każdej trójce pozornie identycznych zawsze istniała jedna odmienna. Różnice te były rozproszone po wszystkich

trzech egzemplarzach. Ten domniemany nieład nabierał sensu przy zestawieniu z kombinacjami inicjałów A. T. i *L.F.* oraz informacji na temat *inventora*, czyli twórcy ilustracji, i *sculptora*, czyli ich wykonawcy.

	I	II	III	III	V	VI	VII	VIII	VIII
Jeden	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)
Dwa	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)
Trzy	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) LF(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)	AT(s) AT(i)

Porównanie obydwu tabel pozwalało ustalić pewną zbieżność. Każda z rycin, która różniła się od swoich dwóch bliźniaczek, zawierała też różnicę, jeśli chodzi o *inventora*. Oznaczało to, że Aristide Torchia, występując jako *sculptor*, wyźłobił w drewnie wszystkie ksylografie wchodzące w skład książki. Natomiast tylko w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia siedem pojawiał się też jako *inventor*, a więc twórca rysunku. Pozostałe osiem, rozrzucone po trzech egzemplarzach - dwie w numerze Jeden, trzy w numerze Dwa i tyle samo w numerze Trzy - były autorstwa kogo innego, kogoś podpisującego się inicjałami *L.F.* Fonetycznie zbliżonymi do imienia Lucyfer.

Wieże. Ręka. Strzała. Wyjście z labiryntu. Piasek. Noga wiszącego. Szachownica. Aureola. Tu tkwiły błędy. Osiem różnic, osiem właściwych rycin, bez wątplenia skopiowanych z mrocznego *Delomelanikonu*, a dziewiętnaście było bezużytecznymi wariantami, posadzonymi w trzy egzemplarze identyczne co do tekstu i ogólnego wyglądu. Dlatego żadna z książek nie była ani fałszywa, ani prawdziwa. Aristide Torchia wyznał swym katom prawdę, tyle że nie całą. Rzeczywiście została jedna książka, ukryta i ochroniona zarówno przed płomieniami, jak i przed niepowołanymi rękoma. Kluczem były sztychy. Ocalała jedna książka zawarta w trzech, a dla jej rekonstrukcji należało się posłużyć kluczem, regułami Sztuki, o ile uczeń przerósł mistrza.

[Tabela_5_i_6](#)

[Obrazki 201-209.png](#)

Zwilżył wargi dżinem, wpatrując się w mrok nad Sekwaną, od którego oddzielały go światła latarń na kamiennym nabrzeżu i gęste cienie rzucane przez bezlistne drzewa. Jedno

było pewne: nie czuł euforii z powodu tego zwycięstwa. Nawet odrobiny satysfakcji z wykonanej trudnej pracy. Znał świetnie ten stan ducha, ów zimny i jasny spokój, gdy długo poszukiwana książka wreszcie wpadała mu w ręce, gdy zdołał uprzedzić konkurenta, wydobyć trudny do uzyskania egzemplarz albo odnaleźć drobinę złota w stercie makulatury i żużlu. Oczami pamięci ujrzał - kiedy indziej i gdzie indziej - Nikon, jak nakleja nalepki na kasety wideo, kołysząc się w takt muzyki na dywanie koło telewizora (Audrey Hepburn zakochana w rzymskim dziennikarzu) i wpatruje się w Corsa swoimi ogromnymi, ciemnymi oczami, w których życie odcisnęło wyraz nieustającego zdumienia. Był to okres, kiedy w jej spojrzeniu można już było wyczuć surowość i wyrzut, zapowiedź samotności, która zawisała nad nim jak nieunikniony dług do spłacenia tego i tego dnia. Myśliwy przy upolowanej sztuce, jak powiedziałaaby cicho Nikon, może zdziwiona własnym odkryciem. Niewykluczone, że tamtego wieczoru zobaczyła go takim po raz pierwszy: Corsa-złowrogiego wilka, dyszącego nad długo ściganą i już pogardzaną zdobyczą. Łupieżcy pozbawionego głodu czy namiętności, obojętnego na widok mięsa i krwi. Nie chciał złowić króliczka, tylko gonić go. Jesteś martwy jak twoje ofiary, Lucasie Corso. Jak ten kruchy, wyschły papier, z którego uczyniłeś swój sztandar. Te zakurzone trupy, których nie potrafisz pokochać, nawet do ciebie nie należą i guzik mnie obchodzi, czy coś dla ciebie znaczą.

Przemknęło mu przez myśl ulotne pytanie, jak oceniłaby Nikon to, co w tej chwili czuł. Łaskotanie w pachwinach, suchość w ustach, na którą nie pomagał nawet dzin. Siedział nad małym stolikiem w barze i obserwował ulicę nie mogąc zdecydować się na wyjście, bo tu, pogrążony w dymie papierosowym i gwarze rozmów, był chwilowo z dala od mrocznego, nienazwanego i nieokreślonego zagrożenia, które jednak usiłowało go dopaść poprzez miękki kaftan z dzinu i złowieszczej mgły znad Sekwany. Jak na tamtych czarno-białych moczarach w Anglii. Nikon potrafiłaby to docenić. Basil Rathbone, nieruchomy i czujny, słucha dobiegającego z oddali wycia psa Baskerville'ów.

Wreszcie podjął decyzję. Dopił ostatnią szklankę, rzucił na blat parę monet, przewiesił torbę przez ramię i wyszedł na ulicę postawiwszy kołnierz płaszcz. Rozglądał się przechodząc przez jezdnię, a kiedy dotarł do ławki, na której jakiś czas temu siedziała pochłonięta lekturą dziewczyna, ruszył lewym brzegiem tuż przy murku. Żółtawe światła wpływającej pod most barki oświetliły go od dołu, tworząc wokół jego sylwetki lepką od brudu aurę.

Brzeg i bulwary nad Sekwaną były zupełnie puste. Z rzadka przejeżdżał jakiś samochód. Mijając wąski zaułek Conti zamachał na jakąś taksówkę, która jednak się nie

zatrzymała. Doszedł do wysokości ulicy Guenegaud, zamierzając przejść przez Pont-Neuf w stronę Luwru. Mgła i ciemne fasady domów tworzyły posępną, pozaczasową scenierię. Zdjęty szczególnym niepokojem niczym wilk wietrzący niebezpieczeństwo, Corso węszył we wszystkie strony. Przewiesił torbę, chcąc uwolnić prawą rękę, i zatrzymał się, patrząc wokół niepewnie. Dokładnie tutaj - rozdział XI: *Zawiązek intrygi* - d'Artagnan ujrzał, jak z ulicy Dauphine wyłania się Konstancja Bonacieux, zmierzająca tym samym mostem także do Luwru, w towarzystwie kawalera, który okazał się księciem Buckingham. Nocna przygoda mogła kosztować tego ostatniego cios szpadą d'Artagnana:

„- Milordzie... kocham i jestem zazdrosny.” [A Dumas, *Trzej muszkieterowie*, przekład Joanny Guze]

Może całe to niebezpieczeństwo było zmyśleniem, perfidną pułapką zastawioną przez nadmierną liczbę lektur i nieprzyjazne otoczenie. Tyle że ani telefonu dziewczyny, ani szarego BMW przed drzwiami nie zgotowała mu wyobraźnia. Daleki zegar zaczął oddzwaniać godzinę. Corso westchnął głęboko. Wszystko to było śmieszne.

I w tym momencie rzucił się na niego Rochefort. Jakby powstał z cienia lub wynurzył się z rzeki, chociaż w rzeczywistości szedł za nim dołem, tuż nad wodą, i w ostatniej chwili wspiął się po schodkach wiodących na ulicę.

Corso zrozumiał to, kiedy staczał się po nich ku nabrzeżu. Nigdy dotąd nie spadał turlając się w ten sposób i sądził, że to zazwyczaj trwa dłużej, jak w kinie, stopień po stopniu czy jakoś tak. A tu wszystko odbyło się w mgnieniu oka. Po pierwszym, bardzo fachowym uderzeniu zaciśniętą pięścią w prawe ucho noc zmętniała, a bodźce zewnętrzne odpłynęły, jakby Corso wchłonął właśnie całą flaszkę dżinu. Dzięki temu nie odczuł zbyt mocno bólu, tocząc się po krawędziach kamiennych stopni. U kresu tej podróży był obolały, ale przytomny i nieco zdziwiony, że nie usłyszał conradowskiej onomatopei - *splash!* - co za absurdalne skojarzenie. Myślał, że wpadnie do wody. Leżąc z twarzą na mokrych kamieniach nabrzeża i stopami na najniższych schodkach, spojrzął w górę. Niewyraźna sylwetka Rocheforta sadziła w dół po trzy stopnie, prosto ku niemu.

Masz przesrane, Corso - ta jedna myśl mgliście przemknęła mu przez głowę. Zdołał zrobić dwie rzeczy: najpierw wymierzył kopniaka tamtemu, w chwili gdy spadał na niego. Niestety kopnął za słabo, ruch zawisł w próżni. Wobec takiego obrotu rzeczy pozostał stary, wypróbowany sposób: sformować czworobok, aż ogień nieprzyjacielski ucichnie o zmierzchu. Mimo nadrzecznej wilgoci i własnej, prywatnej ciemności - zgubił w starciu okulary - zdobył się na uśmiech. Gwardia umiera, a na domiar złego zlatuje ze schodów. Sformował więc czworobok kuląc się do pozycji bolidu i chroniąc torbę, która wciąż zwisała

mu z ramienia, a może je oplątywała. Kto wie, może praprapradziadek Corsa docenił go znad drugiego brzegu Lete... Gorzej, że Rochefort nie miał chyba nastroju do podziwiania jego manewrów. Problem polegał na tym, że na wzór Wellingtona był wciąż iście po brytyjsku skuteczny. Corso dosłyszał z oddali okrzyk bólu - dobywający się, jak mniemał, z jego własnego gardła - gdy tamten wymierzył mu ostry i precyzyjny cios w krzyż.

Ta historia nie miała przyszłości, więc łowca książek z rezygnacją zamknął oczy, czekając, aż ktoś przewróci kartkę. Czuł już na karku oddech Rocheforta, który najpierw wymacał torbę, a później gwałtownie szarpnął za pasek. Corso znów otworzył oczy. W polu widzenia zamajaczyły mu schody, ale ponieważ leżał z twarzą na bruku nabrzeża, miał je przed sobą przekrzywione o dziewięćdziesiąt stopni i zamazane. Dlatego z początku nie był w stanie stwierdzić, czy dziewczyna schodzi, czy wchodzi. Dostrzegł jedynie, że mknie niewiarygodnie szybko, że długie nogi w dżinsach skaczą błyskawicznie, a błękitna kurteczka, którą właśnie zrzuciła, szybuje w powietrzu, a raczej w stronę zamglonego rogu ekranu, niby płaszcz upiora z Opery.

Zamrugnął oczami zaciekawiony, chcąc wyostrzyć obraz, i lekko odwrócił twarz, by widzieć lepiej całą scenę. Zobaczył dzięki temu kątem oka, jak przekręcony Rochefort wzdrygnął się, gdy tymczasem dziewczyna, która jednym skokiem pokonała ostatnie stopnie, rzuciła się nań z krótkim okrzykiem, suchym, ale twardym i ostrym jak odłamek złotej szyby. Usłyszał głuchy odgłos - *paf*, a może *tump* - i Rochefort znikł z pola widzenia, jakby go właśnie odholowano. Teraz Corso zobaczył tylko puste, przekrzywione schody, wobec czego z wysiłkiem zwrócił głowę ku rzece, przywierając policzkiem do kamieni. Obraz nadal był zachwiany: ziemia z jednej strony, ciemne niebo z drugiej, most niżej niż rzeka. Ale przynajmniej widać było Rocheforta i dziewczynę. Przez ułamek sekundy jej nieruchoma sylwetka rysowała się na tle zamglonych latarni mostu: nogi rozstawione, ręce przed sobą, jakby domagała się chwili ciszy, by wysłuchać jakiejś wyjątkowo interesującej melodii dobiegającej z oddali. U jej stóp zobaczył Rocheforta z jednym kolaniem i jedną ręką na ziemi, na podobieństwo boksera, który nie może się zdecydować, czy wstać, a tymczasem sędzia odlicza już osiem, dziewięć, dziesięć... Światła mostu wydobyły z mroku bliznę na twarzy. Corso zdołał przyjrzeć się jego otępiałej gębie, zanim dziewczyna znów wydała ten suchy okrzyk, ostry jak nóż, zakołysała się na jednej nodze i uniosła drugą. Półkolistym ruchem stopy, który najwyraźniej nie sprawił jej najmniejszego trudu, wymierzyła Rochefortowi potworny cios w twarz.

XII. Buckingham i Milady

„Zbrodni tej dokonano przy współudziale kobiety”.

(J.M. Eça de Queiroz, Tajemnica drogi do Sintry)

Siedząc na najniższym stopniu schodów, Corso usiłował zapalić papierosa. Ciągle jeszcze był zbyt zamroczony, żeby odzyskać orientację w przestrzeni, dlatego zapałka i koniec papierosa długo nie mogły się spotkać. Co gorsza szkiełko w okularach miał popękane, więc musiał mrużyć jedno oko, by cokolwiek zobaczyć drugim. Kiedy płomyk rozblęsnął mu między palcami, upuścił zapałkę i siedział z papierosem w ustach. W tej samej chwili dziewczyna, która zdołała pozbić całą zawartość torby rozrzuconą po nabrzeżu, podeszła do niego.

- Dobrze się czujesz?

Było to zupełnie obojętne pytanie, wyprane z troski czy niepokoju. Z całą pewnością była zła, że mimo ostrzeżenia telefonicznego Corso dał się zaskoczyć jak dziecko. Zmieszany skinął pokornie głową. Mimo wszystko pocieszające było wspomnienie wyrazu twarzy Rocheforta na moment przed zainkasowaniem należności.

Dziewczyna wymierzyła kopniaka z całą precyzją i okrucieństwem, aczkolwiek potem - kiedy leżał twarzą do góry, kiedy wstał obolały, bez słowa, i poczłapał, nie usiłując się odegrać - znikła cała jej furia. Zajęta pakowaniem torby, nie spojrzała nawet za nim. Gdyby Corso miał coś do powiedzenia, to poszedłby za nim i skrzył mu kark bez chwili namysłu, dowiedziawszy się wprzód o wszystkim, co tamten wiedział o całej intrydze.

Nie miał jednak siły wstać, a zresztą czy ona by mu pozwoliła? Rochefort był załatwiony, teraz obchodziła ją tylko brezentowa torba.

- Czemu go puściłaś?

W oddali majaczyła w mroku utykająca postać. Po chwili znikła za załomem nabrzeża, wśród przycumowanych barek, we mgle sprawiających wrażenie okrętów. Corso widział oczyma duszy człowieka z blizną, jak z podkulonym ogonem wycofuje się

grzechocząc resztkami powybijanych zębów i zapytując sam siebie, jak to możliwe, żeby dziewczyna mogła mu zrobić coś takiego. Poczł mściwą satysfakcję.

- Mogliśmy tego skurwiela zmusić do mówienia - jęknął.

Poszła po kurteczkę. Po chwili usiadła obok niego na schodku i chwilę milczała. Była chyba zmęczona.

- Wróci do nas - rzekła, popatrzyła na Corsa, a potem na rzekę. - Postaraj się następnym razem zachować więcej ostrożności.

Wyjął z ust mokrego papierosa i zaczął obracać go palcami, krusząc na kawałki.

- Myślałem, że...

- Wszyscy faceci myślą, że. A w końcu dostają po gębie.

W tym momencie zobaczył, że dziewczyna została zraniona. Nic wielkiego: cienka strużka krwi płynąca od nosa przez górną wargę ku podbródkowi.

- Krew ci leci z nosa - palnął idiotycznie.

- Wiem - odpowiedziała obojętnie. Dotknęła tylko palcami ust i spojrzała przelotnie na ślad krwi.

- Jak ci to zrobił?

- Właściwie to tak jakbym sama sobie zrobiła - otarła palce o spodnie. - Najpierw spadłam na niego. Zderzyliśmy się.

- Kto cię tego nauczył?

- Czego?

- Widziałem cię nad wodą - Corso nieporadnie naśladował jej ruchy rękami. - Przyrznęłaś mu.

Uśmiechnęła się nieznacznie, po czym wstała, otrzepując sobie z tyłu dzinsy.

- Kiedyś walczyłam z archaniołem. On wygrał, ale podpatrzyłam jego sztuczki.

Teraz, z tym krwawiącym nosem, wydawała się młodziutka. Przewiesiła torbę przez ramię i wyciągnęła rękę, pomagając mu zebrać się w sobie. Zaskoczyła go siła jej uścisku. Kiedy stanął na nogi, poczuł, że wszystkie kości go bolą.

- Zawsze myślałem, że archaniołowie walczyli za pomocą kopii i mieczów.

Wciągała krew przez nos przechylając głowę do tyłu, aby powstrzymać krwotok. Spojrzała nań z ukosa, z politowaniem.

- Za dużo się naoglądałeś sztychów Dürera, Corso. Ot co.

Poszli bez przygód przez Pont-Neuf i dziedzińcem Luwru aż do hotelu. Po drodze w świetle jakiejś latarni dostrzegł, że dziewczyna ciągle krwawi. Wyciągnął z kieszeni chustkę,

ale kiedy chciał jej pomóc, zabrała mu ją i sama przyłożyła sobie do nosa. Szła zatopiona w myślach, których Corso nie potrafił przeniknąć, choć przyglądał się jej ukradkiem: długiej, odsłoniętej szyi, doskonałemu profilowi, skórze matowej w mglistym świetle latarni Luwru. Podążała z torbą na ramieniu, lekko przekrzywiając głowę, co przydawało jej zdecydowania i uporę. Czasem, gdy dochodzili do jakiegoś ciemnego narożnika, jej oczy strzelały bacznie w obie strony, a ręka przytrzymująca chustkę opadała na bok, pełna czujnego napięcia. Kiedy dotarli do oświetlonych arkad ulicy Rivoli, dziewczyna wyraźnie się rozluźniła. Z nosa już jej nie leciało, więc oddała mu chustkę poplamioną zaschniętą krwią. Nawet humor jej się poprawił. Już nie robiła Corsowi wyrzutów, że dał się zaskoczyć jak matoł. Kilka razy położyła mu też dłoń na ramieniu, zupełnie odruchowo, jakby byli dwojgiem przyjaciół wracających ze spaceru. Robiła to w sposób jak najbardziej naturalny. Może też była zmęczona i potrzebowała oparcia. Początkowo Corsowi się to podobało. Spacer przywrócił mu jasność umysłu. Potem jednak był coraz bardziej zakłopotany. Dotknięcie jej ręki budziło w nim przedziwne uczucie, nawet przyjemne, ale niespodziewane. Czuł, że mięknie w środku.

Grüber miał tej nocy dyżur. Na widok wchodzących, pobrudzonego, mokrego płaszcza i częściowo potłuczonych okularów łowcy książek oraz poplamionej krwią twarzy dziewczyny zareagował krótkim, badawczym spojrzeniem, ale nie dał po sobie poznać zdziwienia. Uniósł tylko w milczeniu brew i uprzejmie pochylił głowę, oddając się Corsowi do dyspozycji, ten jednak uspokoił go jednym gestem. Recepcjonista wręczył mu oba klucze, do których dołączył list w kopercie. Wsiadłszy do windy Corso już chciał otwierać kopertę, kiedy znów zobaczył świeżą krew na twarzy dziewczyny, wsunął więc list do kieszeni i ponownie wyciągnął chustkę. Kiedy winda stanęła na jej piętrze, zaproponował, że zadzwoni po lekarza, ale dziewczyna odmówiła ruchem głowy. Po chwilowym wahaniu poszedł za nią, obserwując ślady krwi na wykładzinie. W pokoju kazał jej usiąść na łóżku, po czym wszedł do łazienki i zmoczył wodą ręcznik.

- Połóż go na karku i odchyl głowę do tyłu.

Posłuchała go bez szemrania. Wyglądało na to, że wraz z upływem krwi ulotniła się cała energia, jaką wykazała się tam nad rzeką. Zdjął jej kurteczkę i buty i pomógł położyć się na łóżku, złożony uprzednio poduszkę na pół. Pozwalała na wszystko jak ledwie żywe dziecko. Zanim zgasił wszystkie światła oprócz lampy w łazience, postanowił zlustrować cały pokój. Poza szczoteczką i tubą pasty do zębów oraz niewielką flaszeczką szamponu koło lustra nad umywalką cały dobytek dziewczyny składał się chyba z pelerynki, otwartego plecaka zostawionego na krześle, pocztówek kupionych poprzedniego dnia razem z *Trzema*

muszkieterami, szarego wełnianego swetra, paru koszulek bawełnianych i białych majteczek suszących się na kaloryferze. Zakłopotany znów spojrział na dziewczynę. Wahał się, czy ma usiąść na brzegu łóżka, czy gdzieś indziej. Dziwne przecucie, jakiego doświadczył na ulicy Rivoli, ciągle dawało o sobie znać uciskiem w żołądku. Na pewno nie mógł jej w takim stanie opuścić.

W końcu zdecydował, że będzie stał. Dłonie wcisnął w kieszenie płaszcza, wyczuwając w jednej z nich pustą butelkę po dżinie. Rzucił pożądliwe spojrzenie na minibarek, wciąż zapieczętowany banderolką. Ileż by dał za jeden łyżeczek...

- Niezła byłaś tam na brzegu - powiedział ot, tak sobie. - Nawet ci nie podziękowałem.

Na przekór słabemu i sennemu uśmiechowi jej pogrążone w półmroku źrenice bacznie śledziły każdy gest Corsa.

- O co tu chodzi? - spytał.

Na jego spojrzenie odpowiedziała nieco ironiczną miną, dając do zrozumienia, że pytanie jest idiotyczne.

- Najwyraźniej chcą ci coś zabrać.

- Rękopis Dumasa? *Dziewięcioro Wrót*?

Dziewczyna lekko westchnęła, jakby mówiła „może przypisujesz tym sprawom nadmierne znaczenie”.

Wreszcie odezwała się:

- Spryciarz z ciebie, Corso. Na pewno masz jakąś teorię.

- Mam aż za wiele. Brakuje mi dowodów.

- Dowody nie zawsze są konieczne.

- Ale tylko w powieściach kryminalnych. Taki Sherlock Holmes albo Poirot mogą sobie po prostu wyobrazić, kim jest zabójca i w jaki sposób popełnił zbrodnię. Potem dokomponują resztę i opowiadają tak, jakby wszystko zdarzyło się naprawdę. Wtedy Watson albo Hastings biją z podziwu brawo i mówią: „Świetnie, mistrzu, tak właśnie było”. A zabójca, kretyn skończony, wyznaje prawdę.

- Ja też jestem gotowa bić brawo.

Tym razem w jej głosie nie było śladu ironii. Patrzyła nań z uwagą, oczekując jakiegoś słowa czy gestu.

Poruszył się niespokojnie.

- Wiem - odpowiedział. Dziewczyna spoglądała mu prosto w oczy, jakby rzeczywiście nie miała nic do ukrycia. - I zastanawiam się dlaczego.

Miał jeszcze dodać: „To nie jest powieść kryminalna, tylko realne życie”, ale zamilkł - ta historia zabrnęła w takie rejony, gdzie granica między rzeczywistością a fikcją poważnie się zatarła. Corso, istota z krwi i kości, z paszportem i znanym adresem, z fizycznością, która teraz, po incydencie na nabrzeżu, przypominała o sobie bólem w całym ciele - ten Corso coraz bardziej ulegał pokusie postrzegania siebie jako realnego bohatera w świecie nierzeczywistym. Co zresztą, psiakrew, niewiele wyjaśniało: stąd już tylko krok do podejrzenia, że jest postacią nierealną, która uważa się za realną w świecie fikcji. Ten jeden krok dzielił po prostu zdrowie psychiczne od fioła. Zastanawiał się, czy nie jest czasem tak, że jakiś porąbany pisarz albo pijany scenarzysta wymyśla go właśnie jako fikcyjnego bohatera, który uważa się za postać fikcyjną w świecie fikcyjnym. To już byłby szczyt wszystkiego.

Od tego rozumowania kompletnie zaschło mu w gardle. Stał przed dziewczyną z rękami w kieszeniach i skrawkiem papieru ściernego zamiast języka. Gdybym był fikcyjny - pomyślał z ulgą - to włosy stanęłyby mi dęba na głowie, zakrzyknąłbym: Nieszczęście!, a pot zrosiłby mi czoło. Ale nie chciałoby mi się tak pić. Piję, więc jestem. Ruszył tedy czym prędzej w stronę barku, rozerwał banderolę i przyssał się do flaszki z dżinem. Doszedł do siebie. Prawie się uśmiechał, kiedy zamykał minibarek gestem, jakim ksiądz zamyka tabernakulum. Powoli wszechświat wracał do właściwych proporcji.

W pokoju panował półmrok. Na łóżko i leżącą na nim postać padała ukośna smuga słabego światła z łazienki. Popatrzył na boscie stopy dziewczyny, na nogi w dżinsach, na koszulkę z plamami krwi. Wreszcie zatrzymał się na długiej, opalanej, odsłoniętej szyi. W lekko otwartych ustach lśniły czubki białych zębów. Oczy miała wciąż utkwione w niego. Wymacał dłonią klucz do swego pokoju i przełknął ślinę. Trzeba iść.

- Lepiej się czujesz?

Skinęła głową bez słowa. Corso zerknął na zegarek, chociaż niewiele go obchodziła godzina. Chyba nie włączał radia po przyjściu, a przecież skądś dobiegały dźwięki muzyki. Melancholijnej piosenki po francusku. O jakiejś dziewczynie w barze portowym, zakochanej w nieznanym marynarzu.

- No dobra. Czas na mnie.

Kobięcy głos dalej płynął z radia. Marynarz - jak się okazało - odpłynął na zawsze, a barmanka kontemplowała pusty stółek i mokry ślad po jego szklance na blacie. Corso zbliżył się do stolika nocnego, wziął chustkę i czystym rogiem przetaił całe szkło w okularach. Wówczas zobaczył, że dziewczynie nadal leje się z nosa.

- Znowu - powiedział.

Strużka krwi spływała po górnej wardze do kącika ust.

Dziewczyna podniosła dłoń do twarzy i uśmiechnęła się, patrząc ze stoickim spokojem na powalane palce.

- Nie szkodzi.

- Lekarz powinien to obejrzeć.

Przymknęła powieki i łagodnie pokręciła głową. W tym półmroku, na poplamionej poduszce, wydawała się uosobieniem bezradności. Trzymając ciągle okulary w garści, usiadł na łóżku i przysunął jej chustkę do twarzy. Kiedy się pochylił, jego cień na ścianie ostatecznie uległ w walce światła z ciemnością i rozmył się w mrocznym kącie.

I wtedy dziewczyna zrobiła coś dziwnego i nieoczekiwanego. Nie zwracając uwagi na podawaną chustkę, wyciągnęła zakrwawioną rękę i dotknęła jego twarzy, pozostawiając na niej cztery czerwone linie od czoła po podbródek. Po tej szczególnej pieszczocie wilgotna i ciepła dłoń znieruchomiała i przylgnęła do jego skóry, po której spływały teraz cztery krople krwi. W jasnych tęczęwkach odbijało się światło zza drzwi. Corso zadrżał, widząc tam również refleks swojego zagubionego cienia.

W radiu leciała już inna piosenka, ale przestali jej słuchać. Dziewczyna pachniała ciepłem i gorączką, jej naga szyja pulsowała słabym tętnem. W pokoju wirowały plamy światłocienia, w którym wszystko zatraciło kontury. Mruknęła coś cichuteńko i niewyraźnie i przesunęła dłoń na kark Corsa, znacząc ten ruch pasmami krwi. W jej oczach zamigotały iskierki. Mając na języku smak tej krwi, schylił się ku jej czułym, rozchylonym ustom, skąd dobywał się teraz cichy jęk, powolny, monotony, odległy i pradawny. Przez owo mgnienie, kiedy Lucas Corso czuł pulsowanie jej ciała, przeżył wszystkie swoje dotychczasowe śmierci, jak gdyby przyniosła je ciemna, leniwa rzeka o wodach gęstych jak werniks. I nagle pożałował, że nie potrafi nadać jej żadnego imienia, by je wytatuować w świadomości na pamiątkę tej chwili.

Trwało to dosłownie sekundę. Teraz łowca książek siedział z uśmiechem głupawej fascynacji, ciągle w płaszczu, na brzegu łóżka, ona tymczasem cofnęła się nieco i wygiąwszy biodra na podobieństwo ślicznego zwierzątka odpięła guzik dzinsów. Patrzył na nią życzliwymi oczami, w których była i wyrozumiałość, i sceptycyzm, i zmęczenie. Czasami pozwalał sobie na taką kombinację, w której więcej było zaciekawienia niż pożądania. Zamek błyskawiczny poszedł w dół i teraz przed oczami Corsa pojawił się ciemny trójkąt skóry ostro kontrastujący z bielą bawełnianych majteczek, których dziewczyna pozbyła się razem ze spodniami. Długie, opalone, wyciągnięte na łóżku nogi pozbawiły Corsa - ściślej: obu Corsów - tchu, podobnie jak wcześniej pozbawiły Rocheforta zębów. Teraz podniosła ręce i zdjęła

koszulkę. Uczyniła to w sposób całkiem naturalny, ani zalotnie, ani z wyrachowaną obojętnością, wpatrując się w niego rozkosznie, póki koszulka nie zasłoniła jej twarzy. Tu kontrast był jeszcze większy. Spod białej bawełny ukazała się ogorzała skóra, jędrne ciało, smukła talia, pełne, doskonałe piersi ślicznie wymodelowane przez grę światła i cieni, dół szyi, lekko otwarte usta i znowu oczy, w których ujrzał cały blask odebrany niebiosom. I własny cień, uwięziony niczym zaklęta dusza w dwóch szklanych kulach albo szmaragdach.

Od tej chwili był całkowicie pewien, że mu się nie uda. Jedno z tych ponurych przeczuć, które zawczasu znaczą niektóre wydarzenia znamieniem nieuniknionej klęski. Ujmijmy rzecz bardziej prozaicznie: Corso stwierdził, zrzucając resztę ubrania na płaszczyznę leżący już w nogach łóżka, że erekcja, jakiej doświadczył przy pierwszych bodźcach, teraz zanikała. Za wcześnie na sianokosy. Jakby powiedział praprapradziadek bonapartysta, *la Garde recule*. I to na amen. Poczul nagle niepokój, aczkolwiek jego obecne zwiotczenie mogło pozostać niezauważone, bowiem dokładnie zasłaniał światło z łazienki. Nadzwyczaj ostrożnie położył się twarzą na tym ciepłym, smagłym ciele, które czekało nań w półmroku, i postanowił zastosować to, co na błotnistym gruncie Flandrii Cesarz określał jako taktykę zbliżenia pośredniego. Badał teren z półdystansu, unikając zwarcia w rejonach krytycznych. Na z góry upatrzonych pozycjach wyczekiwał, aż Grouchy nadejdzie z posiłkami, a tymczasem pieścił dziewczynę, całując ją niespiesznie w usta i szyję. Nic z tego. Po Grouchym nie było śladu. Ten cholerny dmuchacz szkła ganiał teraz Prusaków gdzieś daleko od pola bitwy. Niepokój Corsa przerodził się w panikę, kiedy dziewczyna przylgnęła do niego, wsunęła wspaniałe, rozpalone udo między jego nogi i zdała sobie sprawę z ogromu katastrofy. Zobaczył, że uśmiechnęła się niepewnie, jakby chciała powiedzieć: dzielny wojaku, wiem, że dasz sobie radę. Pocałowała go z niewysłowioną namiętnością i sięgnęła dłonią w dół, żeby przyjść mu z pomocą. Dokładnie w chwili, gdy poczuł jej dotyk w epicentrum tragedii, zatonął zupełnie. Jak Titanic. Pikował w dół bez zmiłowania. Orkiestra gra, kobiety i dzieci najpierw. Nastąpiło dwadzieścia minut agonii, podczas których jeszcze raz przeżywa się wszystkie najczarniejsze chwile życia. Bohaterskie wycieczki przeciwko niewzruszonym oddziałom strzelców szkockich. Piechota uszykowana do szturm z trudem dostrzegała szansę zwycięstwa. Samorzutne wypadki strzelców i lekkiej piechoty jako daremne próby zaskoczenia nieprzyjaciela. Potyczki huzarów i opieszale szarże kirasjerów. Wszystkie te próby kończyły się tak samo: Wellington, nie zagrożony w tej belgijskiej wiosce, dokazywał, ile wlezie, a szef orkiestry wojskowej wygrywał Corsowi przed nosem marsz Szarej Piechoty Szkockiej. Tymczasem Stara Gwardia, a raczej to, co z niej zostało, rzucała okiem w prawo i w lewo, zaciskając zęby i oddychając ciężko w prześcieradła i w

zegarek, który na nieszczęście ciągle miał na ręku. Spomiędzy włosów spływały mu po karku krople potu wielkie jak pięść. Rozpaczliwie rozglądał się ponad ramionami dziewczyny w poszukiwaniu pistoletu, z którego mógłby wypalić sobie w łeb.

Spała. Starając się za wszelką cenę jej nie zbudzić, sięgnął do kieszeni płaszcza po papierosa. Zapalił, oparł się na łokciu i zaczął się jej przyglądać. Leżała na wznak, naga, z głową odchyłoną do tyłu na poduszce poplamionej zaschłą krwią. Oddychała spokojnie przez na wpół otwarte usta. Nadal unosił się nad nią zapach gorączki i rozgrzanego ciała. Corso delektował się widokiem jej nieruchomych, wspaniałych kształtów, rysujących się w słabym odblasku z łazienki. Uznał ją za arcydzieło inżynierii genetycznej, sam siebie zapytywał, jaka mieszanka krwi, a może zagadek, śliny, skóry, ciała, nasienia i przypadku doprowadziła do powstania łańcucha, którego kulminację miał przed sobą. W niej, w tym osiemnastoletnim, może dwudziestoletnim stworzeniu, ucieleśniły się wszystkie kobiety, wszystkie samice gatunku ludzkiego. Dostrzegł pulsowanie krwi w szyi i niemal niezauważalne tętno serca, krzywą i delikatną linię, która wiodła przez mięśnie pleców ku talii i rozszerzała się na wysokości bioder. Wyciągnął dłoń i czubkami palców pogładził kędzierzawy trójkącik tam, gdzie skóra robiła się trochę jaśniejsza, między udami, w miejscu, gdzie nie udało mu się rozbić obozu, jak Pan Bóg przykazał. Dziewczyna rozładowała sytuację nadzwyczaj zręcznie, nie przydając sprawie wielkiego znaczenia i przechodząc taktownie do subtelnej, zrozumiałej dla obojga gry. Wreszcie pojęła, że w tym starciu nie wykrzesze z Corsa więcej ognia. Dzięki temu rozładowała nieco napięcie, a przynajmniej zapobiegła sytuacji, w której Corso, pozbawiony żądła (w końcu czyż nie dobija się koni?), mógł rozwalić sobie łeb o kant nocnego stolika. Alternatywą, jaką dostrzegł w zaślepieniu, było walenie pięścią w ścianę, ale w połowie zamarkował gest, inaczej strzaskałby sobie zupełnie knykie. Wystraszona patrzyła na ten nagły ruch, zaskoczona niespodziewanym napięciem, jakiemu się poddał. Na pewno ból i wysiłek, na jaki się zdobył powstrzymując krzyk, uspokoiły go trochę, na tyle przynajmniej, że wymusiwszy na sobie krzywy półuśmiech mruknął, iż taka sytuacja zdarza mu się tylko przez pierwsze trzydzieści razy. Rozbawiona i pełna czułości zaczęła się śmiać, całując go w oczy i w usta. Ty idioto, to nie jest wcale ważne. Wcale a wcale. Zrobił więc jedyną rzecz, do jakiej w tym momencie był zdolny: przystąpił do pieczołowitej manipulacji zręcznymi palcami w stosownym miejscu. Efekt może nie był chwalebny, ale przynajmniej zadowalający. Kiedy już odzyskała oddech, długo patrzyła nań w milczeniu, po czym przywarła ustami do jego ust w niespiesznym, dokładnym pocałunku. Stopniowo siła jego malała, aż wreszcie dziewczyna usnęła.

Żar papierosa oświetlał palce Corsa. Wstrzymywał dym w płucach, jak mógł najdłużej, by naraz wypuścić go gwałtownie i patrzeć, jak w powietrzu przybiera kanciasty kształt w słupie światła z łazienki. Posłyszał, że przez chwilę przestała oddychać, i zaczął się jej znów przyglądać. Zmarszczyła brwi i jęknęła cichutko, jak mała dziewczynka, której śni się coś złego. Po chwili, ciągle śpiąc, przekreśliła się ku niemu na bok. Piersi spoczęły na jej nagim ramieniu, a twarz na dłoni. Kim ty, cholera, jesteś - zniecierpliwiony zapytał ją znów oczami, po czym pochylił się i pocałował nieruchomą twarz. Głaskał jej krótkie włosy, talię i biodra, doskonale widoczne teraz, kiedy leżała pod światło. W tej subtelnej krzywiźnie więcej było piękna niż w melodii, rzeźbie, wierszu czy obrazie. Zbliżył się, chcąc nasycić się zapachem jej ciepłej szyi i poczuł, że jego własny puls gwałtownie przyspieszył, budząc uśpione ciało. Spokojnie - rzekł sobie w duchu. Tym razem zimna krew, bez paniki. Po kolei. Nie wiedział, jak długo utrzyma się ten stan, więc powoli zgasił papierosa w popielniczce stojącej na stoliku nocnym i przytulił się do dziewczyny. Jego organizm odpowiadał na bodźce w sposób należyty. Rozchylił więc jej uda i oszołomiony wstąpił wreszcie do gościnnego, wilgotnego raj, całego z ciepłej śmietany i miodu. Zauważył, że dziewczyna poruszyła się sennie, a jej ramiona skrzyżowały się na jego plecach, chociaż spała dalej. Pocałował ją w szyję i w usta, z których dobywał się długi, nieskończenie słodki jęk. Zaczęła ruszać się, dopasowując swój rytm do niego, a kiedy pogrążył się całkowicie w niej i w sobie samym, docierając instynktownie i bez wysiłku do zapomnianego zakątka pamięci, ona otworzyła oczy i wpatrywała się weń zdumiona i szczęśliwa, posyłając mu zielone sygnały zza zasłony wilgotnych rzęs. Kocham cię, Corso. Kochamkochamkochamkocham. Kocham cię. Chwilę później ugryzł się w język, byle samemu nie wypowiedzieć podobnej durnoty. Patrzył na siebie z oddali, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi: oto on, skupiony tylko na niej, czujny na jej pulsowanie, na jej miny i gesty, z góry ciesząc się rozkoszą, odkrywa tajemne miejsca, skryte klucze do tego delikatnego i zarazem jędrnego ciała, które doń przylgnęło. Trwali tak ponad godzinę. Wreszcie Corso spytał ją, czy dzisiaj można, czy nie, a ona odparła, żeby się nie kłopotał, że wszystko jest pod kontrolą. Wtedy poszedł najgłębiej, jak się da, do samego serca.

Już świtało, kiedy się przebudził. Przytulona do niego dziewczyna wciąż spała i Corso trwał przez chwilę nieruchomo, nie chcąc jej obudzić i odsuwając od siebie myśl o tym, co się wydarzyło i co jeszcze mogło się stać. Zamknął oczy i poddał się tej spokojnej chwili słodkiego nieróbstwa. Oddech śpiącej owiewał mu skórę. Irene Adler, Baker Street 221b. Diabeł zakochany. Postać we mgle naprzeciwko Rocheforta. Błękitna kurteczka opadająca

powoli na nabrzeże Sekwany. I cień jego samego w jej oczach. Spała odprężona, spokojna, daleka od tego wszystkiego - aż trudno mu było ustalić jakiś porządek logiczny między obrazami zarejestrowanymi w pamięci. Ale na logice wcale mu w tej chwili nie zależało. Czuł rozleniwiające zadowolenie. Wsunął dłoń pomiędzy rozgrzane uda dziewczyny i przez jakiś czas jej nie wyjmował. Przynajmniej to nagie ciało było na pewno rzeczywiste.

Po jakimś czasie dźwignął się z łóżka i poszedł wziąć prysznic. W lustrze zobaczył resztki zaschniętej krwi na twarzy i owoc potyczki z Rochefortem i schodami: siniaki na prawym barku i na żebrach, które bolały przy naciśnięciu palcami. Obmył się trochę i zaczął się rozglądać za papierosami. Wsunąwszy rękę do kieszeni płaszcza trafił na list od Grübera.

Zaklął w duchu, wściekły, że o nim zapomniał, ale i tak było za późno. Otworzył więc kopertę i wrócił do łazienki, gdzie mógł odczytać informację przy świetle. Nie była zbyt obszerna, ale jej treść - dwa nazwiska, jeden numer i jeden adres - wywołała na jego twarzy okrutny uśmiech. Przejrzał się powtórnie w lustrze - potargane włosy, nie ogolona twarz - i założył nadfuczone okulary, jakby to był hełm z przyłbicą. Uśmiechał się niczym wilk wietrzący zwierzynę. Bez szmeru pozbierał swoje ubranie i brezentową torbę i posłał śpiącej dziewczynie ostatnie spojrzenie. Może w sumie to będzie fantastyczny dzień? Na pewno Buckingham i Milady stracą apetyt na śniadanie.

Hotel Crillon był za drogi na kieszeń Flavia La Pontego. Z pewnością wdowa Taillefer pokrywała rachunki. Corso doszedł do tego wniosku, kiedy wysiadł z taksówki na placu Concorde i ruszył pośród sienneńskich marmurów ku schodom i pokojowi numer 206. Na drzwiach wisiała karteczka „Nie przeszkadzać”, a za nimi panowała gęsta cisza. Zastukał lekko zwiniętą w kułak dłońią. Trzy razy.

„Trzy uczyniono nakłucia w pogańskim ciele i tak zahartowany został grot na białego wieloryba...”

Bractwo Harpunników z Nantucket chyba się rozpadało, a Corso nie był pewien, czy się z tego cieszy, czy nie. Kiedyś razem z La Pontem wymyślali inną wersję *Moby Dicka*: Izmael spisuje historię, wkłada rękopis do uszczelnionej trumny i tonie wraz z resztą załogi „Pequoda”. Jedyńm ocalałym rozbitkiem jest Queequeg, dzielny harpunnik bez pretensji intelektualnych. Z czasem uczy się czytać i pewnego dnia pogrąża się w lekturze opowieści swojego towarzysza. Okazuje się, że jej treść i jego własne wspomnienia zupełnie się nie pokrywają. Siada więc i zaczyna pisać własną historię od słów: „Imię moje Queequeg”, a całość tytułuje *Wieloryb*. Z zawodowego punktu widzenia harpunnika Izmael był pedantycznym erudyta, który naginał wydarzenia do własnej wizji. Moby Dick nie jest

żadnym potworem, tylko, ot, waleniem jak tyle innych, a wszystkiemu winien jest niekompetentny kapitan z zachwianą hierarchią ważności: przedkłada prywatę ponad zakontraktowane dostawy baryłek tranu - „a co to ma za znaczenie, kto mu wyrwał nogę”, pisze Queequeg. Corso przypomniał sobie scenę przy stoliku w barze: Makarowa, z tą swoją męską, surową, nordycką twarzą, zasłuchana w wywody La Pontego, który wyjaśnia, jak bardzo cieśli potrzebne są pakuły przy uszczelnianiu trumny, a z drugiej strony kontuaru zazdrosna Zizi posyła im mordercze spojrzenia. To było w czasach, kiedy Corso mógł wykręcić swój numer telefonu, by po drugiej stronie usłyszeć nieodmiennie głos Nikon, która dłonie znów miała mokre od utrwalacza. Tak było i w tamtą noc, kiedy napisali na nowo Moby Dicka: wszyscy znaleźli się u niego w domu, gdzie opróżnili jeszcze parę butelek siedząc przed telewizorem, oglądając na wideo film Johna Hustona i wznosząc toast za pocziwego Melville'a, w momencie kiedy „Rachela” żeglująca w poszukiwaniu swych straconych dzieci wyławia kolejną sierotę.

Tak było niegdyś. A przecież teraz, stojąc przed drzwiami pokoju 206, Corso nie zdołał w sobie wzniecić gniewu człowieka, który ma zaraz rzucić drugiemu w twarz oskarżenie o zdradę. Może dlatego, że w głębi duszy podzielał opinię, iż w sprawach dotyczących polityki, interesów i seksu zdrada jest tylko kwestią czasu. Polityka nie wchodziła w grę, nie wiedział jednak, czy obecność jego przyjaciela w Paryżu należało tłumaczyć interesami czy seksem. Niewykluczone, że w grę wchodziły oba czynniki - nawet cynik Corso nie wyobrażał sobie, żeby La Ponte wplątywał się w kłopoty tylko z powodu pieniędzy. W myśli przeżył jeszcze raz tę scenę u siebie w domu, kiedy Liana Taillefer toczyła z nim pojedynek, zmysłowa i piękna, o szerokich biodrach, białym, miękkim ciele i zdrowym wyglądzie Kim Novak jako kobiety fatalnej. Uniósł brew - przyjaźń polega na takich drobiazgach - by wyrazić hołd skłonnościom księgarza. Może dlatego La Ponte nie dostrzegł odrazy na jego twarzy, kiedy otworzył mu drzwi. Stał zaspany w piżamie i zdążył otworzyć usta ze zdziwienia, zanim Corso zamknął mu je mocnym uderzeniem pięści, które posłało go na podłogę pod przeciwległą ścianę pokoju.

Być może w innych okolicznościach Corso zacząłby podziwiać scenerię: luksusowy apartament, okno wychodzące na obelisk na placu Concorde, na podłodze gruba wykładzina i ogromna łazienka. Leżący La Ponte pocierał obolały podbródek i usiłował odzyskać jasność spojrzenia zakłóconą otrzymanym ciosem. Obok duże łóżko, na tacy dwa śniadania. I Liana Taillefer: włosy blond okalające zdumioną twarz, nie dogryziona grzanka w pół drogi do ust, potężna biała pierś wyzierająca z dekoltu jedwabnej koszuli nocnej. Sutki o średnicy pięciu

centymetrów, jak beznamiętnie stwierdził Corso zamykając za sobą drzwi. Lepiej późno niż wcale.

- Dzień dobry - powiedział.

Podszedł do łóżka. Liana Taillefer, ciągle nieruchoma i z grzanką w dłoni, patrzyła, jak siada obok niej, kładzie torbę na podłodze, zerka na tacę i nalewa sobie kawy do filiżanki. Przez ponad pół minuty nikt nie odezwał się ani słowem. Wreszcie Corso upił trochę kawy i uśmiechnął się do kobiety.

- O ile pamiętam - nie ogolona szczeka wyostrzyła mu rysy, przez co uśmiechał się jak ostrze noża - podczas naszego ostatniego spotkania byłem nieco brutalny...

Nie odpowiedziała. Odłożyła już nie dojedzoną grzankę na tacę i przysłoniła koszulą wybujale kształty. Spoglądała na Corsa nieokreślonym wzrokiem, bez strachu, pychy czy urazy - właściwie obojętnie. Po tym, co zaszło u niego w domu, spodziewał się ujrzeć w jej oczach nienawiść. Za to pana zabiją i tak dalej. Zresztą o mało co tego nie zrobili. Tymczasem stalowoniebieskie oczy Liany Taillefer przypominały dwie zamrożone kałuże, co zaniepokoiło Corsa bardziej niż wybuch gniewu. Oczami wyobraźni widział ją, jak niewzruszona przygląda się trupowi męża zwisającemu z lampy w gabinecie. Przypomnił sobie zdjęcie tego biednego czarta w fartuchu i z talerzem, gotowego pokroić prosię po segowiańsku. Kiepską powieść napisali mu do spółki.

- Ty fiucie nie myty - wymamrotał ciągle oszołomiony La Ponte z podłogi. Chyba już w pełni odzyskał wzrok i teraz usiłował zebrać się w sobie, szukając oparcia w meblach. Corso obserwował go z zaciekawieniem.

- Tak jakbyś się nie cieszył z naszego spotkania, Flavio...

- Cieszył? - księgarz pocierał brodę i co chwila spoglądał na dłoń, jakby bał się znaleźć tam ząb. - Tyś oszalał. Do imentu.

- Jeszcze nie, ale dzięki wam jestem na dobrej drodze. Dzięki tobie i twoim poplecznikom - wskazał kciukiem na Lianę Taillefer. - Do których zaliczam niepokieszoną wdowę.

La Ponte zbliżył się nieco, zachowując jednak bezpieczną odległość.

- Czy mógłbyś zadać sobie trochę trudu i objaśnić mi, o czym gadasz?

Corso uniósł dłoń przed nosem księgarza i zaczął wyliczać na palcach:

- Gadam o rękopisie Dumasa i o *Dziwięciorgu Wrót*. O utopieniu Victora Fargasa w Sintrze. O moim cieniu w postaci Rocheforta, który tydzień temu atakuje mnie w Toledo, a wczoraj wieczorem tu w Paryżu - znowu wskazał na Lianę Taillefer. - O Milady. I o tobie, bez względu na to, jaką rolę odgrywasz w tej całej historii.

La Ponte wpatrywał się w dłoń Corsa, mrugając przy każdym wyprostowanym palcu - w sumie pięć razy. Następnie pogładził się na nowo po twarzy, już nie z bólu, ale w zakłopotaniu. Już miał coś odpowiedzieć, ale przemyślał sprawę i wreszcie zwrócił się do Liany Taillefer.

- Co my mamy z tym wszystkim wspólnego?

Wzruszyła pogardliwie ramionami. Nie miała zamiaru wdawać się w wyjaśnienia ani wchodzić w żadną współpracę. Leżała wsparta na poduchach koło tacy ze śniadaniem. Polakierowane na czerwono paznokcie kruszyły grzanekę i był to jej jedyny ruch poza miarowym wznoszeniem się i opadaniem piersi we wspaniałym, pięknie wypełnionym dekolcie. Patrzyła tylko na Corsa wzrokiem osoby, która czeka, aż przeciwnik odkryje karty. Plaster świeżej polędwicy mógłby być bardziej przejęty rozgrywającą się sceną.

La Ponte poskrobał się po głowie w miejscu, gdzie przecierały mu się włosy. Niezbyt wytwornie się prezentował w pomiętej piżamie w prążki i ze spuchniętym od ciosu lewym policzkiem. Oczy mu latały, gapił się to na Corsa, to na kobietę. W końcu utkwiał wzrok w przyjaciela.

- Domagam się wyjaśnień - powiedział.

- Co za zbieg okoliczności. Ja przyszedłem prosić o to samo.

La Ponte zawahał się, spoglądając niepewnie na Lianę Taillefer. Wyglądał na upokorzonego - i miał po temu powody. Popatrzył po kolei na wszystkie trzy guziki piżamy i na swoje białe stopy. Ten strój pozbawiłby największy dramat resztek patosu. W końcu pokazał Corsowi łazienkę.

- Idziemy tam - chciał nadać swemu głosowi dostojne brzmienie, ale spuchnięty policzek uniemożliwił prawidłową wymowę spółgłosek. - Ty i ja.

Kobieta trwała w zagadkowym bezruchu, patrząc na nich z zainteresowaniem, z jakim zazwyczaj ogląda się nudne teleturnieje. Corso czuł, że powinien coś przedsięwziąć w jej sprawie, ale chwilowo nie miał pojęcia co. Po krótkim wahaniu podniósł torbę z podłogi i ruszył pierwszy do łazienki, a La Ponte wszedł za nim i zamknął drzwi.

- Można wiedzieć, dlaczegoś mi dał w łeb?

Mówił cicho w obawie, że wdowa ich usłyszy. Corso położył torbę na bidecie, sprawdził, czy ręczniki są czyste, przesunął banderolę na sedesie i z całym spokojem zwrócił się do księgarza:

- Bo jesteś fałszywy, bo mnie zdradziłeś. Nie powiedziałaś mi, że jesteś w to wpłątany. Pozwoliłeś, żeby mnie oszukano, śledzono i pobito.

- W nic nie jestem wplątany. I na razie to ja jestem jedynym pobitym - księgarz uważnie przyglądał się w lustrze swojej twarzy. - Boże. Patrz, co mi zrobiłeś. Pokieraszowałeś mnie.

- Pokieraszuję cię jeszcze bardziej, jeżeli mi wszystkiego nie opowiesz.

- Wszystkiego nie opowiem? - La Ponte macał się po opuchliznie, zerkając kątem oka na Corsa, jakby podejrzewał, że tamten wpadł w obłąd. - To żadna tajemnica. Liana i ja się... - urwał, szukając właściwego określenia.

- Ehem. No, widziałeś sam.

- Zbliżyliście się do siebie - podrzucił Corso.

- No właśnie.

- Kiedy?

- Tego dnia, kiedy pojechałeś do Portugalii.

- Kto wykonał zasadniczy ruch?

- Właściwie ja.

- Właściwie?

- No, mniej więcej. Odwiedziłem ją.

- Po co?

- Żeby złożyć jej propozycję co do biblioteki męża.

- Tak ci to nagle przyszło do głowy?

- Wiesz, ona zadzwoniła wcześniej. Mówiłem ci już w swoim czasie.

- Zgadza się.

- Chciała odzyskać rękopis Dumasa, który sprzedał mi nieboszczyk mąż.

- Mówiła dlaczego?

- Z uwagi na sentyment.

- A ty w to uwierzyłeś.

- Tak.

- A ściślej: było ci wszystko jedno.

- W sumie...

- Dobra. Miałeś ochotę ją przelecieć.

- To też.

- No i padła ci w ramiona.

- Otóż to.

- Jasne. W Paryżu spędzacie miesiąc miodowy.

- Niezupełnie. Ona ma tu sprawy do załatwienia.

- I poprosiła cię o towarzystwo.

- Właśnie.

- Ot, tak sobie, prawda? Rachunki popłacone, idylla trwa.

- Coś w tym guście.

Corso uśmiechnął się złośliwie.

- Miłość to piękna rzecz, Flavio. Kiedy kocha się naprawdę.

- Nie zgrywaj teraz cynika. Jest niesamowita. Nawet nie masz pojęcia...

- Mam.

- Nie masz.

- A ja ci mówię, że mam.

- Chciałbyś mieć. Rozumiem cię, z taką babką...

- Zbaczamy z kursu, Flavio. A więc, wracając do waszego pobytu w Paryżu.

- Tak.

- Jakie macie plany wobec mnie?

- Żadnych. Zamierzaliśmy cię namierzyć dziś, najdalej jutro. Chodziło o odzyskanie rękopisu.

- Po dobroci.

- Jasne, czemu nie?

- A nie spodziewaliście się, że mógłbym odmówić?

- Liana wyrażała taką wątpliwość.

- A ty?

- Ja nie.

- Ty co „nie”?

- Nie widziałem problemu. W końcu jesteśmy przyjaciółmi. A *Wino andegaweńskie* należy do mnie.

- Rozumiem, byłeś jej drugim nabojem.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Liana jest wspaniała i mnie uwielbia.

- Owszem. Robi wrażenie kobiety zakochanej.

- Naprawdę?

- Jesteś idiotą, Flavio. Zrobili cię w bambuko, tak jak mnie.

To był błysk intuicji jak czerwona lampka alarmowa. Corso gwałtownie odepchnął La Pontego i wpadł do sypialni, gdzie zastał Lianę Taillefer już nie w łóżku, na poły ubraną i pakującą walizkę. Ujrzał jej lodowate oczy wbite w niego - oczy Milady Winter - i zrozumiał,

że przez ten czas, kiedy on się tu popisywał jak głupek, ona czekała na coś, na jakiś dźwięk czy sygnał. Niczym pajak w swojej sieci.

- Do widzenia, panie Corso.

Zdołał tylko usłyszeć, jak wypowiada te cztery słowa. Słuchał ich - wymawianych tym jej ciężkim, lekko ochrypłym głosem - i zachodził w głowę, co mogą oznaczać oprócz tego, że szykuje się do wyjścia. Ruszył w jej kierunku nie wiedząc, co zrobi, jak będzie tuż przy niej, kiedy naraz zdał sobie sprawę, że w pokoju jest ktoś jeszcze: jakiś cień schowany za drzwiami, przy lewej futrynie. Chciał odwrócić się i stanąć twarzą w twarz z nowym niebezpieczeństwem, ale był już pewien, że oto popełnił kolejny błąd i jest za późno. Dotarł jeszcze do niego śmiech Liany Taillefer prosto z filmów o złych jasnowłosych wampirzycach. Jeśli chodzi o cios, to po raz drugi w ciągu niespełna dwunastu godzin otrzymał go tuż za uchem, w to samo miejsce. Zdołał też w ostatniej chwili dostrzec mętniejącą sylwetkę Rocheforta.

Gdy padł na ziemię, był już nieprzytomny.

XIII. Intryga się komplikuje

*„Czyż ta chwila nie napawa pana rozkosznym
dreszczem? Czyż nie czuje się pan jak myśliwy?
Co by się stało z tym dreszczem, gdybym był
tak suchy i lakoniczny jak rozkład jazdy?”*

(A. Conan Doyle, Dolina Trwogi,
przekład Tadeusza Everta)

Najpierw z dala doszedł go czyjś głos, jakieś mamrotanie, którego nie potrafił zidentyfikować. Skupił się z wysiłkiem, domyślając się, że ktoś mówi do niego. Coś na temat jego wyglądu. Corso nie miał bladego pojęcia, jak w tej chwili wyglądał, ale też nie bardzo go to obchodziło. Dobrze mu było tam, gdzie leżał, z twarzą przy podłodze. Nie chciał otwierać oczu, głównie ze strachu, że ból w skroniach się nasili.

Ktoś go klepał po policzku. Nie ma rady, trzeba otworzyć przynajmniej jedno oko. Flavio La Ponte pochylał się nad nim z wyraźnym zaniepokojeniem. Ciągle był w pizamie.

- Przestań mnie walić po gębie - mruknął rozeźlony Corso.

Księgarz odetchnął z ogromną ulgą.

- Myślałem, że nie żyjesz - wyznał.

Corso otworzył drugie oko i spróbował wstać. Natychmiast poczuł, jak mózg chlupocze mu w czaszce na podobieństwo wielkiej galarety.

- Ale ci przywalili - nie wiadomo po co rzucił La Ponte, pomagając łowcy książek stanąć na nogach.

Wsparty na jego ramieniu, Corso obrzucił wzrokiem pokój. Liana Taillefer i Rochefort zniknęli.

- Widziałeś tego, co mnie kropnął?

- Jasne. Wysoki brunet, na twarzy miał bliznę.

- Widziałeś go już wcześniej?

- Nie - księgarz zmarszczył czoło zafrasowany. - Ale ona chyba zna go dobrze... Pewnie otworzyła mu drzwi, jak gadaliśmy w łazience. Bez wątpienia facetowi ktoś zrobił z wargi śliwę. Rozwalona w paru miejscach, cała w jodynie - musnął policzek, gdzie opuchlizna już zaczynała ustępować, i uśmiechnął się mściwie. - Z tego, co widzę, wszyscy ostatnio oberwali.

Corso posłał mu wściekłe spojrzenie i dalej bezskutecznie szukał okularów.

- Jednego nie rozumiem - powiedział - czemu tobie się upiekło?

- Chcieli i mnie przyłożyć. Ale powiedziałem, że nie trzeba. Żeby zajęli się swoimi sprawami. Ze jestem przypadkowym turystą.

- Mogłeś próbować coś zrobić.

- Ja? Żartujesz. Wystarczy, że ty mi przyładowałeś. Pokazałem palcami V, o, w ten sposób, jedną ręką i drugą.

Na znak pokoju. Zdjąłem nakrętkę dezodorantu i usiadłem w kąciiku bez słowa. Aż sobie poszli.

- Mój ty bohaterze.

- Lepiej być ostrożnym, niż się potem dziwić. Aha, patrz - podał mu złożoną w czworo karteczkę. - Odchodząc zostawili to pod popielniczką z niedopałkiem Montecristo.

Litery długo tańczyły Corsowi przed oczami. Wreszcie zobaczył zdanie pięknie wykalfigrafowane atramentem, pismem angielskim i ze skomplikowanymi Zawijasami przy dużych literach:

„Z mojego rozkazu i dla dobra Państwa właściciel tego dokumentu uczynił to, co uczynił. 3 grudnia 1627. R i c h e l i e u ” [A Dumas, *Trzej muszkietery*, przekład Joanny Guze]

Mimo niewesołej sytuacji zachciało mu się śmiać. Miał przed sobą list żelazny wręczony Milady podczas oblężenia La Rochelle, gdy ta zażądała głowy d'Artagnana. Ten sam, który później zabrał jej uzbrojony Atos - „Żmijo, kśasaj, jeśli potrafisz” [Jak poprzednio] - i który później, pod koniec opowieści, ochronił czworo przyjaciół przed kardynałem Richelieu, usprawiedliwiając egzekucję dokonaną na kobiecie fatalnej... Krótko mówiąc: trochę za wiele jak na jeden rozdział. Zataczając się, Corso wszedł do łazienki, odkręcił kran umywalki i wsadził głowę pod zimną wodę. Po chwili wyprostował się i popatrzył w lustro: oczy podpuchnięte, jednodniowy zarost, strużki wody... W skroniach buczało mu, jakby miał tam gniazdo os. Do zdjęcia idealnie, pomyślał. Fajnie zaczynamy dzień.

Obok w lustrze pojawił się La Ponte z ręcznikiem i okularkami.

- Oczywiście zabrali ci torbę.

- Skurwielu.

- Zaraz, a dlaczego mieszasz w to mnie? Ja w tym filmie tylko sobie trochę podupczyłem.

Corso był coraz bardziej niespokojny. Przebiegł hall hotelowy w ślad za zbiegami myśląc gorączkowo, ale prawdopodobieństwo ich złapania z każdą chwilą się zmniejszało. Wszystko przepadło, z wyjątkiem jednego ogniwa w łańcuszku: numeru Trzy. Tamci musieli go przecież zdobyć, więc jeśli się pospieszy, ma jeszcze jakąś szansę ich spotkać. Na razie La Ponte zwalniał pokój, więc Corso wszedł do kabiny i zadzwonił do Fredy Ungern. Linia była zajęta. Po chwili wahania zatelefonował do Louvre-Concorde i poprosił o połączenie z pokojem Irene Adler. Bał się także i o nią, toteż uspokoił go nieco głos dziewczyny w słuchawce. W kilku słowach zdał jej sprawę z wydarzeń i umówił się na spotkanie w siedzibie Fundacji Ungern. Odkładając słuchawkę, zobaczył, że La Ponte zbliża się doń ze zgnębiającą miną i kartą kredytową w dłoni.

- Szczwana suka. Tak uciec bez zapłacenia rachunku.

- Do twarzy ci z tym, jeleniu.

- Zabiję ją tymi rękami. Przysięgam.

Hotel był z tych drogich. Księgarz czuł, że ogrom zdrady, jakiej padł ofiarą, zaczyna go przerastać. Już wcale nie zarzekał się, jak pół godziny temu, że jest osobą absolutnie postronną. Teraz miał w sobie tyle złości co mściwy kapitan Ahab. Wsiadł do taksówki, Corso podał adres baronowej Ungern. Po drodze opowiedział Flawiowi resztę historii: o pociągu, dziewczynie, Sintrze, Paryżu, trzech egzemplarzach *Dziwięciorga Wrót*, śmierci Fargasa, incydencie nad brzegiem Sekwany... La Ponte słuchał, kiwał głową, a jego twarz, początkowo pełna niedowierzania, teraz była posępna.

- Dzieliłem łóżko ze żmiją - poskarżył się zgorzony.

Corso nie był w najlepszym humorze, więc szybko odparł, że żmije raczej nie kęsają kretynów. La Ponte przemyślał sprawę. Nie wyglądał na urażonego.

- A jednak - odezwał się - potrafi iść po trupach. I ma niesamowite ciało.

Oczy zalśniły mu lubieżnie, choć nie minęła mu wściekłość po niedawnym nadgryzieniu jego konta. Poglądził się po brodzie.

- Bóg mi wybaczy - westchnął z głupawym uśmiechem.

Corso patrzył przez okno na przejeżdżające samochody.

- To samo powiedział książę Buckingham.

- Buckingham?

- Tak, w Trzech muszkietierach. Po awanturze z brylantowymi spinkami Richelieu zleca Milady zgładzenie księcia, ta jednak zostaje aresztowana po przybyciu do Londynu. Tam uwodzi swojego strażnika Feltona, idiotę podobnego do ciebie, tyle że purytańskiego fanatyka, i namawia go, żeby pomógł jej w ucieczce i przy okazji zabił Buckinghamą.

- Nie pamiętam tego fragmentu. Co się stało z tym Feltonem?

- Zasztyletował księcia, po czym został stracony, ale nie wiem, czy za zabójstwo, czy za głupotę.

- Ale przynajmniej nie musiał płacić za hotel.

Taksówka przejeżdżała Quai de Conti, zbliżając się do miejsca przedostatniego starcia Corsa z Rochefortem. W tym momencie La Pontemu coś się przypomniało:

- Słuchaj, czy Milady nie miała piętna na ramieniu?

Corso skinął głową. Właśnie mijali schody, z których stoczył się poprzedniego wieczoru.

- Tak - odpowiedział. - Wypalone przez kata rozżarzoną żelazem. Piętno zbrodniarki. Miała je już, kiedy brała ślub z Atosem... D'Artagnan odkrył je idąc z nią do łóżka. O mało nie stracił wtedy życia.

- Ciekawe. Wiesz, że Liana Taillefer też ma znamię?

- Na ramieniu?

- Nie, na biodrze. Mały, ale ładny tatuaż w kształcie kwiatu lili.

- Nie gadaj.

- Jak Boga kocham.

Corso nie przypominał sobie tatuażu, bo podczas pospiesznego *pitigrilli* z Lianą Taillefer - przecież to było całe wieki temu... - właściwie nie miał czasu, żeby zwracać uwagę na takie szczegóły. Tak czy siak sprawy zaczynały się wymykać spod kontroli. Nie wchodziły w grę wulgarne zbiegi okoliczności, tu miał do czynienia z przemyślanym planem. Zbyt wyrafinowanym i niebezpiecznym, żeby widzieć w nim tylko parodię sojuszu tamtej kobiety ze zbirem z blizną. Był to spisek według wszelkich reguł gatunku, pytanie tylko, kto tu pociągał za sznurki. Nie ma co, prawdziwa Szara Eminencja. Dotknął odruchowo kieszeni, w którą wsadził list Richelieu. To stanowczo przesada. Z drugiej strony właśnie w tej tajemnicy, w fikcji powinno tkwić rozwiązanie. Przypomniały mu się słowa przeczytane kiedyś u Edgara Allana Poe czy u Conan Doyle'a: „Ta tajemnica uchodzi za niemożliwą do rozwikłania właśnie z tego powodu, dla którego należałoby ją uważać za łatwą do rozwiązania - a mianowicie z powodu niesłychaności swych objawów”. [E A Poe, *Zabójstwo przy Rue Morgue*, przekład Stanisława Wyrzykowskiego]

- Nie wiem jeszcze, czy to wszystko to jedna wielka kpina, czy autentyczna łamigłówka z klocków - powiedział głośno.

La Ponte trafił na dziurę w sztucznej skórze okrywającej siedzenie i teraz nerwowo powiększał ją palcem.

- Jest, jak jest, w każdym razie nieźle się umoczyliśmy - mówił półgłosem pomimo szyby pancernej oddzielającej ich od kierowcy. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- W tym problem, że nie bardzo wiem, co robię.

- To może pójdziemy na policję?

- I co im powiem? że Milady i Rochefort, szpiegzy kardynała Richelieu, ukradli nam rozdział *Trzech muszkieterów* i książkę służącą do przyzywania Lucyfera? Ze diabeł się we mnie zakochał i wcielił się w dwudziestolatkę, która stała się moim gorylem? Powiedz mi, co byś zrobił będąc komisarzem Maigret, gdybym przyszedł do ciebie z taką historyjką.

- Pewnie posłałbym cię na alkomat.

- Sam widzisz.

- A Varo Borja?

- Nic mi nie mów - udręczony Corso aż jęknął.- Nawet nie chcę myśleć, co będzie, jak się dowie, że zgubiłem książkę.

Taksówka z trudem przedzierała się przez poranny tłok na ulicy. Corso niecierpliwie popatrywał na zegarek. Dotarli wreszcie do baru, w którym siedział poprzedniego wieczoru. Tu napotkali zwarte grupy gapiów tłoczących się na chodnikach i na rogu ulicy, pod tablicą z zakazem przejścia. Wysiadając z taksówki Corso dostrzegł też furgonetkę policyjną i wóz strażacki. Zacisnął zęby i wypluł tak siarczyste przekleństwo, że La Ponte aż podskoczył. Numer Trzy też poszedł z dymem.

Dziewczyna odnalazła ich w tłumie. Miała na sobie plecak, ręce trzymała w kieszeniach kurteczki. Z dachu unosił się jeszcze ślad dymu.

- Mieszkanie spłonęło o trzeciej nad ranem - rzekła, jakby nie zauważając La Pontego.
- Strażacy jeszcze tam są.

- A baronowa Ungern? - spytał Corso.

- Też tam jest - zrobiła jakąś dwuznaczną minę, nie tyle obojętną, ile raczej pełną rezygnacji. Jakby należało się tego spodziewać. - W gabinecie znaleziono zwęglone zwłoki. Tam było źródło pożaru, zresztą, jak mówią sąsiedzi, całkiem przypadkowego. Od niedopałka.

- Baronowa nie paliła - rzekł Corso.

- Wczoraj zapaliła.

Łowca książek spojrział ponad głowami stłoczonymi przy barierkach policyjnych. Z trudem dostrzegał cokolwiek: szczyt długiej drabiny wsparty o ścianę budynku, rozbłyśki koguta karetki stojącej u drzwi, kepi policjantów i hełmy strażaków. Wokół czuć było spalonym drewnem i plastikiem. Jakaś para turystów amerykańskich robiła sobie nawzajem zdjęcia, pozując obok funkcjonariusza pilnującego barierki. Gdzieś rozległa się syrena, która równie nagle umilkła. Ktoś z gapiów powiedział, że właśnie wynoszą trupa, ale niczego nie było widać. Zresztą, powiedział sobie w duchu Corso, nie było czego oglądać.

Napotkał utkwione weń spojrzenie dziewczyny. Nie było w nim ani śladu po ostatniej nocy. Miał przed sobą oczy pragmatyczne i czujne, oczy żołnierza zbliżającego się do pola bitwy.

- Co się stało? - spytała.

- Sądziłem, że ty mi wyjaśnisz.

- Nie mówię o tym - po raz pierwszy popatrzyła na La Pontego. - Kto to?

Corso odpowiedział, po czym zawahał się, niepewny, czy księgarz wyczyta między wierszami:

- A to dziewczyna, o której ci mówiłem. Nazywa się Irene Adler.

La Ponte nie wyczytał niczego. Patrzył na nich oboje lekko zdezorientowany, najpierw na nią, potem na przyjaciela. Wreszcie wyciągnął na powitanie rękę, której dziewczyna nie zauważyła albo może nie chciała zauważyć.

Wpatrywała się w Corsę.

- Nie masz torby - rzekła.

- Nie. Rochefortowi wreszcie się udało. Uciekł z Lianą Taillefer.

- Kto to jest Liana Taillefer?

Corso popatrzył na nią surowo, ale w jej oczach był zupełny spokój.

- Nie znasz nieutulonej w żalu wdowy?

- Nie.

Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień niepokoju czy zaskoczenia. Wbrew samemu sobie Corso miał ochotę jej uwierzyć.

- Nieważne - powiedział w końcu. - W każdym razie dali nogę.

- Dokąd?

- Nie mam zielonego pojęcia - odsłonił przednie zęby, uśmiechając się z rozpaczą i podejrzliwie zarazem. - Sądziłem, że ty może coś wiesz.

- Nic nie wiem ani o Rocheforcie, ani o tej kobiecie - rzekła obojętnie, dając do zrozumienia, że to nie jej sprawa. Wprawiło to Corsa w jeszcze większe zakłopotanie. Spodziewał się po niej jakiejś reakcji. Ostatecznie ona sama uczyniła z siebie orędownika jego interesów. Mogłaby chociaż wyartykułować jakąś pretensję, na przykład do twarzy ci z tym, jeleniu. Ale dziewczyna nie miała żadnych pretensji. Rozglądała się, jak gdyby szukała znajomej osoby wśród tłumu. Zastanawiał się, czy łamie sobie głowę nad całą sprawą, czy jest myślami gdzieś indziej, z dala od rozgrywającego się dramatu.

- Co możemy zrobić? - zagubiony skierował pytanie w powietrze. Oprócz tego, że parę razy oberwał, to przede wszystkim był świadkiem zniknięcia po kolei trzech egzemplarzy *Dziewięciorga Wrót* i rękopisu Dumasa. Zostawił za sobą trzy trupy, jeśli wliczyć w to samobójcę Enriquego Taillefera. I wydał ogromną sumę pieniędzy, które należały nie do niego, tylko do Vara Borji... Varusie, Varusie, zwróć mi legiony moje. Przeklęty los. W tym momencie żałował, że nie jest młodszy o jakieś trzydzieści pięć lat i że nie może sięść na chodniku i zapłakać rzewnie.

- Możemy - podsunął La Ponte - napić się kawy.

Powiedział to swobodnym tonem, jakby mówił: głowa do góry, nie ma co. Corso zdał sobie sprawę, że ten matoł kompletnie nie wyczuwa, w jakie bagno wszyscy wdepnęli. Ale w sumie jego pomysł wcale nie był taki zły. W obecnej sytuacji cóż można było zrobić lepszego?

- Niech no pozbiaram to do kupy - La Ponte maczał kawałek rogalika w filiżance, tymczasem kropla kawy z mlekiem ściekała mu po brodzie. - W 1666 roku Aristide Torchia ukrył szczególny egzemplarz, coś w rodzaju kopii rezerwowej rozsianej po trzech książkach... Tak czy nie? Różni się osiem z dziewięciu rycin. I trzeba zgromadzić wszystkie oryginały, żeby zaklęcie zadziało - przełknął nasączony kawą kęs i wytarł usta serwetką. - Dobrze rozumiem?

Siedzieli we troje w ogródku kawiarni naprzeciwko kościoła Saint-Germain-des-Prés. La Ponte wetował sobie utratę śniadania w hotelu Crillon, dziewczyna, która nadal konsekwentnie trzymała się na uboczu, piła oranżadę przez słomkę i słuchała w milczeniu. Na stoliku przed nią leżeli otwarci *Trzej muszkieterowie*, których czytała z roztargnieniem, coraz przewracając kartkę, by znów podnieść wzrok i słuchać rozmowy. Corsa ostatnie wydarzenia przyprawiły o taki ucisk w żołądku, że nie był w stanie przełknąć niczego.

- Dobrze - odpowiedział La Pontemu. Rozparł się na krześle, wsadził ręce w kieszenie płaszcza i patrzył nie widzącym wzrokiem na dzwonnice kościoła. - Aczkolwiek

niewykluczone, że cały nakład spalony przez Święte Oficjum składał się z trzech serii książek o rycinach różniących się w szczegółach, i dlatego na zebranie trzech właściwych egzemplarzy mogli sobie pozwolić jedynie wtajemniczeni, ci, którzy naprawdę zgłębili zagadnienie... - uniesione brwi i zmarszczki na czole wskazywały na to, że jest przygnębiony.

- Tego nigdy się nie dowiemy.

- A kto powiedział, że były tylko trzy? Pewnie wydrukował co najmniej cztery albo i z dziewięć różnych serii.

- W takim razie cała sprawa bierze w łeb. Zachowały się tylko trzy egzemplarze.

- Nieważne, ktoś chce zrekonstruować książkę oryginalną. Wszedł w posiadanie autentycznych rycin... - La Ponte mówił z pełnymi ustami, przez cały czas z apetytem pochłaniając śniadanie. - Ale śmiałości bibliofila nie towarzyszy ostrożność. Przejąwszy ryciny, niszczy resztę. Morduje ich właścicieli: Victora Fargasa w Sintrze, baronową Ungern tu w Paryżu i Vara Borję w Toledo... - tu urwał, przestał przeżuwać i lekko rozczarowany spojrzał na Corsa. - Ty, ta wersja jest do kitu. Varo Borja żyje.

- Bo ja mam jego książkę. A ze mną usiłowano pograć wczoraj wieczorem i dziś rano.

La Pontego nie bardzo to przekonywało.

- Dobrze powiedziane: pograć... Dlaczego Rochefort cię nie zabił?

- Nie wiem - odparł Corso z miną człowieka kompletnie zdezorientowanego. Sam zadawał sobie to pytanie.

- Dwa razy miał okazję i jej nie wykorzystał... A co do tego, czy Varo Borja żyje, to też nie mam pewności. Nie odpowiada na moje telefony.

- Jednym słowem jest kandydatem na trupa. Albo na podejrzanego.

- Varo Borja jest podejrzany z definicji i dysponuje środkami, żeby to wszystko od początku zorganizować - Corso wskazał na dziewczynę. Była pogrążona w lekturze i na pozór nie zwracała uwagi na ich rozmowę. - Gdyby zechciała, na pewno mogłaby nam wiele wyjaśnić.

- A nie chce?

- Nie.

- To zakapuj ją. Ktoś tu morduje, więc na takich jest jedno określenie: współnik.

- Zakapować?... Siedzę w tym po uszy, Flavio. Ty też.

Dziewczyna przerwała czytanie, śmiało odpowiedziała spojrzeniem na ich spojrzenia i otworzyła usta jedynie po to, by pociągnąć mały łyżeczek oranżady. Popatrywała zamyślona to na jednego, to na drugiego. Wreszcie wbiła wzrok w Corsa.

- Naprawdę jej ufasz? - dopytywał się La Ponte.

- Zależy w czym. Wczoraj wieczorem mnie obroniła, i to całkiem sprawnie.

Księgarz popatrzył zaintrygowany na dziewczynę i uśmiechnął się. Zapewne usiłował ją sobie wyobrazić w roli goryla. Najwidoczniej zastanawiał się też, jak dalece Corso i ona zbliżyli się do siebie, spoglądał bowiem doświadczonego okiem na to, co dawało się dostrzec pod kurteczką, i gładził się jednocześnie po brodzie. Nie miał natomiast wątpliwości, jak dalece sam chciałby się z nią posunąć, gdyby dała mu szansę - i to pomimo nieufności, jaką w nim budziła. Nawet w takich chwilach sekretarz generalny Bractwa Harpunników z Nantucket pragnął wrócić na łono. Na jakiegokolwiek łono.

- Za ładna - La Ponte pokręcił głową, zakończywszy obserwację. - I za młoda. Jak dla ciebie.

Na te słowa uśmiechnął się Corso.

- Czasami wydaje się mieć tyle lat, że byś nie uwierzył.

Księgarz cmoknął sceptycznie językiem.

- Takie prezenty nie spadają z nieba.

Dziewczyna cały czas była obecna przy tym dialogu, choć się nie odezwała ani słowem. W tym momencie po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się, jakby właśnie usłyszała niezły dowcip.

- Za dużo gadasz, Flavio Jakcitam - odezwała się do La Pontego, który zamrugnął powiekami zaniepokojony. Uśmiechała się teraz złośliwie, jak mały drań. - W każdym razie mój związek z Corsem to nie twoja sprawa.

Po raz pierwszy zwróciła się do księgarza. Ten po chwili wahania zerknął zażenowany na przyjaciela, szukając u niego wsparcia. Daremnie, łowca książek znowu się tylko uśmiechnął.

- Chyba nie jestem tu mile widziany - La Ponte zbierał się do odejścia, chociaż dość niemrawo, jakby niechętnie. Doczekał się wreszcie klepnięcia w ramię ze strony Corsa. Klepnięcia suchego i przyjacielskiego.

- Nie zgrywaj idioty. Ona jest po naszej stronie.

La Pontemu wyraźnie trochę ulżyło, ale nadal nie wyglądał na przekonanego.

- To niech to udowodni. Niech ci powie, co wie.

Corso zwrócił się ku dziewczynie i popatrzył na jej półprzymknięte usta i ciepłą szyję, tak miłą w dotyku. Zastanawiał się, czy ciągle pachnie rozgrzaniem i gorączką. Na chwilę zanurzył się we wspomnieniach. Dwa zielone lusterka odbijające całe światło poranka spoglądały mu w oczy spokojne i niewzruszone. I uśmiech począł tracić wyraz pogardy, jaką

czuła dla La Pontego. Wyczuwał w nim subtelne tchnienie, niewypowiedziane słowo wsparcia.

- Rozmawialiśmy na temat Vara Borji - powiedział. - Znasz go?

Uśmiech znikł z jej warg. Powrócił zmęczony, zobojętniały żołnierz. Łowca książek zdołał zauważyć tylko przez mgnienie ślad wzgardy w jej spojrzeniu. Oparł dłoń o marmurowy blat stolika:

- Możliwe, że się mną posłużył - dodał. - A ciebie posłał, żebyś mnie śledziła - ta ewentualność natychmiast ukazała mu cały swój absurd. Nie był sobie w stanie wyobrazić, że bibliofil-milioner zatrudnia tę dziewczynę, by złapać go w sidła. - Albo też jego szpiegami są Rochefort i Milady.

Nie odpowiedziała. Powróciła do lektury *Trzech muszkieterów*. Wspomnienie Milady wyraźnie zraniło znów dumę La Pontego, który jednym haustem dopił kawy i uniósł palec do góry.

- Tej części afery kompletnie nie rozumiem - powiedział. - Wątku Dumasa... Co moje *Wino andegaweńskie* ma z tym wspólnego?

- *Wino andegaweńskie* jedynie przypadkowo należy do ciebie - Corso zdjął okulary i spoglądał na nie pod światło, zastanawiając się, czy przy takim zamieszanu popękane szkło w ogóle wytrzyma. - To najmroczniejszy aspekt sprawy. Jednakże jest parę ciekawych zbiegów okoliczności: kardynał Richelieu, czarny charakter *Trzech muszkieterów*, interesował się książkami z zakresu wiedzy tajemnej. Pakt z diabłem gwarantuje władzę, a Richelieu był najpotężniejszym człowiekiem we Francji. Żeby dopełnić kółeczko zwane *dramatis personae*, z tekstu książki dowiadujemy się, iż kardynał ma dwoje wiernych agentów, którzy są na jego rozkazy: hrabiego de Rochefort i Milady Winter. Ona jest złowrogą blondynką i ma kwiat lilii wypalony przez kata. On jest brunetem i ma bliznę na twarzy... Kojarzysz teraz? Oboje są naznaczeni. My zaś, jeśli chcemy szukać dalszych koneksji, odnajdziemy je w Apokalipsie, która mówi, że sługi diabła rozpoznają się po znamieniu Bestii.

Dziewczyna znów napiła się oranżady nie odrywając oczu od książki, ale La Ponte wzdrygnął się, jakby poczuł swąd spalenizny. Na jego twarzy malowała się jedna myśl: co innego uwikłać się w niesamowitą blondynę, a co innego odprawić tajemny rytuał między udami. Zaniepokojony obmacał się po ciele.

- Kurwa. Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe.

Corso spojrział nań z politowaniem.

- Za wiele zbiegów okoliczności, nie uważasz? A to nie wszystko - chuchnął na okularki i papierową serwetką przecierał nienaruszone szkło. - W *Trzech muszkieterach*

okazuje się, że Milady niegdyś była żoną Atosa, przyjaciela d'Artagnana. Kiedy Atos odkrywa znamię wypalone na ramieniu żony przez kata, sam postanawia wykonać na niej wyrok. Wiesz ją i uważa za nieżywą, jej jednak udaje się przeżyć, no i tak dalej... - nałożył okularki na nos. - Ktoś tu czerpie z tej historii pełnymi garściami.

- Rozumiem Atosa - La Ponte zmarszczył czoło, najwidoczniej przypomniawszy sobie rachunek w hotelu Crillon. - Też bym miał ochotę ją załatwić. Powiesić. Jak tamten muszkieter.

- Albo jak Liana Taillefer swojego męża. Nie chciałem ranić twojej próżności, Flavio, ale nigdy ani trochę jej nie obchodziłeś. Zamierzała tylko odzyskać rękopis, który sprzedał ci jej mąż.

- Cwana dziwka - mruknął La Ponte z urazą w głosie. - To na pewno ona go załatwiła. Przy pomocy tego koleżki z wąsem i szramą na twarzy.

- Jednej rzeczy nadal nie rozumiem - ciągnął Corso - mianowicie związku *Trzech muszkieterów z Dziewięciorgiem Wrót...* Wiem tylko, że Dumas też był jakby na tronie świata. Odniósł sukces, miał władzę i wszystko, czego zapragnął: sławę, pieniądze i kobiety. Wszystko mu w życiu wychodzi, jakby działał z mocy przywileju, jakiegoś szczególnego paktu. Kiedy umarł, jego syn, drugi słynny Dumas, poświęcił mu zagadkowe epitafium: „Umarł tak, jak żył - nieświadomie”.

La Ponte spojrzał nań z niedowierzaniem.

- Sugerujesz, że Dumas zaprzedał duszę diabłu?

- Niczego nie sugeruję. Usiłuję rozwikłać tanią powieść, którą ktoś pisze moim kosztem... Bezsprzecznie wszystko zaczyna się od tego, że Enrique Taillefer postanawia sprzedać rękopis Dumasa. Od tej chwili mamy do czynienia z tajemnicą. Jego domniemane samobójstwo, moja wizyta u wdowy, pierwsze spotkanie z Rochefortem... No i zlecenie Vara Borji.

- Co jest takiego niezwykłego w tym rękopisie?... Dlaczego i komu on jest tak potrzebny?

- Nie mam zielonego pojęcia - Corso zerknął na dziewczynę. - Chyba że ona to wyjaśni.

Wzruszyła ramionami, nie podnosząc oczu znad książki. Minę miała znudzoną.

- To twoja historia, Corso - odezwała się. - O ile pamiętam, płacą ci za to.

- Ty też w tym ugrzęzłaś.

- Do pewnego stopnia - zrobiła nieokreśloną minę, która do niczego nie zobowiązywała. I przewróciła kartkę. - Tylko do pewnego stopnia.

Zirytowany La Ponte pochylił się ku Corsowi.

- Próbowałeś jej przygrzmocić?

- Zamknij się, Flavio.

- Właśnie, zamknij się - powtórzyła dziewczyna.

- Co za komedia - jęknął księgarz. - Gada jak jakaś szamanka, a ty zamiast ją przywołać do szeregu, na wszystko jej pozwalasz. Jesteś niepojęty, Corso. Choćby była nie wiem jak kapitalna, nie przypuszczam... - zacukał się, szukając odpowiedniego słowa. - Skąd ona się wzięła, że taka z niej cwaniara?

- Kiedyś walczyła z archaniołem - wyjaśnił łowca książek. - A wczoraj widziałem, jak rozkwaśła mordę Rochefortowi... Pamiętasz? To ten, który mi przyrznął dzisiaj rano, kiedy trzymałeś się na uboczu i siedziałeś na bidecie.

- Na sedesie.

- Wszystko jedno - Corso, wściekły, drwił ile wlezie. - W tej piżamce a la księżę Danilo z *Cesarских fiołków*... Nie wiedziałem, że ze swoimi zdobyczami sypiasz w piżamach.

- Nic ci do tego - do reszty rozeźlony La Ponte osłaniał odwrót, posyłając zaniepokojone spojrzenia dziewczynie. - Marznę w nocy, jeśli chcesz wiedzieć. Poza tym mówiliśmy o *Winie andegaweńskim* - rękopis pojawił się jako czytelny pretekst do zmiany tematu. - Jak tam twoja ekspertyza?

- Wiemy, że to autentyczny pisany dwoma charakterami pisma: Dumasa i jego współpracownika Auguste'a Maqueta.

- Czego dowiedziałeś się o tym facecie?

- O Maquecie? Niewiele tu jest do dowiadywania. Pokłócili się z Dumasem, były procesy, spory o pieniądze. Ale jest jeden ciekawy szczegół: Dumas wszystko w życiu przepuścił i umarł bez grosza, za to Maquet na starość był bogaczem, nawet kupił sobie zamek. Każdy żył po swojemu i każdy miał, czego chciał.

- A ten rozdział napisali na spółkę?

- Maquet sporządził wstępną, pierwotną redakcję, właściwie prosty zarys, a Dumas nadał mu wartość i styl, dopisując swoje wtręty na rękopisie współpracownika. Temat znasz: Milady próbuje otruć d'Artagnana...

La Ponte z niepokojem wpatrywał się w pustą już filiżankę.

- Z tego wniosek...

- Zaryzykowałbym twierdzenie, że ktoś, kto się uważa za wcielenie Richelieu, zdołał zgromadzić oryginalne ryciny z Delomelanikonu i rozdział z Dumasa, w którym z jakichś

tajemniczych przyczyn znajduje się klucz do tego, co tu jest grane. I być może w tej chwili właśnie przywołuje Lucyfera. W tym czasie ty postradałeś rękopis, Varo Borja swoją książkę, a ja przepadłem wraz z całą drużyną.

Wyjął z kieszeni list Richelieu i jeszcze raz rzucił nań okiem. La Ponte chyba przyznawał mu rację.

- Utrata rękopisu nie jest taką katastrofą - zaznaczył.

- Zapłaciłem Tailleferowi, owszem, ale nie aż tak dużo - uśmiechnął się przebiegle. - Przynajmniej od Liany odebrałem sporo w naturze. Ale ty faktycznie wpadłeś w niezłą kabałę.

Corso spojrział na dziewczynę, która nadal czytała W milczeniu.

- Może ona mogłaby nam powiedzieć, co to za kabała.

Uśmiechnął się i stuknął w blat palcami, jak zrezygnowany gracz, któremu skończyły się karty. Ale i tym razem nie było żadnej odpowiedzi. Za to La Ponte mruknął z dezaprobatą:

- Dalej nie rozumiem, dlaczego jej ufasz.

- Już ci powiedział - odrzekła rozdrażniona dziewczyna. Włożyła słomkę do książki jak zakładkę. - Opiekuję się nim.

Corso skinął głową z rozbawieniem, chociaż za cholerę nie czuł się rozbawiony.

- Słyszysz? Jest moim aniołem stróżem.

- Serio? Mogłaby cię strzec lepiej. Gdzie była, jak Rochefort zabierał ci torbę?

- Za to ty byłeś przy tym.

- To co innego. Jestem strachliwym księgarzem o pokojowym nastawieniu. Gdzie mnie do ludzi czynu? Gdybym stanął do konkursu tchórzy, sędziowie by mnie zdyskwalifikowali za tchórzostwo.

Corso nie słuchał go uważnie, bo właśnie dokonał odkrycia. Cień dzwonnicy kościoła padał teraz tuż koło nich. Szeroka, ciemna sylwetka poruszała się pomalutku w kierunku przeciwnym do słońca. Widział, jak szczytowy krzyż wypadał blisko, bardzo blisko stóp dziewczyny, ale ani na chwilę ich nie dotknął. Ostrożny cień krzyża zachowywał dystans.

Zadzwoił do Lizbony z urzędu PTT, chcąc się dowiedzieć, jak wygląda sprawa Victora Fargasa. Wieści nie były zachęcające. Pinto uzyskał dostęp do raportu z oględzin zwłok: śmierć na skutek wymuszonego utonięcia w sadzawce. Policja w Sintrze ustaliła, że prawdopodobnym motywem była kradzież. Sprawca bądź sprawcy nieznani. Pozytywne było to, że chwilowo nikt nie wiązał ze sprawą osoby Corsa. Portugalczyk dodał, że rozesłał

portret pamięciowy faceta z blizną, tak na wszelki wypadek. Corso doradził mu, żeby dał sobie spokój z Rochefortem. Ptaszkowi udało się wyfrunąć.

Teoretycznie gorzej już być nie mogło, jednak w południe sprawy jeszcze się skomplikowały. Natychmiast po wejściu do hotelu w towarzystwie La Pontego i dziewczyny łowca książek zorientował się, że coś nie gra. Zza kontuaru niewzruszony Grüber dawał mu oczami ledwie zauważalne sygnały alarmowe. Podchodząc doń Corso zauważył, że recepcjonista przesuwając wzrok - niby to przypadkowo - na przegródkę z numerem jego pokoju, po czym bierze w dłoń klapę munduru i podnosi ją w geście czytelnym wszędzie na kuli ziemskiej.

- Nie zatrzymujcie się - rzucił Corso pozostałym. Musiał niemal siłą pociągnąć zdeorientowanego Flavia.

Dziewczyna wyprzedziła ich pewnym krokiem i spokojnie skierowała się korytarzem ku restauracji otwartej także na stronę Palais-Royal. Jeszcze kątem oka Corso dostrzegł, że Grüber kładzie rękę na telefonie stojącym na ladzie.

Znów byli na ulicy. La Ponte nerwowo spoglądał za siebie.

- Co się dzieje?

- Policja - wyjaśnił Corso. - Są w moim pokoju.

- Skąd wiesz?

Dziewczyna o nic nie pytała, tylko oczekiwała dalszych wskazówek. Corso wyjął z kieszeni kopertę z winietą hotelu, wyciągnął z niej włożoną tam poprzedniego dnia przez recepcjonistę karteczkę z namiarami La Potnego i Liany Taillefer i wsunął do środka banknot pięćsetfrankowy. Robił to niespiesznie, starając się zachować spokój i nie dać im poznać, jak bardzo trzęsą mu się palce.

Zamknął kopertę, skreślił swoje nazwisko, wpisał Grubera i wręczył ją dziewczynie.

- Daj to któremuś kelnerowi w kawiarni - dłonie miał zupełnie mokre. Wytrzeł je w podszewkę kieszeni i pokazał na budkę telefoniczną po drugiej stronie placu. - Tam się spotkamy.

- A ja? - zapytał La Ponte.

Mimo niewesołej sytuacji Corso miał ochotę zaśmiać się przyjacielowi w twarz. Powstrzymał się jednak i tylko spojrzał nań rozbawiony.

- A rób, co chcesz. Aczkolwiek obawiam się na serio, Flavio, że właśnie zszedłeś do podziemia.

Zmierzał przez ruchliwy plac ku budce, nie zważając, czy tamten idzie za nim, czy nie. Kiedy już zamknął za sobą szklane drzwi i wsunął kartę w otwór automatu, zobaczył, że księgarz stoi o parę metrów od niego i rozgląda się z wyrazem cielejącej bezradności.

Wybrał numer hotelu i poprosił z recepcją.

- Co jest grane, panie Grüber?

- Przyszło dwóch policjantów, proszę pana - głos byłego esesmana brzmiał cicho, ale nadal spokojnie. Sytuacja była pod kontrolą. - Siedzą na górze w pana pokoju.

- Mówili coś?

- Nic. Pytali o datę pana przyjazdu i czy wiemy, co pan robił do drugiej w nocy. Odpowiedziałem, że nie wiem, i odesłałem ich do mojego kolegi ze zmiany. Prosilili też o pana rysopis, bo nie wiedzą, jak pan wygląda. Umówiliśmy się, że zawiadomię ich, jak pan przyjdzie. Właśnie mam zamiar to zrobić.

- Co pan im powie?

- Oczywiście prawdę, że chwilę wcześniej pojawił się pan w hallu i natychmiast wyszedł w towarzystwie nie znanego mi mężczyzny z brodą. Młodą damą się nie interesowali, więc nie widzę powodu, by informować ich o jej obecności.

- Dziękuję, panie Grüber - przerwał na moment i uśmiechnął się do słuchawki. - Jestem niewinny.

- Nie wątpię, proszę pana. Wszyscy nasi klienci to porządni ludzie - ze słuchawki dobiegł odgłos szeleszczącego papieru. - Akurat doręczono mi pańską kopertę.

- Do zobaczenia, panie Grüber. Niech mi pan zatrzyma pokój przez kilka dni. Chciałbym wrócić po rzeczy. Jak by był jakiś problem, niech pan korzysta z numeru mojej karty kredytowej. Proszę mnie obciążać. I jeszcze raz dziękuję.

- Do usług.

Corso odwiesił słuchawkę. Dziewczyna już wróciła i stała przy La Pontem. Wyszedł z budki.

- Policja ma moje nazwisko. A skoro je ma, ktoś musiał im je podać.

- Nie patrz tak na mnie - odparł La Ponte. - Od jakiegoś czasu cała ta historia zaczyna mnie przerastać.

Corso pomyślał z goryczą, że jego też przerasta. Wszystko wymknęło się spod kontroli, ster okrętu miota się samotnie w obie strony.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał dziewczynę. Była jedyną nitką intrygi, w której mógł jeszcze pokładać jakieś nadzieje.

Popatrzyła ponad ramieniem Corsa na samochody i pobliski parkan Palais-Royal. Plecaczek leżał u jej stóp na chodniku. Zastanawiała się, jak zwykle w nieprzeniknionym milczeniu, lekko marszcząc czoło. Miała minę upartego chłopczyka, który postanowił być nieposłuszny. Na twarzy Corsa pojawił się uśmiech znużonego wilka.

- Nie wiem, co robić - rzekł.

Dziewczyna z wolna skinęła głową, jak gdyby po namyśle doszła do jakichś wniosków. A może chciała tylko dać do zrozumienia, że zgadza się z tym, co powiedział Corso przed chwilą.

- Twoim największym wrogiem jesteś ty sam - odparła wreszcie chłodno. Ona też wyraźnie była zmęczona, tak jak poprzedniego wieczoru, kiedy dotarli do hotelu. - Twoja wyobraźnia - stuknęła się palcem w czoło. - Drzewa zasłaniają ci las.

La Ponte jęknął.

- Jeżeli możecie, przełóżcie rozmowy o botanice na później - jego niepokój wzrastał, oczy mu latały, ze strachem wypatrywał policjantów, którzy mogliby ich otoczyć w każdej chwili. - Powinniśmy się stąd zmywać. Mogę wynająć samochód na swoje nazwisko. Jak się pospieszymy, jutro przekroczymy granicę. A jutro jest pierwszy kwietnia.

- Przymknij dziób, Flavio - Corso szukał odpowiedzi w oczach dziewczyny, ale dojrzał tylko odbicie świateł na placu, ruchu ulicznego i własne, groteskowo zniekształcone. Pokonany żołdak. Skończyły się bohaterskie kłęski. Już dawno się skończyły.

Ale na twarzy dziewczyny zaszła gwałtowna zmiana. Patrzyła na La Pontego, jakby po raz pierwszy uznała, że warto.

- Powtórz - powiedziała.

Zdziwiony księgarz zawahał się.

- Że mogę wynająć samochód? - patrzył na nich z otwartymi ustami. - To proste. Samoloty mają listy pasażerów, w pociągach mogą zajrzeć do paszportu...

- Nie o tym mówię. Którego jutro mamy?

- Pierwszy kwietnia. Poniedziałek - La Ponte musnął w zakłopotaniu swój krawat. - Moje urodziny.

Dziewczyna jednak już nie zwracała nań uwagi. Pochyliła się i szukała czegoś w plecaczku. Kiedy się wyprostowała, w rękę trzymała *Trzech muszkieterów*.

- Wyleciało ci z głowy to, co kiedyś czytałeś - podała książkę Corsowi. - Rozdział pierwszy, wers pierwszy.

Corso, kompletnie zaskoczony, rzucił okiem na wskazaną stronę tekstu. Rozdział nosił tytuł *Trzy rady pana d'Artagnana ojca*. A gdy przeczytał pierwszą linijkę, wiedział już, gdzie muszą szukać Milady.

XIV. W podziemiach Meung

„Noc była ponura”.

(P.A. Ponson du Terrail, *Rocambole*)

Noc była ponura. Loara toczyła swoje mętne wody, które zagrażały przelaniem się przez groble niewielkiego miasteczka Meung. Burza rozszalała się jeszcze przed zmierzchem, co chwila błyskawica oświetlała mroczną bryłę zamku. Jasne zygzaki trzaskały jak bicze na brukowanym pustkowiu średniowiecznych uliczek wysmaganych deszczem. Daleko, po drugiej stronie rzeki, za kotarą wiatru, wody i zerwanych liści z drzew, cicho przemykały światła samochodów pędzących autostradą Tours-Orlean. Robiło to wrażenie, jakby wichur wytyczył granicę między pobliską przeszłością a odległą teraźniejszością.

W zajeździe Saint-Jacques, jedynym hotelu w Meung, świeciło się jedno okno. Było otwarte i wychodziło na taras, na który można też było wejść z ulicy. W pokoju wysoka atrakcyjna blondynka ubierała się stojąc przed lustrem. Włosy upięte miała z tyłu. Właśnie zasunęła zamek spódnicy, zakrywając w ten sposób mały tatuaż w kształcie kwiatu lilii, który miała na biodrze. Wyprostowała się i zaczęła zapinać na plecach stanik. Jej imponujący biały biust falował delikatnie przy każdym ruchu. Następnie włożyła jedwabną bluzkę i zapiąwszy guziczki uśmiechnęła się lekko spoglądając na swoje odbicie. Z pewnością podobała się sobie, może myślała już o mającym wkrótce nastąpić spotkaniu - przecież nikt nie ubiera się tak o jedenastej wieczorem, jeśli nie zamierza wychodzić z domu. Być może zresztą ten zadowolony i nieco okrutny uśmiech wywołało nie tylko odbicie w lustrze, ale także widok nowej skórzanej teczki, z której wystawały stronice rękopisu *Wina andegaweńskiego* pióra Aleksandra Dumasa (ojca).

Błyskawica oświetliła niewielki taras przed oknem. Pod skromnym okapem, z którego ściekały krople deszczu, stał Lucas Corso. Po raz ostatni zaciągnął się mokrym papierosem, rzucił peta i postawił kołnierz dla lepszej ochrony przed wiatrem i wodą. Światło kolejnego pioruna niby błysk flesza fotograficznego wydobyło z ciemności blade oblicze Flavia La

Pontego, okolone mokrą ramą brody i włosów. W ciemności robił wrażenie wstrząśniętego mnicha albo Atosa, posępnego jak rozpacz i ponurego jak kara. Przez chwilę nie błyskało się, ale w trzecim cieniu wciśniętym pod okap Corso domyślał się szczupłej sylwetki Irene Adler otulonej w kurteczkę. Kiedy w końcu piorun przeciął nocny firmament i huk przetoczył się po dachówkach, błysk wydobył z ciemności dwa zielone refleksy. Resztę twarzy dziewczyny osłaniał kaptur.

Do Meung jechali szybko i w ogromnym napięciu. La Ponte wynajął samochód i jednym ciągiem, niemal na ślepo, pognali autostradą z Paryża do Orleanu, potem 16 kilometrów w stronę Tours. La Ponte siedział obok kierowcy i zapalniczką Bic oświetlał sobie mapę Michelina kupioną na stacji benzynowej. Był prawie nieprzytomny, jeszcze trochę, chyba jedziemy dobrze. Z pewnością jedziemy dobrze. Z tyłu dziewczyna patrzyła wciąż na twarz Corsa w lusterku wstecznym. Widział ją za każdym razem, gdy mijały ich światła innego samochodu. Oczywiście La Ponte pomylił drogę. Przejechali zjazd z autostrady nie zauważwszy tablicy i oddalali się w kierunku Blois. Kiedy odkryli błąd, Corso z rękami wczepionymi kierownicę śmignął kawałek trasy pod prąd, modląc się, żeby burza zatrzymała policjantów w komisariatach. Beaugency. La Ponte upiera się, żeby przejechali przez rzekę i skręcili w lewo. Na szczęście go nie posłuchał. Zawrócili, tym razem jadąc szosą krajową 152 - tą samą, którą jechał d'Artagnan w pierwszym rozdziale - smagani wiatrem i deszczem. Po prawej grzmiała czerń Loary, wycieraczki pracowały bez ustanku, a setki ciemnych punkcików - cieni deszczowych kropli - pokrywały twarz Corsa, gdy mijali się z innymi wozami. Wreszcie opustoszałe uliczki, stara dzielnica średniowiecznych dachów i fasad, których grube belki krzyżowały się prosto i ukośnie. Meung-sur-Loire. Koniec trasy.

- Jeszcze nam ucieknie - szepnął La Ponte drżącym z zimna głosem. Był przemoczony. - Dlaczego nie wchodzimy?

Corso wspiął się trochę i zerknął jeszcze raz do środka. Liana Taillefer włożyła na siebie obcisły sweter, dzięki czemu jeszcze bardziej podkreśliła atuty swej anatomii, i sięgnęła do szafy, skąd wyjęła, ciemny, długi płaszcz przypominający karnawałowe domino. Zawahała się, rozejrzała po pokoju, narzuciła płaszcz na ramiona i wzięła z łóżka teczkę z rękopisem. Wreszcie spojrzała na otwarte okno i podeszła, żeby je zamknąć.

Corso jednym ruchem dłoni zniweczył ten zamiar. Niemal dokładnie nad jego głową rozbłysł piorun, oświetlając w oknie jego mokrą twarz, sylwetkę i rękę wyciągniętą oskarżycielskim gestem w stronę sparaliżowanej zdumieniem kobiety. Milady wydała z siebie dziki wrzask niesamowitego przerażenia, jakby właśnie ujrzała diabła.

Przestała krzyczeć, kiedy Corso przeskoczył parapet i wierzchem dłoni uderzył ją w twarz. Padła na łóżko, kartki *Wina andegaweńskiego* fruwały w powietrzu. Na skutek zmiany temperatury okularki Corsa momentalnie zaparowały, zdjął je więc natychmiast, cisnął na stolik nocny i rzucił się na Lianę Taillefer, która właśnie usiłowała dopaść do drzwi i wybiec na korytarz. Przycisnął ją do łóżka najpierw za nogę, potem przytrzymując w pasie, chociaż wrywała się i wierzgała. Była cholernie silna. Corsa zastanowiło, co u diabła robią La Ponte i dziewczyna. Czekając na pomoc, starał się unieruchomić Lianę za nadgarstki, odchylając się jednocześnie do tyłu, bo chciała mu wbić paznokcie w twarz. Turlali się chwilę po kołdrze. Teraz Corso zdołał wepchnąć nogę pomiędzy jej nogi, nos mając wciśnięty między dwie zniewalająco obfite piersi, które z tej odległości i dzięki wełnianemu sweterkowi znów ujawniły swoją niewiarygodną miękkość. Poczut nieuchronnie nadchodzącą erekcję i zaklął wściekle w duchu, mocując się z Milady. Miała plecy olimpijskiej pływaczki wyspecjalizowanej w delfinie. Gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję, pomyślał z goryczą. Wreszcie pojawił się La Ponte, otrząsając się z wody jak pies, gotów się odegrać za nadszarpniętą miłość własną i przede wszystkim za rachunek z Crillona, który piekł go poprzez portfel. Zanosilo się na lincz.

- Chyba nie będziecie jej gwałcić - odezwała się dziewczyna.

Siedziała na parapecie, ciągle z kapturem na głowie, i przyglądała się całej scenie. Liana Taillefer przestała się wrywać. Corso przygwoździł ją własnym ciałem do łóżka, a La Ponte przytrzymywał jej jedną rękę i jedną nogę.

- Świnie - powiedziała jasnym, donośnym głosem.

- Zdzira - mruknął La Ponte, usiłując złapać oddech po tej potyczce.

Po tej krótkiej wymianie opinii wszyscy nieco się uspokoili. Pewni, że teraz im się nie wymknie, pozwolili jej usiąść na łóżku. Nadal kipiała gniewem, rozcierając sobie nadgarstki i rzucając zjadliwe spojrzenia La Pontemu i Corsowi. Ten ostatni stanął między nią a drzwiami. Dziewczyna siedziała wciąż na parapecie, zamknawszy okno za sobą. Odrzuciła kaptur do tyłu i przyglądała się Lianie Taillefer z beczelnym zaciekawieniem. La Ponte wytarł sobie włosy i brodę w kołdrę i zaczął zbierać kartki rękopisu porzrucane po całym pokoju.

- Porozmawiamy sobie chwilkę - powiedział Corso. - Jak ludzie rozsądni.

Liana Taillefer zgromiła go wzrokiem.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Owszem, mamy, piękna pani. Mamy panią w saku i nie bardzo mnie obchodzi, czy będzie przy tym policja. Albo pogada pani z nami, albo trzeba się będzie tłumaczyć policjantom. Proszę wybierać.

Zmarszczyła czoło i wzrokiem prześladowanej ofiary rozglądała się po pokoju. Przypominała zwierzę, które szuka najdrobniejszej sposobności ucieczki z potrzasku.

- Uważaj - ostrzegł La Ponte. - Ona coś kombinuje.

Oczy kobiety były jak dwie stalowe igły. Corso skrzywił twarz w nieco teatralnym grymasie.

- Liana Taillefer - odezwał się. - A może powinniśmy nazywać ją Anna de Breuil, hrabina de la Fère. Posługiwała się też nazwiskami Karoliny Backson, baronowej Sheffield i pani Winter. Zdradziła swoich mężów i swoich kochanków. Była morderczynią i trucicielką, a także agentką kardynała Richeheu... Najszerzej znana jako - tu zrobił odpowiednią pauzę - ...Milady.

Przerwał, nadepnąwszy na wystający spod łóżka pasek swojej torby. Szarpnął go nie spuszczać oczu z Liany Taillefer ani z drzwi, do których najwyraźniej chciała się rzucić, gdyby tylko dali jej najmniejszą okazję. Wsadził do środka rękę, chcąc przekonać się, co tam znajdzie, i westchnął z taką ulgą, że wszyscy, nie wyłączając kobiety, spojrzeli nań ze zdziwieniem. Należący do Vara Borji egzemplarz *Dziewięciorga Wrót* znajdował się tam nienaruszony.

- Bingo - powiedział pokazując go reszcie. La Ponte uniósł dłoń w geście triumfu, niczym Queequeg po celnym rzucie harpunem w wieloryba. Dziewczyna nawet nie drgnęła, obojętnie, jak postronny widz, przyglądając się scenie.

Corso włożył książkę z powrotem do torby. Wicher gwizdał we framudze okna za plecami dziewczyny. Co jakiś czas niebo jaśniało od kolejnej błyskawicy. Później dobiegał głuchy grzmot, od którego lekko drżały mokre szyby.

- Idealna noc - powiedział Corso i spojrzął na kobietę. - Jak pani widzi, droga Milady, nie chcieliśmy opuścić tego spotkania. Jesteśmy gotowi wymierzyć sprawiedliwość.

- Całą grupą, po nocy, jak tchórze - odparła wypluwając słowa z pogardą. - Tak jak tamtą. Jeszcze tylko brakuje kata z Lille.

- Wszystko w swoim czasie - zaznaczył La Ponte.

Kobieta poprawiła na sobie strój i powoli odzyskiwała pewność siebie. Wzmianki o kacie najwyraźniej nie traktowała zbyt serio, bo wyzywająco patrzyła im w oczy.

- Jak widzę - dodała - każdy tu sumiennie odgrywa swoją rolę.

- Nie powinno to pani dziwić - odpowiedział Corso.

- Pani i jej wspólnicy już postarali się o to, żeby tak było... - twarz wykrzywił mu bezlitosny uśmiech okrutnego wilka. - Wszyscyśmy się nieźle ubawili.

Kobieta zacisnęła usta. Jeden z jej czerwonych paznokci przesuwiał się po kołdrze. Corso śledził ten ruch zafascynowany, jakby to nie był paznokieć, ale zatruta igła, i wzdrygnął się na myśl, jak blisko jego twarzy znajdowało się jeszcze przed chwilą to ostrze.

- Nie macie prawa - powiedziała Liana. - Wtargnęliście tu jak intruzi.

- Nieprawda. Jesteśmy częścią gry, tak jak i pani.

- Gry, której zasad nie znacie.

- Znow nieprawda, Milady. Na dowód czego znaleźliśmy się tutaj - Corso rozejrzał się w poszukiwaniu okularków. Znalazł je na nocnym stoliku i nałożył na nos. - Najtrudniej było przyjąć do wiadomości charakter tej gry, zgodzić się na fikcję, obecną w tej całej historii, i myśleć zgodnie z logiką tekstu, a nie świata zewnętrznego... Potem już jest łatwiej, bo o ile w świecie realnym wiele rzeczy wydarza się przypadkiem, o tyle w świecie fikcji wszystko podporządkowane jest logice.

Czerwony paznokieć Liany Taillefer znieruchomiał.

- W powieści też?

- Zwłaszcza w powieści. Jeśli bohater rozumuje według wewnętrznej logiki intrygi kryminalnej, nieuchronnie dotrze do tego samego punktu. Dlatego na końcu zawsze spotykają się szlachetny bohater ze zdrajcą, detektyw z zabójcą - uśmiechnął się zadowolony ze swojego wyводу. - I co pani na to?

- Znakomicie - odrzekła ironicznie Liana Taillefer.

Również La Ponte wpatrywał się w Corsę głęboko zdumiony, choć akurat w jego przypadku podziw był szczery.

- Brat Wilhelm z Baskerville, jak sędzę.

- To powierzchowne skojarzenie, Milady. Niech pani zapomni o Conan Doyle'u, o Allanie Poe. I o samym Dumasie... Przez chwilę sądziłem, że jest pani damą o szerszych horyzontach.

Kobieta popatrzyła uważnie na łowcę książek.

- Sam pan widzi, że traci ze mną czas - rzuciła ze wzgardą. - Nie jestem odpowiednią publicznością.

- Wiem. Zjawiłem się tu, bo chcę, żeby mnie pani zaprowadziła do niego - spojrzął na zegarek. - Zostało niewiele ponad godzinę do pierwszego kwietnia.

- A ja chciałabym się dowiedzieć, jak pan to odgadł.

- Nie odgadłem - popatrzył na dziewczynę siedzącą na oknie. - Ona podsunęła mi książkę pod nos... A jeśli już mamy prowadzić dochodzenie, to książka jest lepsza niż cały świat zewnętrzny. Jest zamknięta, żadnych intruzów. Jak laboratorium Sherlocka Holmesa.

- Przestań się zgrywać, Corso - powiedziała zniecierpliwiona dziewczyna. - Już i tak zrobiłeś na niej wrażenie.

Kobieta uniosła brew i spojrzała na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy.

- Kto to?

- Nie uwierzę, że jej pani nie zna... Nigdyście się nie spotkały?

- Nigdy. Wspominano mi o dziewczynie, ale nie mówiono, skąd jest.

- Kto pani mówił?

- Przyjaciel.

- Wysoki brunet z wąsami i blizną na twarzy? Z rozwaloną wargą? Poczciwy Rochefort! No jasne, chciałbym wiedzieć, gdzie się podziewa. Zapewne niedaleko... Wybraliście państwo dwie chlubne postacie.

Z niewiadomych przyczyn ta uwaga wytrąciła Lianę Taillefer z równowagi. Czerwony paznokieć wbił się w kołdrę, jakby to było ciało Corsa. W lodowatych oczach zapłonęły iskry wściekłości.

- A może inne postacie z powieści są lepsze? - Milady uniosła głowę i patrzyła na obu mężczyzn z pogardą i wyzywającą arogancją. - Atos: pijak. Portos: kretyn. Aramis: spiskujący hipokryta.

- Kwestia punktu widzenia - zgodził się Corso.

- Niech się pan zamknie. Co pan wie o moim punkcie widzenia? - Liana Taillefer przerwała, uniosła podbródek i wbiła wzrok w Corsa, jakby teraz nadeszła jej kolej. - A ten d'Artagnan to już najgorszy... Sierzniak? W *Trzech muszkieterach* ma tylko cztery pojedynki, a zwycięża, kiedy Jussac właśnie się podnosi albo kiedy Bernajoux waląc na oślep sam godzi w siebie. Podczas napadu na Anglików tylko rozbraja barona. Potrzebuje aż trzech ciosów, żeby powalić pana de Wardes... Co się tyczy hojności - pogardliwym skinieniem głowy wskazała La Pontego - d'Artagnan jest jeszcze bardziej skąpy niż ten pański przyjaciel. Pierwszą kolejkę stawia swoim kompanom dopiero w Anglii, po zakończeniu sprawy Moncka. Trzydzieści pięć lat później.

- Widzę, że zna się pani na tym, choć z drugiej strony powinienem się był spodziewać. Te powieści w odcinkach, których podobno tak pani nie znosiła... Gratuluję. Doskonale odegrała pani rolę wdowy, która ma po uszy ekstrawagancji swojego męża.

- I wcale nie udawałam. Prawie wszystko to były stare, bezwartościowe szpargały. Podobnie jak sam Enrique. Mój mąż był prostakiem: nigdy nie potrafił czytać między wierszami, oddzielić ziarna od plew. Był z gatunku tych, co to jeżdżą po świecie i kolekcjonują fotografie zabytków, ale niczego się nie uczą. ##kat.jpg

- Czego nie da się powiedzieć o pani.

- Jasne, że nie. Wie pan, jakie były moje pierwsze książki? *Ladacznice* i *Trzej muszkietierowie*. Każda na swój sposób mnie ukształtowała.

- Wzruszające.

- Niech pan nie zgrywa kretyna. Zadał mi pan parę pytań, więc odpowiadam... Są czytelnicy powierzchowni, jak nieszczęsny Enrique. I są czytelnicy, którzy wchodzą głębiej, którzy nie dają się zwieść stereotypom w rodzaju „d’Artagnan odważny, Atos szlachetny, Portos dobroduszny, Aramis wierny”... Śmiechu warte! - tu zaśmiała się dramatycznie i złowrogo niczym sama Milady. - Nikt nie ma pojęcia. A wie pan, czyj obraz z tego zachowałam i zawsze podziwiałam? Tej jasnowłosej damy, prawdziwie wiernej samej sobie i temu, kogo wybrała na swego zwierzchnika, tej kobiety walczącej w samotności, własnymi środkami, podle zamordowanej przez czterech bohaterów z *papier-mâché*... A ów nie znany nikomu syn sierota, co pojawia się w dwadzieścia lat później! - schyliła posępną twarz, w której było tyle nienawiści, że Corso chciał się cofnąć o krok. - Pamiętam tę ilustrację, jakbym ją w tej chwili miała przed oczyma: rzeka, noc, czterech łotrów, na kolanach, ale bez litości. A na drugim brzegu kat wznoszący miecz nad odsłoniętym karkiem kobiety...

Błyskawica oświetliła raptownie jej wykrzywioną twarz, białą, delikatną szyję, źrenice jakby wpatrzone w te pełne tragizmu sceny, które wspominała teraz jak własne bolesne przeżycia. Zaraz potem zadrżały szyby odpowiadając na huk grzmotu.

- Łotry - powtórzyła cicho, zamyślona. Corso nie był pewien, czy chodziło jej o niego i jego kompanię, czy raczej o d’Artagnana z przyjaciółmi.

Dziewczyna od dobrej chwili szperała w plecaku. Teraz trzymała w dłoniach *Trzech muszkietierów* i przeglądała bez pośpiechu stronicę, starając się zachować neutralność obserwatora. Kiedy znalazła to, czego szukała, bez słowa rzuciła książkę na łóżko. Była to rycina opisana przez Lianę Taillefer.

- *Victa iacet Virtus* - mruknął Corso, poruszony uderzającym podobieństwem tej sceny do ósmej ksylografii w *Dziewięciorgu Wrotach*.

Na widok ryciny wdowa uniosła brew. Odzyskała spokój i chłód. I ironię.

- Zgadza się - przytaknęła. - Bo chyba nie wmówi mi pan, że uosobieniem tej cnoty jest d’Artagnan, ten gaskoński oportunistą... Już nie mówiąc o jego kwalifikacjach jako amanta. W całej powieści zdobywa tylko trzy kobiety, z czego dwie podstępem. Jego wielką miłością zostaje mała burżujka o wielkich stopach, zaufana służka królowej. Drugą jest angielska pokojówka, którą bezczelnie się wysługuje - w śmiechu Liany Taillefer zabrzmiało szyderstwo. - A jak tam z jego życiem intymnym. *W dwadzieścia lat później?* Konkubinat z

właścicielką zajazdu tylko po to, żeby zaoszczędzić na czynszu... Kawał uwodziciela, podbija serca sług, oberżystek i pokojówek!

- Ale uwodzi też Milady - dodał złośliwie Corso.

Chłodne oczy Liany Taillefer ponownie przeszły wściekły błysk. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, łowca ksiązek leżałby teraz u jej stóp unicestwiony.

- To nie on ją zdobywa - odpowiedziała. - Ten nikczemnik wchodzi do jej łóżka dzięki fortelowi, udając kogoś innego - na powrót była chłodna, stalowe oczy, utkwione w Corsa, były jak dwa sztylety. - Pan i on tworzylibyście dobraną parkę łajdaków.

La Ponte słuchał z najwyższą uwagą. Można było niemal usłyszeć, jak mózg mu pracuje. Nagle zmarszczył czoło.

- Nie chcecie chyba powiedzieć, że...

Spojrzał na dziewczynę szukając sojusznika - zawsze dowiadywał się o wszystkim ostatni. Ona jednak pozostała niewzruszona, jakby cała sprawa jej nie dotyczyła.

- Ale ze mnie głupi fiut - doszedł do wniosku księgarz.

Stał przy oknie i zaczął walić głową we framugę.

Liana Taillefer popatrzyła nań z głęboką odrazą i spytała Corsa:

- Jego też trzeba było tu przywieźć?

- Głupi fiut - powtarzał La Ponte, katując się z coraz większą zawziętością.

- Uważa się za Atosa - usprawiedliwił go Corso.

- Chyba raczej Aramisa. Zarozumialec i głupek. Wicie państwo, że kiedy uprawia seks, kątem oka śledzi cień swego profilu na ścianie?

- Niemożliwe...

- Ależ zapewniam pana.

La Ponte postanowił zostawić okno w spokoju.

- Odbiegamy - rzekł znękany. - Od tematu.

- Jasne - przyznał Corso. - Rozmawialiśmy o cnotcie, Milady. Pani pouczyła nas w tej kwestii na przykładzie d' Artagnana i jego przyjaciół.

- A dlaczego by nie? Dlaczego wierzyć w cnotliwość tych czterech fanfaronów, co posługują się kobietami, wyciągają od nich pieniądze, myślą tylko o własnym bogactwie i chwale? Dlaczego odmawiać tej cnoty Milady, inteligentnej i odważnej kobiecie, która dobiera sobie zwierzchnika, Richelieu, i lojalnie mu służy ryzykując życiem?

- I jeszcze zabija w jego imieniu.

- Sam pan to przed chwilą powiedział: wewnętrzna logika opowieści.

- Wewnętrzna? To zależy od punktu widzenia. Pani męża zabito p o z a powieścią, a nie w niej. Jego śmierć nie była więc fikcją.

- Pan oszalał, panie Corso. Nikt nie zabił Ennquego. Sam się powiesił.

- Víctor Fargas też się sam utopił? A baronowa Ungern padła wczoraj ofiarą kuchenki mikrofalowej?

Liana Taillefer spojrzała na La Pontego, a potem na dziewczynę, szukając wyjaśnienia usłyszanych właśnie słów. Po raz pierwszy od chwili, gdy weszli przez okno, wydawała się zbita z tropu.

- O czym wy mówicie?

- O dziewięciu właściwych rycinach - rzucił Corso.

- O Dziewięciorgu Wrót do Królestwa Cieni.

Zza zamkniętego okna, poprzez szum wiatru i deszczu, dobiegł dźwięk dzwonu. Niemal w tym samym momencie jedenaście innych uderzeń rozległo się gdzieś w budynku, na niższej kondygnacji.

- Widzę, że w tej historii pojawiło się więcej szaleńców - powiedziała Liana Taillefer.

Gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie dzwonu, lekki chrobot dał się słyszeć od strony drzwi. Liana Taillefer nie spuszczała ich z oczu, w których pojawił się błysk triumfu.

- Uwaga - szepnął La Ponte.

Do Corsa wreszcie dotarło, co się dzieje. Kącikiem oka zobaczył, że dziewczyna czujnie prostuje się pod oknem. Nagle podniósł mu się poziom adrenaliny.

Wszyscy patrzyli na klamkę. Obracała się powolutku, jak w filmach grozy.

- Dobry wieczór - powiedział Rochefort.

Miał na sobie płaszcz nieprzemakalny, lśniący od deszczu i zapięty po szyję, oraz pilśniowy kapelusz, pod którego rondem błyszczały nieruchome, ciemne oczy. Zygzak blizny jaśniał na smagłej twarzy z ciemnym wąsem, podkreślającym południową urodę przybysza. Przez kilkanaście sekund trwał bez ruchu w otwartych drzwiach, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza. Z mokrych butów spływała mu woda, tworząc niewielkie kałuże. Wszyscy milczeli.

- Miło cię zobaczyć - odezwała się w końcu Liana Taillefer. Rochefort skinął bez słowa głową. Siedząc nadal na łóżku, kobieta wskazała Corsa. - Zaczynali być bezczelni.

- Mam nadzieję, że nie za bardzo - odrzekł Rochefort. Mówił tym samym wystudiowanym, miłym tonem bez żadnego konkretnego akcentu, który Corso zapamiętał z podróży do Sintry. Stał ciągle w progu i przypatrywał się Corsowi, jakby La Pontego i

dziewczyny w ogóle nie było. Na spuchniętej wciąż dolnej wardze widać było ślady jodiny i dwa szwy. Pamiątka znad Sekwany, pomyślał złośliwie Corso i zaciekawiony sprawdził reakcję dziewczyny. Ta jednak, po początkowym zaskoczeniu, powróciła do roli niezbyt zainteresowanego widza.

Nie spuszczać oczu z Corsa, Rochefort zapytał Milady:

- Skąd się tu wzięli?

Liana Taillefer miała niepewną minę.

- To spryciarze - przeniosła wzrok z La Pontego na Corsa. - W każdym razie jeden z nich.

Rochefort znowu kiwnął głową. Przymknął powieki i analizował sytuację.

- Wszystko się komplikuje - odezwał się po chwili, zdejmując kapelusz i rzucając go na łóżko. - I to bardzo.

Liana Taillefer przytaknęła. Obciągnęła spódnicę i wstała. Czujny Corso odwrócił się niepewnie w jej kierunku.

Rochefort wyjął rękę z kieszeni i łowca książek doszedł do wniosku, że ma do czynienia z mańkutom. Odkrycie samo w sobie nie miało wielkiej wagi: przybysz trzymał w lewej dłoni mały, czarno granatowy rewolwer z krótką lufą. W tym samym momencie Liana Taillefer podeszła do La Pontego i odebrała mu rękopis Dumasa.

- Spróbuj jeszcze raz nazwać mnie zdziurą - stała tak blisko niego i patrzyła nań z taką pogardą, że niemal opluła mu twarz. - Jeśli masz ikrę.

La Ponte jej nie miał. Ocalić skórę przede wszystkim - taką miał zasadę, a maniery nieustraszonego harpunnika zachowywał raczej na chwile euforii pod wpływem C₂H₅OH. Postanowił zatem niczego nie robić jeszcze raz.

- Ja tu jestem przejazdem - oświadczył ugodowo, rozglądając się za miednicą, by przystąpić do umywania rąk.

- Cóż ja bym zrobił, Flavio... - powiedział zrezygowany Corso. - Bez ciebie.

Księgarz, przybrawszy odpowiedni wyraz twarzy, zaczął się tłumaczyć:

- Chyba jesteś niesprawiedliwy - urażony podszedł do dziewczyny; tu czuł się najbezpieczniej. - Prawdę mówiąc, chciałeś tej awantury, Corso. Co dla ciebie znaczy śmierć? Nic. Formalność. Poza tym płacą ci szmal. A życie zasadniczo nie jest przyjemne - wpatrywał się w lufę rewolweru Rocheforta. Objął ramieniem dziewczynę i westchnął melancholijnie: - Mam nadzieję, że nic ci nie zrobią. A jeśli zrobią, nam przypadnie w udziale najgorsze: żyć dalej.

- Jesteś wieprzem. I zdrajcą.

La Ponte spojrział na niego zbolałym wzrokiem.

- Nie będę ci tego pamiętał, drogi przyjacielu. Mówisz to w afekcie.

- Pewnie, że w afekcie, ty kupo szamba.

- Tego też ci nie będę pamiętał.

- Skurwysyn.

- Puszczam to mimo uszu, stary. Przyjaźń polega na drobiazgach.

- Gratuluję - zauważyła arogancko Milady. - Widzę, że w waszej drużynie duch solidarności nie umiera.

Corso myślał gorączkowo, chociaż myślenie nie mogło się teraz na nic przydać. Nie wynaleziono dotąd ćwiczenia umysłowego zdolnego wytrącić drugiemu broń z ręki. Nawet zważywszy, że Rochefort nie celował właściwie w nikogo, lecz trzymał rewolwer od niechcienia, jakby uznał, że wystarczy pokazać broń, aby zaprowadzić porządek. Z drugiej strony ewentualna próba wyrównania rachunków z człowiekiem z blizną, na co Corso miał ogromną ochotę, wymagałaby wysokiej sprawności, a takową łowca książek nie mógł się poszczycić. La Ponte odpadał. Jedyna szansa na zmniejszenie przewagi liczebnej zależała teraz od dziewczyny. Albo jednak była ona nadzwyczaj dobrą aktorką, albo nie należało zbyt na nią liczyć. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Corso pogrzebał tę nadzieję. Domniemana Irene Adler uwolniła się z objęć La Pontego i znów oparła się o parapet okna, skąd przypatrywała się scenie jak z dalekiego brzegu. Z niewyjaśnionych, absurdalnych przyczyn postanowiła nie uczestniczyć w przedstawieniu.

Liana Taillefer, zadowolona, podeszła do Rocheforta z odzyskanym rękopisem Dumasa w dłoni. Zaskoczony Corso stwierdził, że nic a nic nie obchodziło jej *Dziwięcioro Wrót*, które nadal spoczywało w jego brezentowej torbie na podłodze koło łóżka.

- A teraz? - usłyszał ciche pytanie kobiety.

Ku zdziwieniu Corsa Rochefort najwyraźniej nie był pewien. Mierzył rewolwerem w różne strony i patrzył znacząco na Milady. W końcu, po długiej chwili, wyjął prawą dłoń z kieszeni i pogładził się po twarzy.

- Nie możemy ich tu zostawić - powiedział z wahaniem.

- Ani zabrać ze sobą - dodała kobieta.

Przytaknął jej leniwie, tymczasem rewolwer już nie zdradzał poprzednich wątpliwości. Corso zobaczył, że lufa nieubłaganie celuje w jego żołądek. Poczuł, jak napinają mu się mięśnie brzucha. Jednocześnie usiłował sformułować - z podmiotem, orzeczeniem i dopełnieniem - jakiś spójny składniowo sprzeciw. Wydał z siebie jedynie gardłowy, niewyraźny dźwięk.

- Nie zabijajcie go - La Ponte znowu usiłował znaleźć się poza głównym biegiem wydarzeń.

- Flavio - zdołał wykrztusić Corso zaschłymi ustami. - Jeżeli przeżyję, przysięgam, że rozwalę ci mordę. Na kawałki.

- Chciałem tylko pomóc.

- Pomóż lepiej swojej matce wrócić spod czerwonej latarni.

- Dobra, dobra, zamykam się.

- Właśnie, zamknij się - wtrącił się Rochefort. Wymienił ostatnie spojrzenie z Lianą Taillefer i najwidoczniej podjął decyzję. Nie spuszczać oczu z Corsa zamknął drzwi za sobą i wrzucił klucz do kieszeni płaszcza. Z deszczu pod rynną - pomyślał łowca książek, któremu tętno rozsadzało skronie i nadgarstki. Werble spod Waterloo dudniły mu gdzieś w zakamarkach świadomości, kiedy w ostatnim rozpaczliwym porywie naprędce obliczał odległość dzielącą go od lufy i czas potrzebny na wymknięcie się, rozważając, kiedy padnie pierwszy strzał i w którym miejscu dosięgnie go pocisk. Szansę na wyjście z tego bez draśnięcia były minimalne, ale za następne pięć sekund mogły się zredukować do zera. Zabrzmiała fanfara. Ostatnia szarża z Neyem na czele, dzielny pośród dzielnych, przed zmęczonymi oczami Cesarza. Rochefort występował zamiast szarej piechoty szkockiej, ale w końcu kula jest kulą, jest kulą, jest kulą. W przedostatniej sekundzie przed przystąpieniem do akcji pomyślał, że to wszystko to jakiś absurd. Zastanawiające było tylko, czy w tym kontekście śmierć, która miała go dopaść za moment, będzie fikcyjna czy prawdziwa. I czy znajdzie się potem w nicości czy w Walhalli, pośród bohaterów literackich. Oby tylko tych dwoje jasnych oczu, które na pewno wpatrują się teraz w jego plecy - oczu Cesarza? A może zakochanego diabła? - czekało na niego o zmierzchu, żeby przeprowadzić go na drugą stronę rzeki cieni.

I wtedy właśnie Rochefort zrobił coś niespodziewanego. Uniesioną prawą ręką poprosił o chwilę przerwy - gest w sumie absurdalny w tej sytuacji - i poruszył pistoletem, jak gdyby miał go zamiar schować do kieszeni. Trwało to bardzo krótko, broń powróciła do poprzedniej pozycji, ale tym razem czarny otwór lufy mierzył trochę bez przekonania. Corso, rozdygotany od eksplodującego pulsu, spinający właśnie wszystkie mięśnie do skoku na oślep, nagle zamarł, pojawiwszy, że jeszcze nie wybiła godzina jego śmierci.

Nie wierząc własnym oczom, patrzył, jak Rochefort przemierza pokój, podchodzi do telefonu, wybiera numer linii zewnętrznej i dzwoni do kogoś. Najpierw usłyszał kilka odległych sygnałów, wreszcie krótkie „klik”.

- Corso tu jest - powiedział Rochefort i zamilkł, jakby po drugiej stronie panowała identyczna cisza. Dłoń z rewolwerem błąkała się celując to tu, to tam. Wreszcie człowiek z blizną przytaknął dwukrotnie, chwilę jeszcze słuchał, wymamrotał: „Zgoda” i odwiesił słuchawkę na widełki.

- Chce się z nim zobaczyć - rzekł do Milady. Oboje popatrzyli na Corsa - kobieta z irytacją, Rochefort zakłopotany.

- To absurd - powiedziała.

- Chce go widzieć - powtórzył tamten.

Milady wzruszyła ramionami i przeszła się po pokoju, z wściekłością kartkując rękopis *Wina andegaweńskiego*.

- A my... - zaczął La Ponte.

- Pan tu zostanie - przerwał Rochefort, wskazując nań lufą rewolweru. Musnął swoją ranę na ustach. - Dziewczyna też.

Pomimo rozwalonej wargi nie wydawał się pałać do niej szczególną nienawiścią. Corso mógłby przysiąc, że dostrzegł w jego oczach iskierkę zainteresowania.

Tymczasem Rochefort podał Lianie Taillefer rewolwer.

- Nie wolno im stąd wyjść.

- Dlaczego ty tu nie zostaniesz?

- On chce, żebym to ja go przyprowadził. To bezpieczniejsze.

Milady skinęła ponuro głową. Widać było, że nie w takiej roli widziała się tej nocy. Podobnie jednak jak jej pierwowzór literacki, była zbiorem zdyscyplinowanym. Wzięła rewolwer i w zamian oddała Rochefortowi rękopis Dumasa, po czym popatrzyła z niepokojem na Corsa.

- Obyś nie miał z nim kłopotów.

Rochefort uśmiechnął się, spokojny i zdecydowany, wyciągnął z kieszeni ogromny nóż sprężynowy i zaczął go oglądać, jakby do tego momentu nie pamiętał, czy ma tę broń przy sobie. Biel zębów ostro kontrastowała ze smagłą, przeoraną blizną twarzą.

- Raczej nie będę miał kłopotów - odpowiedział chowając nóż, którego nawet nie otworzył, i zrobił w stronę Corsa gest ni to przyjazny, ni to złowrogi. Wziął z łóżka kapelusz, przekręcił klucz w zamku i zaprosił łowcę książek do wyjścia. Zrobił to z przesadnym uszanowaniem, jakby trzymał w dłoni kapelusz z piórami.

- Jego Eminencja czeka, dostojny panie - powiedział, i zarechotał krótkim, suchym śmiechem doświadczonego bandziora.

Przed wyjściem z pokoju Corso spojrzął na dziewczynę. Odwróciła się od Milady, która mierzyła w nią i w La Pontego z pistoletu. Wydawało się, że całe zajście jej nie dotyczy. Oparta o parapet wyglądała na zewnątrz, gdzie królowały wiatr i deszcz. Jej sylwetka odcinała się wyraźnie w świetle błyskawic, rozpraszających raz po raz nocne ciemności.

Wyszli na ulicę. Burza nie ustawała, więc Rochefort schował teczkę z rękopisem Dumasa pod płaszcz nieprzemakalny i poprowadził Corsa uliczkami wiodącymi do starej części miasteczka. Strugi deszczu targały gałęziami drzew, bębniąc po kałużach i po bruku. Corso podniósł kołnierz płaszcza, czując, jak grube krople spływają mu po włosach i twarzy. Meung tonęło w mroku, wkoło nie było żywej duszy. Jedyne źródło światła stanowiły błyskawice, wydobywające z ciemności dachy domostw, ciemny profil Rocheforta pod ociekającym rondem kapelusza i postacie obydwu mężczyzn, garbiące się za każdym razem, gdy rozlegał się grzmot. Brzmiało to tak, jakby diabeł smagał biczem spienione wody Loary.

- Przyjemna nocka - powiedział Rochefort, zwracając się w stronę Corsa, żeby przekrzyczeć huk.

Chyba dobrze znał miasteczko, bo szedł pewnym krokiem, odwracając się co chwila, żeby sprawdzić, czy Corso podąża za nim. Niepotrzebnie zresztą, bo w tym momencie Corso poszedłby za nim do samych wrót piekielnych. Nawiasem mówiąc, nie mógł absolutnie wykluczyć, że ta posępna wędrownica nie zakończy się właśnie w takim miejscu. Pioruny oświetlały kolejno średniowieczny łuk sklepienia, most nad dawną fosą, sztyld Boulangenepatisserie, opustoszały plac, stożkowatą wieżyczkę i żelazną balustradę z tablicą: *Château de Meung-sur-Loire. XII^{ème}-XIII^{ème} siècles.*

W oddali, po drugiej stronie parkanu, widać było jedno oświetlone okno, Rochefort jednak skręcił w prawo, a Corso w ślad za nim. Szli wzdłuż wstęgi porośniętych bluszczem murów, aż dotarli do ledwie widocznych drzwiczek. Rochefort wyjął jakiś ogromny, wiekowy klucz z żelaza i wsunął go w zamek.

- Z tych drzwi korzystała Joanna d'Arc - poinformował Corsa, przekręcając klucz. Ostatni błysk rzucił światło na stopnie schodzące w mroczną czeluść. Corso zdołał jeszcze dostrzec uśmiech Rocheforta, jego połyskujące pod kapeluszem oczy i bliznę na policzku. Przynajmniej mam godnego przeciwnika, pomyślał, nie można się żalić na scenerię i okoliczności. Mimowolnie zaczął odczuwać doń jakąś sympatię, kimkolwiek był ten typ, zdolny odegrać tę nikczemną rolę z takim oddaniem. Aleksander Dumas cieszyłby się jak dziecko, gdyby spotkał kogoś takiego.

Rochefort trzymał w dłoni niewielką latarkę i oświetlał wąskie, długie schody, ginące gdzieś w półmroku piwnicy.

- Proszę przodem - rozkazał.

Kroki odbijały się echem w ciasnym przejściu. Po chwili Corso zatrząsł się pod przemoczonym płaszczem: dobiegła ich fala zimnego powietrza, w którym czuć było zapach odwiecznych wilgotnych kazamatów. Snop światła ukazywał ich oczom stare, wysłużone stopnie i mokre plamy na sklepieniu. Na samym dole trafili na wąski korytarz z zardzewiałymi kratami. Rochefort na chwilę oświetlił fragment kolistej fosy po lewej stronie.

- To dawne lochy biskupa Thibaulta d'Aussigny - powiedział. - Tędy zrzucano trupy do Loary. Francis Villon był tu więziony.

I zaczął monotonicznie recytować półgłosem:

„Litości, bracia, weźrzyjcie łaskawie”... [F Villon, *List do przyjaciół w formie ballady*, przekład Tadeusza ZELEŃSKIEGO - BOYA]

Oczytany drań, co do tego nie było wątpliwości. Ze skłonnościami dydaktycznymi i raczej pewny siebie. Corso nie był w stanie ocenić, czy to dobrze, czy źle. Od chwili, gdy weszli w mrok budynku, kołatała mu się po głowie jedna myśl. Ostatecznie - nie śmieszył go jakoś ten dowcip - z deszczu pod rynnę.

Podziemny korytarz biegł pod sklepieniem łukowym, z którego ściekało jeszcze więcej wody. Na końcu galerii zaślśniły oczy szczura, który natychmiast znikł z piskiem. W świetle latarki Corso zobaczył, że korytarz rozszerza się na końcu w okrągłą salę sklepioną ostrołukami zbiegającymi się pośrodku w grubą kolumnę.

- Krypta - poinformował Rochefort. Stawał się coraz bardziej rozmowny. Omiótł światłem latarki przestrzeń wokół siebie. - Dwunasty wiek. Tu chroniły się kobiety i dzieci podczas oblężenia.

Pouczające. Corso jednakże nie potrafił docenić wiedzy oferowanej mu przez niesamowitego przewodnika. Cały spięty i czujny, oczekiwał pierwszej sposobności. Wspinali się teraz krętymi schodkami. Przez wąskie strzelnice przedzierały się co chwila rozbłyski burzy, szalejącej po tamtej stronie muru.

- Jeszcze kilka metrów i już jesteśmy na miejscu - wyjaśnił Rochefort idący tuż za nim i znajdujący się trochę niżej. Latarka rzucała światło na stopnie pod nogami Corsa. W głosie jego towarzysza zabrzmiała pojednawcza nuta. - Teraz, kiedy cała historia dobiega końca - dodał - muszę panu coś powiedzieć: mimo wszystko odwalił pan kawał dobrej roboty. Najlepszy dowód, że dotarł pan aż tu... Mam nadzieję, że nie żywi pan wielkiej urazy za Sekwanę i hotel Crillon. Taka praca.

Nie sprecyzował, jaka praca, ale nie miało to znaczenia. Oto bowiem Corso odwracał się do niego z miną, jakby chciał odpowiedzieć, a może o coś zapytać. Taki, ot, przypadkowy gest, przed którym Rochefort nie byłby w stanie się zabezpieczyć. Może dlatego właśnie nie zareagował, kiedy Corso popchnął go z nienacka, zapierając się ramionami i nogami, żeby nie polecieć w dół.

Z Rochefortem było inaczej: wąskie schodki, gładka ściana bez żadnego uchwytu, kompletne zaskoczenie... Cudownie ocalała latarka przez jakiś czas oświetlała kolejne stadia upadku: Rochefort wybałusza ze zdumienia oczy, Rochefort do góry nogami, usiłujący nadaremnie schwycić się powietrza, Rochefort znikający za załomem krętych schodów, kapelusz Rocheforta toczący się po stopniach, by wreszcie się zatrzymać. Wreszcie, jakieś sześć-siedem metrów niżej, rozległ się głuchy odgłos, coś w rodzaju „klunk”. Albo raczej „plaf”. Corso, który jeszcze przed sekundą trzymał się z całej siły murów, by nie polecieć w tę krótką, ale przykrą podróż za swoim przeciwnikiem, teraz natychmiast zerwał się do biegu. Serce mu waliło, gdy sadził w dół po trzy stopnie naraz. Zatrzymał się na moment, podniósł z ziemi latarkę i wreszcie dopadł skulonego Rocheforta, który wił się z bólu.

- Taka praca - rzekł Corso i oświetlił sobie twarz, by tamten mógł z dołu dojrzeć jego przyjazny uśmiech, po czym mocno kopnął go w skroń. Głowa Rocheforta stuknęła o najniższy schodek. Podniósł nogę, chcąc poprawić, ale zdał sobie sprawę, że nie jest to konieczne: Rochefort leżał z otwartymi ustami, z ucha ciekła mu krew. Corso pochylił się, żeby sprawdzić, czy tamten oddycha. Okazało się, że tak, więc rozpiął mu tylko płaszcz i przeszukał kieszenie, zabierając nóż, portfel z pieniędzmi, francuski dowód tożsamości i teczkę z rękopisem Dumasa, którą wsunął sobie pod płaszcz, między pasek od spodni a koszulę. Następnie skierował snop światła w górę schodów i wspiął się z powrotem, tym razem na samą górę. Dotarł do podestu i drzwi z grubymi okuciami i sześciokątnymi bretnalami. Dolna szpara przemyciała nieco światła, więc zatrzymał się, trwał nieruchomo przez jakieś pół minuty, aby złapać oddech i poczekać, aż serce przestanie mu walić tak gwałtownie. Z drugiej strony kryło się rozwiązanie zagadki, któremu postanowił stawić czoło z zaciśniętymi zębami, latarką w jednej dłoni i nożem Rocheforta w drugiej. W ciszy rozległ się suchy, złowrogi trzask sprężyny.

I właśnie takiego Corsa - z nożem w rękę, z włosami zmierzwionymi i mokrymi od deszczu i z morderczym błyskiem w oku - zobaczyłem w drzwiach biblioteki.

XV. Corso i Richelieu

„A ja, który pisałem o nim skromną historię, pomyliłem się całkowicie”.

(Souvestre i Allain, *Fantomas*)

Nadszedł czas, by wyjaśnić sprawę narratora. Wierny starej zasadzie królującej w powieściach z dreszczykiem, wedle której czytelnik nie może wiedzieć więcej niż bohater, dotąd ograniczałem się do opisywania wydarzeń z perspektywy Lucasa Corsa. Uczyniłem jedynie dwa wyjątki: w pierwszym i w piątym rozdziale, gdzie nie miałem wyboru i musiałem sam wystąpić w opowieści. W obydwu przypadkach, podobnie jak teraz (po raz trzeci i ostatni), uciekłem się do pierwszej osoby czasu przeszłego ze względów logicznych: bez sensu jest mówić o sobie jako o nim. Ten chwyt publicystyczny okazał się wymiernie korzystny, kiedy Juliusz Cezar opisywał wojnę galicką, jednak tutaj zasłużyłby sobie na miano nieusprawiedliwionej pedanterii. Jest jeszcze jeden powód, nawet dosyć przewrotny: narracja z punktu widzenia doktora Shepparda w imieniu Poirota wydała mi się sztuczką może nie tyle pomysłową (teraz wszyscy tak piszą), ile po prostu zabawną. Ostatecznie ludzie piszą dla zabawy, żeby więcej przeżyć, z miłości własnej albo żeby inni ich kochali. Niektóre z tych celów przyświecały i mnie. Jak mawiał stary Eugene Sue, rzadko spotyka się, jeśli wolno mi tak rzec, łotrów prostaczków. Zakładając oczywiście - może na wyrost - że jestem prawdziwym łotrem.

Otóż ja, niżej podpisany Boris Balkan, oczekiwałem właśnie naszego gościa w bibliotece, kiedy naraz ujrzałem Corsa, z uniesionym nożem i z groźnym błyskiem w oku. Wszedł bez eskorty, co mnie zaniepokoiło, chociaż starałem się utrzymać nieprzenikniony wyraz twarzy przygotowany zawczasu. Efekt zaaranżowałem starannie: biblioteka pogrążona była w półmroku, biurko oświetlone świecznikiem, ja w fotelu z egzemplarzem *Trzech muszkieterów* w dłoniach... Włożyłem nawet na siebie - przeznaczony specjalnie na tę okazję

- choć z punktu widzenia Corsa był to przypadek - surdut z czerwonego aksamitu, który łatwo było skojarzyć z purpurą kardynalską.

Miałem ogromną przewagę: oczekiwałem wizyty łowcy książek, samego bądź w towarzystwie, on mnie się natomiast nie spodziewał. Postanowiłem więc wykorzystać atut zaskoczenia. Nóż w ręku w zestawieniu z tym spojrzeniem szaleńca budził mój poważny niepokój. Toteż przeszedłem od czynów do słów.

- Gratuluję panu - odezwałem się, zatraskując książkę, jak gdyby jego przyjście przerwało mi lekturę. - Udało się panu uczestniczyć w grze do samego końca.

Patrzył na mnie z drugiego końca pokoju i muszę przyznać, że miło mnie polectał wyraz niedowierzania, jaki widziałem na jego twarzy.

- W grze? - powtórzył ochryple.

- Tak, w grze. Napięcie, niepewność, zręczność, zdolności... Swobodne postępowanie w ramach obowiązujących reguł jest celem samym w sobie. Towarzyszy mu uczucie napięcia i radości z uczestnictwa w grze na zasadach odmiennych niż w codziennym życiu... - to nie były moje słowa, ale Corso nie musiał o tym wiedzieć. - Jak pan ocenia tę definicję? Już w Drugiej Księdze Samuela powiedziano: „A może wystąpią młodzieńcy i dadzą nam pokaz walki?” [Wg Biblii Tysiąclecia]... Młodzieńcy, dzieci są idealnymi graczami i czytelnikami: wszystko robią na serio. W sumie gra jest jedyną czynnością wszędzie uprawianą z pełną powagą. Tu nie ma miejsca dla sceptyków, zgodzi się pan ze mną? Nawet największy niedowiarek musi zastosować się do reguł, jeżeli chce wziąć udział w grze. Zwycięża tylko ten, kto szanuje reguły, a przynajmniej zna je i wykorzystuje... Z tym samym mamy do czynienia podczas czytania książki: trzeba dać się uwieść intrydze i bohaterom, żeby opowieść w pełni nas urzekła - przerwałem, oceniając, że ten potok słów wywrze nań spodziewane działanie łagodzące. - Pan, jak mniemam, nie przyszedł sam. Gdzie pański towarzysz?

- Rochefort? - Corso wykrzywił usta w niemiłym uśmiechu. - Miał wypadek po drodze.

- Nazywa go pan Rochefortem? Zabawne i jakże trafne. Pan oczywiście umie przyjąć reguły gry. Nie wiem, czemu by mnie to miało dziwić.

Corso poczęstował mnie niepokojącym krótkim śmiechem.

- On za to był bardzo zdziwiony, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

- Pan mnie przeraża - uśmiechnąłem się cynicznie, choć rzeczywiście byłem przerażony. - Mam nadzieję, że nie stało się nic poważnego.

- Spadł ze schodów.

- Co pan powie...

- To, co pan słyszy. Ale spokojnie, pański zbir jeszcze oddychał, jak go zostawiłem.

- Pół biedy - zmodyfikowałem nieco uśmiech, starając się ukryć zaniepokojenie. To wszystko zaczynało przekraczać przewidziane granice. - Czyli że posłużył się pan fortelem?...
Cóż - rozwarłem wielkodusznie ramiona - niech się pan nie martwi.

- Wcale się nie martwię. To pana zmartwienie.

Udałem, że tego nie słyszę.

- Najważniejsze to dotrzeć do celu - ciągnąłem, próbując odzyskać wątek. - W kwestii forteli ma pan godnych poprzedników... Tezeusz wyszedł z labiryntu dzięki nici Ariadny. Jazon zabrał Złote Runo przy pomocy Medei. Kaurawowie z Mababbaraty podstępem wygrali partię kości, a Achajowie dali mata Trojanom, wprowadzając drewnianego konia... Sumienie może pan mieć spokojne.

- Dziękuję, ale moje sumienie to już moja sprawa.

Wyciągnął z kieszeni złożony w czworo list od Milady i rzucił mi go na biurko. Bez trudu rozpoznałem własny charakter pisma - duże litery zawsze pisałem w sposób trochę nienaturalny. Z mojego rozkazu i dla dobra Państwa właściciel tego dokumentu i tak dalej.

- Mam nadzieję - powiedziałem zbliżając papier do płomienia świecy - że gra była przynajmniej zabawna.

- Chwilami.

- Cieszę się - obaj patrzyliśmy, jak list płonie w popielniczce. - Gdy rzecz dotyczy literatury, inteligentny czytelnik skorzysta, nawet jeżeli strategia gry uczyni zeń ofiarę. Podzielał pogląd, że rozrywka jest doskonałym motywem do gry. A także do czytania powieści bądź ich pisanie.

Powstałem z *Trzema muszkieterami* w rękę i przeszedłem się po pokoju, patrząc ukradkiem na zegar ścienny. Do dwunastej brakowało jeszcze dwudziestu długich minut. Złocenia na grzbietach starych opraw lśniły na regałach. Podziwiałem je przez moment, jak gdybym zapomniał o obecności Corsa, by w końcu zwrócić się do niego.

- Oto one - jednym gestem ogarnąłem całą bibliotekę. - Można by rzec: spokojne, milczące... A one rozmawiają ze sobą, choć wydaje się, jakby nie wiedziały nawzajem o swoim istnieniu. Posługują się autorami, by móc się porozumiewać, podobnie jak jajko wykorzystuje kurę, by stworzyć kolejne jajko.

Odstawiłem *Trzech muszkieterów* na miejsce. Dumas był tu w dobrym towarzystwie: między *Pardaillanami Zevaca* a *Rycerzem w żółtym kaftanie* Luca de Rene. Ponieważ czasu miałem aż nadto, otwarłem tę ostatnią książkę na pierwszej stronie i zacząłem czytać na głos:

„Równy z wybiciem dwunastej w nocy przez dzwony Saint-Germain-l'Auxerrois na ulicy Astruces pojawiło się trzech jeźdźców, każdy otulony w płaszcz. Sprawiali wrażenie tak pewnych siebie, jak pewny był kłus ich wierzchowców”.

- Pierwsze zdania - powiedziałem. - Zawsze te nadzwyczajne pierwsze zdania... Pamięta pan naszą rozmowę na temat *Scaramouche'a*? „Już od urodzenia posiadał dar humoru”... Niektóre pierwsze zdania potrafią naznaczyć na całe życie, nie sądzi pan? Na przykład: „Oręż opiewam i męża...” [P. Vergilius Maro, *Eneida*, przekład Zygmunta Kubiaka.] Nigdy się pan w to nie bawił z nikim bliskim? „Było to w środku lata; pewien zwyczajny sobie młody człowiek jechał z Hamburga” [T. Mann, *Czarodziejska góra*, przekład Józefa Kramsztyka.]... albo to: „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej” [M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, przekład Tadeusza Zeleńskiego]... I oczywiście: „15 marca 1796 roku generał Bonaparte wszedł do Mediolanu” [Stendhal, *Pustelnia Parmeńska*, przekład Tadeusza Zeleńskiego-Boya.]

Corso pozwolił sobie na uśmiezek.

- Zapomina pan o tym, które mnie tu przywiodło: „W pierwszy poniedziałek kwietnia 1625 roku, w miasteczku Meung, gdzie narodził się autor *Romansu o Róży*, panowało zamieszanie tak wielkie” [A. Dumas, *Trzej muszkietierowie*, przekład Joanny Guze.]

- Rozdział pierwszy, zgadza się - potwierdziłem. - Udało się to panu, bez wątpienia.

- To samo powiedział Rochefort, zanim spadł ze schodów.

Zapadła cisza, w której słyhać było tylko dzwony wybijające ostatni kwadrans przed północą. Corso pokazał na cyferblat:

- Jeszcze piętnaście minut, panie Balkan.

- Tak - skinąłem głową. Ten facet miał diabelnie dobrą intuicję. - Piętnaście minut do pierwszego poniedziałku kwietnia.

Odstawiłem *Rycerza w żółtym kaftanie* na swoje miejsce i znów przespacerowałem się po pokoju. Nieruchomy Corso obserwował mnie uważnie, nadal dzierżąc nóż w dłoniach.

- Może pan to schować - zaryzykowałem.

Zawahał się przez sekundę, po czym schował ostrze i włożył nóż do kieszeni, cały czas mając mnie na oku.

Posłałem mu przyzwalający uśmiech i znowu wskazałem na bibliotekę.

- Gdy człowiek ma przy sobie książkę, nigdy nie jest sam, nieprawdaż? - powiedziałem dla podtrzymania rozmowy. - Każda strona przypomina nam jakiś dzień z przeszłości, przywołuje ówczesne emocje. Godziny szczęśliwe zaznaczone kredą, ponure

węgłem... Gdzie wtedy byłem? Który to książkę nazwał mnie swym przyjacielem, który żebrak bratem?... - zawahałem się przez chwilę, szukając kolejnych fraz dla zaakrąglenia tego popisu retorycznego.

- Który skurwysyn swoim współnikiem? - podsunął Corso.

Spojrzałem nań z wyrzutem. Ten mąciwoda starał się wytrącić mnie ze wzniosłego tonu, na jaki się zdobyłem.

- Nie musi pan zachowywać się niemiło.

- Zachowuję się, jak mam ochotę. Eminencjo.

- W tym „Eminencjo” wyczuwam kpinę - odrzekłem dotknięty do żywego. - Wnoszę stąd, że dał się pan zwieść uprzedzeniom. To Dumas uczynił z Richelieu niegodziwca, jakim tamten nigdy nie był, i sfalszował prawdę historyczną dla potrzeb powieści... Już chyba wytłumaczyłem to panu dostatecznie jasno podczas naszego ostatniego spotkania w kawiarni w Madrycie.

- Wredny oszust - odparł Corso, nie wyjaśniając, czy miał na myśli Dumasa, czy mnie. Uniosłem energicznie palec wskazujący.

- To uprawniony manewr - zastrzegłem się - godny najbardziej genialnego i przebiegłego pisarza wszech czasów. A przecież... - uśmiechnąłem się gorzko, ze szczerym smutkiem. - Saint-Beuve go szanował, ale nie uważał go za pisarza. Jego przyjaciel Victor Hugo wychwalał jedynie zdolności Dumasa w zakresie dramatyzmu akcji. Mówiono o nim: płodny i rozwlekły. Bez stylu. Zarzucano mu, że nie zgłębia tajników człowieczej duszy, że brak mu subtelności... Brak subtelności! - przejechałem palcem po *Trzech muszkieterach* ustawionych na regale. - Zgadza się tu ze starym Stevensonem: nigdzie nie opiewano przyjaźni tak obszernie, tak burzliwie i tak pięknie jak tu. Na kartach *W dwadzieścia lat później* bohaterowie początkowo są od siebie oddaleni. To już dojrzały mężczyźni, egoiści, życie nieuchronnie wyposażyło ich w małostki. Nawet walczą w obozach przeciwnych... Aramis i d'Artagnan okłamują się i oszukują, Portos boi się, że ktoś zażąda odeń pieniędzy... Na spotkanie na Placu Królewskim przybywają uzbrojeni i gotowi bić się. W Anglii, kiedy nieostrożność Atosa wystawia ich wszystkich na niebezpieczeństwo, d'Artagnan odmawia pomocy... W *Wicehrabim de Bragelonne*, przy okazji intrygi z żelazną maską, to Aramis i Portos stają przeciwko swym dawnym przyjaciołom... Tak się dzieje, ponieważ mamy do czynienia z żywymi ludźmi. Są niekonsekwentni, bo ludzcy. Ale zawsze w najważniejszym momencie przyjaźń znów zwycięża. Przyjaźń to rzecz wielka!... Ma pan przyjaciół?

- Dobre pytanie.

- Według mnie ucieleśnieniem przyjaźni jest Portos w grocie Locmaria: ten kolos, który zaraz zginie przygnieciony przez skałę, gdy chce uratować towarzyszy... Pamięta pan jego ostatnie słowa?

- „Za ciężki” [A Dumas, *Wicehrabia de Bragelonne*, przekład Hanny Szumańskiej-Grossowej]?

- Właśnie!

Przyznaję, że trochę mnie poniosło. Corso przypominał tego młodzieńca, którego opisywał kapitan Marlow siedząc w obłokach dymu fajkowego. Był jednym z naszych. Jednocześnie miał w sobie upór i wściekłość, które chroniły go przed emocjami podobnymi do moich.

- Pan - rzekł - jest kochankiem Liany Taillefer.

- Tak - przyznałem, z trudem odbiegając myślą od Portosa. - Niezwykła kobieta, prawda? Ma swoje obsesje... Piękna i wierna jak powieściowa Milady. To ciekawe. W literaturze pojawiają się postacie fikcyjne o tak silnej tożsamości, że stają się bliskie nawet tym, co nie czytali książek, w których występują. W literaturze angielskiej mamy trzech takich bohaterów: Sherlocka Holmesa, Romea i Robinsona. W hiszpańskiej dwóch: Don Kichota i Don Juana. We francuskiej jednego: d'Artagnana. Ja jednak, wie pan...

- Niech pan nie zbacza z tematu, panie Balkan.

- Nie zbaczam. Właśnie chciałem do nazwiska d'Artagnana dodać Milady. Kobieta niespotykana. W pewnym sensie podobnie jak i Liana. Mąż nigdy jej nie dorównywał.

- Chodzi panu o Atosa?

- O nieszczęsnego Enriquego Taillefera.

- Dłategoście go zabili?

Mam wrażenie, że moje osłupienie musiało wyglądać szczerze. Ponieważ było szczerze.

- Enrique zabity?... Niech pan nie opowiada bzdur. Powiesił się. To było samobójstwo. Wyobrażam sobie, że w jego świecie musiała to być decyzja bohaterska. Wielka szkoda.

- Nie wierzę.

- Pana sprawa. Tyle tylko, że jego śmierć była początkiem całej tej historii i pośrednią przyczyną, dla której stoi pan teraz przede mną.

- Więc niech mi pan to opowie. Ale powoli.

Zasłużył na to bez dwóch zdań. Już wspomniałem, że był jednym z naszych, choć sam nie miał o tym pojęcia.

- Poza tym - spojrzałem na zegar - zaraz miała wybić północ. - Ma pan *Wino andegaweńskie*?

Zerknął na mnie nieufnie, jakby chciał sprawdzić moje intencje, wreszcie uznał się za pokonanego. Niechętnie wyjął spod płaszcza teczkę, po czym znów ją schował.

- Świetnie - powiedziałem. - Teraz proszę za mną.

Z pewnością spodziewał się tajnego przejścia z biblioteki, z jakąś czarcią zapadką. Może dlatego sięgnął do kieszeni po nóż.

- Nie będzie panu potrzebny - uspokoiłem go.

Nie wyglądał na przekonanego, ale nic nie odrzekł. Podniosłem jeden ze świeczników i ruszyliśmy korytarzem w stylu Ludwika XIII. W pewnym miejscu na ścianie wisiał wspaniały gobelin: Ulisses z łukiem w dłoni, tuż po przybyciu do Itaki, rozradowani na jego widok Penelopa i pies, w głębi uczta zalotników, którzy piją wino nie wiedząc, co ich czeka.

- W tym starym zamku historia co krok daje znać o sobie - wyjaśniłem. - Był oblegany przez Anglików, hugenotów, rewolucjonistów... Podczas wojny Niemcy usytuowali tu stanowisko dowódcze. Obecny właściciel kupił tę budowlę w opłakanym stanie. To milioner brytyjski, uroczy człowiek i prawdziwy dżentelmen. Zajął się restauracją i wyposażeniem zamku, wykazując przy tym niezwykły gust. Nawet zezwolił na udostępnienie go turystom.

- Więc co pan tu robi? To nie jest pora zwiedzania.

Zerknąłem przez jedno z okutych okienek. Burza na szczęście już się oddalała. Błysk piorunów przeniósł się poza Loarę, dalej na północ.

- Jest w ciągu roku jeden dzień wyjątkowy - odparłem. - Ostatecznie Meung to miejsce szczególne. Nie wszędzie zaczyna się taka powieść jak *Trzej muszkieterowie*.

Drewniana podłoga trzeszczała z każdym krokiem. W załomie korytarza stała zbroja, autentyczna zbroja szesnastowieczna. W wypucowanym pancerzu matowo odbijały się niesione przeze mnie świece. Corso minął zbroję, popatrując z ukosa, jakby wyczuł w środku czyjąś obecność.

- Historia, którą mam panu do opowiedzenia, jest długa. Wszystko zaczęło się dziesięć lat temu - rzekłem. - Na aukcji w Paryżu wystawiono stos nie skatalogowanych dokumentów... Właśnie przygotowywałem pracę na temat francuskiej dziewiętnastowiecznej powieści popularnej i te zakurzone paczki wpadły mi w ręce. Przejrzawszy je, stwierdziłem, że pochodzą z dawnych archiwów „Le Siècle”. Większość stanowiły odbitki korektorskie o niewielkiej wartości, ale jeden plik niebieskich i białych kartek przykuł moją uwagę. Był to oryginalny rękopis *Trzech muszkieterów*, spisany przez Dumasa i Maqueta. Sześćdziesiąt

siedem rozdziałów, przesłanych w tej postaci do druku. Ktoś, być może wydawca pisma, Baudry, po przygotowaniu szpalt schował je i potem zapomniał...

Zwolniłem kroku i w końcu stanąłem pośrodku korytarza. Corso zachowywał spokój. Świecznik rzucał z dołu blask na jego twarz, cienie tańczyły mu wokół oczu. Chyba zamyślił się nad moją opowieścią do tego stopnia, że nic innego go nie obchodziło. Teraz pragnął jedynie odsłonięcia tajemnicy, która przywiodła go aż tutaj. Nadal jednak prawą dłoń ściskającą nóż trzymał w kieszeni.

- Moje odkrycie - podjąłem udając, że nie dostrzegam tej ręki - miało niebywale znaczenie. Znalismy fragmenty oryginalnej redakcji książki dzięki notatkom i zapiskom Dumasa i Maqueta, ale nie wiedzieliśmy, że istnieje kompletny rękopis... Początkowo zamierzałem opublikować moje znalezisko w formie faksymile z objaśnieniami, ale napotkałem poważną przeszkodę natury moralnej.

Światła i cienie na twarzy Corsa poruszyły się nieco, a usta przekreśliła ciemna kreska. Uśmiechał się.

- Co pan powie? Przeszkoda natury moralnej, w pana sytuacji?

Poruszyłem świecznikiem, starając się, zresztą bezskutecznie, wymazać z jego twarzy niedowierzający uśmieszek.

- Mówię poważnie - odrzekłem. Ruszyliśmy dalej. - Z analizy rękopisu wywnioskowałem, że prawdziwym twórcą powieści był Auguste Maquet... To on z benedyktyńską starannością sporządził dokumentację, naszkicował zarys dramaturgii, po czym geniusz i ogromny talent Dumasa tchnął w ten surowiec życie, czyniąc zeń arcydzieło. Dla mnie było to oczywiste, ale nie dla tych, co ciskają gromy na autora i jego dzieło - swobodną ręką zmiotłem wyimaginowanych oponentów. - Nie mogłem być tym, który ciśnie kamieniem we własne sanktuarium. A już zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy króluje mieroza i brak wyobraźni... Gdy wielcy nie cieszą się takim uwielbieniem jak dawniej, w epoce powieści odcinkowej. Wówczas na przedstawieniach teatralnych wygwizdywano zdrajców i klaskano nieustraszonym, nieskazitelnym bohaterom - pochyliłem melancholijnie głowę. - Owacji tych dziś już niestety nigdzie nie uświadczysz, to dobre dla naiwnych prostaczków i dla dzieci.

Corso słuchał z beczelną, kpiącą miną. czy podzielał mój punkt widzenia, ale zawziętość nie pozwalała mu potraktować moich wyznań jako moralnego alibi.

- Reasumując - rzekł - postanowił pan zniszczyć rękopis.

Uśmiechnąłem się wyniośle. Miał się za spryciarza

- Niech pan nie gada bzdur. Postanowiłem coś lepszego: przemienić go w marzenie.

Zatrzymaliśmy się przed zamkniętymi drzwiami salonu. Z drugiej strony dobiegały stłumione odgłosy rozmów i muzyki. Postawiłem świecznik na konsoli Corso znowu spoglądał na mnie podejrzliwie, zastanawiając się pewnie, jaki tym razem szykuje figiel. Pojąłem że naprawdę nie ma pojęcia, jak blisko finału całej historii się znalazł.

- Pan pozwoli, że mu przedstawię - rzekłem otwierając drzwi - członków klubu Dumas.

Prawie wszyscy już przyszli. Przez ogromne szklane drzwi wychodzące na plac przed zamkiem przybywali spóźnialscy, by z miejsca wmieszać się w tłum spowity dymem cygar i gwarem rozmów. W tle cicho rozbrzmiewała muzyka. Pośrodku, na dużym stole przykrytym białym obrusem, znajdował się zimny bufet: butelki *Wina andegaweńskiego*, kiełbaski i szynka z Amiens ostrygi z La Rochelle, pudełka cygar Montecristo. Goście łączyli się w grupki, pijąc i rozmawiając w najróżniejszych językach. Było już z pół setki mężczyzn i kobiet. Widziałem, że Corso dotyka okularów, jakby nie wierzył, że ma je na nosie. Twarze niektórych znał aż za dobrze z prasy kina, telewizji.

- Zdziwiony? - zapytałem dostrzegając jego reakcję

Skinął głową, zbity z tropu i wciąż posępny. Parę osób podeszło przywitać się ze mną. Wymienialiśmy uściski dłoni, komplementy i żarty. Panowała przyjemna, serdeczna atmosfera. Corso kroczył koło mnie z miną człowieka gotowego spaść z łóżka i obudzić się, co bardzo mnie radowało. Przedstawiłem mu nawet kilkoro gości, patrząc z przewrotną satysfakcją, jak wita się z nimi, zażenowany, niepewny gruntu, po którym stąpa. Jego pewność siebie przysła jak bańka mydlana, co potraktowałem jako mały osobisty rewanz. Ostatecznie to on pierwszy przyszedł do mnie z *Winem andegaweńskim* pod pachą i wszystko pogmatwał.

- Państwo pozwolą, pan Corso... Bruno Lostia, antykwariusz z Mediolanu. Przepraszam. Ależ naturalnie. Thomas Harvey, domyśla się pan, firma jubilerska Harvey: Nowy Jork-Londyn-Paryż-Rzym... I pan hrabia von Schlossberg: najsłynniejsza prywatna kolekcja malarstwa w Europie. Mamy tu osobistości z różnych dziedzin, proszę bardzo: noblista wenezuelski, były prezydent Argentyny, księżę następcą tronu marokańskiego... Wiedział pan, że jego ojciec to zagorzały czytelnik Aleksandra Dumas? O, któż to nadchodzi! Zna go pan, prawda? Profesor semiotyki z Bolonii... Ta blondynka, która z nim rozmawia, to Petra Neustadt, najbardziej wpływowa znawczyni literatury w Europie Środkowej. A w tamtej grupce, obok księżnej Alba, widzi pan finansistę Rudolfa Villefoza i pisarza brytyjskiego Harolda Burgessa. To Amaya Euskal z grupy Alpha Press, z najpotężniejszym wydawcą w

Stanach Zjednoczonych Johnem Crossem z nowojorskiego O&O Papers... No i chyba rozpoznaje pan paryskiego księgarza Achille'a Replingera.

To już był *coup de grâce*. Rozkoszowałem się widokiem zbaranianej twarzy mojego rozmówcy i nawet trochę mu współczułem. Replinger trzymał w dłoni pusty kieliszek i uśmiechał się przyjaźnie spod muszkieterskiego wąsa, tak samo jak podczas identyfikacji rękopisu Dumasa w księgarni na ulicy Bonapartego. Uściskał mnie jak wielki niedźwiedź, poklepał czule Corsa po plecach i ruszył po nowy kieliszek, wzdychając jak rumiany, jowialny Portos.

- Niech to cholera - szepnął łowca książek i przysunął się do mnie na stronie. - Co tu się odbywa?

- Już mówiłem, że to długa historia.

- To może wreszcie ją pan skończy.

Zbliżyliśmy się do stołu. Nalałem wino do dwóch kieliszków, ale on odmówił jednym ruchem głowy.

- Dżin - mruknął. - Jest dżin?

Pokazałem mu barek w końcu salonu. Udaliśmy się w tamtą stronę, zatrzymując się jeszcze ze trzy, cztery razy, żeby wymienić uściski dłoni: a to ze znanym reżyserem, a to z milionerem libańskim, z ministrem spraw wewnętrznych Hiszpanii... Corso porwał butelkę befeatera, napełnił sobie szklankę po brzegi i wychylił połowę jednym haustem. Wzdrygnął się nieco, oczy zalśniły mu za szkiełkami okularów (jedno było pęknięte). Przyciskał butelkę do piersi, bojąc się ją utracić.

- Miał mi pan coś opowiedzieć - rzekł.

Zaproponowałem miejsce, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał - taras po drugiej stronie oszklonych drzwi.

Corso znów napełnił szklankę i podążył za mną. Burza ucichła. Nad naszymi głowami migotały gwiazdy.

- Zamieniam się w słuch - oświadczył i pociągnął kolejny potężny łyk.

Oparłem się o balustradę, ciągle mokrą od niedawnego deszczu, i umoczyłem usta w winie andegaweńskim.

- Nabyty przeze mnie rękopis *Trzech muszkieterów* podsunął mi pomysł - powiedziałem. - A może by tak powołać stowarzyszenie literackie, coś w rodzaju klubu oddanych wielbicieli powieści Aleksandra Dumasa i w ogóle klasycznej powieści przygodowej? Dzięki kontaktom zawodowym miałem już upatrzonych kilku odpowiednich kandydatów... - wyciągnąłem dłoń w kierunku oświetlonego salonu. Przez szyby widać było

tłum gości przechadzających się w różnych kierunkach i pograżonych w ożywionych rozmowach. Sukces. Miałem przed sobą dowód trafności mojego pomysłu i nie ukrywałem autorskiej dumy. - Stowarzyszenie, które studiuje tego typu utwory, wydobywa z zapomnienia autorów i ich dzieła i organizuje ich reedycje i dystrybucję. Nasz znak wydawniczy może jest panu znany: *Dumas & Co.*

- Owszem - potwierdził Corso. - Wydają w Paryżu, właśnie wypuścili dzieła wszystkie Ponsona du Terrail. W zeszłym roku wyszedł *Fantomas...* Nie wiedziałem, że pan macza w tym palce.

Uśmiechnąłem się z zadowoleniem:

- Taka jest zasada: żadnych nazwisk, żadnego egoizmu... Jak pan widzi, rzecz ma charakter jednocześnie erudycyjny i dziecinny. Taka nostalgiczna gra literacka, która przypomina nam stare lektury i pozwala powrócić do stanu zagubionej pierwotnej niewinności. Kiedy ludzie dojrzewają, stają się flaubertystami albo stendhalistami, opowiadają się za Faulknerem, Lampedusą, Garcíą Marquezem, Durrellem czy Kafką... Zaczynamy się od siebie różnić, czasem nawet kłócimy się. Ale jednym mrugnięciem potrafimy się porozumieć na gruncie paru magicznych książek i autorów. Dzięki nim poznaliśmy kiedyś świat literatury bez potrzeby wyznawania jakichś dogmatów czy wkuwania mętnych teoryjek. To nasza prawdziwa wspólna ojczyzna: opowieści wierne nie temu, co człowiek widzi, ale temu, o czym marzy.

Zawiesiłem głos, czekając, jaki efekt wywarły moje słowa. Corso jednak tylko uniósł szklankę z dżinem i obserwował ją pod światło. Tu była jego ojczyzna.

- To było kiedyś - odparł. - Dzisiaj dzieci i młodzież są bezpieczeństwałowcami gapiącymi się w telewizory.

Pewny swego pokręciłem głową. Właśnie parę tygodni wcześniej napisałem coś na ten temat dla dodatku literackiego „ABC”.

- Niech pan w to nie wierzy. Nawet oni nieświadomie podążają starymi ścieżkami. Filmy telewizyjne podtrzymują dawne więzi. Głównie stare filmy, ale nawet Indiana Jones jest spadkobiercą tej tradycji.

Corso uśmiechnął się, patrząc w stronę rozświetlonych szyb.

- Możliwe. Ale zaczął mi pan opowiadać o tych tam. Ciekaw jestem, jak ich pan... zwerbował.

- To żadna tajemnica - odpowiedziałem. - Od dziesięciu lat prowadzę to tajne stowarzyszenie, klub Dumas. Co roku spotykamy się tu w Meung. Jak pan zauważył,

członkowie stawiają się punktualnie, przybywając z najdalszych zakątków globu. Nawet najpośledniejszy w tym gronie jest czytelnikiem pierwszej klasy...

- Powieści przygodowej? Śmiesz mnie pan.

- A nie miałem takiego zamiaru, panie Corso. Po co te uprzedzenia? Jak pan wie, powieść czy film powstałe dla czystej rozrywki mogą się okazać znakomitymi dziełami: począwszy od *Pickwicka* po *Casablankę* i *Goldfingera*... To opowieści pełne archetypów, których publiczność świadomie lub nieświadomie pożąda, najchętniej w postaci repetycji fabularnych z drobnymi wariantami. Mamy tu do czynienia raczej z *dispositio* niż z *elocutio*... Tak więc powieść w odcinkach, a nawet najbanalniejsza opera mydlana, mogą stać się przedmiotem kultu zarówno dla publiczności prostodusznej, jak i tej wymagającej. Niektórzy w *Sherlocku Holmesie* szukają dreszczyka emocji, przygód z narażeniem życia, a inni szukają tam fajki, lupy i owego „to oczywiście, drogi Watsonie”, którego zresztą, proszę zwrócić uwagę, Conan Doyle nigdy nie napisał. Chwył ze schematami, ich wariantami i powtórzeniami jest tak stary, że już Arystoteles wspomina o nim w swej *Poetyce*. Spójrzmy prawdzie w oczy: czym jest serial telewizyjny, jeśli nie zaktualizowaną modyfikacją tragedii klasycznej, wielkiego dramatu romantycznego albo powieści aleksandryjskiej?... Inteligentny czytelnik znajdzie tu niebywałą rozrywkę. A poza tym pamiętajmy, że wśród tych reguł może się znaleźć wyjątek, który je potwierdzi.

Byłem przekonany, że Corso słucha mnie z zaciekawieniem, on jednak kręcił głową jak gladiator, który odmawia stawienia czoła przeciwnikowi na niedogodnym dla siebie terenie.

- Tu nie katedra akademicka, wróćmy do pańskiego klubu Dumas - odezwał się zniecierpliwiony. - Do tego rozdziału, który bujał sobie luzem... Gdzie jest reszta?

- Tam w środku - odparłem patrząc na salon. - Wykorzystałem sześćdziesiąt siedem rozdziałów rękopisu do organizacji stowarzyszenia. Maksymalna liczba członków to sześćdziesięciu siedmiu, każdy ma akcję imienną w postaci jednego rozdziału. Akcje są przyznawane podług ograniczonej listy kandydatów. Zmiany właścicieli wymagają zgody rady nadzorczej, której przewodniczę... Nazwisko każdego chętnego zostaje poddane drobiazgowej analizie przed podjęciem decyzji.

- Jak przekazuje się akcje?

- W ogóle się nie przekazuje. Wraz ze śmiercią któregoś z członków albo rezygnacją z członkostwa w klubie rozdział delikwenta musi wrócić do organizacji. Dopiero wtedy rada postanawia o przekazaniu go nowemu kandydatowi. Członek nigdy nie może swobodnie dysponować swoim rozdziałem.

- Taką próbę podjął Enrique Taillefer?

- W pewnym sensie. Początkowo wydawał się idealnym kandydatem. Był wzorowym członkiem klubu Dumas do chwili, gdy złamał zasady.

Corso dopijał dzin. Po chwili postawił szklanę na omszałej balustradzie i milcząco zapatrzył się w światła salonu. W końcu pokręcił z niedowierzaniem głową.

- To jeszcze nie jest powód zabójstwa - powiedział cicho, jakby do siebie. - Aż nie mogę uwierzyć, że oni wszyscy... - zerknął na mnie wyzywająco. - Ostatecznie to znani i szanowani ludzie. Nigdy nie macziliby w czymś takim palców.

Powstrzymałem gest zniecierpliwienia.

- Można rzec, że rusza pan z brzytwą na poziomki... Enrique i ja byliśmy przyjaciółmi od lat. Połączyła nas fascynacja taką literaturą, choć smak estetyczny Taillefera nie dorastał do jego entuzjazmu...

Rzecz w tym, że mógł spokojnie przeznaczyć czas i pieniądze na swoje hobby dzięki kolosalnym sukcesom wydawniczym w dziedzinie gastronomii. Prawdą jest też, że on wyjątkowo zasługiwał na członkostwo w stowarzyszeniu, dlatego zarekomendowałem jego kandydaturę. Dzieliliśmy zamiłowania, choć niekoniecznie gusty.

- Chciałbym przypomnieć, że dzielili panowie coś jeszcze.

Corso odzyskał swój sarkastyczny uśmiech, co mnie rozeźliło.

- Mógłbym panu odrzec, że to nie pańska sprawa - odparłem rozdrażniony. - Ale chcę panu wszystko wytłumaczyć... Liana zawsze była kobietą niezwykłą, nie tylko piękną. A także wcześniej dojrzałą czytelniczką. Wie pan, że w wieku szesnastu lat wytatuowała sobie kwiat lilii na biodrze?... Nie na ramieniu, jak u jej ukochanej Milady Winter, a to dlatego, żeby rodzina ani zakonnice w internacie nie zauważyły. Co pan na to?

- Wzruszające.

- Nie wygląda pan na wzruszonego. A ja zapewniam pana, że jest to osoba naprawdę godna podziwu... Rzecz w tym, że... No cóż, zbliżyliśmy się do siebie. Wcześniej nadmieniłem, że ojczyzną każdej istoty ludzkiej jest utracony raj dzieciństwa, kojarzy pan? Otóż dla Liany Taillefer taką ojczyzną są *Trzej muszkieterowie*. Oczarowana światem odkrytym na stronach tej książki postanowiła wyjść za Enriquego, poznawszy go przypadkowo na jakimś przyjęciu, gdzie cały wieczór spędzili przerzucając się cytatami z powieści. Poza tym on już się wtedy poważnie dorobił na swoich publikacjach.

- Czyli miłość od pierwszego wejrzenia - dorzucił Corso.

- Nie wiem, dlaczego mówi to pan takim tonem. To było rzetelne małżeństwo. Trzeba jednak panu wiedzieć, że w oczach nawet najbardziej oddanej kobiety Enrique prędzej czy

później musiałby się stać safandulą... Prawdą jest też, że byliśmy dobrymi przyjaciółmi, często ich odwiedzałem. Liana... - odstawiłem mój kieliszek na balustradę obok jego szklanki.

- No, nic. Może pan to sobie wyobrazić.

- O tak, mogę to sobie wyobrazić.

- Nie to miałem na myśli. Znalazłem w niej doskonałą współpracownicę. W końcu cztery lata temu poparłem jej przystąpienie do klubu. Posiada rozdział 37 zatytułowany Tajemnica Milady. Sama go sobie wybrała.

- Dlaczego posłał ją pan moim śladem?

- Po kolei. Ostatnimi czasy Enrique stał się źródłem problemów. Zamiast pozostać przy opłacalnym biznesie książek kucharskich, postanowił napisać powieść odcinkową. Rzecz była koszmarna. Coś beznadziejnego, proszę mi wierzyć. Dokonał bezczelnego plagiatu wszystkich elementów gatunku. Nazwał to...

- *Dłoń umarłego.*

- Zgadza się. Nawet tytuł był zapożyczony. Co gorsza, Enrique otwarcie zażądał, żeby opublikowało to Dumas & Co. Ja oczywiście się sprzeciwiłem. Podobny bubel nigdy nie uzyskałby aprobaty rady. Poza tym Enrique miał dosyć pieniędzy, żeby wydać książkę samemu, co mu zresztą powiedziałem.

- Spodziewam się, że źle to zniósł. Widziałem jego bibliotekę.

- Źle?... To eufemizm. Do kłótni doszło w jego gabinecie. Do dziś jeszcze mam w pamięci ten widok: stał na czubkach palców, korpulentny i niski, bliski apopleksji i z szaleństwem w oku. Bardzo nieprzyjemna scena. Że całe życie na to poświęcił. Że kim ja jestem, żeby oceniać jego dzieło. Że tu chodzi o potomność. Że jestem stronnikiem krytykiem i nieznośnym pedantem. I że romansuję z jego żoną... Tu mnie zaskoczył, nie przypuszczałem, że tyle wie. Wynika to, zdaje się, z faktu, że Liana mówi przez sen. Kiedyś pośród „do kroćset” i różnych wyzwisk pod adresem d’Artagnana i jego przyjaciół (których nie znosi, jakby ich znała osobiście), wygadała się przed mężem... Domyśla się pan, w jakim położeniu się znalazłem?

- Bardzo niewygodnym.

- Delikatnie mówiąc. Aczkolwiek najgorsze dopiero miało nadejść. Enrique się miotał. Powiedział, że skoro on jest marnym pisarzem, to Dumas też. Ciekawe, co by zrobił bez Auguste’a Maqueta, którego nikczemnie wykorzystywał. Dowodem białe i niebieskie kartki *Wina andegawęskiego*, które przechowywał w sejfie... Nasza dyskusja robiła się coraz gorętsza. Wyzwał mnie od cudzołożników, ja jego od analfabetów, przygadując mu przy okazji na temat jego ostatnich sukcesów na polu piśmiennictwa gastronomicznego. W końcu

powiedziałem, że jest wykapanym cukiernikiem od Cyrana... „Zemszczę się - rzekł przybierając ton i postawę hrabiego Monte-Christo. - Zdemaskuję oszustwo, jakiego dopuścił się twój uwielbiany Dumas, podpisując własnym nazwiskiem cudze powieści. Ujawnię dokument, niech wszyscy zobaczą, jak ten błazen fabrykował swoje powieści. Przy okazji podważę statut stowarzyszenia, bo rozdział należy do mnie i sprzedam go, komu będę chciał. Miej się na baczności, Boris”...

- Poszedł na całość.

- Nawet nie wie pan, jak daleko uraza może zawieść niedocenionego pisarza. Na nic zdały się moje protesty, wyrzucił mnie na ulicę. Potem dowiedziałem się od Liany, że zadzwonił do tego księgarza, La Pontego, z propozycją sprzedaży rękopisu. Pewnie uważał, że jest sprytny i przebiegły jak Edmund Dantès. Usiłował wywołać skandal tak, żeby samemu się nie ubrudzić. Jego konto miało pozostać czyste. W ten sposób pan trafił do całej historii. Może sobie pan wyobrazić moje zdumienie, kiedy pojawił się pan z *Winem andegawęńskim*.

- Świetnie pan udawał.

- Miałem silną motywację. Po śmierci Enriquego oboje z Lianą podejrzewaliśmy, że rękopis przepadł na amen.

Patrzyłem, jak Corso szuka czegoś po kieszeniach płaszcza. Wreszcie wyjął zmiętoszonego papierosa, włożył do ust i przeszedł się po tarasie nie zapalając go.

- Pańska opowieść nie trzyma się kupy - powiedział. - Żaden Edmund Dantès nie popełniłby samobójstwa przed zakosztowaniem smaku zemsty.

Przytaknąłem, choć w tym momencie stał odwrócony plecami, nie mogąc mnie widzieć.

- Zdarzyło się coś jeszcze - odparłem. - Nazajutrz po naszej rozmowie Enrique przyszedł do mnie, żeby po raz ostatni spróbować mnie przekonać... Ja miałem dość, nienawidzę, jak ktoś mnie szantażuje. I wówczas, nieświadom tego, co robię, wymierzyłem mu śmiertelny cios. Jego powieść, mało że fatalna, wydawała mi się dziwnie znajoma. Kiedy Enrique urządził mi drugą scenę, poszedłem do swojej biblioteki i przyniosłem stare tomiszcze *Popularnej powieści ilustrowanej*. To prawie nieznanne wydawnictwo z końca ubiegłego wieku. Otwarłem tom na pierwszej stronie opowiadania podpisanego przez niejakiego Amaury'ego z Werony (ciekawostka, co?), a zatytułowanego *Angelina de Gravaillac*, czyli *Niesplamiony honor*. Czytając na głos pierwszy akapit, widziałem, że Enrique błędnie, jak gdyby widmo rzeczonyj Angeliny powstało właśnie z grobu. Zresztą z grubsza tak się stało. Był przekonany, że nikt nie zna oryginału, i niemal literalnie skopiował wszystko, wyjąwszy jeden rozdział, notabene najlepszy w całym tekście, który z kolei był

plagiatem z Fernandez y Gonzaleza... Żałowałem, że nie mam pod ręką aparatu, bo zrobiłbym mu zdjęcie, jak położył dłoń na czole, chcąc krzyknąć: „Potępiony!”. Nie zdołał jednak wypowiedzieć ani słowa, wydobył z siebie tylko gardłowy, astmatyczny odgłos, jakby się topił. Potem obrócił się na pięcie, wrócił do domu i powiesił się na lampie.

Corso popatrzył na mnie. Z jego ust nadal zwiślał zapomniany, nie zapalony papieros.

- No i sprawy się skomplikowały - ciągnąłem, przekonany, że wreszcie mi uwierzył. - W pana rękę był rękopis, La Ponte początkowo nie miał zamiaru się go pozbywać. Ja nie mogłem osobiście wcielić się w skórę Arsena Łupin, mam bądź co bądź swoją reputację. Dlatego Lianie powierzyłem misję odzyskania tekstu. Właśnie zbliżała się data kolejnego spotkania dorocznego i trzeba było wybrać nowego członka na miejsce Enriquego. Liana ze swej strony popełniła też parę błędów. Po pierwsze poszła do pana z wizytą - tu odchrząknąłem zakłopotany, woląc nie wchodzić w szczegóły. - Potem postanowiła zaskarbić sobie La Pontego, żeby to on odzyskał *Wino andegaweńskie*. Nie doceniła jednak pańskiej wytrwałości... Sęk w tym, że zawsze marzyła o wielkiej przygodzie, która przybliżyłaby ją do jej bohaterki. O przygodzie pełnej zasadzek, romansów i pościgów. Ta historia, utkana z jej marzeń, była po temu wspianą okazją. Wyruszyła więc w ślad za panem pełna entuzjazmu. „Przywiozę ci rękopis oprawiony w skórę tego Corsa” - przyrzekła mi... Odpowiedziałem, że nie trzeba znowu tak przesadzać. Przyznaję jednak, że to ja zbłądziłem pobudzając jej fantazję i spuszczając z uwięzi Milady, która zamieszkała w niej od czasów pierwszej lektury *Trzech muszkieterów*.

- Mogła przeczytać coś innego, na przykład *Przeminęło z wiatrem*. Gdyby utożsamiała się ze Scarlett O'Hara, prześladowałaby Clarka Gable'a, a nie mnie.

- Rzeczywiście trochę ją poniosło. Przykro mi, że potraktowała to wszystko aż tak serio.

Corso potarł sobie kark. Łatwo było zgadnąć, o czym myśli: tak naprawdę serio sprawę potraktował ten drugi. Facet z blizną.

- Kim jest Rochefort?

- Nazywa się Lászlo Nicolavic. Aktor specjalizujący się w rolach drugoplanowych... Grał Rocheforta w serialu nakręconym parę lat temu dla telewizji brytyjskiej przez Andreasa Freya. Właściwie grał niemal wszystkich słynnych zabijaków: Gonzagę w *Lagardèrze*, Levasseura w *Kapitanie Bloodzie*, La Tour d'Azyra w *Scaramouche'u*, Ruperta von Hentzau w *Więźniu z Zandy*... To wielbiciel gatunku i kandydat na członka klubu Dumas. Liana go podziwiała i nalegała, żeby współpracował z nią przy tej aferze.

- Czyli ten cały Lászlo całkowicie świadomie odgrywał swoją rolę...

- Obawiam się, że tak. Podejrzewam, że w dodatku usiłuje zasłużyć się jeszcze bardziej, żeby przyspieszyć swoje wejście do klubu... Co więcej, mam wrażenie, że od czasu do czasu pełni też funkcję kochanka - postarałem się o lekki uśmiech światowca w nadziei, że wypadnę przekonująco. - Liana jest młoda, piękna i pełna temperamentu. Powiedzmy, że ja wielbię w niej erudytkę mającą chwile romantycznej wylewności, a Lászlo Nicolavic zajmuje się zapewne bardziej prozaicznymi aspektami jej rozbuchanej natury.

- I co dalej?

- Dalej zostało niewiele. Nicolavic-Rochefort miał znaleźć sposób, żeby odebrać panu rękopis Dumasa. Dlatego śledził pana w podróży z Madrytu do Toledo i do Sintry, Liana zaś udała się do Paryża, biorąc ze sobą La Pontego, na wypadek gdyby tamtemu się nie udało, a pan zachował się nierozsądnie. Resztę już pan zna: nie dał pan sobie odebrać rękopisu, Milady i Rochefort posunęli się za daleko, pan dotarł tutaj - jeszcze raz przebiegłem myślą wszystkie wydarzenia. - Wie pan co? Zastanawiam się, czy członkostwa w klubie nie powinienem zaproponować panu zamiast Lászlowi Nicolavicowi.

Nawet nie zapytał, czy ironizuję, czy mówię serio. Zdjął zniszczone okulary i zaczął przecierać je machinalnie, duchem obecny o tysiące kilometrów stąd.

- I to wszystko? - dobiegły mnie wreszcie jego słowa.

- Oczywiście - wyciągnąłem rękę w kierunku sali. - Tu ma pan dowód.

Nałożył z powrotem okulary i zaczerpnął powietrza. Jego mina wcale mi się nie spodobała.

- A *Delomelanikon*? A powiązanie Richelieu z *Dziewięciorgiem Wrót do Królestwa Cieni*? - podszedł jeszcze bliżej i zaczął walić mnie palcem w gors koszuli, aż musiałem się cofnąć. - Ma mnie pan za durnia? Nie wmówi mi pan, że nie miał pan pojęcia o związku Dumasa z tą księgą, o pakcie z diabłem i o całej tej reszcie: o zabójstwie Victora Fargasa w Sintrze i o spaleniu mieszkania baronowej Ungern w Paryżu. To pan osobiście doniósł na mnie policji?... A co pan mi powie o jednej księdze ukrytej w trzech? O dziewięciu rycinach sporządzonych przez Lucyfera i przedrukowanych przez Aristidego Torchię po powrocie z Pragi „za specjalnym przyzwoleniem zwierzchników” i o całej tej cholernej aferze?...

Wyrzucił to z siebie jak wulkan, podnosząc bojowo podbródek i świdrując mnie spojrzeniem. Cofnąłem się jeszcze o krok, patrząc na niego zbaraniałym wzrokiem.

- Pan oszalał - zaprotestowałem wyraźnie dotknięty. - Może mi pan wyjaśnić, o czym pan mówi?

Wyciągnął zapalki i przypalił papierosa, osłaniając dłońmi płomień. Nie spuszczał ze mnie wzroku poprzez oświetlone szkiełka. Wreszcie zaczął opowiadać mi swoją wersję całej historii.

Kiedy skończył, obaj milczeliśmy przez chwilę. Staliśmy obok siebie oparci o mokrą balustradę i wpatrzni w światła w salonie. Relacja Corsa skończyła się wraz z papierosem. Niedopałek gasł teraz na podłodze pod czubkiem jego buta.

- Zapewne - powiedziałem - powinienem teraz wyznać „tak, to prawda” i dać się panu zakuć w kajdanki... Tego pan się naprawdę spodziewa?

Nie odpowiedział od razu. Wysłuchanie swojej opowieści najwyraźniej osłabiło jego wiarę we własne przemyślenia.

- Ale przecież - mruknął - jakieś powiązanie istnieje.

Jego chudy, czarny cień był doskonale widoczny na płytach marmurowej posadzki, w prostokątach światła padającego z sali. Dalej, na schodach i w ogrodzie, rozmywał się w ciemności.

- Obawiam się - zawyrokowałem - że wyobraźnia spletała panu figla.

Powoli pokręcił głową.

- Nie wymyśliłem sobie trupa Victora Fargasa w sadzawce ani baronowej Ungern zwęglonej razem z książkami... To się naprawdę zdarzyło. Te dwie historie przeplatają się nawzajem.

- Otóż to: d w i e historie. Może łączy je tylko pańska skłonność do intertekstualizmów.

- Zostawmy ten żargon. Wszystko zaczęło się od tego rozdziału książki Dumasa - spojrzał na mnie z niechęcią. - Od tego przekłętego klubu. Od pańskich gier.

- Proszę nie obarczać winą mnie. Gra jest dozwolona. Gdyby ta historia nie działa się naprawdę, gdyby była tylko zmyśloną opowieścią, pan jako czytelnik byłby głównym winowajcą.

- Co pan plecie!

- Nie plotę. Z pańskiego opowiadania wnoszę, że pan też grał faktami i odniesieniami literackimi, na tej podstawie ukuł pan teorię i wysnuł całkowicie błędne wnioski... Natomiast fakty są obiektywne i nie może pan ich obarczać swoimi pomyłkami. Historia *Wina andegaweńskiego* i tej drugiej księgi, *Dziwięciorga Wrót*, nie mają ze sobą nic wspólnego.

- Państwo zasugerowaliście mi...

- My, czyli Liana Taillefer, Lászlo Nicolavic i ja, nie sugerowaliśmy panu niczego. To pan sam z siebie wypełnił puste miejsca, jak gdyby to była powieść zbudowana z pułapek, a czytelnik Lucas Corso miał się za spryciarza... Nikt w żadnej chwili nie mówił panu, że sprawy się mają tak, jak pan sądził. Dlatego, drogi przyjacielu, pan sam ponosi za to odpowiedzialność... Prawdziwym winnym jest pańska skłonność do intertekstualizmów, do doszukiwania się zbyt wielu zależności literackich.

- A co innego mogłem zrobić? Żeby ruszyć się z miejsca, trzeba wypracować strategię, a ja nie miałem zamiaru cichutko siedzieć i czekać. Każdy strateg wymyśla sobie modelowego przeciwnika, który determinuje jego kolejne posunięcia... Tak postępuje Wellington, gdy sądzi, że Napoleon sądzi, że on sam zrobi to i to. A Napoleon...

- Także Napoleon popełnia błąd myląc Blüchera z Grouchem. Strategia wojskowa jest równie ryzykowna jak strategia literacka... Niech pan posłucha, panie Corso: dzisiaj nie ma już niewinnych czytelników. Każdy podchodzi do czytanego tekstu z własną perwersją. Czytelnik jest tym wszystkim, co sam przeczytał wcześniej, plus to, co obejrzał w kinie i w telewizji. Do informacji dostarczanej mu przez autora dodaje swoją. Tu leży niebezpieczeństwo: nadmiar odniesień może spowodować, że skonstruuje pan sobie fałszywego przeciwnika. Albo nierzeczywistego.

- Informacja była fałszywa.

- Proszę się nie upierać. Informacja, której dostarcza książka, jest najczęściej obiektywna. Bywa, że złośliwy autor tak ją sformułuje, żeby sprowadzić pana na manowce, ale nigdy nie jest to informacja fałszywa. To pan dokonuje fałszywego odczytania.

Jakiś czas zastanawiał się głęboko. Stał oparty łokciami o balustradę i wpatrywał się w spowity mrokiem ogród.

- Czyli że jest jeszcze jeden autor - rzekł cicho przez zęby.

Tkwiał nieporuszony na swoim miejscu. Dopiero po chwili zobaczyłem, że wyciąga spod płaszcza teczkę z *Winem andegawęńskim* i kładzie ją z boku, na omszałym kamieniu.

- Ta historia ma dwóch autorów - powiedział z naciskiem.

- Możliwe - odparłem biorąc rękopis Dumasa. - Niewykluczone, że jeden z nich jest bardziej złośliwy niż drugi... Ja zajmuję się powieścią przygodową. W sprawie kryminału musi pan się zwrócić gdzie indziej.

XVI. Powtórka z powieści gotyckiej

„Dawniej nigdy nie mieliśmy potrzeby opowiadać.

Ludzie się bili, bo się chcieli bić”.

(A. Dumas, Wicehrabia de Bragelonne,
przekład Hanny Szumańskiej-Grossowej)

Oparłszy się o zagłówek, Lucas Corso spoglądał na krajobraz. Samochód stał zaparkowany na niewielkim placyku przy autostradzie. Nieco dalej szosa skręcała i spadała ku miastu. Dawna warownia, opasana starymi murami, zdawała się płynąć na falach mgły unoszącej się znad rzeki. Przypominała zawieszoną w powietrzu siną, wymagowaną wysepkę. Świat pogrążony był ni to w świetle, ni to w cieniu. Typowy kastylijski brzask, chłodny i niezdecydowany, kiedy pierwsza jasność dnia nadchodząca od wschodu wydobywa z ciemności dachy, kominy i dzwonnice.

Chciał rzucić okiem na zegarek, ale podczas ulewy w Meung dostało się do niego sporo wody. Cyfr na tarczy nie dawało się odczytać, szkiełko straciło przejrzystość. Corso napotkał w lusterku własne zmęczone spojrzenie. Meung-sur-Loire, wigilia pierwszego poniedziałku kwietnia. Znajdowali się daleko od tamtego miejsca, był wtorek. Mieli za sobą długą podróż powrotną, zdawało mu się, że wszystko zostało daleko w tyle: Balkan, klub Dumas, Rochefort, Milady, La Ponte. To tylko cienie zamkniętej opowieści. Ostatnia kartka została odwrócona. Autor zadał ostateczny cios, stawiając - drugi klawisz z dołu po prawej w klawiaturze Qwerty - końcową kropkę. Tym arbitralnym gestem przywrócił całej historii jej naturalną postać: linijki tekstu na zapisanych stronicach, na biernym, jakże obcym papierze. Kolejne cudzych losów nagle przestały go obchodzić.

W ten poranek, podobny do przebudzenia, łowcy książek pozostały jeszcze tylko zaczerwienione oczy, brud, trzydniowy zarost i stara torba brezentowa z ostatnim egzemplarzem *Dziwięciorga Wrót*. No i dziewczyna. Tyle woda wyrzuciła na brzeg. Usłyszał ciche westchnienie i spojrzał na dziewczynę. Spała obok niego na siedzeniu,

przykryta kurteczką, głowę oparła mu na ramieniu. Oddychała równomiernie przez w półprzymknięte usta. Co jakiś czas dreszcz wstrząsał całym jej ciałem i wtedy pojękiwała cichuteńko, a niewielka pionowa bruzda na czole nadawała jej wygląd zagniewanej dziewczynki. Spod błękitnego okrycia wystawała rozwarta dłoń z lekko rozchylonymi palcami, jakby jej właścicielce coś się wymknęło albo jakby na coś czyhała.

Corso wrócił myślami do Meung i do podróży. Do Borisa Balkana i rozmowy dwie noce temu na zmoczonym niedawną ulewą tarasie. Trzymając w ręku kartki z *Winem andegaweńskim* Richelieu uśmiechał się na podobieństwo przeciwnika z dawnych czasów, podziwianego i zarazem pełnego współczucia: „Jest pan człowiekiem niezwykłym, przyjacielu...” To zdanie, to ostatnie pozdrowienie, zabrzmiało jak pociecha albo pożegnanie. Na pewno były to jedyne słowa mające jakiś sens, bo poza tym Corso usłyszał tylko mało przekonującą propozycję dołączenia do gości na balu. Nie żeby Balkan gardził jego towarzystwem - można by wręcz sądzić, że nie chciał się z nim rozstać. Raczej domyślał się, że Corso, który stał wciąż nieruchomo z łokciami na balustradzie, przez dobrą chwilę wsłuchując się w huk własnej katastrofy, i tak się nie zgodzi. Potem łowca książek powoli się ocknął i rozejrzał się, żeby skonstatować, gdzie jest. Na koniec oddalił się od rozświetlonych szyb w kierunku hotelu, błędząc niespiesznie po ciemnych uliczkach. Nie napotkał już Rocheforta, a kiedy przybył do zajazdu Saint-Jacques, dowiedział się, że i Milady sobie poszła. Oboje opuścili jego życie, by powrócić do nierealnych krain, skąd przybyli. Odzyskali swój świat fikcji, a ich odpowiedzialność równała się teraz odpowiedzialności figur szachowych. Natomiast La Pontego i dziewczynę odnalazł bez trudu. La Ponte nic go nie obchodził, ale odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że dziewczyna nie zniknęła. Szczerze się obawiał, że i ona przepadnie, jak inne postacie z tej historii. Chwycił ją co prędzej za rękę, żeby nie rozwiała się w pył biblioteczny zamku Meung, i zaciągnął do samochodu ku zakłopotaniu La Pontego. Zostawili go daleko w lusterku, gdy bezbronny zaklinał się daremnie na ich starą sponiewieraną przyjaźń. Niczego nie rozumiał, o nic nie śmiał pytać ten wiarołomny, beżużyteczny harpunnik, któremu nie warto było ufać. Takich spuszcza się na wodę z trzydniową porcją sucharów i wody: możesz pan próbować dotrzeć do Batawii, panie Bligh. Dojechawszy do końca ulicy Corso zatrzymał jednak wóz i nie zdejmując rąk z kierownicy przez chwilę wpatrywał się w oświetlony asfalt jezdni. Czuł na sobie badawcze spojrzenie dziewczyny. W końcu La Ponte też nie był postacią realną, więc westchnął, ruszył na wstecznym i zabrał księgarza. Ten trzymał usta na kłódkę przez cały dzień i następną noc, kiedy to zostawili go na jakichś świątłach w Madrycie. Nie odezwał się nawet, kiedy Corso

poinformował go, że może pożegnać się na zawsze z rękopisem Dumasa. Co zresztą miał powiedzieć?

Zerknął na brezentową torbę leżącą między stopami śpiącej dziewczyny. Bolało go też uczucie klęski, świdrujące mu mózg niczym cios nożem prosto w świadomość. Bez wątpienia grał zgodnie z regułami, *legitime certaverit*, ale cały czas w błędnym kierunku. Satysfakcja ulatniała się dokładnie w chwili, gdy osiągał triumf, niepełny, złudny, fikcyjny. Równie dobrze można było pokonać nie istniejące widma, boksować się z wiatrem albo usiłować zakrzyczeć ciszę. Może dlatego Corso od dłuższej chwili spoglądał podejrzliwie na miasto zawieszane we mgle, jak gdyby chciał się upewnić, że zanim się w nie zapuści, jego fundamenty spoczną na twardej ziemi.

Na ramieniu czuł delikatny rytm oddechu dziewczyny. Popatrzył na jej obnażoną szyję widoczną pomiędzy fałdami kurteczki i wyciągnął lewą dłoń, by rozkoszować się przez chwilę ciepłem jej ciała. Jak zawsze, pachniała młodą skórą i gorączką. Dzięki wyobraźni i wspomnieniom bez trudu odgadywał jej smukłe, zaokrąglone tu i ówdzie kształty, od krótkich włosów aż po bosc stopy spoczywające obok białych tenisówek i jego torby. Irene Adler.

Nadal nie wiedział nawet, jak ma się do niej zwracać. Pamiętał za to jej nagość w półmroku, giętką linię bioder, rozchylone usta. Była niewiarygodnie piękna i milcząca, zanurzona we własnej młodości i jednocześnie spokojna jak wielka stojąca woda, obdarzona odwieczną mądrością. A w głębi tych jasnych oczu, wpatrujących się weń w ciemnościach, dostrzegał swoje odbicie, mroczne na tle światła odebranego niebiosom.

Oczy, szmaragdowe tęczęwki pośród długich rzęs, obserwowały go znowu. Dziewczyna ocknęła się, przeciągnęła sennie, otarła o jego ramię, wreszcie wyprostowała się, rozejrzała czujnie i zatrzymała wzrok na nim.

- Cześć, Corso - kurteczka zsunęła jej się na stopy. Biała koszulka podkreślała doskonałe, jędrne ciało pięknego zwierzęcia. - Co my tu robimy?

- Czekamy - wskazał ręką na miasto unoszące się jakby na poduszce z nadrzecznej mgły. - Aż nabierze realności.

Spojrzała w tym samym kierunku, początkowo nie pojmując. Po chwili uśmiechnęła się leniwie.

- Kto wie, może nigdy do tego nie dojdzie - rzekła.

- No to zostaniemy w tym miejscu. Ostatecznie nie jest takie najgorsze... Pod naszymi stopami rozpościera się nierzeczywisty świat - zwrócił się do dziewczyny i przez moment milczał. - „Ofiaruję ci to wszystko, jeżeli się upokorzysz i będziesz mnie wielbić...” Nie poczęstujesz mnie czymś w tym rodzaju?

Uśmiech dziewczyny przepełniony był czułością. Schyliła głowę, zastanowiła się i podniosła ją z powrotem, patrząc mu uważnie w oczy.

- Nie. Ja jestem uboga.

- Wiem - to było oczywiste. Corso nie musiał szukać tej wiedzy w jej jasnych oczach.

- Ten bagaż, wagon drugiej klasy... Ciekawe. Zawsze mi się wydawało, że tam, po drugiej stronie tęczy, macie wszystko, czego dusza zapagnie - jego uśmiech z kolei przypominał ostrze noża, który spoczywał u niego w kieszeni. - Mieszek złota Petera Schlemihla, te rzeczy.

- No więc mylisz się - teraz zacisnęła z uporem wargi. - Mam tylko siebie.

To też była prawda, którą Corso znał od początku. Ona nigdy nie kłamała. Niewinna i mądra zarazem, lojalna i zakochana dziewczynka ścigająca cień.

- Nie wątpię - ręką nakreślił w powietrzu znak, jakby pisał coś piórem. - I nie przedłożysz mi żadnego dokumentu do podpisu?

- Dokumentu?

- No, paktu, jak to dawniej nazywano. Teraz to pewnie by był kontrakt pełen kruczków, co? „Wszelkie kwestie nie objęte niniejszą umową rozstrzyga sąd właściwy...” Słuchaj, to nawet zabawne. Ciekaw jestem, jaki sąd jest właściwy dla takich spraw.

- Nie pleć.

- Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

- Jestem wolna - westchnęła melancholijnie, jakby zdążyła już zapłacić za prawo wypowiedzenia tego zdania. - Mam wybór. Każdy ma.

Corso zaczął grzebać w kieszeniach płaszcza, aż wreszcie trafił na pomiętą paczkę papierosów. Został tylko jeden. Wyciągnął go i popatrzył nań zamyślony, nie wsadzając do ust. W końcu schował go z powrotem. Może będzie musiał zapalić później. Nawet na pewno.

- Wiedziałaś wszystko od początku - odezwał się. - Dwie historie bez jakiegokolwiek powiązania. Dlatego w ogóle nie interesował cię wątek Dumasowski... Milady, Rochefort, Richelieu byli dla ciebie tylko statystami. Teraz rozumiem tę twoją niewytłumaczalną bierność. Musiałaś się piekielnie nudzić. Przerzucałaś kartki swoich *Muszkietarów*, a ja niechbym sobie grał na nie tej planszy...

Dziewczyna wpatrywała się przez przednią szybę w miasto spowite błękitną mgiełką. Uniosła rękę, jakby chciała w ten sposób potwierdzić swój argument, ale zaraz ją opuściła. Może to, co zamierzała powiedzieć, nie miało już sensu.

- Oprócz dotrzymania ci towarzystwa niewiele mogłam zrobić - odparła wreszcie. - Każdy musi przejść część drogi sam. Nigdy nie słyszałeś o wolnej woli? - uśmiechała się smutno. - Niektórzy z nas płacą za nią bardzo wysoko.

- Ale nie cały czas trzymałaś się na uboczu. Wtedy nad Sekwaną... Dlaczego obroniłaś mnie przed Rochefortem?

Trąciła stopą jego torbę.

- Chciał ci ukraść rękopis Dumasa, a poza tym miałaś tu *Dziewięcioro Wrót*. Staralam się zapobiec idiotycznym zakłóceniom - wzruszyła ramionami. - Zresztą nie podobało mi się, że on cię bije.

- A w Sintrze? Zawiadomiłaś mnie o śmierci Fargasa.

- No jasne. To była rozgrywka o księżkę.

- Klucz do spotkania w Meung...?

- O tym nie miałam pojęcia. Po prostu wydedukowałam na podstawie powieści.

Corso uśmiechnął się złośliwie.

- Myślałem, że jesteście wszechwiedzący.

- No więc mylisz się - powtórzyła patrząc nań z irytacją. - A poza tym nie wiem, czemu zwracasz się do mnie w liczbie mnogiej. Już od dawna jestem sama.

Od wieków, Corso był tego pewien. Całe wieki w samotności, nie ma się co oszukiwać. Obejmował już to nagie ciało, zatracając się w jej jasnych oczach. Był w niej w środku, smakował jej skórę, wyczuwał ustami delikatne tętno jej szyi. Słyszał jej cichy jęk, jęk wystraszonego dziecka albo upadłego anioła szukającego odrobiny ciepła. Widział, jak śpi z zaciśniętymi piąstkami, dręczona we śnie przez jasnowłosych archaniołów w lśniących zbrojach, nieubłaganych i dogmatycznych jak sam Bóg, który grał nimi w chińczyka.

Dopiero teraz, dzięki niej, poniewczasie zrozumiał Nikon i dręczące ją widziadła, jej rozpaczliwe uczepienie się życia. Jej strach, jej czarno-białe zdjęcia, daremne próby przegnania precz wspomnień, które odziedziczyła dzięki genom ocalałym w Oświęcimiu, dzięki numerowi wytatuowanemu na ręce jej ojca. I dzięki Czarnemu Bractwu, bynajmniej nie nowemu, wręcz staremu jak duch, jak wygnanie z raju. Bóg i diabeł mogli być tą samą osobą, a każdy interpretował ich na swój sposób.

Ale, tak jak w epoce Nikon, Corso nadal był okrutny.

To wszystko było za ciężkie dla jego pleców, a nie miał w sobie szlachetnego serca Portosa.

- Więc taką miałaś misję? - zapytał. - Chronić *Dziewięcioro Wrót*? Raczej nie licz na medal.

- Jesteś niesprawiedliwy, Corso.

Prawie te same słowa. Znowu drobna, krucha Nikon rzucona na wzburzone fale. Kogo teraz uczepli się nocą, żeby uciec przed zmorami?

Spojrzał na dziewczynę. Być może wspomnienie o Nikon miało być jego własną karą, ale nie zamierzał poddać się jej bez słowa. Kątem oka dostrzegł w lusterku obcy, gorzki grymas na swojej twarzy.

- Niesprawiedliwy? Straciliśmy dwie z trzech księżek. Do tego te przypadki niepotrzebnej śmierci: Fargas i baronowa - niewiele o nich dbał, ale wysilił się na uśmiech. - Mogłaś wszystkim tego oszczędzić.

Pokręciła głową, wpatrując się w jego oczy z powagą.

- Pewnych rzeczy nie da się uniknąć, Corso. Niektóre zamki muszą spłonąć, niektórzy ludzie muszą zawisnąć, psy rozszarpać się nawzajem, cnota utracić głowę na szafocie... Niektóre drzwi muszą zostać otwarte, żeby inni je przekroczyli... - zmarszczyła czoło i pochyliła głowę. - Moja misja, jak to określiłeś, polegała na dopilnowaniu, żebyś całą drogę przebył bezpiecznie.

- No, długa to była droga, którą kończę w punkcie wyjścia - Corso machnął dłonią w kierunku zamglonego miasta. - I teraz muszę tam wejść.

- Nie m u s i s z . Nikt cię nie zmusza. Możesz zapomnieć o wszystkim i pójść sobie.

- Nie poznawszy odpowiedzi?

- Nie stanąwszy do próby. Odpowiedź nosisz w sobie.

- Ale piękne zdanko. Każ je wyryć na moim grobie, kiedy będę się smażyć w ogniu piekielnym.

Uderzyła go w kolano, ale nie z całej siły. Raczej po przyjacielsku.

- Nie bądź głupi, Corso. Bardzo często rzeczy mają się tak, jak ludzie chcieliby, żeby się miały. Nawet diabeł może przybrać różne postacie. Także w sensie symbolicznym.

- Na przykład jako wyrzuty sumienia.

- Tak. Ale także jako wiedza i piękno - znów spoglądała z niepokojem na miasto. - Albo jako potęga i bogactwo.

- Tak czy siak ostatecznie doprowadza do potępienia - powtórzył gest podpisywania kontraktu. - Zapłatą jest niewinna dusza.

Dziewczyna westchnęła.

- Ty, Corso, zapłaciłeś już dawno temu. I nadal płacisz. Przedziwne, że ludzie tak lubią przesuwac ten moment na finał, niby ostatni akt tragedii... Każdy dźwiga swoją karę od

samego początku. Diabeł zaś jest po prostu cierpieniem Boga, wściekłością dyktatora schwytanego we własne sidła. Historią opowiedzianą z punktu widzenia zwycięzców.

- Kiedy to się stało?

- Dawniej, niż możesz sobie wyobrazić. Było bardzo ciężko. Walczyłam przez sto dni i sto nocy, nie mając schronienia ni nadziei... - w kącikach jej ust zamajaczył ślad uśmiechu. - Jedyny mój powód do dumy to ten, że walczyłam do końca. Ustępowałam pola, ale nie uciekałam, a wokół mnie inni też padali z wysoka. Ochrypłam wykrzykując całe moje męstwo, strach i znużenie... Aż wreszcie ujrzałam samą siebie, wędrującą przez pustkowie. Moja samotność była równie wielka, jak wielki jest chłód wieczności... Do dzisiaj czasem dostrzegam jakiś ślad po walce albo dawnego towarzysza, który mija mnie nie śmiąc podnieść oczu.

- W takim razie dlaczego ja? Dlaczego nie szukałaś z drugiej strony, pośród tych, co zwyciężają?... Ja wygrywam bitwy tylko w skali 1:5000.

Dziewczyna patrzyła w dal. Właśnie świtało. Pierwszy, poziomy promień słońca przeciął poranek wąską linią, która natychmiast rozgorzała czerwienią w jej zielonych oczach. Gdy ponownie spojrzała na Corsa, łowca ksiązek poczuł, że ten ogrom światła przyprawia go o zawrót głowy.

- Ponieważ blask nigdy nie zwycięża. Poza tym nigdy nie warto uwodzić kretyna.

Zbliżyła do niego usta i pocałowała go bez pośpiechu, z nieogarnioną słodyczą. Jakby czekała na tę chwilę całą wieczność.

Mgła z wolna się rozpraszała. Można by rzec, że zawieszona w powietrzu miasto postanowiło wreszcie ucześcić się twardej ziemi. Brzask odkrywał już ochry i szarości bryły alkazaru, dzwonnicy katedry i kamiennego mostu zanurzonego filarami w rzece, przypominającego podejrzliwą rękę, która spina dwa brzegi.

Corso przekręcił kluczyk w stacyjce, rozległ się warkot silnika. Samochód potoczył się na luzie pustą szosą. Zjeżdżając ku rzece, zostawiali za sobą plamę porannego światła słonecznego. Coraz mniejszy dystans dzielił ich od miasta, gdy zanurzali się w świat zimnych barw i nieskończonej samotności utrzymującej się jeszcze w ostatnich placówkach sinej mgły.

Zawahał się przed wjazdem na most. Zatrzymał samochód pod kamiennym łukiem bramy i z dłońmi na kierownicy skupiony pochylił głowę. Przypominał czujnego myśliwego w stanie najwyższej koncentracji. Zdjął okulary i bez potrzeby, powoli zaczął je czyścić. Oczy utkwili w moście, teraz przemienionym w niepewny szlak o niepokojąco mętnych zarysach. Nie chciał patrzeć na dziewczynę, aczkolwiek był świadom, że bacznie śledzi najdrobniejszy jego gest. Nałożył okulary, poprawiając je na nosie palcem wskazującym,

dzięki czemu krajobraz od razu odzyskał kontury, ale bynajmniej nie nabrał cech uspokajających. Z tego miejsca drugi brzeg wydawał się daleki i spowity mrokiem. Ciemny nurt pod przęsłami przypominał czarne wody czasu i Lete. Pośród resztek nocy, która nie chciała umrzeć, poczucie zagrożenia było niezwykle namacalne i dotkliwe jak ostrze igły. Kładąc prawą dłoń na drążku skrzyni biegów, Corso poczuł własny puls w nadgarstku. Jeszcze masz czas się cofnąć - powiedział sobie. W ten sposób wszystko, co się wydarzyło, tak jakby się nie wydarzyło, a to, co ma nastąpić, nigdy nie nastąpi. Praktyczne zalety Nunc scio, czyli „Teraz wiem”, dewizy wytłoczonej przez Boga czy diabła, wydawały się w tej chwili wysoce wątpliwe. Skrzywił usta w uśmiechu. W sumie wszystko to polega na konstruowaniu fraz. Wiedział, że za parę minut znajdzie się po drugiej stronie rzeki. *Verbum dimissum custodiat arcanum*. Podniósł jeszcze oczy ku niebu, spodziewając się ujrzeć tam łucznika ze strzałami lub bez strzał w kołczanie, po czym wreszcie wrzucił pierwszy bieg i delikatnie nacisnął pedał gazu.

Na zewnątrz było zimno, postawił więc kołnierz płaszcza. Przechodząc na drugą stronę ulicy z *Dziewięciorgiem Wrót* pod pachą, czuł na swoich plecach spojrzenie dziewczyny. Nie zaofiarowała mu swojego towarzystwa i z jakiegoś niejasnego powodu miał przecucie, że tak jest lepiej. Dom zajmował prawie cały kwartał. Jego szara bryła dominowała nad ciasnym placikiem, otoczonym średniowiecznymi kamienicami o zamkniętych oknach i drzwiach, przez co sprawiały wrażenie nieruchomych, ślepych i niemych statystów. Okap fasady zbudowanej z szarego kamienia zdobiły cztery gargulce: kozioł, krokodyl, Gorgona i wąż. Na mauretańskim łuku portalu widniała jeszcze gwiazda Dawida. Żelazna furta prowadziła na patio z dwoma marmurowymi lwami weneckimi, strzegącymi sadzawki przykrytej metalowymi płytami. Łowca książek znał ów widok bardzo dobrze, ale nigdy dotąd nie przekraczał granicy tego terenu z bojaźnią, jaką teraz odczuwał. Do głowy przyszedł mu stary cytat: „Być może mężczyźni, którzy zaznali pieszczot wielu kobiet, wkroczą w dolinę cieni z mniejszymi wyrzutami bądź z mniejszym strachem...” Jakoś tak, aczkolwiek jego chyba zanadto nie dopieściły, bo w ustach dosłownie mu zaschło. Oddałby duszę za pół butelki bolsa. *Dziewięcioro Wrót* natomiast ciążyło mu, jakby wewnątrz zamiast dziewięciu rycin znajdowało się dziewięć płyt ołowianych.

Popchnął furtkę. Cisza panowała absolutna. Podeszwy jego butów nie zbudziły najmniejszego echa, gdy stąpał po kamiennych płytach patia zniszczonego przez dawno umarłe kroki i ulewę historii. Idąc pod sklepieniem kolebkowym trafił na początek wąskich, stromych schodków, na których końcu widniały ciężkie, ciemne, zamknięte drzwi z dużymi

okuciami. Ostatnie drzwi. Corso mrugnął okiem w przestrzeń, a może do siebie samego, odsłaniając przy tym kiel jak przekorny wilk, bezwiedny autor i zarazem ofiara własnego żartu lub też błędu. Błędu starannie zaplanowanego przez czyjąś beczelną rękę. Te wszystkie wolty, udawana prośba o współpracę, która podsunęła mu przewidywania, później zaniechane, a na końcu znów potwierdzone przez ten sam tekst... Tak jakby to wszystko było przeklętą książką, co przecież nie wchodziło w rachubę. A może wchodziło?... Jednego mógł być pewien - swojego fizycznego obrazu, który zobaczył w lśniącej metalowej tabliczce przy wejściu. Odbicie było zniekształcone: na pierwszym planie imię i nazwisko, a dalej jego nieruchoma sylwetka na tle plamy światła w dole, łuku sklepienia schodów wiodących na patio i ulicę. Na ostatnim popasie w owej przedziwnej podróży ku tamtej stronie cieni.

Zadzwoił. Raz, drugi, trzeci - bez odpowiedzi. Mosiężnemu dzwonekowi nie odpowiedziało nawet lekkie echo. Jedną ręką wymacał w kieszeni pogniecioną paczkę z ostatnim papierosem, ale znowu opanował pokusę włożenia go sobie do ust. Nacisnął dzwonek po raz czwarty. Potem po raz piąty. W końcu zacisnął pięść i dwukrotnie mocno uderzył. I w tym momencie drzwi się otworzyły. Bez złowieszczonego skrzypienia, cichutko: zawiasy były naoliwione. Po drugiej stronie, na progu, stał wyzbyty ze skłonności do tanich efektów, swobodny i naturalny Varo Borja.

- Witam, panie Corso.

Chyba nie zdziwiła go ta wizyta. Na czole i na całej czaszce miał krople potu, był nie ogolony, bez marynarki, w samej kamizelce. Rękawy koszuli zawinął za łokcie. Robił wrażenie znużonego, sine plamy pod oczami świadczyły o nieprzespanej nocy. Tylko oczy jarzyły mu się jakimś dziwnym, chorobliwym i silnym blaskiem. Nie spytał gościa, co tu robi o tej porze, wykazał znikome zainteresowanie książką przyniesioną przez Corsa. Przez chwilę tkwił nieruchomo - jak człowiek nagle oderwany od wymagającej skupienia pracy albo gwałtownie obudzony, który chciałby czym prędzej wrócić do swych zajęć lub do łóżka.

To on - Corso nie miał żadnych wątpliwości, uświadamiając sobie rozmiary własnej głupoty. Varo Borja, to oczywiście: milioner, księgarz o międzynarodowych koneksjach, wpływowi bibliofil i metodyczny morderca. Z ciekawością badacza łowca książek przystąpił do studiowania twarzy, którą miał przed sobą. Usiłował wyodrębnić z tej tak dobrze sobie znanej pospolitej fizjonomii cechy i przesłanki, które powinny były uzbroić go w czujność znacznie wcześniej: nie dostrzeżone ślady, czasem grymas obłędu, strachu albo otępienia. Ale nie znalazł nic oprócz chorobliwego spojrzenia, dalekiego i wypranego z ciekawości czy namiętności, śledzącego obrazu, z którymi nic wspólnego nie miał nieoczekiwany poranny

gość. Corso trzymał jednak pod pachą jego egzemplarz przeklętej książki. I to on, Varo Borja, w cieniu tejże książki, czepiając się jego obcasów niczym wąż zabójca, zgładził Victora Fargasa i baronową Ungern. Nie tylko po to, żeby zgromadzić dwadzieścia siedem ilustracji i zestawić dziewięć właściwych, ale także chcąc zmylić ślad, żeby nikt inny nie rozwiązał zagadki ułożonej przez drukarza Torchę. W całej tej aferze Corso posłużył jako narzędzie do potwierdzenia trafnej hipotezy o istnieniu jednej książki rozproszonej w trzech. A także jako osoba, która poniesie prawne konsekwencje. Teraz, choć niechętnie, musiał złożyć hołd własnemu instynktowi, przypominając sobie dziwne uczucie, jakiego doznał pod malowidłami na suficie w Quinta da Soledade. Ofiara Abrahama, gdzie kozłem ofiarnym miał być właśnie on. Oczywiście to Varo Borja był owym księgarzem, który co pół roku odwiedzał Victora Fargasa, by pozbawiać go kolejnych skarbów. Tamtego dnia, kiedy Corso był u portugalskiego bibliofila z wizytą, Borja już czaił się w Sintrze, dopieszczał szczegóły planu. I tylko czekał, aż zweryfikuje się teoria o konieczności posiadania trzech egzemplarzy dla rozwikłania zagadki sprzed trzystu lat. On miał pełną swobodę ruchów. Dlatego Corso nie mógł go zastać, gdy dzwonił do niego w Toledo. Później, tego samego wieczora, przed swoim ostatnim spotkaniem z Fargasem, Varo Borja telefonował do Corsa do hotelu udając, że to rozmowa międzynarodowa. Łowca książek nie tylko potwierdził jego podejrzenia, ale zdradził wręcz klucz do tajemnicy. Tym samym wydał wyrok na Fargasa i na baronową Ungern. Teraz upewnił się z goryczą, że elementy układanki wreszcie do siebie pasują. Wyjawszy przypadkowe aspekty sprawy - fałszywe powiązania z klubem Dumas - Varo Borja był kluczem, który porządkował wszystkie niewytłumaczalne fakty z drugiego, diabolicznego wątku. Można by właściwie ryknąć śmiechem, gdyby ta cholerna intryga była przy okazji choć trochę zabawna.

- Przyniosłem pana książkę - odezwał się pokazując *Dziewięcioro Wrót*.

Varo Borja skinął lekko głową i wziął swoją własność nawet na nią nie patrząc. Odwrócił nieco głowę, nasłuchując jakiegoś dźwięku, który lada chwila mógł go dobiec zza pleców, z wnętrza domu. Po chwili znów popatrzył na Corsa i zamrugał powiekami ze zdumienia, że wciąż go tu widzi.

- Oddał mi pan książkę... Coś jeszcze?

- Niech mi pan zapłaci za robotę.

Varo Borja spoglądał nań nieprzytomnie. Było oczywiste, że jego myśli bujały gdzieś daleko. W końcu wzruszył ramionami na znak, że zupełnie go nie obchodzi ta sprawa, i odszedł w głąb domu, dając przybyłemu do wyboru: zamknąć drzwi, pozostać przy nich albo wrócić tam, skąd przyjechał.

Corso, idąc za nim sienią i korytarzem, przekroczył przez drzwi pancerne i znalazł się w pokoju. Żaluzje były spuszczone, nie docierała tutaj ani odrobina światła zewnętrznego, meble ustawiono pod ścianami, pozostawiając na środku czarnej marmurowej posadzki dużą pustą przestrzeń. Niektóre szafy z książkami były otwarte. Pomieszczenie oświetlały dziesiątki na wpół wypalonych świec. Wosk kapał na wszystko: na blachę przed wygasłym kominkiem, na ziemię, na meble i inne sprzęty. Światło, czerwone i drżące, pełgało z każdym podmuchem, z każdym ruchem wewnątrz pokoju. Pachniało tu jak w kościele albo w krypcie.

Wciąż nie zwracając uwagi na Corsę, Varo Borja zatrzymał się na środku pokoju. Pod stopami miał koło o średnicy mniej więcej jednego metra, wyrysowane kredą, i wpisany weń kwadrat podzielony na dziewięć mniejszych. Wokół figury widniały cyfry rzymskie i dziwne przedmioty: kawałek sznura, klepsydra, zardzewiały nóż, srebrna bransoletka w kształcie smoka, złoty pierścień, rozżarzony węgielek w metalowym pojemniczku, szklana fiolka, kupka ziemi, kamień. Na posadzce poniewierało się zresztą więcej rzeczy i Corso skrzywił się z niechęcią ujrawszy tam wiele książek, które jeszcze kilkanaście dni temu pięknie prezentowały się na regałach. Teraz były brudne, poszarpane, a powyrywane pojedyncze kartki pełne tajemnych znaków, pokreślone rysunkami i liniami, walały się wszędzie. Na kilku tomach stały płonące świece, pokrywając ich okładki lub otwarte stronic grubymi warstwami wosku. Niektóre zdążyły się już nawet wypalić, osmalając przy tym papier. Pośród tych resztek Corso rozpoznał ksylografie z *Dziewięciorga Wrót*, pochodzące z egzemplarzy Victora Fargasa i baronowej Ungern. Leżały wśród innych, także powalanych woskiem i zagadkowo pokreślonych.

Schylił się, żeby z bliska obejrzeć szczątki, nie dowierzając ogromowi zniszczeń. Rycina numer VI, z człowiekiem powieszonym za nogę prawą, a nie lewą, leżała w połowie spalona płomieniem grubej świecy. Dwa egzemplarze ryciny VII, jeden z szachownicą białą i jeden z czarną, spoczywały obok brutalnie pozbawionych okładki resztek *Theatrum diabolicum* z 1512 roku. Inna ilustracja, numer I, wystawała spomiędzy stronic *De magna imperfectaque opera* Valeria Loreny. Był to niezwykle rzadki starodruk, który jeszcze niedawno księgarz pozwolił Corsowi ledwie musnąć. Teraz leżał na ziemi, kompletnie zniszczony.

- Niech pan niczego nie dotyka - usłyszał głos Vara Borjy. Bibliofil stał obok kręgu i zadumany kartkował swój egzemplarz *Dziewięciorga Wrót*, najwidoczniej sięgając wzrokiem poprzez i poza papier, może na koło i kwadrat na posadzce, a może jeszcze dalej, w głębinie ziemi.

Corso, znieruchomiały, patrzył przez moment na niego jak na kogoś, kogo widzi się po raz pierwszy w życiu. Wreszcie wyprostował się z wolna. Płomienie wokół zadrżały.

- Po tym, co pan zrobił - pokazał porozrzucane na podłodze książki i papiery - podejrzewam, że to wszystko jedno, czy czegoś dotknę.

- Nic pan nie wie, panie Corso... Myśli pan, że coś wie, a nie wie pan. Jest pan ignorantem i idiotą. Przez pana i panu podobnych chaos nabiera cech przypadkowości, a wy nie macie pojęcia o istnieniu ukrytego porządku.

- Co mnie tu pan częstuje historyjkami? Zniszczył pan wszystko, a nie miał pan do tego prawa. Nikt nie ma.

- Otóż myli się pan. Po pierwsze to są m o j e książki. Następnie, co jeszcze ważniejsze, miały charakter użytkowy, wartość bardziej praktyczną niż artystyczną czy estetyczną... Przemierzając drogę trzeba pilnować, żeby nikt nie poszedł w nasze ślady. Te książki spełniły już swoją misję.

- Cholerny wariat. Oszukiwał mnie pan od początku.

Varo Borja jakby nie słuchał. Stał nieruchomo z ostatnim egzemplarzem *Dziewięciorga Wrót* i studiował stronicę z ryciną numer I.

- Oszustwo?... - mówił nie odrywając oczu od książki, czym dodatkowo wzmocnił pobrzmiwającą w jego głosie wzgardę. - Ma pan o sobie zbyt wysokie mniemanie. Wynająłem pańskie usługi, nie zdradzając swoich racji ani planów. Sługa nie powinien uczestniczyć w decyzjach podejmowanych przez tego, kto mu płaci... Pan miał pozbierać elementy, o które mi chodziło, i przy okazji wziąć na siebie techniczne konsekwencje pewnych nieuchronnych czynów. Mam wrażenie, że policja portugalska i francuska są już na pana tropie.

- A pan?

- Ja jestem z dala od tego wszystkiego. Niebawem nic już nie będzie miało znaczenia.

Wyrzekłszy to, ku zdumieniu Corsa, wyrwał z *Dziewięciorga Wrót* kartkę z ryciną.

- Co pan robi?

Varo Borja niewzruszenie darł kolejne strony.

- Niszczę moje statki, palę za sobą mosty. I zapuszczam się w *terra incognita*... - wyrwał ostatnią ilustrację i teraz spoglądał bacznie na całą dziewiątkę. - Szkoda, że nie może mi pan towarzyszyć w tej podróży... Jak głosi czwarta rycina, nie dla wszystkich szczęście jest jednakie.

- A dokąd to pan się wybiera?

Księgarz upuścił okaleczoną książkę na szczątki zaściełające posadzkę. Przyglądał się dziewięciu sztychom i kołu na ziemi, dopatrując się tajemniczych związków między nimi.

- Na spotkanie z kimś - odpowiedział enigmatycznie. - Na poszukiwanie kamienia, który odrzucił Wielki Architekt, kamienia, który jest zwornikiem i podstawą myśli filozoficznej, potęgi. Panie Corso, diabeł lubi metamorfozy, raz jest czarnym psem towarzyszącym Faustowi, to znów fałszywym aniołem światła, który usiłował złamać opór świętego Antoniego. Przede wszystkim nudzi go głupota, mierzi monotonia... Gdybym miał czas i ochotę, zaproponowałbym panu rzut oka na niektóre z książek leżących tu pod nogami. Wiele z nich nawiązuje do antycznego przekonania: nadejście Antychrysta nastąpi na Półwyspie Iberyjskim, w mieście trzech kultur, nad rzeką głęboką jak cięcie topora. Czyli nad Tagiem. [Tag, hiszp. Tajo - cięcie, blizna.]

- I tego pan chce dokonać?

- I to właśnie zaraz osiągnę. Brat Torchia pokazał mi drogę: *Tenebris Lux*.

Pochylił się nad wyrysowanym kołem i ułożył wokół niektóre ryciny, inne mnać, drąc i odrzucając na bok.

Świece rzucały z dołu blask na jego oblicze, czyniący z niego widmo o głębokich jamach w miejscu oczodołów.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie pasować - mruknął po chwili z mrocznym wyrazem twarzy. - Dawni mistrzowie wiedzy tajemnej, dzięki którym drukarz Torchia poznał najstraszliwsze i najcenniejsze arkana, znali szlak ku królestwu nocy... „Miejsce owo otacza stwór zjadający własny ogon...” Pojmuje to pan? To *ouroboros* greckich alchemików: wąż z frontyspisu, krąg magiczny, źródło mądrości. Koło, w które wszystko jest wpisane.

- Żądam moich pieniędzy.

Varo Borja jakby nie dosłyszał słów Corsa.

- Nigdy nie ciekawiły pana te sprawy? - ciągnął patrząc nań ciemnymi oczodołami. - Nie zastanawiało pana, że motyw diabeł-wąż-smok w podejrzany sposób stale powtarza się w tekstach na ten temat, poczynszy od czasów starożytnych?...

Trzymał w dłoni przezroczyste naczynie stojące dotąd obok kręgu - szklankę, której ucha wyrzeźbione były w kształcie splecionych węży - i wypił z niej kilka łyków. Corso ocenił, że ciemny, prawie czarny płyn wyglądał jak bardzo mocna herbata.

- *Serpens aut draco qui caudam devoravit* - Varo Borja uśmiechnął się w przestrzeń, ocierając wierzchem dłoni usta. Na wargach i na lewym policzku pozostał ciemny ślad. - One strzegą skarbu: drzewa wiadomości w Raju, jabłek w ogrodzie Hesperyd, Złotego Runa... - mówił z nieobecny wyrazem twarzy, jakby śniąc opisywał własny sen. - Starożytni

Egipcjanie malowali właśnie węże albo smoki zjadające ogony, chcąc pokazać, że pochodzą same od siebie i są samowystarczalne... Wiecznie czuwający strażnicy, dumni i mądrzy. Ezoteryczne smoki, które zabijają ludzi niegodnych, a dopuszczają do siebie tylko tych, co walczyli zgodnie z regułami. Strażnicy utraconego słowa, magicznej formuły, która otwiera oczy i pozwala dorównać Bogu.

Corso wysunął do przodu szczękę. Stał, chudy i milczący, w płaszczu, a blask świec spowijał mu nie ogolone policzki i igrał wokół półprzymkniętych powiek. Ręce wsadził do kieszeni. Jedną macał paczkę z ostatnim papierosem, drugą nóż i piersiówkę po dzinnie.

- Niech mi pan odda pieniądze. Chcę stąd iść.

W jego głosie dźwięczała nutka groźby, ale nie sposób było dociec, czy Varo Borja zdawał sobie z tego sprawę. Powoli, niechętnie przychodził do siebie.

- Pieniądze?... - patrzył nań znowu z pogardą. - O czym mi pan tu mówi, panie Corso? Nie rozumie pan, co się zaraz wydarzy? Ma pan przed oczami tajemnicę, o której od wieków śniło tysiące ludzi... Wie pan, ilu poszło na stos, na tortury, na zatracenie, tylko po to, żeby choć zbliżyć się do tego, co pan niebawem ujrzy?... Oczywiście pan ze mną pójść nie może. Będzie pan tylko siedział cicho i patrzył. Ale nawet na najpodlejszego skrytobójcę spływa blask triumfu jego mocodawcy.

- Niech mi pan natychmiast zapłaci i idzie do diabła.

Varo Borja nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Krążył wokół figury na podłodze, dotykając kolejnych przedmiotów towarzyszących liczbom.

- W sam raz na miejscu to „do diabła”. Bardzo w stylu podobnych do pana prymitywów. Uśmiechnąłbym się może do pana, gdybym nie był teraz zajęty. Pan jest ignorantem i prostakiem, a diabeł przybędzie do mnie - zatrzymał się i przechylił głowę na bok, jakby nasłuchując dalekich kroków. - Już słyszę, przybywa.

Mówił przez zęby, wplatając w potok słów dziwne gardłowe zaklęcia. Niektóre wyrazy skierowane były do Corsa, inne do jakiejś trzeciej osobistości kryjącej się blisko, w mrokach pokoju. - „Ośmioro wrót przekroczysz, nim dojdiesz do smoka...” Pojmuje pan? Ośmioro wrót poprzedza „Bestię, która trzyma pieczęć nad Słowem”, numer dziewiąty zawierający ostateczny sekret... Smok śpi z otwartymi oczyma i jest Zwierciadłem Poznania... Osiem rycin plus jedna. Albo jedna plus osiem. Nieprzypadkowo zgadza się to z liczbą przypisywaną Bestii przez Jana z Patmos: 666.

Corso patrzył, jak bibliofil kłęka i kredą wypisuje cyfry na marmurze posadzki:

[##schemat2.jpg](#)

Wstał z triumfującą twarzą. Przez chwilę świece oświetliły mu oczy. Źrenice miał rozszerzone: bez wątpienia wraz z czarnym płynem wchłonał jakiś narkotyk. Czerń spowijała całe tęczówki, a białka nabrały dominującego w pokoju czerwonego odcienia.

- Dziewięć rycin, czyli dziewięćoro drzwi - znów skrył się za maską cienia - które nie otwierają się przed byle kim... „Każde drzwi posiadają dwa klucze”, każda rycina to jedna liczba, jeden znak magiczny i jedno słowo-klucz, o ile rzecz badamy w świetle rozumu, kabały, wiedzy tajemnej, prawdziwej filozofii... Posługując się łaciną i jej kombinacjami z symbolami greckimi i hebrajskimi - pokazał Corsowi kartkę pełną znaków i tajemniczych zestawień. - Jak pan chce, proszę rzucić okiem. Nigdy pan tego nie zrozumie.

[##schemat3.jpg](#)

Na czole i w kącikach ust wystąpiły mu krople potu, jak gdyby płomień świec jarzył się także wewnątrz jego ciała. Znów zaczął powoli i z uwagą krążyć wokół rysunku na podłodze. Dwukrotnie zatrzymał się, pochylił i poprawił położenie któregoś przedmiotu: porzewiałego żelaznego noża i srebrnej bransoletki w kształcie smoka.

- „Ułożysz elementy na skórze węża...” - recytował nie patrząc na Corsa. Wodził palcem wzdłuż koła, lecz go nie dotykał. - Dziewięć elementów należy umieścić dookoła, zgodnie z kierunkiem w s c h o d z a c e g o s ł o Ń c a , czyli od prawej ku lewej.

Corso zrobił krok w jego kierunku.

- Powtarzam: niech mi pan odda pieniądze.

Varo Borja nawet nie drgnął. Stał odwrócony plecami i pokazywał kwadrat wpisany w koło.

- „I wąż pochłonie pieczęć Saturna...” Pieczęć Saturna jest najstarszym i najprostszym kwadratem magicznym: zawiera dziewięć kolejnych liczb w dziewięciu polach, rozmieszczonych w taki sposób, żeby ich suma w każdym rzędzie, pionowym, poziomym i przekątnym, dawała tę samą liczbę.

Schylił się i wpisał cyfry kredą w kwadrat:

[##schemat5.jpg](#)

Corso znów dał krok naprzód i nadepnął na kartkę pokrytą cyframi:

[##schemat4.jpg](#)

Jedna ze świec zaskwierczała i zgasła, pozostawiając szkaradny ślad na karcie tytułowej *De occulta Philosophia* Korneliusza Agryppy. Varo Borja nadal wpatrywał się w koło i kwadrat. Ręce skrzyżował na piersi, pochylił podbródek. Przypominał gracza rozważającego kolejny ruch nad jakąś dziwną planszą.

- Jest jeden szczegół - odezwał się, ale nie do Corsa, raczej do samego siebie. Prawdopodobnie słuchanie własnego głosu ułatwiało mu myślenie. - Coś, czego starożytni nie przewidzieli, w każdym razie nie dosłownie... Suma liczona w dowolnym kierunku, z góry na dół, z dołu do góry, od lewej do prawej i od prawej do lewej, zawsze wynosi 15, ale można ją też przedstawić zgodnie z zasadami Kabały jako 1 i 5, co w sumie daje 6... To zaś zamyka każdy bok kwadratu w figurę węża, smoka bądź Bestii, nazwa jest tu obojętna.

Corso nie musiał szukać potwierdzenia prawdziwości wyliczenia. Dowód znajdował się na podłodze, na innej karteczce pokrytej znakami: [##schemat6.jpg](#)

Varo Borja ukląkł przy kręgu i schylił głowę. W blasku świec lśniły krople potu na jego twarzy. W dłoni ścisnął jeszcze jedną kartkę i powtarzał tajemne słowa, które tam widniały:

- „Otworzysz pieczęć po dziewięćkroć”, pisze Torchia w tekście... Oznacza to, że trzeba umieścić otrzymane słowa-klucze w polach, które im odpowiadają. Otrzymujemy zatem następujący szereg:

[##schemat8.jpg](#)

- ...A wpisując to w węża, czyli w smoka - wytarł cyfry w kwadracie i zastąpił je odpowiednimi słowami - uzyskaliśmy to. Na hańbę Boga:

[##schemat7.jpg](#)

- Wszystko się dokonało - mruknął Varo Borja, wpisawszy ostatnie litery. Ręka mu drżała, a kropla potu spłynęła po czole i nosie i kapnęła na wypisane kredą znaki. - Według Torchii wystarczy, żeby „zwierciadło odbiło obraz drogi”, i można wypowiedzieć utracone słowo, które sprowadza światło mroków... Te zdania napisane są po łacinie. Same z siebie nie oznaczają nic, ale zawierają ścisłą esencję *Verbum dimissum*, formułę przywołującą Szatana: naszego poprzednika, nasze zwierciadło i naszego współnika.

Kłęczał pośrodku koła, otoczony przedmiotami, znakami i słowami wpisanymi w kwadrat. Ręce tak mu drżały, że splótł je ze sobą, zaciskając palce brudne od kredy, farby i wosku. Zaśmiał się cicho, pełen pychy i pewien siebie, jakby dotknięty obłędem. Corso jednak zrozumiał, że to nie jest obłęd. Rozejrzawszy się, poczuł, że czas nagli, i spróbował zmniejszyć odległość, jaka dzieliła go od księgarza - nie ośmielił się jednak przekroczyć linii i dołączyć do niego w kole.

Varo Borja posłał mu złowieszcze spojrzenie, przenikając na wylot jego obawy.

- No, Corso. Nie poczyta pan ze mną?... Boimy się czy zapomnieliśmy łaciny? - światła i cienie coraz szybciej tańczyły na jego twarzy, jakby pokój zaczął wirować. Ale przecież wszystko wokół było nieruchome. - Nie ciekawi pana, co kryją w sobie te słowa?...

Na odwrocie ryciny wsuniętej w książkę Valeria Loreny znajdzie pan tłumaczenie. I niech pan się posłuży lustrem, jak przykazują mistrzowie w sztuce. Dowie się pan przynajmniej, za co zginęli Fargas i baronowa Ungern.

Corso spojrzął na starodruk w pergaminowych okładkach, bardzo wiekowy i zniszczony. Pochylił się ostrożnie, jakby pośród kartek czaiła się śmiertelna pułapka, i czubkami palców wyciągnął wystającą rycinę. Była to pierwsza ksylografia z numeru Trzy, egzemplarza baronowej Ungern: trzy wieże zamiast czterech. Na odwrocie widniało dziewięć słów wypisanych ręką Vara Borjy:

[##schemat9.jpg](#)

- Odwagi, Corso - głos księgarza nalegał cierpko i nieprzyjaźnie. - Nie ma pan nic do stracenia... Niech pan skorzysta z lustra.

Istotnie, obok na podłodze, pośród dogasających świec, leżało lustro. Stara, barokowa robota. Zrobione ze srebra, z rzeźbioną rączką i plamami patyny na wewnętrznej powłoce z rtęci. Zwrócone było szkłem do góry. Corso odbijał się w nim w dziwnie odległej perspektywie, na końcu długiego korytarza z czerwonego, dygocącego światła. Obraz i dubler, bohater i jego nieskończone zmęczenie, dogorywający Bonaparte przykuty do skały na Świętej Helenie. Nic do stracenia, jak powiedział Varo Borja. Spustoszony, zimny świat, w którym grenadierzy spod Waterloo byli tylko samotnymi szkieletami, pełniącymi straż przy ciemnych, zapomnianych drogach. Ujrzał sam siebie przed ostatnimi drzwiami: trzymał klucz w dłoni jak pustelnik z drugiej ryciny, a litera tet wrzynała mu się w ramię na podobieństwo węża.

Szkło zachręściło pod butem, gdy stąpił nim na lustro. Uczynił to powoli i ze spokojem. Lustro trzasnęło, a jego kawałki zwiłokrotniły teraz odbicie Corsa, trwające nieruchomo u kresu niezliczonych korytarzy cienia. Tamci Corsowie byli zbyt daleko i za mało czytelni, żeby musiał się obawiać o swój los.

- Czarna jest szkoła nocy - usłyszał głos Vara Borjy.

Gospodarz nadal klęczał w centrum swojego koła, tyłem do gościa, który już go nie obchodził. Corso schylił się ku świecy i podpalił kartkę z ryciną I i dziewięcioma słowami wypisanymi na odwrocie. Teraz patrzył, jak między jego palcami płonie zamek, wierzchowiec, twarz jeźdźca, który nakazywał oglądającemu milczenie. W końcu upuścił to, co zostało z kartki. Skrawek opadał ulatując w głąb pokoju wypełnionego rozgrzanym powietrzem. Łowca książek wkroczył w koło i stanął obok księgarza.

- Żądam moich pieniędzy. Natychmiast.

Tamten nie zwracał nań uwagi, coraz bardziej pograżając się w cieniach. Nagle, zaniepokojony być może niewłaściwym rozmieszczeniem przedmiotów na ziemi, zaczął poprawiać niektóre z nich. Następnie, po krótkim wahaniu, zaczął wypowiadać straszliwą modlitwę:

- *Admai, Adai, Eloi, Agla...*

Corso chwycił go za ramię i potrząsnął gwałtownie, ale Varo Borja nie wykazywał żadnej emocji ani przestachu. Nie próbował się też bronić. Nadal poruszał wargami jak lunatyk albo męczennik, zanoszący modły na przekór ryczącym lwom albo mieczowi kata.

- Ostatni raz: moje pieniądze.

Daremnie. Przed sobą miał puste oczy, mroczne studnie, które patrzyły nań, ale go nie widziały. Pozbawione wyrazu, utkwione były w czeluściach królestwa cieni.

- *Zatel, Gebel, Ehmi...*

Zdumiony Corso pojął, że tamten przyzywa diabły.

Tkwiąc pośrodku swojego kręgu, nie zważając na nic, na jego obecność ani nawet na jego groźby, ten facet przyzywał diabły ich imionami chrzestnymi, jak gdyby nigdy nic.

- *Gamael, Bilet...*

Przerwał tylko na chwilę po otrzymaniu pierwszego ciosu. Uderzenie na odlew wierzchem dłoni sprawiło, że skłonił głowę na lewe ramię. Oczy błędziły przez moment w ciemności, po czym utkwily w jakimś nieokreślonym punkcie w przestrzeni.

- *Zachel, Astarot...*

Po drugim uderzeniu z kącika ust ciekła mu już czerwona strużka. Corso cofnął z obrzydzeniem pokrzwawioną dłoń. Czuł, że wali w coś lepkiego i wilgotnego. Odetchnął kilkakrotnie, odliczył dziesięć uderzeń własnego serca, zacisnął zęby i pięści i zadawał kolejne ciosy. Z ust księgarza płynął już cały strumień krwi. Nadal jednak mruczał swoją modlitwę obrzękniętymi wargami, do których przylgnął nieprzytomny i absurdalny uśmiech pełen przedziwnej rozkoszy. Corso chwycił go za kołnierz koszuli, by brutalnie wytrącić go poza obręb koła, a potem uderzył znowu. Wówczas dopiero Varo Borja dobył z piersi zwierzęcy jęk strachu i cierpienia. Kopiając i wijąc się z niespodziewaną energią, wczołgał się z powrotem do wnętrza kręgu. Trzykrotnie wyrzucany, trzykrotnie uparcie tam powracał. Za trzecim razem na znakach i literach wpisanych w pieczęć Saturna znać było kałużę krwi.

- *Sic dedo me...*

Coś nie grało. W pełgającym świetle Corso ujrzał, że tamten się waha i niepewnie przygląda przedmiotom zgromadzonym w kręgu magicznym. Klepsydra odmierzała jednak ostatnie chwile i najwyraźniej czas, jaki Varo Borja miał do dyspozycji, dobiegał końca.

Zaczął więc powtarzać słowa z większym przekonaniem, dotykając trzech spośród dziewięciu pól:

- *Sic dedo me...*

Czując w ustach cierpki smak, Corso rozejrzał się desperacko i wytarł poplamioną dłoń w fałdy płaszcza.

Dopaliły się kolejne świece, a dym ze zwęglonych knotów zataczał serpentyny w czerwonym półmroku. Dym pożerający własny ogon - pomyślał z gorzką ironią. Następnie podszedł do biurka, odsuniętego pod ścianę razem z innymi meblami, zsunął na podłogę wszystkie leżące na nim rzeczy i zaczął przetrząsać szuflady. Nie było pieniędzy ani nawet książeczki czekowej. Niczego.

- *Sic exeo me...*

Księgarz ciągnął swoją litanie. Corso zerknął po raz ostatni w kierunku kręgu magicznego. Varo Borja, na klęczkach i ze zdeformowaną, zapamiętałą twarzą pochyloną ku ziemi, otwierał ostatnie z *Dziewięciorga Wrót*.

Na ustach miał obłąkany, szczęśliwy uśmiech. Oblicze przecinała mu, niby Tag mapę Hiszpanii, diaboliczna, ciemna kreska krwawiących ust, przypominająca ślad po cięciu mrocznym nożem.

- Skurwiel - powiedział Corso. Tym słowem uznał ich kontrakt za nieważny.

Zbiegł po schodach ku jasnej szarości, widocznej na ich krańcu, pod łukowatym sklepieniem, i wyszedł na patio.

Zanim skierował się ku żelaznej furtce, stanął koło fontanny i marmurowych lwów i odetchnął głęboko, rozkoszując się świeżym i czystym powietrzem poranka. Następnie sięgnął do kieszeni, znalazł pomietą paczkę i wyciągnął ostatniego papierosa. Wsadził go do ust nie zapalając i dłuższą chwilę trwał tak bez ruchu. Poziomy, czerwony promień wschodzącego słońca, który zostawił za sobą wjeżdżając do miasta, dosięgnął go teraz ześlizgnąwszy się po szarych, kamiennych fasadach domów na placu. Jego światło rzucało Corsowi na twarz cień kutej kraty. Od tego blasku aż musiał przymknąć zmęczone, niewyspane oczy. Następnie promień spotężniał i z wolna przesunął się w głąb patia obok lwów weneckich, które pochylili marmurowe grzywy, jak gdyby poddawały się piesszczocie. Ta sama światłość, początkowo czerwona, a już po chwili błyszcząca jak chmura złotego pyłu, otuliła i Corsa. Dokładnie w tym momencie w górnej części schodów, po drugiej stronie ostatnich wrót do królestwa cieni, gdzie nigdy już nie miało dotrzeć światło tego spokojnego poranka - rozległ się krzyk. Rozdzierający, nieludzki lament, przepelniony zgrozą i rozpaczą. Z trudem można w nim było rozpoznać głos Vara Borjy.

Nie odwracając się, Corso popchnął furtkę, chcąc wyjść na ulicę. Czuł, że z każdym krokiem oddala się od tego, co pozostawił za plecami, jak gdyby pokonywał teraz błyskawicznie w odwrotnym kierunku tę samą długą drogę, którą tyle czasu wędrował przedtem.

Na środku placu stanął oślepiiony słonecznym blaskiem. Dziewczyna nie ruszyła się z samochodu i łowca książek aż zadrżał z egoistycznej radości, że nie rozwiła się wraz z resztkami nocy. W tym momencie zobaczył, że uśmiecha się z czułością, że jest niewiarygodnie młoda i piękna, że czeka na niego z tą swoją chłopięcą fryzurą, smagłą skórą i spokojnymi, wpatrzonymi weń oczami. Wydawało mu się, że z tego uśmiechu promieniuje cała złocista światłość odbita w zieleni jej oczu, światłość, przed którą pierzchają ciemne zakątki wiekowego miasta, cienie dzwonnicy i ostrołuków okalających plac. Corso szedł na spotkanie ze spuszczoną głową, zrezygnowany, jakby miał zamiar pożegnać się z własnym cieniem. Ale pod stopami nie miał żadnego cienia.

Z tyłu, w domu strzeżonym przez cztery gargulce z okapu, Varo Borja już nie krzyczał. A może krzyczał w jakimś innym, mrocznym miejscu, zbyt odległym, żeby jego głos docierał na ulicę. *Nunc scio*: Teraz wiem. Corsa zastanowiło, czy bracia Cenizowie mogli zastosować żywicę, czy raczej drewno, żeby sfabrykować zagubioną ilustrację z numeru Jeden. Zagubioną na skutek dziecięcego kaprysu, a może wandalizmu jakiegoś kolekcjonera. Kiedy jednak przypomniał sobie ich blade, zwinne dłonie, skłonił się ku drugiej ewentualności: drzeworyt, zreprodukowany najpewniej na podstawie Bibliografii Mateu. Dlatego właśnie Varo Borja miał kłopoty z uzgodnieniem rachunków: we wszystkich trzech egzemplarzach ostatnia rycina była fałszywa. *Ceniza sculpsit*. Z umiłowania dla sztuki.

Schylił głowę, żeby zapalić ostatniego papierosa, i zaśmiał się pod nosem jak złowrogi wilk. Książki lubią takie żarty - powiedział sobie w duchu. A każdy czytelnik ma takiego diabła, na jakiego zasłużył.